

or
ae

W Y B Ó R

PROZY I POEZJI POLSKIEJ.

D l a

KLAS NIŻSZYCH GIMNAZYALNYCH

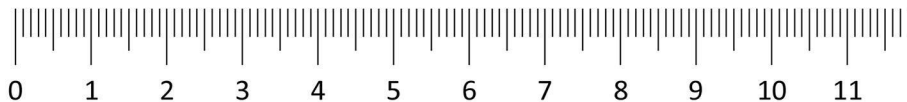
i

WYŻSZYCH SZKOŁ MIEJSKICH;

w y d a ł

A. POPLINSKI. *Prof. Gimn. Katol*

W Poznaniu w Księgarni Nowej 1838,



BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU



228757

Wypożycza się
tylko do czytelní



9. Szegaly

V. 8455

V. 246



A.

22
22

W Y B Ó R

PROZY I POEZJI POLSKIEJ.

D l a

KLAS NIŻSZYCH GIMNAZJALNYCH

i

WYŻSZYCH SZKOŁ MIEJSKICH;

w y d a ł

A. POPLINSKI. *Prof. Gimm. Katol*

W Poznaniu w Księgarni Nowej 1838.

ak 1199



228757 I.



1851. D. 373

CZEŚĆ PROZAICZNA.

I. B A Y K I (z Krasickiego i innych.)

Piotruś. Piotruś żwawy i odważny, choć mu piastunki bajały o strachach, śmiał się tylko z ich łatwowierności, bo wiedział, że strachów nie masz na świecie. Raz w ciemnej nocy kładąc się spać, widzi coś białego przy ścianie: postać blada, wysoka, coraz bardziej przybliżać się zdaje. Odważny chłopiec ciekawością zdjęty, wstaje z łóżka, idzie śmiało w to miejsce, i przekonał się dopiero, że to koszula wisiała na kołku. Dobre zrobił Piotruś; bo inaczej, gdyby się był zląkł i w strach uwierzył, mógłby być z przekonania zapaść w chorobę, a przynajmniej noc całą nabawić się niespokojności.

2. *Lis młody i stary.* Młody lis nieświadom myśliwych sztuki, cieszył się, że na zimę sierć nową dostał. Rzekł mu stary, mający więcej doświadczenia: nie masz się z czego cieszyć; gdyż właśnie to piękne futro, jest naszej zguby przyczyną. Nieraz piękność niebezpieczną bywa.

3. *Szczur i kot.* Szczur siedząc na ołtarzu podczas nabożeństwa, pysznił się, że mu kadzono i cześć boską wyrządzano. Ale w krótkce duma jego ukróconą została; bo gdy się zakrztusił od dymu zbytecznego

kadzidła, kot ^{kurczak} ^{zabija} czychający z boku, wpadł na niego, porwał i udusił. ^{smutny}

4. *Jowisz i owce.* Owce ciekawe wiedzieć, co się stanie z jagniętami, naprzykrzały się ustawicznie Jowiszowi, aby im przyszłość objawił. Jowisz rzekł: lepiej, że nie wiecie; ale kiedy koniecznie pragniecie tajemnicę ^{zobaczyć} zbadać: oto i was i wasze jagnięta ludzie pojedzą. Wielkie to szczęście, że człowiek nie zna swój przyszłości.

5. *Skarb.* Człek bogaty znalazł skarb: ubogi to widząc, nuż się uskarzać na Opatrzność! — a Jowisz rzekł: poczekaj tylko, co się dalej stanie. Jakoż ów bogacz chcąc uniknąć oka ludzkiego, poszedł w nocy z rydlem, aby skarb wydobyć; pracował ciężko, nim wykopał skrzynię wielką z pieniędzmi, ciężej jeszcze było dźwigać ją do domu. Dosyć, że z niewczasu i ciężkiej pracy zachorował, i nieużywszy wcale znalezionej skarbu, umarł. A Jowisz rzekł do ubożego: bierz teraz tę zdobycz, a nie sądz z pozoru. Bogacz nie dla siebie, ale dla innych najczęściej skarby zgromadza.

6. *Wilk i owce.* Wilk zawarł z owcami umowę, o co? o ich skórę. Owce téż kontente z takiej sposobności, tak się obwarowały, iż już odtąd nie bały się o siebie. W kilka dni wilk żarłoczny w samo południe zagryzł jagnię na połu. Owce zaczęły krzyzczyć; a wilk na to: pocóż narzekacie? wszak o jagniętach w naszej umowie wzmianki nie było. Niedługo potem owcę udusił; a na wyrzuty odpowiedział: ona sama do połowu się nawinęła. Nie dość na tém, wilk nienasycony już nie jedną, ale kilka owiec zagryzł. Lecz i tą razą nie brakło mu wymówki: drudzy rwali, jam tylko pomagał. I tak sze-

rząc coraz większe rozboje, zawsze się wytłumaczył, a owce pozjadał; bo mocniejszemu nie trudno znaleźć pozorną przyczynę do pognębiaenia słabszego.

7. *Wół minister.* Kiedy wół był ministrem i rządził, szły wprawdzie sprawy państwa zwolna, ale szły dobrze. Nakoniec jednostajność znudziła monarchę, który miał na swym dworze wesolą i ucieśzną małpę, i téj ster państwa powierzył. Z początku dwór i poddani byli kontenci; ale nie zadługo trwała radość: powstał wielki nieład. Pan się śmiał, śmiał się i minister; a lud biedny płakał. Kiedy więc nieukontentowanie coraz bardziej się szerzyło, król rad nie rad, musiał małpę złożyć z urzędu, a lisa zrobił ministrem; lecz ten zdradziwszy pana i poddanych, nie długo urzędował. Po tak smutném doświadczeniu, wrócono się do pierwszego: a tak znowu wół był ministrem i zrządzone szkody naprawił.

8. *Tulipan i fijołek.* Tulipan okazały bardzo się o to gniewał, że fijołek z pokrzywą w przyjaźni zostawał. Tegoż właśnie poranku pan wszedł do ogrodu, i widząc pięknie rozkwitłe kwiaty, urwał tulipan: chciał także i fijołek zerwać; ale się pokrzywą sparzył. Tulipan widząc, że fijołek ocalał, rzekł po niewczasie: i nierówny przyjaciel może nam być pożyteczny.

9. *Puhacze.* Płodna sowa urodziła sześć sowiąt i kilka puhaczków: słabe zrazu i do lotu nie zdatne, kiedy już podrosły i pierza nabrały, zaczęły sobie igrać, bujając ponad rozwalinami pustego zamku. Nalatawszy się do sytu, wróciły do swego mieszkania, to jest w dziurę przy kominie. Pani matka przytulając do swego łona córki, syny, wnuki i wnuczki, i pyszniąc się z tak licznego nadobnego potomstwa,

rzekła: coż tam słychać, moje dziatki? jak wam się udał pierwszy wstęp na świat, jak was tam inne ptaki przyjęły? Najmłodsze puhaczątko, faworytek matki, odezwał się: jakieśmy tylko wyleciały, oniemiały wszystkie ptaki z podziwienia, żaden nie śmiał ani pisać, skorośmy huczeć zaczęły; nędzne stworzenia pokryły się w dziury! Tylko w krzaczkach malenka jakaś ptaszyna, którą słowikiem zowią, smutnie się odzywała, zapewne z zazdrości i żalu. Po sercu, jak to mówią, pogłaskało matkę, że ta pierwsza proba tak dobrze się udała, chcąc jednak dać swym dziatkom przestrożę i nauczyć je pokory, rzekła: chociaż wasz głos piękny, a lot tak szybki, nie nadymajcie się ztąd pychę: powinnością jest naszą pobiłzać ułomnościom, bo nie każdemu dał Pan Bóg rodzić się Puhaczem.

10. *Wróbel.* Pstry wróbel ponieważ był sam jeden między swymi szarymi braćmi, ledwie się ziemi tykał, tak się pychę nadymał; rozumiał bowiem, że już nie masz piękniejszego ptaka na świecie. Gdy więc wszystkimi gardził, rzekł mu szpak: moj bracie, nie masz się z czego wynosić, bo kto pierwszy pomiędzy wróblami, nie jest jeszcze pomiędzy ptakami najpierwszy.

11. *Platon.* Platon zgromadziwszy raz swych uczniów, dowodził im, jak to mędrzec nad całym panuje światem: dla niego ziemia swe płody wydaje, wspaniałe słońce wschodzi, morze się pieni, zgoła, powietrze, gwiazdy, księżyc i niebo jemu służą; on twórczym swym geniuszem pojmując i wynajdując wszystko, staje się panem całego świata. — A pchła, co go w nos gryzła, bez względu na tę jego mniemaną wielkość, rzekła: to wszystko dla Platona, a Plato dla mnie.

12. *Wyżel i brytan.* Myśliwy strzelił i trafił kaczkę: wyżel dostał i dobił, a widząc próżnującego brytana, zaczął mu czynić wyrzuty: ty leniuchu! śpisz sobie wygodnie, a ja pracować muszę, i przynosić ci strawę! Na to odpowie brytan, stróż domowy: spojrzij tylko na moje łańcuchy: gdy ty idziesz na polowanie, ja wtedy wprowadzić nie nie robię, ale za to w nocy, gdy ty smacznie zaśypiasz, ja spuszczone z łańcucha, domu, pana i ciebie strzegę.

13. *Podróżny.* Arab jeden zbłąkawszy się wśród stepy, dwa dni był bez jadła; głodny spostrzegł worek na drodze, podniósł go ucieszony bardzo, a przy blasku księżyca chcąc widzieć, coby w nim było, jęknął z boleści i rzekł: jam rozumiał, że kasza, a to diamenty.

14. *Wóz z sianem.* Konie ciągnęły wóz z sianem, a sprzykrzywszy sobie ciężką pracę, postanowiły go wyrzucić. I tak zrobiły: siano się w wodzie zmaczało. Ale tego nie przewidziały, że gospodarz zamokłe siano włoży znowu na wóz, i większy jeszcze ciężar każe ciągnąć do domu. Nie dosyć na tém: ponieważ innego siana nie było, musiały biedne konie trzy dni o głodzie pracować. Trafiły zatem z deszczu pod rynnę.

15. *Koń i wielbłąd.* Nigdy nie przestajemy na tém, co mamy; dowodzi nam tego następująca bajka. Koń hardy i zuchwały skarżył się przed Jowiszem, iż choć był wspaniały, piękny i do biegu zdolny; chociaż ztąd powszechnie odbierał pochwały; jednak sądził się być upośledzonym. — W czémże to, zapytał się Jowisz? Oto kark za krótki, grzywa zbyt gęsta, nogi nie dość wysokie, a piersi za wąskie.

Przeznaczyłeś mnie do noszenia człowieka, a nie dałeś siodła. Jowisz oburzony takim zuchwalstwem i ślepotą konia, stworzył wielbłąda i rzekł: oto masz kark wyniosły z małą grzywą, garb potężny zamiast siodła, piersi szerokie, nogi długie. Godzienbyś zostać takim potworem, ale wybaczam twemu głupstwu, jednak za karę zostawię wielbłąda. Jakoż gdy go koń ujrzy, wstydząc się swego szaleństwa, zżyma się i ucieka.

16. *Wyprawa na wojnę.* Lew chcąc rozpocząć wojnę ze swymi sąsiadami, zwołał wszystkie zwierzęta na radę: tam postanowiono, aby każdy stosownie do sił i zdolności swoich dobru powszechnemu służył. Słoń miał dźwigać żywność, wędzonki, półcie, suchary: wilk miał barany pędzić, koń obrok zwozić, wielbłąd łomoki dźwigać; niedźwiedź miał nieść drabinę do szturm, gdy się uda wytropić gdzie sery lub słoninę wysoko; lis miał być szpiegiem na kury i gęsi. Aż tu ktoś z boku ujrzawszy osła rzecze: a ten tu błazen po co? nie potrzeba nam tego wcale ani osłów ani zajęcy; bo zajęc, tchórz, zaraz ucieka, a leniwy osiel ledwo się wlecze. Ale król na to: i owszem niechaj oba zostaną w szeregu: zająca ponieważ szybko biega, za posła użyję, a zaś osła zrobię trębaczem. — Mądry monarcha, umiejący oceniać przymioty swych poddanych, każdemu stosownie naznaczy miejsce, ażeby wszyscy podług sił swoich pracując, do wspólnego przykładali się dobra.

17. *Przyjaciele.* Jeden młody zajęczek bujał po polach i ogrodach, żyjąc sobie swobodnie; a ponieważ był grzeczny i rozkoszny, lubiony był od wszystkich zwierząt, i miał dużo przyjaciół. Raz nadedniem, gdy sobie buja po murawie, słyszy przeraźliwe głosy, trąbki, szczekanie psów i rozruch wielki w boru:

stał, słucha, dziwi się; lecz gdy ów hałas coraz bardziej się zbliżał, zając w nogi. Obejrzy się, aż tu dwa psy i strzelcy już nie daleko. Przestraszony wypadł przecież na drogę, a oddaliwszy się trochę od psów, spotkał konia i prosił go, iżby się nad nim ulitował: weź mię na grzbiet, rzekł do swego pierwszego przyjaciela i unieś. Konń odpowie: ja nie mogę, ale drudzy zapewne ci pomocy nie odmówią. Jakoż wół się nadarzył: ratuj przyjacielu! odezwie się ścigany zając; a wół: wszak wiesz, jak cię kocham; ale teraz właśnie mam pilny interes, ukryj się na chwilkę w trawie, ja nie długo powrócę; a tymczasem masz oto kozła do pomocy. Kozieł odpowiedział: żałuję cię, biedny zajączku; ale mój grzbiet twardy i niewygodny; oto wełniasta owca nie daleko; będzie ci miękko siedzieć. Owca rzekła: ja się nie wzbraniam, ale choć cię w manowce uniosę, psy nas dogonią i obu zagryzą. Udaj się tymczasem do cielęcia, które się tam pasie: — Jak ja ciebie mam wziąć na grzbiet, kiedy starsi tego nie uczynili; to mówiąc zabeczkało i uciekło cielę. I tak wśród serdecznych przyjaciół, psy zająca rozszarpały.

18. *Młynarz syn jego i osieł.* Nie wiem, gdzie ja to czytał, ale to do rzeczy nie należy. Pewien młynarz miał osła, którego tak pracą zmęczył, iż obawiając się, aby mu nie zdechł, postanowił go sprzedać za co za to. Woła więc syna wyrostka i rzecze: żeby się nasz osieł w drodze nie zmordował, zanieśmy go na drągach. Dźwigają obaj; ale im dalej szli, tym bardziej im osieł ciężał. Gdy to postrzegli ludzie, zbiegać się zaczęli, śmiejąc się z nich, i szydząc: patrzajcie jeno: oto trzy osły, a ten co na drągu, jeszcze najmniejszy. Młynarz markotny, skoczył po rozum do głowy, i wsadził syna na osła. Aż tu pierwsi, których napotkali, nuż się gniewać i zzy-

mać, mówiąc: ty hultaju! jedziesz sobie wygodnie na osła, a biedna starowina pieszo? Więc, gdy się zabierają do kijów, aby mu syna nie obili, zszedł go z osła, a sam wsiadł na niego. Przechodziły dziewczęta, mówi jedna do drugiej: biedny chłopczyzna, pieszo iść musi, a dziadziśko nielitościwe, jedzie na osła i nadyma się jeszcze. Usłyszawszy to, wsadza syna za siebie, myśląc, że już teraz dogodził wszystkim. Ale zaledwie z lasku wyjechał, znowu krzyk: cóż to za głupcy, a któż od nich osła kupi? nie dosyć że biedne osłisko daleką odbywa podróż, jeszcze mu dźwigać każą dwóch takich drabów: chyba skóra z niego przedadzą. Prawda, pomyślał sobie młynarz, więc zsiadają obaj: aż tu znowu odzywają się przechodzący: a któż to widział, aby osiel szedł sobie wygodnie, a ty pieszo! wybacz, że cię ganimy: wszyscy z ciebie śmiać się będą, jeżeli się nie poprawisz. Nie poprawię, odpowiedział zniecierpliwiony młynarz, dość już tych przymówek, chciałem wszystkim dogodzić i wtém byłem nierozsądny. Odtąd na nikogo nie zważając, będę czynił, co mi się podoba. Jak mówił, tak zrobił, i dobrze na tém wyszedł.

19. *Wilk i brytan.* Wychudły wilk spotkał raz tłustego brytana: a zkądże to utyłeś tak walnie? rzekł do niego; ja będąc daleko mocniejszym od ciebie, umieram z głodu: patrz tylko na moje gnaty! Pies na to odpowie: Mości wilku, możecie i wy podobnym cieszyć się losem, bylebyście umieli panu służyć. — A to jak, zapyta się wilk ciekawy. — Oto w nocy być stróżem domu, a we dnie odźwiernym, straszyć złodziejów, i nikogo obcego do domu nie wpuszczać. — Bardzo chętnie, wilk odpowie, nie trudna to będzie dla mnie praca. — To proszę z sobą, pies rzecze. Gdy tak razem idą ku wsi, wilk postrzeże u psa szyję od łańcucha obtartą. A to od

czego? zapyta się. Pies nieco zmieszany: to nie nie jest, odpowie; oto, żem zbyt żwawy, we dnie wiążę mnie na łańcuchu, ale w nocy spuszcza ją, i wtedy bujam sobie, gdzie chcę, za co też obfitą dostaję strawę. Wilk ostróżny rzecze: a wolnoż tobie tę służbę porzucić? — Co tego, to nie — jużem ja nie raz chciał uciec, ale nadaremno. — Oho! wilk odpowie, ciesz się brytanie z twego szczęścia, nie chcę być królem, jeżeli nie mam być panem méj woli.

20. *Nos i ręka.* Żył na twarzy nos potężny, i dla tego królem nosów był nazywany: pół twarzy osłaniał swym cieniem, pół funta tabaki na dzień wyżywał. Lecz niestety, któż na świecie żyje bez zazdrości i bez nieprzyjaciół! — Żeby to jeszcze komu innemu służyć, odezwie się ręka, ale nosowi! Co chwila sięgaj do kieszeni, nieś mu tabakę, strzeż go od guza: a ileż to razy ucierać go trzeba! Czyż ręka nie ma już nic innego do czynienia, tylko nosa doglądać? ja, która tyle dzieł wielkich wykonywam, i ztąd po całym świecie słynę? Poczekaj tylko, nosie, zapłacę ja tobie. Tak więc psotnica, zamiast tabaki, ciemierzycy mu podaje. — Jak zacznie nos kichać, nadymać się, sapać, aż oczy, sąsiadki jego płakały nad nim z litości, a gęba krzyczała przeraźliwie; tymczasem ręka, która wszystkiego złego była przyczyną, ukryta gdzieś w kieszeni, szydziła z jego nieszczęścia. Po długim kichaniu, hukaniu, uciszył się nos przecie; lecz spuchł i zachorował. Człek żałujący go szczerze, znaglił rękę płochą, że go pielęgnować, muchy spędzać, i jak najtroskliwiej służyć musiała. Próżne były wtedy jéj narzekania, że mu dogodzić trudno, próżne na los swój skargi. Nauczona smutném doświadczeniem, postanowiła na przyszłość być mędrszą i nie szkodzić nikomu.

21. *Gospodarz i wróble.* Stado wróbli, gdy zima nadeszła, z pobliskiej krzewiny przyleciało do wsi i ukryło się w stodole. Gniewał się kmiotek skąpy, choć bogaty i narzekał: czy kara Boża! jak tylko zima, zaraz natręty do ziarna. Lecz temi skargami wróbli z gumna nie wypłoszył. Idzie więc do głowy po rozum: nocną porą, gdy wszystko w głębokim śnie było pogrążone, bierze latarnię, skrada się do gumna, i uspiione na pół wróble wygarnia w poly z pod strzechy. Ale dawne niesie przysłowie: łakomy dwa razy traci. Gospodarz pnie się coraz wyżej; wtém wypadła mu latarnia, i zapaliła słomę. Naprożno skoczył, chcąc ogień ugasić, napróżno polami dusi płomień i krzyczy jak szalony: wróble uciekły, a stodoła ze zbożem zgorzała.

22. *Koń i baran.* Przed dworem przechodząc koń z baranem, usłyszeli granie. Właśnie sławny skrzypek Apolloni zaczynał lekcją z paniczem. Ujawszy lekką ręką smyczek i prowadząc go po stronach, tak wdzięczne wydał tony, że rumak stanął, i rzekł do swego towarzysza: patrz, głowo barania, to włosy z mego ogona tak cudnie grają. — Ach, Jaśnie Wielmożny panie, odpowie z pokorą baran, czy też to nie moje kiszki brzmią tak wdzięcznie? — Koń, taką odpowiedzią oburzony, chciał ukarać zuchwalstwo barana, gdy wtém uczeń zaczyna rzępolić, tak fałszywie, tak szkaradnie, że trzeba było uszy zatykać lub o miłę uciekać. Wtedy dopiero przekonali się obaj, że nie smyczek, nie strony, ale ręce ludzkie tak pięknie grały. —

23. *Malpa.* W pewnym domu żyła psotna malpa; patrząc na jej figle, trzeba się było za boki chwytac: nic to było u niej, skakać na stół, na komin, koziołki przewracać, miny stroić pocieszne, kota tabaką

poczęstować; zgoła, że we wszystkiem potrafiła naśladować człowieka. W każdy kąć ciekawie zaglądną, postrzegła raz, że się pan goli: to nowa dla niej zabawa. Czekala tylko, aż się oddali. A gdy już nikogo w pokoju nie było, skoczy czémprędzej do stolika, wyjmuje brzytwy pańskie, i nuż pysk mydlić. Nie źle się pendzlem udało. Więc bez obawy bierze ostrą brzytwę w łapę i piszczy, a jednakże skrobie, to lewą to prawą łapą, szach, mach! ostrem żelazem po szyi, i przerznęła sobie gardło. Nie jednemu na ten koniec przychodzi, który niebacznie małpuje możniejszych.

24. *Dzięcioł i strzelec.* Pierzchały ptaki w lesie, kryły się w swe gniazda i po gałęziach, bo ujrzaly zdaleka zbliżającego się strzelca. A zatem i pani dzięciołowa z pięciorgiem dziątek, mająca swe gniazdo w sośnie, w wielkim była strachu. Lecz pan dzięcioł, skacząc sobie po gałęzi, i nie dzieląc powszechnej obawy, rzekł zuchwale: nie bójcie się dziatki, poczekajcie jeno trochę, zaraz ja wystraszę natrętnego strzelca. I znalazłszy suchą gałąź, jak zacznie stukać i kołatać, takiego narobit łoskotu, że mędrsze ptaki uleciały ze strachu, a dziatki cieszyły się, że tatuś wypłoszy albo ogłuszy strzelca. Lecz ten dybiąc, nadstawia ucha, zkądby to stukanie pochodziło, zbliża się coraz bardziej, i nakoniec podszedłszy, zabija głupiego dzięcioła; nadto w oczach matki młodą ptaszynę z gniazda wybiera, mówiąc: żebyś był sobie siedział cicho na drzewie, byłbyś ocalał.

BAJKI Z EZOPA.

25. *Żaba, szczur i kobus.* Żaba klóciła się ze szcurem, roszcąc sobie prawo do pewnej sadzawki,

której prawną posiadłość szczur jak najoczywistszemi dowodami stwierdzał. Gdy jedno drugiemu ustąpić nie chce, z kłotni przyszło wkrótce do czubów, i do najzaciętszej bitwy. A wtem kobus czyhający na zdobycz, rzucił się na nich z góry i pozarił oboje.

26. *Pies łakomy.* Pies płynął przez rzekę, trzymając w pysku kawał mięsa. Wtem spostrzegłszy w przezroczystej wodzie własną postać, rozumiał, że to był inny pies, także sztukę mięsa niosący. Pobudzony nienasyconą chciwością, puścił swój kawał, chcąc wydrzeć z pyska mięso psu obcemu; ale i tam tego nie dostał, i swoje utracił.

27. *Wilk i żuraw.* Wilk jeden tak żarłocznie pochłonał owcę, że mu kość w gardle uwięzła. Szukał więc pomocy, ale każdy pomyślał sobie: dobrze mu tak, temu niesytemu żarłokowi! Sam tylko żuraw ulitowawszy się nad nim, wiożył swą długą szyję w gardło wilka, a dobywszy kość, prosił o przyzwoitą nagrodę. — Alboż nie masz dosyć na tém, że uniosłeś łeb cały z mego gardła? odrzekł wilk, zgrzytając zębami.

28. *Przechodzień i wąż.* Wąż niezmiernym kamieniem przycisniony, prosił przechodnia, aby ten głaz z niego odwalił, obiecując mu w nagrodę pokazać skarb wielki. Co gdy ten uczynił, nie tylko obietnicy nie dotrzymał, ale się nawet rzucił na swego dobroczyńcę. Gdy z sobą walczą, zdarzyło się, że lis tędy przechodził. Ten obrany sędzią. Nie mogąc, rzecz, tak ważnego sporu rozstrzygnąć, jeżeli wprzód nie zobaczą, jak wąż kamieniem przywalony leżał. Gdy więc człowiek przycisnął znowu węża kamieniem, rzekł lis: niewdzięczny, nie wart pomocy!

29. *Mysz wiejska i miejska.* Mysz wiejska mając raz zaszczyt przyjmować u siebie mysz miejską, wyciągała z dziury, co tylko miała najlepszego, to trochę grochu, to słoniny, to sera; lecz miejska przywykła do wytworniejszego życia, ledwo się tak lichych potraw przez grzeczność dotykała. Po tej skromnej uczcie, mysz miejska zaprosiła także nawzajem wiejską do miasta, wychwalając jej zawczasu wykwintne przysmaczki. Biedna chudzina ze wsi nie zaniebawiła stawić się o przeznaczoną godzinie, i przyjechała była w pięknej sali, gdzie zastała stół suto zastawiony. Ledwo co liła tych wybornych specyaliów, aż tu wchodzi do pokoju służący i niezmiernego strachu nabawia naszych biesiadników. Mysz miejska łatwo się w znajomych sobie ukryła lochach; ale biedna wieśniaczka, uciekając niezręcznie i szukając kryjówki, już była bliską śmierci. Gdy się służący oddalił, mysz miejska zachęca wiejską do jadała, każe jej być dobrej myśli; i śmiało kosztować tak cudnych przysmaczków; lecz mysz wiejska, na pół umarła ze strachu rzekła: Bądź Jójmość zdrowa, wolę ja spokojność z moją chudobą, niż wszystkie twoje dostatki wśród trwogi i niebezpieczeństwa.

30. *Osiel i piesek.* Gdy osiel widział pieska panu się łaszącego, zazdrościł mu jego szczęśliwej doli i rzekł: I ja bym to potrafił! Nie wielka to rzecz podawać łapkę panu, a tak czule za to odbierać pieszczoty. Skończywszy te słowa, podniósł się, usiadł na tylnych nogach, a przednie z oślim wdziękiem położył na ramionach pańskich. Zdziwiony pan tak osobliwszém przymileniem, zawołał parobków, aby osłowi porządnie wytrzepali skórę i nauczyli go maniery.

31. *Lew i mysz.* Koło lwa śpiącego psotne go-

niły się myszy, z których jedna przypadkiem na grzbiecie mu wskoczyła. Schwytana od lwa przebudzonego, ledwie żywa myszka, uniewinniła nierostropność swoją, obiecując być wdzięczną, jeżeli jej życie daruje. Lew lubo był rozgniewany, przebaczył jednak myszce proszącej. Nie długo potem lew wpadłszy przez nieostrożność w sieci myśliwskie, okropny ryk wydał. Przybiegła wdzięczna myszka, przegryzła sieci, i lwa z niebezpieczeństwa uwolniła.

32. *Jaskółka i inne ptaki.* Jaskółka widząc rolnika siejącego konopie, przybiegła czémprędzej ostrzedz inne ptaki: ta rzecz grozi nam niebezpieczeństwem, rzekła do nich, wiecie co, lećmy na pole i wybierajmy szkodliwy zasiew! Ale ptaki gardząc roztropną radą, wyśmiały ją jeszcze. Gdy już konopie weszły, jaskółka znowu do ptaków: ej! wyrwijmy to niebezpieczne zielsko! To sobie rwij, marudo! rzekły ptaki: my nie mamy czasu! Nakoniec dojrzały konopie; jaskółka jeszcze raz ostrzega ptaki: Bo konopie już są dojrzałe, komu życie miłe i wolność, niech się wynosi z tej okolicy, jeżeli nie chce schwytany trzepotać się w sieci. — Idź sobie do licha, niewczesna mi-strzyni, kiedyż przestaniesz psuć nam głowę; mamy my tyle oleju w głowie, co i ty. Wtenczas rozropna jaskółka oddaliła się z ich towarzystwa; a co przepowiedziała, wszystko się zjściło: rolnik wyrwał konopie, porobił z nich siatki i sidła, i wszystkie prawie ptaki połapał.

33. *Żaby proszą o króla.* Żabom uprzykrzyło się żyć w rzeczy pospolitej: Jowiszu! wołały, daj nam króla, któryby nami rządził. Bózek śmiał się z ich niebacznego życzenia. Nakoniec znudzony ustawicznym wrzaskiem, spuścił w staw z wielkim szelstem kłoc drzewa ogromny. Przestraszone żaby,

pochowały się głęboko w bagnie. Po niejakiem czasie, wyrzała najodważniejsza z wody i zrazu obawiała się podnieść oczu na króla. Ale gdy kłoc martwy spokojnie po wodzie pływał, odwazyła się bliżej przystąpić. Wkrótce przyplłynęły i inne żaby, i niewidząc żadnego niebezpieczeństwa, skakały po drewnie, i znowu się zaczęły Jowiszowi naprzykrzać o innego lepszego króla. Bózek zesłał im nakoniec bociana, który w krótkim czasie wyłowił ich połowę. Nuż w krzyki znowu, aby ich uwolnić raczył od tego tyrana; ale rozgniewany bózek rzekł: szalone! nie chciałyście dobrego króla, znoście teraz złego, żeby was jeszcze co gorszego nie spotkało.

34. *Koźle i wilk.* Raz koza zamknęła koźle w obórce, i poszła w pole na paszę. Wilk widząc to zdaleka, zbliżył się do drzwi obory, a umiliwszy głossek, rzekł łagodnie: moje dziecię, otwórz matce, kochanko, zapomniałam się z tobą pożegnać. Lecz koźle odpowiedziało; nie uczynię tego; bo choć Asendzi ślicznie głossek ułożyłeś, widzę jednak przez szparę, że sobie ostrzysz zęby na moją skórę.

35. *Lis i bocian.* Lis zaprosił bociana na objad, dodając: zjemy sobie co dom ma; a gdy się ten stawił na przeznaczoną godzinę, częstował go tylko polewką, którą mu nalał na płaski talerz. Bocian stuknął na próżno swym długim dziobem po talerzu, nie mógł nic nabrać i ledwie co skosztował. Chytry lis wychlipał wszystko, śmiejąc się w duchu z bociana, który zawstydzony i głodny wstał od stołu. Ale nie długa była radość lisa; gdyż bocian zaprosiwszy go wzajemnie tego wieczora na kolacyą, dał swemu gościowi wybornę siekaniny, ale w butlu mającym długą i ciasną szyję, w którą gospodarz włożywszy

dziób wygodnie, wyjadł wszystko do szczętu, gdy tymczasem lis, oszust, wachając tylko koło naczynia, odszedł w złym humorze głodniuteńki.

36. *Zaba i wół.* Żaba widziała wołu przechodzącego koło bagniska. „Nie będą mogli ludzie powiedzieć, rzekła do córki, nadymając się potężnie, że ten wół przeszedł mnie wielkością. Patrzno na mnie, muszę być przynajmniej tak wielka jak on. — Ah, gdzie tam! odpowiedziała córka — No, to teraz! — Ej, nie bajalibyście, matulu! Oh już ja mu wyrównam! Nieboga, jak się nadęła po trzeci raz, pękła ze zbytęznego wytężenia.

37. *Nietoperz, ptaki i zwierzęta.* Ptaki prowadziły wojnę ze zwierzętami i raz ta, drugi raz owa strona zwyciężała. Nietoperz chcąc uniknąć wątpliwego wypadku wojny, do téj się strony udawał, którą zwyciężającą widział; między ptakami za ptaka, między zwierzętami za mysz uchodząc. Gdy do pokoju przyszło, pokazała się jego zdrada. Ptaki i zwierzęta okryły zdrajcę hańbą i zakazały mu pod karą śmierci za dnia się pokazywać.

38. *Gołąb i krogulec.* Krogulec długo ścigając gołębia, wpadł nareście sam w sidła ptasznika, który natychmiast zabierał się do ukręcenia mu łba. Okrutniku, zawołał ptak, cóż ci zawiniłem, że mi chcesz życie odebrać? — A tobie co zawinił gołąb, któregoś ścigał? Giń obłudniku!

39. *Lis i winogrona.* Lis głodny postrzegł wyborne winogrona na wysokim szpalerze wiszące. Ale napróżno skakał i skakał, żadną miarą nie mógł ich dostać. Widząc wszystkie swoje usiłowania nada-

remne, wykrzywił pysk i rzekł: jeszcze są kwaśne i nie nie warte!

40. *Członki i żołądek.* Członki w ciele jedném zbuntowały się przeciw żołądkowi. Poco mamy, mówiły, pracować na tego żarlioka? gdy on nie przykładając się do niczego, trawi owoc naszych trudów! Niech go licho weźmie! rzekły ręce, nic mu odtąd nie podamy. Tyle się już dla niego nachodziłyśmy, mówiły nogi, już się teraz nie ruszimy. Żołądek tym sposobem od wszystkich członków opuszczony, wkrótce zesłabł niezmiernie; ale wnet i wszystkie członki uczuły niemoc; uieżwłocznie więc dla własnego dobra, do posłuszeństwa powróciły.

41. *Koń i osieł.* Dumny koń szedł pyszniąc się bogatym rzędem, który miał na sobie. „Precz z drogi, trutniu, krzyknie zachwale na osła, co za ledwo zdążył umknąć na bok, i ujęć groźnego kopyta. Wkrótce potem postrzelony w bitwie rumak; przedany był rólnikowi, od którego zaprzężony do woza z gnojem, postępował spokojnie tą samą drogą. Poznał go osieł, i choćby był mógł oddać mu wet za wet, litował się raczej nad jego nieszczęsną dolą.

42. *Paw i słowik.* Paw zalił się przed boginią Junoną, że bogowie dali mu głos brzydki i krzykliwy; gdy tymczasem słowik tak mile śpiewa. Ten głos mnieby mieć należało, który jestem najpiękniejszy z ptaków. — Właśnie też dla tego, odpowiedziała bogini, że jesteś najpiękniejszy z ptaków, śpiewasz tak szkaradnie. Słowik, któremu głos piękny wyrzucasz, nie zazdrości ci piór twoich: wie on, że bogowie między różne istoty rozdali swe dary i że każdy na swoim przestać powinien.

43. *Kuropatwa i koguty.* Pewien rolnik kupił od swojęną kuropatwę i puścił ją na podwórze. Koguty

porządnie ją na przyjęcie wydziobały. Nazajutrz nie lepiej się z nią obeszły; przeto smutna kuropatwa schroniła się w kąć podwórza. Wkrótce ujrzała kogutów czubiących się z sobą. Odtąd była cierpliwą, myśląc sobie: kiedy te lotry same z sobą za łby się wodzą, jakże mnie przepuścić mają.

44. *Dąb i trzcina* Dąb śmiał się z trzciny: żał mi cię niebogo! że za najmniejszym wietrzykiem pochylasz głowę, gdy ja najsroższym burzom się opieram. Ledwo to wymówił, zerwał się gwałtowny wichur. Gibka trzcina uginając się, ocalała, gdy tymczasem rozłożysty dąb, nie mogąc się oprzeć wściekłym wiatrom, runął z łoskotem, rozciągniony u nogę tej, której nie dawno urągał.

Muś i wilk. Wilk postrzegłszy muśa na łące, uciekł się bardzo i już naprzód ślinkę połykał: ale że ten był rośły i silny, użył przeto podstępny. Zbliżywszy się więc do niego jak najniższej, oświadczył mu uprzejmie, że jest biegłym lekarzem, i ma takie sposoby, iż chory w oka mgnieniu cierpieć przestanie. Wielce mnie Waszmość obowiążesz, rzekł muś, przenikający zdradę, gdy mi zechcesz wyjąć cierni, który mi uwiązał w nodze. To rzekłszy, podniósł tylną nogę i pokazał wilkowi. A gdy ten się zbliżył, aby jej się lepiej przypatrzeć, grzmotnął go muś w paszczę i wybił wszystkie zęby. Dobrze mi tak, rzekł wilk, spuściwszy łeb i ogon; pocóżem udawał lekarza, będąc rzeźnikiem.

46. *Ojciec i dzieci.* Ojciec jeden miał kilkoro dzieci. Widząc się blizkim zgonu, wezwał wszystkie do siebie, a wzięwszy kilka prętów, związał je w pęczek i dał starszemu do złamania. Ten natężywszy wszystkie swe siły, dokazać tego nie mógł. Podał go więc drugiemu, ten trzeciemu i tak dalej; ale żaden nie złamał. Potem starzec rozwiąawszy pęczek,

dał każdemu po jednym pręcie i kazał złamać. Co gdy z łatwością wykonali, moje dzieci, rzekł do nich ojciec, bierzcie ztąd przykład po mojej śmierci, póki będziecie zgodni, dopóty nic was pokonać nie zdoła; ale skóro się poróżnicie, najmniejsza siła zdolna was zwyciężyć.

47. *Kłamacz.* Pasterz jeden, pasąc owce, często dla zabawy, wołał na wieśniaków: héj! gwałtu! wilk! Na krzyk ten wieśniacy przybiegali; lecz nie widząc nigdzie wilka, oszukani do pracy swój wracali. Zdarzyło się, że raz w istocie wilk wpadł do trzody; wtenczas z całej siły krzyczał pasterz, aby go ratowano: ale nadaremnie, nikt się bowiem nie ruszył, w tém umiemaniu, że i teraz kłamał. A tak wilk miał czas wydusić całą trzodę.

48. *Mrówka, gołąb i myśliwy.* Mrówka wpadła raz w wodę i gdy już tonęła, gołąb wyratował ją, spuszczać w wodę gałązkę, na którą nieszczęśliwa wlaższy, ocalała. Nie długo potem gdy już przyszła do siebie, myśliwy mierzył łukiem do gołębia, i byłby go niechybnie zabił, gdyby tego mrówka nie była postrzegła. Przybiegłszy więc szybko do człowieka, ukąsiła go w nogę. Puścił strzałę myśliwy, lecz dla bólu drgnęła mu ręka i chybił. A tak mrówka, choć tak mała, wywdzięczyła się za wyświadczony jej dobrodziejstwo.

49. *Żółw i orzeł.* Żółw orła usilnie prosił, aby go latać nauczył. Prosisz o rzecz, odpowiedział orzeł, naturze twojej przeciwną. Jak możesz latać, kiedy skrzydeł nie masz? Żółw jednak nie przestał się orłowi na przykrzać, aby go koniecznie wyniósł jak najwyżej. Porwał go więc w szpony i wzbil się z nim pod obłoki. — Jakże ci dziękuję! rzekł żółw do orła, to to teraz zdziwią się zwierzęta, widząc mnie tak wysoko, który przed tém po ziemi pęzłem. Wtém orzeł puścił

ociężałego żółwia, aby sam po powietrzu bujał; lecz ten klaps! na skałę, i rozbił się w kawałki.

Życie Ezopa.

50. Ezop Frygijczyk urodził się niewolnikiem, a co gorsza nadzwyczajnie od natury upośledzony, był najbrzydszym z ludzi: miał głowę spiczastą, nos płaski, szyję krótką i grubą, usta wielkie, cerę czarną i wynędzniałą. Z przodu brzuch duży, z tyłu garb ogromny. Mimo tak potwornej postaci ciała, miał Ezop dowcip bystry, pojęcie szybkie i przenikliwe; przytomność umysłu wielką i w najtrudniejszych okolicznościach zaradzić sobie umiał.

Pierwszy pan Ezopa, chcąc się pozbyć takiego brzydala, sprzedał go za trzy szelągi pewnemu kupcowi, który zapłaciwszy tę fraszkę, rzekł: nic nie wydałem, nic też nie kupilem. W kilka dni potem nowy pan Ezopa kazał swym niewolnikom gotować się w daleką podróż. Ułożyli więc paki, i podzielili się ciężarami, które dźwigać mieli. Ezop prosił, aby mu jako nowo przybyłemu i prócz tego mniej zdatnemu do dźwigania, najłżejszy ciężar dali. Odpowiedzieli uprzejmie: całkiem cię od tej usługi uwalniamy. On na to: nie byłoby to słusznie, gdybym się od pracy wyłączał. Pozwolili mu przeto wybrać sobie pakę podług upodobania. Obejrawszy wszystkie, wziął kosz z chlebem, który dwóch niewolników nieść miało. Wszyscy zaczęli się śmiać z niego, mówiąc: co to za głupiec! prosił o najłżejszą pakę, a wybrał najcięższą. Włożyli mu więc na plecy kosz ogromny, i naśmiali się z jego głupoty. Gdy Ezop uginał się pod niezmiernym ciężarem, kupiec pochwalił jego gorliwość i pracowitość. Skóro przyszli na popas, Ezop odebrał rozkaz podzielić chleb między swych towarzyszków. Co gdy uczynił, kosz jego do połowy się wypróżnił. Na wieczor znowu rozdano chleb między

niewolników, a Ezop mając nazajutrz kosz prawie próżny, mógł daleko szybszym pospieszać krokiem, niż jego towarzysze, którzy stękając pod ciężarem swych pak, dopiero teraz poznali przemysł Ezopa w wyborze ładunku.

51. *Ezop sprzedany powtórnie.* Kupiec przybywszy na miejsce przeznaczone, sprzedał korzystnie towary i swych niewolników, prócz trzech: Grammatyka, Muzyka i Ezopa. Z tymi, za radą jednego przyjaciela, popłynął do wyspy Samos, i ubranych przystojnie wystawił na sprzedaż, umieściwszy w środku Ezopa, okrytego worem, ponieważ go dla jego potworności inaczéj ubrać nie mógł. Wszyscy przechodzący szydzili z Ezopa; lecz on nie tracąc bynajmniej fantazyi, śmiało każdemu w oczy patrzył. Filozof Xantus, mieszkający w Samos przyszedł także na targ, a widząc tak pocieszną trójkę, dziwił się przemysłowi kupca, który tym sposobem chciał podnieść cenę dwóch innych niewolników. Xantus zbliżywszy się, pytał Muzykę, z kądby był rodem? Z Kapadocyi, odpowiedział tamten. Co umiesz? pytał znowu Xantus — Wszystko, rzekł Muzyk. Ta odpowiedź rozśmieszyła Ezopa. Obrócił się potem Xantus do drugiego niewolnika, czyniąc mu te same zapytania; a gdy i ten odpowiedział, że umie wszystko, Ezop znowu się rozśmiał. Ponieważ cena obydwóch niewolników zbyt była wysoka, filozof chciał się oddalić; ale uczniowie namawiali go, aby sobie kupił trzeciego niewolnika. Na co on rzeknie: moja żona zbyt lubi wytworność, aby mogła znieść usługę takiej maskary. To nie racya, odrzekli, tyle ci zrobi, co inny; a do tego nie należy zbytecznie ulegać żonie. — Nim go kupiemy, rzekł filozof, zobaczmy, co téż umie, abyśmy darmo nie wyrzucili pieniędzy. Przystąpiwszy więc do Ezopa, powtórzył powyższe pytanie: co umiesz? — Nic. — Jak to? — Tamci, rzekł Ezop, wska-

zując na swych towarzyszów, powiedzieli, że wszystko umieją, mnie więc nie zostawili. Zdziwieni uczniowie: Zaiście, rzekli, człowiek ten okazuje wiele dowcipu, nie ma bowiem nikogo, coby umiał wszystko. — Chceszli, abym cię kupił? pytał się dalej Xantus. — W téj mierze rada moja nie potrzebna; jeżeli mnie chcesz kupić, otwórz worek, a stanie się; nie chcesz, przestań sobie żartować. — Ale, bo jeżeli cię kupię, dodał Xantus, to może zechcesz uciec? Ezop śmiejąc się, rzekł: gdybym to chciał uczynić, nie potrzebowałbym twojej rady; tak jak ty teraz mojej do kupienia mnie nie potrzebujesz. — To prawda, odpowiedział filozof, ale jesteś tak brzydki! — Mędrzec powinien na duszę uważać, nie na ciało. Kupiony za sześćdziesiąt srebników, przyprowadzony został do domu Xantusa, pomimo oporu żony, która takiego potworu u siebie cierpieć nie chciała.

52. *Ezop w domu filozofa płata różne figle.* Nazajutrz wziął Xantus z sobą Ezopa do ogrodu dla kupienia jarzyn. Gdy Ezop włożył wiązki pietruszki do koszyka, ogrodnik zamiast zapłaty prosił filozofa o rozwiązanie następującego pytania. Chciałbym wiedzieć, rzekł, dla czego zioła i jarzyny które chodują, nie są tak bujne i rychłe, jak te, które samo przyrodzenie wydaje? Xantus dał mu ogólną odpowiedź, że taka znać wola Bogów. Ezop uśmiechnął się na taką odpowiedź swego pana. Czy się ze mnie śmiesz? zapytał go Xantus. Nie z ciebie, panie, odpowiedział; ale z tego, co cię uczył. Pozwól mi, proszę odpowiedzieć ogrodnikowi, a może będzie kontent. Xantus obracając się do ogrodnika, rzekł: nie jest moją rzeczą wchodzić w takie drobnostki; ale ten oto człowiek wam za mnie odpowie. Na to Ezop: Wszakże wiesz, że macocha wcale inaczej obchodzi się z pasierbami, niż z własnymi dziećmi, które z większą

daleko troskliwością pielęgnuje. Owóz ziemia jest matką tego, co sama wydaje, a tylko niejako macochą tego, co w niej zaszczeplasz. — Bardzo ci jestem wdzięczny za tę odpowiedź, rzecze ogrodnik; proszę weź tyle jarzyny, ile ci się podoba.

W kilka dni potem jeden z uczniów Xantusa dawał ucztę dla swego nauczyciela i towarzyszków. Xantus wybrał, co tylko było najlepszego na stole i dał Ezopowi, mówiąc: zanieś to mojej ukochanej! Ezop pomyślał sobie: oto jest wyborna pora pomszczenia się na mojej pani za jej drwinki i dowiedzenia się, czy prawdziwie męża kocha. Gdy przyszedł do domu rzekł w obecności swój pani: oto pan przysłał te przysmaczki swój kochanej. Zawołał potem suczki faworytki pańskiej i dając jej po kawałku, powtarzał: jedzno, kochanko, pan ci to przezemnie przysyła. Xantus podochocony z ucztę powrócił, chciał się z żoną powitać; lecz ta rozgniewana rzekła: idź sobie precz obłudniku, do twojej suczki, o której lepiej niż o mnie pamiętasz; i oddaj mi natychmiast mój posag, a ja się z domu twego w ten moment oddalę. Xantus domyślając się, że mu Ezop zapewne jaki wyplatał figiel, zapytał go się groźnie: komu oddałeś przysmaczki? — Pan kazałeś je zanieść swojej kochanej, a ponieważ mi wiadomo, jak dalece pan kochasz swą ulubioną suczkę, która, powiedziawszy prawdę, warta jest tego, bo nigdy pana nie gryzie, nie zrzędzi, nie grozi opuszczeniem domu, nawet bita pana nie porzuca; byłem więc pewien, że to dla niej te jakotki były przeznaczone. Xantus obracając się do żony, widzisz, rzekł, że nie moja w tym wina; ale uspokój się, moja luba, znajdę ja sposobność ukarania tego psotnika. Pomimo tego jednak żona zagniewana na męża opuściła dom i poszła do swoich rodziców. Wtenczas Ezop rzekł do pana: nie mówiłem ja, że suczka bardziej cię kocha?

Przez kilka dni Xantus nie mógł przebłagać żony i wyprawiał do niej krewnych; ale i ci nie zdołali na nią wymócić zapomnienia urazy. Co go bardzo martwiło. Niech się pan nie frasuje, rzekł do niego Ezop, jeżeli tylko o to idzie, żeby pani powróciła do domu, to ja ją jutro sprowadzę. Wziąwszy tedy pieniądze, poszedł na rynek i nakupiwszy rozmaitej żywności, powracając, pokazywał ją wszędzie, a zwłaszcza w bliskości domu swój pani. Co więcj: spotkawszy przypadkiem jednego z niewolników tego domu, pytał go, czyby nie miał co do sprzedania na wielką ucztę weselną. — Czyjeż to ma być wesele? A jużci nie moje, tylko mego pana Xantusa, który się dzisiaj żeni. Ów niewolnik pobiegł natychmiast do żony filozofa, opowiedział jej wszystko, a ta czém-prędzej pobiegła do domu, wyrzucając mężowi, że mu nie wolno pojmować innej żony, dopoki ona żyje. Po niejakiem czasie Xantus chciał dać nawzajem ucztę dla swych uczniów. Idź, rzekł do Ezopa, kup, co tylko może być najlepszego. Ezop pomyślał sobie po drodze: nauczę ja mego pana wyraźniejsze dawać rozkazy. Kupił więc kilka ozorów i zgotował je dla gości i postawił przed każdym na talerzu ozór pieczony z sosem. Uczniowie byli kontenci z tego pierwszego dania, które zdawało się być alluzją języka, jako najglówniejszego narzędzia do wyrażania naszych myśli. Na drugie danie zastawił Ezop ozory gotowane. Żądano innych potraw, on znowu dawał ozory. Jak to? zawołał nareszcie znudzony Xantus, widząc nieukontentowanie swych gości, nic że to nie masz, prócz ozorów? — Nie, odpowiedział spokojnie Ezop. Jakże, niegodziwce, nie dażem ci rozkazu, abys najlepszych rzeczy nakupił? — Bardzo ci panie dziękuję, że mi dajesz sposobność usprawiedliwienia się w przytomności tylu filozofów. Możesz być na świecie co lepszego jak język. Za pomocą języka uczymy się filozofii i wszy-

stkich nauk. Za pomocą języka dajemy i odbieramy, prosimy, dziękujemy, broniśmy niewinności, karcimy zbrodnie. On kojarzy małżeństwa, buduje miasta, czuwa nad bezpieczeństwem człowieka i zachowuje mu życie. Możesz więc być co lepszego od języka? Wszyscy uczniowie uznali słuszość mowy Ezopa, przypisali winę panu jego, nie bardzo kontenci z tak filozoficznego objadu.

Xantus wymawiał się złośliwością sługi i przyrzekł nazajutrz lepiej ich uraczyć. Zawoławszy w ich obecności Ezopa, rzekł do niego: jutro nagotujesz drugi objad, ale kiedyś taki przewrotny, że najlepsze moje zamiary przekreślasz, kupże nam na ten objad, co tylko znajdziesz najgorszego! Ezop nakupił znowu ozorów i dał na stół. Goście na pierwsze danie szemrać poczęli. Jakto mówili do siebie, zawszeż te przebrzydłe ozory! Rozgniewany Xantus wpadł na Ezopa z wielką furją: coż ty robisz, szkaradna poczwaro? Gdy ci kazałem kupić co najlepszego, kupiłeś ozorów; gdym ci znowu kazał kupić co najgorszego, ty nas znowu ozorami traktujesz? Moj panie, odpowie Ezop, a cóż może być gorszego jak język. Co zburzyło tyle miast, zgładziło tyle ludzi, popełniło tyle kłamstw, złorzeczeń i niegodziwości. Język rozprzęga małżeństwa, niszczy kraje, napelnia życie goryczą i trwogą i do rozpaczy przywodzi. Wtenczas jeden z uczniów rzekł do Xantusa: jeżeli nie będziesz miał się na baczności, ten złośliwy sługa z rozumu cię obierze, bo jego dusza jest tak krzywa jak ciało. — Nie dobrze czynisz, odpowiedział Ezop, że się mieszasz do spraw, które do ciebie wcale nie należą.

Rozgniewany Xantus na swego niewolnika, chcąc koniecznie znaleźć przyczynę, aby go ukarać, rzekł, kiedy cię to dziwi, że się inni mieszają w twoje sprawy, przyprowadźże mi takiego człowieka, coby na

wszystko był obojętny. Ezop poszedł nazajutrz na rynek, a upatrzawszy, jakiego potrzebował, zaprosił go imieniem swego pana na objad. Prostack ten nie zważając na to, kto go zaprasza i do kogo, poszedł do domu Xantusa i usiadł do stołu, mając nogi w błocie zwałane. Xantus pytał się, co by to był za człowiek? Ezop odpowiedział: jest to mizerak, co się do cudzych spraw bynajmniej nie miesza. Xantus rzekł cicho do żony: czyni wszystko, co ci powiem, a tą razą znaję okazją ukarać Ezopa. Moja żono, rzekł głośno Xantus, naliej wody w miednicę i umyj nogi naszemu gościowi; był bowiem pewny, że ten człowiek acz prosty, nie pozwoli nigdy uczynić sobie tej przysługi. Gość widząc te przygotowania, wystawił nogi bez najmniejszej ceremonii. Podczas objadu dano potrawę, która mu bardzo smakowała, przysunął więc półmisek do siebie i zjadał w najlepsze. Gospodarz zawołał kucharza, a zgromiwszy go za złe przyrządzenie tej potrawy, kazał mu grzbiet do smagania obnażyć. Gość pomyślał sobie, że gospodarz albo był szalony, albo okrutny; postanowił więc milczeć, gdyż to do niego nic nie należało. Gdy dano ciasto na wety, gość zaczął je zjadać, jak chleb zwyczajny. To zniecierpliwilo do reszty filozofa, który kazawszy przywołać pasztetnika, zlął go, że nie włożył w placek więcej miodu. Panie, odpowie pasztetnik, jeżeli to ciasto jest źle upieczone, pozwalam, abym był bity; lecz jeżeli w nim mało miodu, to już nie moja, ale pani winna. Kiedy moja żona temu winna, rzekł niby z gniewem Xantus, to ją każę żywcem spalić. Dał znak żonie, aby była posłuszną. Ułożono wielki stos drew, podłożono ogień, i udawano, że ją w płomień chcą wrzucić. Xantus pilnie uważał, czy to gościa jego nie obejdzie; ale ten z najspokojniejszą miną pomyślał sobie: co mi do tego, że ten szaleniec ma ochotę puścić z dymem swoją żonę; niech sobie robi

co chce. Potem namyśliwszy się, rzekł do Xantusa: Proszę cię, zatrzymaj się trochę, przyprowadzę ci i moją żonę, to ją za jednym zachodem spalisz razem z twoją. Natenczas Xantus obracając się do Ezopa, rzekł: widzę, że się znasz na ludziach, i przebaczam ci twoje figle.

Inną razą Xantus kazał mupójsć do łaźni i zobaczyć, czy nie ma wielkiego natłoku do kąpieli. Ezop spotkał w drodze pewnego urzędnika, który go znając, pytał, dokąd idzie? — Nie wiem, odpowiedział Ezop. Urzędnik rozumiejąc, że sobie Ezop z niego żartuje, kazał go do więzienia zaprowadzić. Gdy go brano, zaczął wołać: Mości Sędzio Dobrodzieju! nie dobrzem mówił, iż nie wiem, dokąd idę; zaiste nie wiedziałem wcale, że się mam przejść do więzienia. Urzędnik za tę dowcipną odpowiedź kazał uwolnić Ezopa. Ten poszedł teraz prosto do łaźni, a zastawszy w niej tłum wielki, przypatrywał mu się pilnie. Widział przy drzwiach kamień, o który wszyscy przechodzący tręcali. Jeden tylko wziął go i na bok odrzucił. Ezop powróciwszy do domu rzekł: że tylko jednego człowieka widział w łaźni. Xantus pospieszył do kąpieli, a zastawszy tłum taki, zapytał się Ezopa, dla czego mu oznajmił, że tylko jeden człowiek był w łaźni. Widzisz, rzekł, ten kamień, co leży na boku; wszyscy wchodzący nderzali on nogą, a tylko jeden na stronę go odrzucił, ten przeto sam jeden godzien imienia człowieka.

Dnia jednego pod czas uczty, gdy podochoceni goście, zaczęli sobie czynić rozmaite pytania; jeden z uczniów rzekł do Xantusa doskonale podchmielonego: mistrzu, jestli kto taki, coby całe morze wypić zdołał? — O ja sam to potrafię, rzekł Xantus. — A jeżeli tego nie dokażesz, to co? — To mój dom w zakład stawiam. Na potwierdzenie tego zakładu zamienił pierścienie. Nazajutrz Xantus umywając się, postrzegł,

że ma cudzy pierścionek, pytał się więc Ezopa, co by to znaczyło. — Fraszką obpowiedział Ezop, uczyniłeś pan zakład, że wypijesz morze, lub dom stracisz. — Jakże ja tego dokażę? Ale moj Ezopciu, ruszno konceptem i wybaw mnie z tego kłopotu. — Nie podobna wprawdzie dokazać, odpowiedział Ezop, abyś pan dotrzymał słowa; ale przynajmniej wywinę cię z zakładu. Gdy na brzegu morskim ujrzysz lud zgromadzony na to widowisko, każ sobie służącym podać w szklance wody morskiej; a potem zapytaj się głośno, jaki był twój zakład. Odpowiedzą ci: wypić wodę morską. Wtenczas obrócisz się do ludu i rzeczesz: wiadomo wam, że rzeki wpadają lw morze; jam się tylko obowiązał morską wodę wypić a nie rzeczną, która z tyłu rzek do niego wpływa; niechże moj uczeń zatamuje wprzód wszystkie rzeki, to ja moję wodę wypiję. Gdy się tak stało, mieszkańcy Samos dziwili się bystrości dowcipu swego wielkiego filozofa a studencik padł płackiem do nóg, aby go spuścił z zakładu.

53. *Ezop wyzwolony.* Pod ten czas wydarzyła się w Samos rzecz osobliwsza. Gdy sprawowano ofiary, orzeł spuściwszy się na ołtarz, porwał pierścień i rzucił go na łono niewolnika. Zdziwieni mieszkańcy udali się do mądrego Xantusa, z zapytaniem, co by ten cud znaczył. Ale nasz zawołany filozof, który jak wiemy, takimi fraszkami zatrudniać się nie lubił, wręcz im oświadczył, że jego mądrość do takich drobiazgów się nie zniża; lecz że ma niewolnika, który im w tej małej rzeczy usłuży. Skoro się Ezop na zgromadzeniu pokazał, zaczął lud z niego szydzić. Otrzymawszy przecie głos, tak mówił: Mieszkańcy Samos! dla czegoż się ze mnie urągacie. Czy uważacie na postać butelki, kiedy ta dobry napój w sobie mieści? Lud słysząc go tak rozsądnie mówiącego, we-

zwał go do udzielenia sobie rady. Mieszkańcy Samos, rzekli, wiadomo wam, że ile razy jest spór jaki między panem a sługą, jeżeli ostatni przegrywa, wtenczas kije bywają jego nagrodą; ale równie czekają go kije, choć pana swego przekona. Jeżeli mi więc pozwolicie mówić, jako wolnemu, tedy dopiero uspokoję waszą trwogę. Lud nalegał na Xantusa, żeby Ezopa dla dobra miasta uwolnił. Xantus rad nie rad musiał nakoniec uleść powszechnemu żądaniu, a kotły i trąby ogłosiły natychmiast po mieście: wielki filozof Xantus uwolnił Ezopa. Wolny już Ezop, a tym samym jeszcze raz mędrszy, rzekł do ludu: że orzeł król ptaków porwał pierścień; i spuścił go na łono niewolnika, to oznacza, że król pewien myśli was ujarzmić. Jakoż w istocie Krezus, król Lidyi zażądał od nich, aby mu płacili haracz; w przeciwnym zaś razie, zagrażała wojną. Zgromadzili się przeto mieszkańcy, żeby się naradzić; i jak się łatwo domyślić można, Ezopa, pominąwszy Xantusa, do rady zaprosili. Wezwany Ezop, aby mówił, rzekł: Moi panowie, jeżeli wasza przeświewna starszyzna uzna za słuszną rzecz płacić raczej haracz, niż się bić, tedy ja nie mam co powiedzieć, prócz bajeczki stosownej może do rzeczy: Fortuna otwiera nam w życiu dwie drogi zupełnie od siebie różne: jedna prowadzi do wolności, a ta jest nader przykra i ciernista; lecz powrót z niej jest wygodny i łatwy; druga wiodąca do niewoli, jest przestronna i otwarta, ale rejterada z niej za katy ciasna. Na te słowa wolnością tęgnący mieszkańcy odesłali posłów króla Jmci Lidyjskiego bez odpowiedzi. Krezus chciał natychmiast ukarać takie zuchwalstwo; ale mu Posołwie doradzili ten niewinny dyplomatyczny fortelek, aby wprzód Ezopa, który mądrymi radami lud oświeca, choć na krótki czas do siebie zwabił. Wyprawił więc Krezus posła, prosząc jak najuniżenięj o Ezopa dla własnej zabawy,

zrekając się przez wdzięczność, wszelkich do nich pretensyi. Lud ucieszony z tak szczęśliwego obrotu rzeczy, chętnie przystał na wydanie; ale Ezop tak mówił: wielki to dla mnie honor, że będę mógł upaść do nożek Jego królewskiej Mości; lecz nim się z wami rozstanę, powiem wam bajeczkę: wtenczas, kiedy to jeszcze zwierzęta gadały, wilk wydał wojnę owcom. Te miały na czele psa, co się dzielnie za nie zastawiał. Widząc tedy wilk, że z psem ciężka sprawa, wyprawił do baranów uroczyste poselstwo, oświadczając im wieczną przyjaźń i pokój, byleby mu tylko dla ciekawości raczyły przysłać swego pieska. Barany areymądre, sądząc się być w zupełném bezpieczeństwie, postanowiły wyświadczyć tę grzeczność swemu wspaniałomyślnemu sąsiadowi. Ale ledwo pies pokazał się na dworze wilka, posłano go na przechadzkę, a potem mądre barany łatwo wyduszono. Mieszkańcy Samos zrozumieli dobrze znaczenie téj bajki, chcieli przeto zatrzymać Ezopa; ale on wolał popłynąć z posłem króla Lidyjskiego. Około tego czasu miał Ezop pisać swoje bajki, których pięknoscią ujęty Krezus, wyznaczył go posłem do mieszkańców Samos z oznajmieniem, że na wstawienie się Ezopa ofiaruje im pokój i przymierze. Ci ucieszeni niezmiernie, okryli go oznakami poważania i wdzięczności, ofiarowali mu wieńce i wyprawili na cześć jego igrzyska. Wyjechał potem z Samos i zwiedził różne kraje szukając filozofów, aby mógł z nimi dysputować. Gdy był w Egipcie, zaproszony został z innymi krajowymi mędrkami na ucztę do króla Nektaneba. Jeden z mędrków zajrzawszy już kilkakrotnie do kielicha, odezwał się do Ezopa: cudzoziemcze! bogowie moi przysłali mnie tutaj, abym ci zadał pytanie. — Mylisz się, Mości filozofie, przerwał mu Ezop; bo Bóg wie wszystko i nie potrzebuje się o nic pytać ludzi, przeto twoja mowa nie czyni mu zaszczytu. Inny mędrzec

rzekł: u nas w domu jest taki kościół, że w nim stoi kolumna, a w tej kolumnie miast dwanaście, a każde z tych dwunastu miast oparte jest na trzydziestu słupach, a te słupy okrążają mężczyzna i kobieta. — To nie jest tak trudne pytanie, jak się Wam zdaje, odpowie Ezop, u nas lada dziecko potrafiłoby na nie odpowiedzieć. Ten kościół jest to świat, kolumna rok, miasta są miesiące, słupy są dni, a mężczyzna z kobietą, dzień i noc.

Powróciwszy z Egiptu wybrał się w podróż do Grecyi i wszystkich bystrością dowcipu, trafnością rozsądku zadziwił. Mieszkańcy Delfów uniesieni zawiścią i zemstą, że sobie pozwolił szydzić z ich głupiej zarożumiałości, uczyniwszy podstęp, wtrącili go do więzienia. Lubo Ezop trafnie im w rozmaitych podobieństwach swoją niewinność i ich nierozsądku okrucieństwo okazywał, nic to jednak nie pomogło; gdyż oni bojąc się, aby wypuszczony jeszcze bardziej ich nie osławił w obliczu całej Grecyi, strącili go w przepaść z wysokości skały. Czyn ten haniebny zasłużoną na zabójców ściągnął karę.

II. ANEKDOTY.

1. Sekrates zapytany, czyliby filozof pierniki jadał?
— Czemu nie, rzecze; alboż to pszczoły dla samych tylko głupców miód robią?

2. Pewien filozof podczas nawałności morskiej znajdując się na okręcie z bezbożnymi ludźmi, którzy bogów wzywali, ażeby ich z tej wyratowali toni, rzekł im: uciszcie się, żeby o was bogowie nie wiedzieli, iż tu jesteście. —

3. Pewien bogacz pytał się ubogiego człowieka, z czego by żył? ubogi mu odpowiedział: gdybys mnie

się raczej pytał, z czego umieram? wtenczasbym ci odpowiedział że z głodu.

4. Filip, król macedoński, zastawszy Diogenesa na cmentarzu, spytał się, coby tam robił? On rzekł: szukam kości twojego ojca, ale ich rozeznac nie mogę, gdyż wszystkie, które tu znajduję, są jednakowe.

5. Pewien ubogi szlachcic zaproszony na obiad od senatora, widząc, iż przed innymi gośćmi wielkie, a przed nim same tylko drobne stawiano ryby, każdą z osobna biorąc, do tucha przytykał. A gdy go o przyczynę tego pytano, rzekł: miałem ojca, który utonął: pytam się więc teraz tych rybek, jeżeli o nimi nie wiedzą; lecz mi one powiadają, że są młode, i starszych ryb każą się o to pytać.

6. Wsiadającego na okręt żeglarza spytał się filozof: moj kochany, powiedzże mi, gdzie twój ojciec umarł? Utonął, odpowie żeglarz. A twój dziad i pradziad? — Także. — Jak więc, rzecze filozof, śmiesz puszczać się na morze? Na co żeglarz: Powiedzże mi także, gdzie twój ojciec umarł? spokojnie na łóżku, odpowiedział filozof: a twoi przodkowie? tymże samym sposobem. Jakże ty tedy, zawołał żeglarz, śmiesz się kłaskać codziennie w łóżku?

7. Głupi zasłyszawszy gdzieś, że kruk więcej niż dwieście lat żyje, kupił sobie tego ptaka, chcąc się o tém przekonać.

8. Z braci bliźniąt umarł był jeden. Głupi spokiwszy się z żyjącym, zapytał go: Czyś ty umarł, czy twój brat?

9. Zenon rzekł do młodzieńca gadatliwego: dla tego mamy dwoje uszu, a jedno usta, abyśmy więcej słuchali, a mniej mówili.

10. Pytającemu się, o której godzinie objadować należy, rzekł Diogenes: jeśliś bogaty, jedz, kiedy ci się chce; jeśliś ubogi, kiedy masz.

11. Diogenes przyszedłszy do małego miasteczka, w którym bardzo wielkie były bramy, zawołał: Obywatele, zamknijcie bramy, aby miasto wasze nie uciekło.

12. Diogenes prosił marnotrawcy o złoty pieniądz. Gdy się tenże spytał, dla czegooby innych o szeląg jego zaś o daleko większą summę prosił? — Dla tego, odpowiedział, ponieważ od tamtych spodziewam się później jeszcze co dostać; ale od ciebie już podobno, więcej nie dostanę.

13. Tenże widząc niezręcznego strzelca, usiadł przy samym celu, mówiąc: aby mnie nie trafił!

14. Pewny Alchemista, który się z tego chępił jakoby sztukę robienia złota wynalazł, prosił Leona X. o nagrodę. Ten papież kazał mu dać wielki próżny wor, mówiąc: iż ponieważ umie złoto robić, nie potrzeba mu nic więcej jak worka.

15. Mędrzec pewien dał skąpemu, który wiele obiecywał, a mało dawał, taką naukę: iż lepiejby uczynił, gdyby zamiast worka, usta swe miał zamknięte.

16. Diogenes spytany: któreby zwierzę najszkodliwiej kąsało, odpowiedział: z dzikich zwierząt, — oszczerca, z domowych — podchlebca.

17. Pewien Hiszpan będąc w Brabancyi, szedł w ziemie dnia pewnego przez wieś. A gdy psy nań szczekały i za nim biegły, chciał, schyliwszy się, porwać kamień i na nie rzucić. Ale że był mróz tęgi, przymarzył kamień tak mocno, iż go żadną miarą oderwać nie mógł. O co to, rzecze, za przeklęty kraj, w którym psy spuszczaają a kamienie wiążą!

18. Cyncero widząc Lentulusa, zięcia swego, (który był bardzo małego wzrostu) iż długi pałasz do boku przypasał, zażartował z niego temi słowy: któż to, rzecze, zięcia mego przywiązał do tego pałasza?

19. Pewny pan orderowy mniéj delikatnych oby-

czajów, widząc na ręku jednę damy piękny dyament — wołałbym, rzekł, pierścień niż rękę. — A ja, odrzekła z pogardą dama, spoglądając na niego, wołałabym uzdę niż bydlę.

20. Jan Sapieha, wielki kanclerz litewski, często mawiał, iż pięć jest starych rzeczy, podobających się ludziom: suche drwa do palenia, koń doświadczony do jeżdżenia, stare wino do picia, stary przyjaciel do rady i stare książki do czytania.

21. Pewien filozof spytany od kogoś, czyby jakieś wady do siebie nie znał, rzekł: o tém lepiej się dowiesz od mego sąsiada, gdyż każdy cudze bardziej niż swoje wady uważa.

22. Pewien łakomy i nieużyty człowiek, pokazując przyjacielowi swój posąg z marmuru wyrobiony, spytał go się: czyli jest trafiony? Na co tenże: duszą i ciałem jest do ciebie podobny.

23. Jeden malarz w sztuce niedoskonały, powiadał sąsiadowi, iż myśli kazać pobielić swoją izbę, a potem sam ją chce wymalować; który tak mu odpowiedział: wprzód ją raczelić pomaluj, potem dopiero kazać pobielić.

24. Gdy mówiono Janowi Sapieżce, kanclerzowi litewskiemu, że pewien pan miał piękną bibliotekę, ale z niej nigdy książek nie czytał, rzekł: ten człowiek jest podobny do garbatego, który garb za sobą nosi, a nigdy go nie widzi.

25. August II. król, przypatrując się raz pałacowi pewnego senatora, który był piękny i obszerny, a miał przy sobie zbyt małą kuchnię, spytał go się o przyczynę. Najjaśniejszy królu, odpowie właściciel, ta mała kuchnia postawiła ten wielki pałac.

26. Pewien człowiek ladajakiego życia na drzwiach swojego domu ten położył napis: niech nic złego tędy

nie wchodzi. Diogenes, czytając ten napis, rzekł: a którądyż pan domu wchodzić będzie?

27. Widząc chłop, iż sędzia, zażywszy wszelkiej pilności w inkwizycyi złodzieja, który mu był ukradł konia, żadnego przecież pewnego kradzieży dowodu nie mógł się na nim dobadać, zarzucił siermięgę swoją koniowi na głowę i spytał złodzieja, na któreby oko ów koń był ślepy? Złodziej tém pytaniem zmieszany, odpowiedział na domysł, iż na prawe. Natenczas chłop, odkrywszy koniowi głowę, rzekł: oczywiście się pokazuje, że ten koń nie jest twoim, ponieważ nie wiesz o tem, że on ani na prawe ani na lewe oko nie jest ślepy.

28. *Kruk witający.* August po odniesioném zwyciężtwie powracając do Rzymu, kupił za znaczną summę papugę i srokę, od których jako zwycięzca powitany został. Ten przykład zachęcił pewnego ubożego szewca do wyuczenia kruka takiegoż powitania. Lecz gdy i nauka szła bardzo tępo i żywienie ptaka wiele tego biedaka kosztowało, rozpaczając już o pomysłnym skutku, powtarzał często do niego te słowa: daremna praca i koszt! Nareszcie ustawiczną usilnością dokazał przecie tego, iż kruk owego powitania się nauczył. Ucieszony szewc niesie kruka Augustowi; lecz ten: — już dosyć, rzecze, w domu mam takich witaczów. — Tu kruk, nie wiedzieć zkąd, dodał słowa, które tyle razy był słyszał, daremną praca i koszt. August uśmiechnąwszy się, dał za owego ptaka więcej, niż za dawniejsze.

29. Był czas, że panujący i udzielni książęta trzymali przy swych dworach błaznów i trefnisiów płatnych. Wolność ich tak daleko się rozciągała, iż bez najmniejszej obawy mówić i czynić mogli to, czego by się żaden uczciwy człowiek bez ściągnienia niełaski na siebie nie był dopuścił:

Błazen Alfonsa, króla neapolitańskiego, wszystkie głupstwa dworzan spisywał na tabliczkach. Król wzięwszy mu je raz z rąk, zdziwił się, znalazłszy swoje imię na czele. Powiedz mi zaraz, rzekł z gniewem, co zrobiłem nierozsądnego, żeś mi je w tym rejestrze umieścił. Najjaśniejszy Panie, odpowie błazen, powierzyłeś pieniądze murzynowi, człowiekowi bez wiary i sumienia na kupienie koni. — A gdy przyprowadzi z Afryki konie, lub przywiezie nazad pieniądze, cóż będzie? — Natenczas imię Waszej król. Mości wymażę, a na to miejsce jego napiszę.

30. *Cierpliwosc.* Newton był wielkim flegmatykiem; zalecała go szczególniejszą łagodność charakteru, niezmacona żadną namiętnością. Miał on psa, którego nazywał friponem: pewnego dnia wyszedł, zostawwszy go samego w gabinecie. Za powrotem widzi dopalające się papiery. Pies bowiem zamknięty, obalił stoliczek, a dzieło matematyczne, nad którego układem Newton znaczny życia przeciąg strawił, wydał na pastwę płomieni. Strata takowa była już niewynagrodzoną; albowiem Newton już był wtedy zgrzybiałym starcem. Nie pokazał jednak po sobie najmniejszego znaku gniewu, rzekł tylko: oj friponie, ani wiesz, coś mi za szkodę wyrządził!

31. *Uczeń logiki.* Pewny młodzian wysłuchawszy logiki w szkołach, powrócił do domu swoich rodziców. Na wieczerzą dano cztery jajka. Ojciec owego młodziana zapytał się: jaki pożytek odniósł ze słuchania logiki? Odpowie mu młodzian: oto między innymi i ten mam pożytek, że z tych czterech jajek uczynię siedm. Ojciec ciekawy nalega, aby syn tę sztukę pokazał. Syn mówi: ojcze moj, wszak to prawda, że tu są cztery jajka? gdzie zaś są cztery, tam są i trzy; a że cztery i trzy są siedm, więc tu est siedm jajek. Na co ojciec rzecze do syna. Dobrze

moj synu mówisz, że tu jest siedm jajeł: z tych siedmiu ja biorę dla siebie cztery, a tamte trzy dla ciebie zostawiam.

32. *Pan Bóg wszystko jak najlepiej urządził.* Pewien człowiek przechodząc się po polu i ujrawszy niedaleko siebie małą żołądz na ogromnym dębie i niezmiernie banie na poziomej i wątlej lodydze, rzekł sam do siebie: jabył był lepiej rzeczy urządził. Banie rozdziłyby się na tém wysokiem drzewie, a żołądz na téj małej lodydze. — Ponieważ było gorąco i sen go nieco zmorzył, położył się więc w cieniu pod dębem i zasnął. Wtém powstał wiatr dość silny. Strząśniona żołądz w sam nos śpiącego mędrka ugodziła i drasnęła trochę. Porwał się z bólu i dopiero wyznał, że Bóg wszystko jak najlepiej rozporządził; dodając: coby się ze mną było stało, gdybył był bania w mozgownicę dostał.

33. Pewien chłop mając swemu adwokatowi dość grubą pakę aktów sądowych zapłacić, rzekł z westchnieniem: Panie! toć sam bardzo rozwlekło pisane, a nie mógłoby to być cokolwiek ściślej! — Tego wy, miły człeku, nie rozumiecie, odpowiedział tenże, to jest właśnie urzędowe pismo. Jeżeli zaś nie macie pieniędzy, możecie mi zorać kilka morgów roli. Chłop orał, ale skiby na dwie stopy od siebie odległe. Ej! ej! zawołał na to urzędnik, toć to jest nad podziwienie szeroko zorane. — Tego pan nie zna, była jego odpowiedź, to właśnie urzędowa orka.

34. *Z głupim źle żartować.* Czarnkowski, biskup poznański, będąc podagrą bardzo dręczony, zwykł był z wielkiego bólu wołać: Przebóg; dobij kto, odpuszczę! Trafiło się, iż raz nikogo przy nim nie było, tylko Tatarzyną Kamarady, sługa jego. Ten słysząc te słowa pana, ofiarował mu się z swą posługą. Panie, powiada, daj ty mnie bachmata (konja) i każ mnie

wolno do hordy puścić, a ja ciebie zarezę (zarzną), jak prosisz. Biskup pomiarkował, że z nim źle żartować. Dobrze, powiada; ale każ tu komu pierwój przyjść do mnie, że mu rozkażę, aby cię po méj śmierci dobrze odprawiono i wolno puszczone. Wyszedł Tatarzyn: zawołał kilku sług panu. Biskup ujrzawszy sługi, dopiero z owego przestradchu ochłonał i kazał Tatarzyna do wieży wsadzić, a sam potóm był ostrożniejszym.

35. *Igarze.* Stańczyk powiadał, że nie mają większych Igarzów w Polsce, jak biskup Gamrat i Maciejowski biskup krakowski; bo ów powiadał: wszystko wiem, a nie wiedział nic; ten zaś rad mówił, nie wiele wiem, a wszystko wiedział.

36. *Dobra rada.* Sokrates zwykł był radzić młodzieńcom, ażeby się przeglądali w zwierciadle, dla tego, aby, gdyby byli piękni i urodziwi, strzegli się coś takowego uczynić, coby ich urodę szpecilo, gdyby zaś byli szpetnymi, aby się starali przywary ciała nagradzać zaletami umysłu.

37. *Wdzięczność.* Alexander W. z osobliwszém był zawsze uszanowaniem dla Arystotelesa, nauczyciela swego, i mawiał, iż mu większą wdzięczność był winien, niż ojcu własnemu; dla tego, iż mu ojciec sam tylko dał życie, ten zaś nauczył go, jak żyć nale y.

38. Gdy Filip V. król Hiszpański przejeżdżał przez jedno miasteczko, burmistrz miejscowy, tak go powitał: Najjaśniejszy Panie! Długie przemowy utrudzają mówcę i nudzą słuchacza. Pozwól więc sobie zaśpiewać małą piosneckę! A otrzymawszy pozwolenie, śpiewać zaczął na cześć monarchy ułożone wiersze, które się tak Filipowi spodobały, że zawołał: Da Capo! Burmistrz nie dał się prosić i piosneckę jeszcze z wię-

kszym odśpiewał zapalem. Ucieszony król kazał mu dać dziesięć luidorów. Da Capo! zawołał na odwrót burmistrz, a rozweselony przytomnością umysłu Filip kazał mu za ten żart wyliczyć drugie dziesięć luidorów.

39. Pewien bakalarz miał syna nadzwyczajnego nieuka. Przy każdym prawie *examinie* publicznym zmartwił on głupotą swoją biednego ojca. Raz tedy dniem przed popisem chciał go ojciec jakoś przygotować do rozwiązania zadać się mających zapytań i rzekł: Słuchajno i uważaj! Noe miał trzech synów, jeden nazywał się *Sem*, drugi *Ham*, trzeci *Jafet*. Jakże się ich ojciec nazywał? Daremnie sobie godny synal suszył głowę; nie umiał na to trudne odpowiedzieć pytanie.

Westchnął biedny ojciec, i nową z nim rozpoczęła próbę, mówiąc: Naprzykład: nasz organista Pan Rzempola ma również trzech synów: Maćka, Kubę i Antka. Któż jest ich ojcem? — Juźci nie kto inny jak pan organista, odezwał się pojętny synek. Przekonany tatuś, że chłopiec przecie pojął, o co szło, śmiało nazajutrz w czasie *examinu* to samo uczynił mu zapytanie. — Noe miał trzech synów, a ci byli *Sem*, *Ham* i *Jafet*, któż był ich ojcem? — Juźci nie kto inny, jak pan *Rzempola*, nasz organista, była jego odpowiedź.

40. *Mądry wyrok*. Pewnemu wędrownemu rybakowi wypadł rak z kobieli w małym jednym miasteczku, gdzie wcale tego stworzenia nie znano. Znalazło go dziecko burmistrza i gdy się nieostrożnie dziwacznej jego postaci przypatrywało, rak chłopca swemi nożycami za nos schwycił: Powstał krzyk przeraźliwy, przybiegli rodzice, sąsiedzi. Nie wiedzieli długo, co czynić. Aż najśmielszy, uzbroiwszy rękę rękawicą, ledwie to dziwne straszdyło, nie bez rany w nosie, oderwał. Dopieroż sąd na winowajcę:

jedni na gałąź, drudzy pod miecz, inni na ogień dekretowali; przemogła jednak większość głośów, aby rąka w sadzawce utopić.

41. *Przesąd.* Zaćmienie księżycy powstaje, kiedy się ziemia między nim a słońcem znajduje i promieni słonecznych do niego nie dopuszczają; zaćmienie zaś słońca przypada wtenczas, kiedy nam księżyc słońce zasłania.

Gdy Perykles, wódz ateński, był gotów wypłynąć z wojskiem okrętowym na oblężenie pewnego miasta, przytrafiło się zaćmienie słońca, co było przyczyną, że żołnierze, osobliwie sternik okrętu, rozumiejąc, że to był zły prognostyk. Perykles widząc sternika wielce strwożonego, rozwinął swój płaszcz i zakrył mu nim oczy, a potem go zapytał: czy to jest zły znak? Sternik odpowiedział, że nie. Dobrze, rzekł Perykles, nie masz innej różnicy, między tém, co ja teraz czynię, a między tém, co cię tak wielkiego strachu nabawiło, tylko że ów okrąg księżycy, która tę ciemność sprawia, większy niż mój płaszcz, coć oczy zasłania. Ten dowód dodał serca sternikowi i wywiódł go z błędu.

42. *Złamanie.* Trzeba być młodym w starości i starym w młodości naszej.

Najwyższy rozum jest ten, który najlepiej zna swe granice.

Ten kto mniema, że potrafi obejść się bez wszystkich, myli się bardzo; ale ten, kto mniema, że nikt się bez niego obejść nie może, myli się jeszcze bardziej.

43. *Przedaje skórę, a niedźwiedź w lesie.* Pewien kuśnierz potrzebował niedźwiedziej skóry. Nie turbej się, mówili mu dwaj sąsiedzi, wybieramy się dziś na polowanie i ubijemy ci najpiękniejszego niedźwiedzia. Umowiwszy się więc o cenę skóry, poszli do lasu. Nim się spostrzegli, potężny niedźwiedź, ruszywszy

z swego łożyską, kroczy prosto ku nim. Nasze junaki, zapomniawszy targu, zamiast rzucić się na zdobycz, w spiesznej ucieczce bezpieczeństwa szukać umyślili. Jeden wlaźł czempredziej na drzewo, drugi przypomniawszy sobie, że niedźwiedź nie tyka trupów, nie mogąc zemknąć, położył się na ziemi, zatrzymał oddech, udając umarłego. Niedźwiedź obejrzał go, obwąchał i odszedł. Wtenczas ten, co był na drzewie, zapytał go się, co mu tak niedźwiedź do ucha szeptał. Oto, odrzekł tenże, że nie trzeba przedawać skóry, poki niedźwiedź w lesie.

44. Pewien officer miał zwyczaj, skoro przyszedł gościć go cyrulik, kłaść parę nabitych pistoletów na stole, odgrazając, iż gdyby go najpóźniej brzytwą zadrasnął, tedy mu zaraz w łeb wypali. Nie jeden cyruliczek, zrażony taką przegrózką, nie usając swojej zręczności, odrzekł się golenia. Posłyszał o tém chłopiec cyrulika, będący niedawno w terminie, i udał się do niego. Officer zwykłym komplementem go wita. — Bracie, widzisz parę pistoletów nabitych na stole, — wara mnie zadrasnąć, bo zginiesz. Obejrzał pistolety chłopak: prawda, że nabite, ale nie szkodzi, siadaj Wać Pan, postaram się oszczędzić naboju i fatygi Wać Pana. Ogolił głaciutenko officera. Moj kochany, rzecze do niego officer, jakieś ty się nie zmieszał, na tak straszną pogrózkę? — bo na honor, żebyś mnie był drasnął cokolwiek, nieomylnie bym do ciebie był wypalił. — Mospanie, odpowie chłopak, wiedz Wać Pan o tém, iż moje takie było postanowienie, skorobym choć na włoskę zadrasnął Wać Pana, w tym momencie, nie tracąc czasu, gardziel Ci od ucha do ucha przerznąć, i dziwuję się drugim moim kollegom, że tego już dawno nie uczynili. Obeszła officera takowa rezygnacya i odtąd był grzeczniejszy dla balwierzów.

45. Czterech filutów przypadłszy do garkuchni,

kazali sobie dać obiad dobry i wina starego. Zjadłszy i napiwszy się dobrze, jeden z nich udając, iż chce za wszystkich zapłacić, sięgnął ręką do kieszeni swojej: drugi niby mający podobnyż zamiar, przytrzymał rękę pierwszego. Trzeci odezwał się, iż on koniecznie ma zapłacić za całą kompanią. Czwarty obróciwszy się do czeladnika owój garkuchni, który pieniądze miał odbierać, rzecze: wara! żebyś od żadnego z tych Ichmościów nie przyjmował pieniędzy: ja ci za wszystkich zapłacę. Gdy się tak z sobą umawiali, jeden z nich rzecze: Oto tak postąpmy, Mości panowie, zawiążemy oczy temu czeladnikowi, jak w ślepą babkę grając czynią, a którego z nas złapie, ten zapłaci. Zgodzili się na to. Łatwo wierny czeladnik ów, z zawiązanymi oczyma zaczął się po izbie kręcić, a oni jeden za drugim cicho wymknąwszy się, uciekli. Tymczasem sam pan tej garkuchni wchodzi do tej izby. Czelnik złapawszy pana, rzecze: Pan musisz zapłacić! Otworzy oczy, spojrzy, aż ci to pan jego, a z owych filutów żadnego nie znajduje. Łatwo się domyślić, jak się potem z panem rozmówił.

46. Gdy się August Wilhelm, książę Brunświcki w Wenecyi znajdował, prosił go pewien ubogi chłopiec o jałmużnę. Książę rzekł mu, iż nie ma drobnych; ale chłopak oświadczył się, iż pójdzie zmienić. Książę, aby go się pozbyć, dał mu czerwony złoty, myśląc, iż go dla siebie zatrzyma; lecz po małej chwili przyniósł chłopiec za dukata zmienioną drobną monetę. Książę zdziwiony poczciwością jego, nie tylko mu kazał zatrzymać pieniądze, ale wziął go z sobą i dawszy mu staranne wychowanie, wyniósł go do znakomitych dostojeństw.

47. Wiliam, wielkorządca Wirginii, rozmawiał razu pewnego z kupcem na ulicy. Wtém przechodził mu-

ryzn, niewolnik i mile ich pozdrowił. Rządca uprzejmie mu podziękował. Na co kupiec: Jasnie Wielmożny Pan tak się poniżasz, iż niewolnikowi dziękujesz? — A czemuż nie, odpowiedział rządca; nie chciałbym, żeby niewolnik miał być odemnie grzeczniejszy.

48. Śnycerz i malarz wiedli spór o to, czyjby kunszt był większy. Nakoniec poddali się pod sąd ślepego, którego zaprowadzili do posągu i portretu obok niego zawieszonęgo. Ślepy obmacał rękami członki i skład ciała, a na płaskiej tablicy niczego namacać nie mógł. Wydał więc takowy wyrok: Ten kunszt z dwóch musi być większy i trudniejszy, który też samo wyraża, co drugi; chociaż tego ani namacać ani uchwycić nie można.

49. Żołnierz Rzymski mając sprawę, prosił Augusta cesarza, aby go bronił. Cesarz przydał mu jedne go z dworzan, aby go do sędziów zaprowadził. Ale żołnierz rzekł: Nie tak ja czyniłem, gdy byłeś w niebezpieczeństwie pod Akcyum, sam własnymi piersiami Cię zastawiałem. To mówiąc, odkrył swoje piersi, pokazując rany, które wtenczas odebrał. Ten zarzut tak wzruszył Augusta, że sam poszedł do sądu i obronił żołnierza.

50. *Rozmowa dwóch przyjaciół.* Dwaj przyjaciele, którzy się zdawna nie widzieli, spotkali się z sobą trafunkiem. „Jak się masz? zapyta jeden. — Nie ze wszystkiem dobrze, odpowiada drugi, — ożeniłem się. — Winszuję, dobra nowina! — Nie koniecznie dobra, bom pojął całę złą kobietę. — To źle! — Niekoniecznie źle, bom wziął z nią tysiąc dukatów posagu — No to, przecie jedno drugiemu nagradza. — Niekoniecznie nagradza, gdyż tę całę summę wyłożyłem na barany, a te mi wszystkie wypadły. — To szkoda! — Niekoniecznie szkoda, bo mi za skóry

z nich przedane wrócił się sownie kapitał, — No, to taką rzeczą nie masz straty. — Kata zaś nie mam, kiecy mi się dom spalił, w którym złożone miałem te pieniądze. — A co to, to wielkie nieszczęście! — Niekoniecznie wielkie, bo mi się żona razem z domem spaliła.

51. *Hiszpan.* Duma hiszpańska pocieszenie wydaje się w biednych charakach. Jeden Hiszpan tak zacny w swém rozumieniu, jak sam król katolicki, tak czci godny jak papież, a tak biedny w rzeczy samej jak Job; przywlokł się w nocy do wioski francuzkiej, gdzie tylko jeden dom był gościnny. Że to było już dobrze po północy, stukać musiał długo do drzwi, nim gospodarza obudził. Kto tam? zawoła oknem gospodarz? Podróżny Hiszpan, odpowiada: Don Juan Rodrigo, Fernando Calatrava di Compostella. —

Oho! Mości panowie, przepraszam, nie masz tu miejsca dla Wacpanów, kiedy was tyle, musicie dalej pojechać. Zamknął okno gospodarz i poszedł spać, a Hiszpan ze swojemi tytułami musiał pod gołem niebem nocować.

52. Jeden służący odwiedził raz panicza w szkołach, i przywiózł mu pozdrowienie od rodziny jego. „Cóż tam słyhać w domu? Jakie mi przynosisz nowiny, mój Tomaszu? — Żadnej, oprócz że pańska ulubiona sroka zdechła. — Jakto? zdechła ta rozkoszna ptaszyna? a cóż ję się to stało? — Objadła się mięsa. — A któż ję dał tyle mięsa? — Kto, co cztery konie cugowe. — Co? to i konie pozdychały? a gadajże dalej — O biedne szkapy, byłyby jeszcze długo żyły; ale to nieszczęsne wozenie wody je zabiło. — Wozenie wody? a to na co? — Dla ugaszzenia ognia, gdy nasz dom gorzał. — To i nasz dom się spalił? A to jakim przypadkiem dla Boga? — Przypadkiem bardzo nieszczęśliwym, który nie byłby się pewno

wydarzył, gdyby nasi ludzie nie byli tak nieostróżni z pochodniami. — A do czegoż im pochodnie? — Na pogrzebie Jéjmości. — Nieba! moja matka umarła? — Tak niestety! umarła nagle ze zmartwienia. — Przezbóg, Tomaszu! mówzę, co jéj ten smutek sprawić mogło? — Oh, co w tém, to miała słuszną przyczynę. Rozalia, co niedawno służyła u Jéjmości za gänderobianą, pokazała się na balu w sukni najpiękniejszej ze wszystkich. To naszą Jéjmość tak zmartwiło, że nieboga z zgrzyoty umarła!

53. *Pojętność psów.* Prawie wszyscy, moi dobrzy czytelnicy, lubicie psów, bawicie się z nimi. — Jakkóż pies przez swoją wierność, i przywiązanie do pana zasługuje na to, aby go człowiek wzajemnie kochał. Pojętność psów dochodzi czasem do nadzwyczajnego stopnia, tak, iż prawie wyrówwa rozumowi; przytoczę wam dwa tego przykłady.

Pewien uczony w Niemczech, miał ten zwyczaj, iż wieczorem położywszy się w łóżku, długo czytał. Często bardzo zmęczony czytaniem zasnął, zapomniawszy świecy zgasić: co jest bardzo rzecz niebezpieczna, i z czego nieraz smutne wyniknęły wypadki; od świecy bowiem mogą się zapalić papiery na stoliku, dalej pościel, a potem i dom cały; i najczęściej ten nierozważny, który przez niepamięć swoją był powodem takiej szkody, sam najpierw, albo poparzony bywa śmiertelnie, albo w dymie i płomieniach śmierć okropną znajduje. Ów tedy uczony, w nocy budził się nie raz ze strachu, przypominając sobie, że świecy nie zgasił. — Ale zawsze świeca była zgaszona. — Drzwi od swego pokoju zawsze sam na klucz zamykał, nie mógł więc pojąć, kto mu taką przysługę czyni, i tak nad nim czuwa. — Nareszcie chcąc się koniecznie przekonać, zostawił świecę niezgaszoną; udał, że śpi, a przymrużywszy oczy

patrzył, co dalej będzie. — Ledwie kilka minut tak spokojnie leżał, gdy jego faworyt pudel, który w kącie na posłaniu spał spokojnie, wstał, wskoczył na krzesło, z krzesła na stolik, a przypatrzwszy się dobrze panu, czy śpi, gdy widział, iż się nie rusza, łapą świecę zgasił. — Za wiarogodność tego zdarzenia zaręcza niemiecki autor dziełka dla dzieci, z którego jest wypisané.

54. *Turek, pies, pobierający dożywotnią pensję.*
 Psy, wrodzony mają instynkt do czynienia dobrze, oto jest nowy przykład na poparcie mego twierdzenia. Pewien rybak mieszkający w Paryżu, miał dużego brytana, którego bardzo lubił. — Gdy rybak pracował na rzece, — Turek (tak się ten pies nazywał) pilnował rzeczy swego pana. — Patrząc na to, co się koło niego działo, widział nieraz, że wpadali w wodę i tonęli kąpiący się, albo ci, którzy z rozpaczycy chcieli sami sobie życie odebrać. — Turek wówczas rzucał się w rzekę i ratował tonących, niekiedy z niemałym trudem i własnym niebezpieczeństwem. — Był nawet równie troskliwym o rzeczy i częstokroć ocaliwszy życie człowiekowi, znowu skakał do wody i ocalał mu jego szczupły majątek. — Coraz głośniej zaczęto gadać o dobrych uczynkach Turka. — Radni miasta Paryża zawołali jego pana, powinszowali mu, że tak użytecznego psa posiada, i podziękowali mu, że go do tego ułożył. — On sam się nauczył, odpowiedział, z własnej ochoty i instynktu.

Kiedy tak, odpowiedzieli, trzeba cię skłonić, ażebyś miał pilne staranie o tak szacowném zwierzęciu. Od dnia dzisiejszego, miasto naznacza mu pensji dożywotniej 350 liwrów (około 560 złt. pol.). W terminach wypłaty przyprowadzisz psa z sobą do kassy, ażebyśmy mieli świadectwo o jego życiu.

Tomasz, rybak, dla którego ta pensya była bardzo wielką pomocą do utrzymania siebie i licznej rodziny, podziękował radnym i pośpieszył do żony, aby jej opowiedzieć to szczęśliwe zdarzenie.

Turek nie okazał się niewdzięcznym i nie było dnia, w którymby nie uratował tonącego człowieka. — Już był bardzo stary, gdy siedząc podług zwyczaju nad brzegiem wody, postrzegł, iż żołnierz w podeszłym już wieku, przeprawiając się w małym czolniku przez Sekwanę, wpadł w wodę razem ze swoim zawiniątkiem. Turek widząc niebezpieczeństwo tego człowieka, rzucił się w rzekę i schwycił żołnierza, w tej właśnie chwili, gdy już woda porywała go na dno. — Pęd bardzo bystry był w tém miejscu i biednemu Turkowi ciężko było dopłynąć do brzegu. — Jednakże nie puścił żołnierza, zziąjany i bez sił prawie wyciągnął go zemdłego na miejsce bezpieczne.

Uradowany, że mu się tak udało, mniemał, że jeszcze wszystkiego nie zrobił. — Zawiniątko zostało w wodzie. — Turek puszcza się znowu, daje nurka, szuka, i znalazłszy je, z trudnością ciągnie do brzegu.

Już mu sił zabrakło, ostatnie czyni wysilenie, dostaje się do brzegu, wyciąga zawiniątko, a kładąc je przy żołnierzu kona, spojrzawszy na swego pana, wzrokiem wdzięczności i pożegnania.

III. PARABOLE czyli PRZYPOWIEŚCI.

1. *Motyl.* Na łące, w pięknym ogrodzie biegając tu i owdzie zadyszany chłopczyna, ujrzał pięknego motyla i chciał go złapać koniecznie. Najmniejsze stworzenie ceni wolność swoją. Motyl lubo był zdawał się zajętym kwiatkami, na których spoczywał; przecież za każdym zbliżeniem się chłopca, coraz dalej ulatywał. — Lecz czegoż chęć stała i szczerą nie

dokaże? Chłopczyna tak długo za motylem gonił, aż nareszcie znużonego schwytał. Zajaśniało szczęście w oczach dziecięcia, krzyknął radośnie, usiadł na trawie, patrzył z uśmiechem na spełnienie życzeń swoich. W tej krótkiej chwili nasycił się zupełnie, otworzył rączkę i tak gorliwie żadaną zidołycz dobrowolnie wypuścił. — O jakże często i nam podobnie się przytrafia, kiedy za marnem szczęściem gonimy.

2. *Praca odkładana.* Przy jednym wiejskim ogrodzie, był spory kawał ziemi, zupełnie zaniedbany; pośród mnóstwa kamieni wyrastały gdzie niegdzie kępy ostu i innego zieliska. Ojciec, my ten kawał ziemi oczyszcimy! powiedzieli dnia jednego trzej synowie, daj go nam na rok jeden. — Chętnie odpowiedział ojciec, i kawał ziemi na trzy równe części podzielił. Było to na końcu Marca, już do gruntu puściło. Dni bywały piękne i najzdawniejsze do podobnej roboty. Trzej bracia wzięli się do pracy, i dwaj starsi w przeciągu tygodnia, oczyszcili dział swój zupełnie. Najmłodszy więcej się bawił, niż robił, i tamtych skończona była praca, kiedy on swoje zaledwie zaczął. Gdy mu ojciec tę opieszałość wymawiał, odpowiadał: O dopiero początek wiosny; dosyć czasu będzie. Tym czasem dzień za dniem schodził, a Franuś odkładał nadal pracę. Nadeszło lato, z latem upały: ile razy wziął się do roboty, pot lał mu się z czoła i przestawać musiał. Nadejdzie chłodna jesień, mówił sam do siebie, to będzie poża najlepsza! Nadeszła jesień, ale jednego dnia wiatr zasypywał Franusiowi oczy, drugiego deszcz go kropił. Przyjdzie zima, mówił, bywają dnie piękne i jasne, ja to w mgnieniu oka zrobię. Przyszła zima, Franuś do kamieni i do zeszlętych łodyg; lecz cóż? przymarzły zupełnie, nic robić nie mógł.

Jak niebaczny Francuś błędził, tak błędzi każdy,

który pracę na dalszy czas odkłada, a w obecnej chwili próżnuje. Co masz do czynienia, dopełnij jak najprędzej: terażniejsza godzina sprzyja twjej pracy, a któż ci za dalsze zaręczyć potrafi? Jeśli zawsze pomyślniejszej pory czekać będziesz, może cię śmierć zimna zaskoczy, nim dzieło rozpoczniesz.

3. *Powój i Rezeda.* Jaka szkoda, że ogrodnik tyle tej nikczemnej rezedy zasiał, mówiła Olesia do matki, chodząc w południe po ogrodzie, głuży inne kwiatki, a tak niepozorna. O! przez nią prawie nie widać tych ślicznych powoi niebieskich, których żywy kolor tak bije w oczy. Nad wieczorem, gdy wolny czas mieć będę, przyjdę tu, powyrywam tę nieznośną rezedę, ładny powój oswobodzę. Przyszła Olesia, lecz cóż? już wszystkie powoje zwiędłe zastała, a miły zapach rezedy wietrzyk wieczorny o kilkanaście kroków około roznosił. Zastanowiła się dziewczynka, i wkrótce zmieniła zamiar. — Zostawię tę rezedę, zawołała; nie tyle, co tamte kwiatki pozorna, widzę, że trwalsza i milsza. — I zostawiła. Minęły powoje i większa część kwiatów letnich przeszła, a rezeda kwitła ciągle i lubą wonią napępniała ogród. — Obraz to płochych znajomości i prawdziwej przyjaźni; często tamte milsze nam się wydają, lepiej pochlebić umiejają: już je przełożyć nad dawnego przyjaciela chcemy; lecz ileż tamtych przemiaie, a on zawsze i luby i stały.

4. *Sen i śmierć.* Bratersko ujęci, wędrowali z sobą anioł snu z aniołem śmierci. Było to w wieczór. Siedli na pięknym wzgórkuniedaleko mieszkań ludzkich. Cichość panowała w około; odgłos wieczornych dzwonów przebijał tylko kiedy niekiedy powietrze. — Spokojnie i milcząc, (jako obyczajem ich bywa) siedzieli dwaj bracia, a noc zbliżała się. Wtém powstał anioł snu z miękkiej darniny, i jął sypać

dary swoje z rogów, które trzymał w ręku. Wieczorne wietrzyki rozniosły je na skrzydłach po mieszkaniach strudzonych rolników. Wnet sen słodki wszystkich ogarnął — od starca, który na kiju się wspiera, do niemowlęcia w kołysce. Chory zapomniał o bólach, nieszczęśliwy o smutku, ubogi o nędzy. Powieki wszystkie były przykryte, wszystkie stany się zrównały. Dopelnivszy obowiązku swego dobroczynny anioł sam się położył obok czuwającego brata. Gdy zorza zajaśniała, porwał się i zawołał radośnie: Błogosławię mnie teraz ludzie, jako przyjaciela i sprawcę dobrego. O jakaż to rozkosz, nie widzialnie dobrze czynić! Posłańce wielkiego ducha, jakże szczęśliwi jesteście! jak piękne, ciche powołanie nasze! Tak mówił anioł snu. Spojrzał na niego anioł śmierci z boleścią, i przyémione już czarne oko ła jeszcze bardziej przyémiało. — Ach, czemuż, wyrzekł, i ja myślę o wdzięczności synów człowieka ucieszyć się nie mogę? mnie ludzie swym nieprzyjacielem zowią — Co mówisz? bracie! powiedział anioł snu; czyż i ciebie sprawiedliwy przy wielkiem ocknieniu swoim dobroczyncą nie uważa? czyż cię nie błogosławi? nie jesteśmy braćmi, posłańcami jednego Ojca? — Tak powiedział, i oko anioła śmierci błysnęło także radością.

5. *Kłosa czerwone.* Piękną włość zostawił ojciec dwom synom, która złotą sandomirską rodziła pszenicę. Umierając rzekł do nich: — podzielcie na połowę posiadłość, niech każdy na części swojej z Bogiem zasiewa i zbiera; żyćcie skromnie i w zgodzie, a na przygody gotowi, wspierajcie się wzajem!

Podzielili się bracia, mieli pokój w domach swoich i miłość u ludzi. Ale starszemu mało było na złotej pszenicy, którą zbierał z swjej części, mało na trzodzie, którą obok braterskiej na jednem widział pa-

stwiſku. Nie miły mu był chleb biały, przykry głos brata, smutne dni trawił i nocy niespane.

Słońce się już kryło za lasy, gdy mileząc spiesznym krokiem szedł w pole. I widzi na miedzy zatkniętą szablę brata, który zawłoczył świeżo posiane zboże: wtenczas duch piekielny szepnął do niego: jak łatwo zbierać możesz to zboże, które brat sieje.

Noc się zbliżała; wyjął szablę z miedzy i zdradziecko wtłoczył ją w piersi idącego ku niemu brata. Wytrysła krew gorącym potokiem na ziemię, uciło krótkie jęczenie, i noc pokryła zbrodnią; ale chciał, by ją i ziemia wiecznie przykryła. Zakopał więc ciało głęboko w roli zasianej i zaorał, że śladu żadnego nie było, i poszedł do domu krwawy dzie- dzic po bracie.

Same konie powróciły do domu: nocą i dniem szukała czeladka pana, a zabójca naśladował jęj żale.

Stał się całej włóci dziedzicem do czasu, bo nie było pewności o śmierci brata. Ale biały chleb nie był mu miłszym, nocy jego nie były spokojniejsze; a noc ani ziemia zbrodni jego przed nim ukryć nie mogła.

Pięknie zazieleniły się niwy, winszowali sąsiedzi bogatych płonów; ale on stał smutny, jakby sądzony, bo on tylko wiedział, że na miejscu, gdzie leżał brat zaorany, krwawe kłosy wiewały. W skowronku, co się nad nim unosił, słyszał oskarżyciela swojego; uciekał do domu i nigdy już nie śmiał oglądać łanów kłosami bogatych.

Nadeszły żniwa: przepelniała niemi brogi wesoła i niewinna czeladka; ale każdy chleb, którego dziedzic do czasu się dotknął, krwią trącił i krwią był zbroczony. A w nocy gdy snu przyzywał, stawał przed nim skrwawiony duch brata, i krew nań strząsał z czerwonych kłosów.

Ginąc śmiercią okropną z bezsenności i głodu, na-

zwał się przed czeladką zabojcą brata. I leży na środku órnego pola mogiła, suchą przywalona hołną, gdzie zabity z mordercą jest pochowany.

Wszyscy órmy spokojnie dziedziczną rolę; nie pragnijmy posiadłości brata, bośmy wszyscy dziedzicami do czasu i tylko sumienie pójdzie za nami do grobu.

6. *Dzień przed śmiercią.* Mędrzec jeden powiada: — Żałuj za grzechy na jeden dzień przed śmiercią — ale któryżto jest dzień?

Król pewien wezwał sługi swoje na wielką ucztę; lecz nie powiedział im godziny, kiedy się ucztą zacznie. Mądrzy gotowali się i ubierali w ochędożne szaty, mówili albowiem: — w domu królewskim na niczem nie zbywa, ucztą co chwila rozpocząć się może i zawołają nas. — Głupi zaś słudzy rozpierzchli się i rzekli: — nie tak rychło ucztą będzie, i nim nas zawołają, będziemy mieli dosyć czasu przygotować się i ubrać przystojnie.

Nagle przywołano ich: ubrani zasiedli doucztę; głupich odpędzono; z własnej winy nie dostąpili zaszczytu.

Salomon mówi: Niechaj suknie twe zawsze będą białe, jako i śmiertelne suknie twe białe są; bądź gotów i ubieraj się w nie codzień. Bądź mędrcelem na jeden dzień przed śmiercią.

7. *Nowy rok.* Podczas zimnej nocy pierwszego dnia roku, Alexy, starzec siedmdziesiąt letni siedział w oknie, smutne oczy raz wlepił w niebo okryte gwiazdami, drugi raz spuszczał na ziemię. Grób jego odmykać się zaczynał; już zeszedł siedmdziesiąt stopni, a w miejscu uspokojenia i lubyh wspomnień, dźwigał srogą pamięć błędów i ciężar zgryzoty. Zdrowie jego zniszczone, dusza skołatana była, serce przepełnione żalem, wiek sędziwy znaczony goryczą. Dni spłynionej młodości stanęły mu nagle przed oczyma. Wspo-

mniał na tę ważną chwilę, kiedy mu ojciec dał do wyboru dwie drogi. — Jedna z nich mówił, prowadzi do krainy szczęścia i pokoju, druga wiedzie do ciemnej i ponurzej pieczary, gdzie gady jadowite pełzają.

Niestety! węże serce jego ujęły, trucizna skaziła usta, wiedział już teraz, którą obrał drogę.

Wzniósł znowu oczy do nieba i zawołał z boleścią: o powróćcie dni młodości mojej. Ojciec postaw mnie znowu na rozdrożu życia, ażebym wybrał inaczej; ale młodość już uleciała, a ojciec oddawna nie żył. Ujrzał dwa błędne ognie, powstały z bagnistej doliny i uciekły, a on rzekł: — takie były dni obłąkań moich. Zobaczył gwiazdę spadającą, leciała i znikła w przestrzeni. — Tak ja z świata tego zniknę! zawołał, a wyrzutów sumienia ostrze przeszło wskroś serce jego! Wtedy ogarnął myślą wszystkich rówieśników swoich, którzy z nim razem dziećmi i młodymi byli, a teraz dobrzy obywatele, ojcowie przykładni, miłośnicy wiary i cnoty spokojnie i bez uronienia łączy kończyli rok jeden, drugi zaczęli. — W tem odgłos dzwonów zwiastujący nowy postęp czasu obił się o jego uszy. Odgłos ten przypomniawszy mu rodziców, przypomniawszy mu prośby, które niegdyś za syna w takowej chwili nieśli do Boga, przestrogi, jakie mu dawali; prośby, których stał się niegodnym, przestrogi, z których nie korzystał! — Przywalony ciężarem żalu i wstydu, nie mógł już patrzeć dłużej w to niebo, gdzie mieszkał ojciec jego: spuścił oczy, rzuciły się z nich łączy rześiste, głuche westchnienia dobyło się z serca i zawołał raz jeszcze: Powróć, luba młodości! ach powróć!

I młodość wróciła! bo to wszystko snem było przykrym, który dręczył Alexego pierwszej nocy Nowego Roku. Był w samym kwiecie wieku, starość była marzeniem, ale błędy istotną prawdą. Obudziwszy się powstał z łoża, padł na kolana, podziękował Bogu,

że mógł jeszcze porzucić drogę występku, wyjść z ciemnej pieczary, wrócić na drogę cnoty i dojść do krainy szczęścia i pokoju. Powrócił i doszedł. Wróćcie się wraz z nim młodzi czytelnicy, jeźliście jak on zblądzili. Ten sen Alexego kiedyś sędzią waszym będzie; bo gdy później przyciśnieni żalem i zgryzotą zawołacie: Powróć luba młodości! ach powróć! młodość nie powróci.

IV. POWIĘSICI MORALNE.

1. Ul.

Ze wszystkich krain zostających niegdyś pod berkiem polskim, nie ma piękniejszej i bogatszej nad Ukrainę. Tam ogromne niwy niezmierzone okiem, plenny kłos wydają, bujna trawa zarasta niezmierne stepy, i tuczy niezliczone stada bydła, koni i owiec. W południowej części, widzieć można sady morwowe, wiane latorośle; brzoskwinie dochodzą bez osłony, soczyste arbuzy, pachnące melony rosną na zagonach, roje pszczół najwyborniejszy miód wydają; słowem: jest to ziemia obiecana, w której rolnik z małą pracą wyżywia siebie i liczną często rodzinę, a tém, co mu zbywa, wspomaga w potrzebie dalekie narody.

W tej to krainie niedaleko rzeki Samary, bogaty jeden dziedzic znaczne posiadał włości; wielkie miał dochody z licznych stad, z żyznych obszarów; lecz nie mniejszą mu pszczoły czyniły intratę. Chodował je starannie, a miód podbierany tak był czysty, biały i smaczny, że ze wszech stron przyjeżdżano go kupować. Dziedzic ten, był ojcem kilkorga dzieciak. Jaś, syn jego najstarszy kończył już rok dwunasty; Jaś miał serce dobre, głowę otwartą, pojęcie bystre, zwinny był, zręczny, usłużny; ale nadto żywy i nieuważny, przyzwyczał się od dzieciństwa wszystkim

figle płać, rozmaite szkody wyrządzać, i doskonalszym był psotnikiem. Wybierał gniazda biednym ptaszkom, trząsał niedojrzałe owoce, łamał drzewa, tłukł szyby w oknach, psuł wszystko, co napotkał, dął i plamił suknie. Wszędzie go było pełno, każdemu dokuczył, wszystko ruszył, co mógł zniszczyć. Jak tylko gdzie znalazł kawałek szpagatu albo tasiemki, natychmiast skrecił sobie biczyk, biegał z nim po wszystkich pokojach, trzaskał na tę i na ową stronę i nie raz ledwie oczów nie wybił braciom i siostrom swoim. Nic przed nim nie uszło, wszędzie zajrzał, wszystko zobaczył; nie raz z brogu, nie raz z drzewa zleciał na ziemię; raz wpadł w rzekę i mało nie utonął. — Ojciec gdzieś wyjechać musiał, zostawił dzieci wszystkie w domu; miał piękne meble, stoły, szafki, bióra, komody mahoniowe; kanapy i stolki materyą jedwabną okryte. Jaś tak się pięknie w niebytności ojca zawinał, że wszystkie stoły, szafki, bióra i komody na około poobrzynał, a na stolkach i kanapach wielkie plamy masłem porobił. Nie skończyłbym tak prędko, gdybym chciał wszystkie psoty Jasia wyliczać, onby ich sam zrachować nie mógł, bo codziennie nowe płać. Naprózno ojciec go łajał, bił, na pokutę osadzał, nie nie pomagało. Jaś zawsze nieprzystojnie ubrany, sińce miał po całym ciele, oczy podbite, po kilka guzów na czole. Niczego mu nastarczyć nie można było, i choć mu daleko więcej sprawiano, jak innym dzieciom, on zawsze był brudny, zawalany i obdarty. Suknie jego tak były poszarpane, kapelusz tak połamany, koszula tak zgnieciona, że kiedy kto z obcych do dworu zajeżdżał, Jaś zawsze pędem uciekał, krył się po kątach, żeby się nie pokazać gościom. Nie raz mu ojciec mówił: ej, Jasiu, Jasiu! przypłacisz ty drogo swoją swawolę! Jaś jednym uchem słuchał ojca, a drugie nadstawiał, czy mu się jaka sposobność zrządzenia komu figla nie zdarzy.

Czynił to nie ze złego serca, bo dobrym był w gruncie, ale z nieuwagi, ze zbytnej wesołości, i z téj niebezpiecznej chętki, którą mają często dzieci, żeby wszędzie zajrzeć, wszystko ruszyć, do wszystkiego się w mieszać.

Każdemu wiadomo, że ze wszystkich miódów naszych najpiękniejszy i najlepszy jest Lipiec; biały jak śnieg, słodki jak cukier, zapach i smak ma wyborny. Zowią go Lipcem dla tego, iż w tym miesiącu podbierany bywa, i że szukają go pszczoły na lipach okrytych wtedy wonnym kwiatem. — Jaś słyszał już nie raz o tym przedziwnym miodzie, i jeszcze w Maju pomyślił sobie: jak Lipiec nadejdzie, nie będę ja czekał, aż bartniki mego ojca miód podbierać zaczną, sam sobie poradzę! Jeszczem téż nigdy ula wewnątrz nie widział, a tam ładnie bydź musi! Opoдал od domu był wielki pszczelnik; w nim stało kilkaset pni pszczoł. Najstarszy bartnik klucz miał od téj zagrody, parkan wysoki otaczał ją w koło. Jak Lipiec nadszedł, Jaś myślał długo, jakimby się sposobem dostać do pasieki? parkan był gładki, wnijsdz po nim nie można było; ale nareszcie postarał się w sekrecie o drabinę dnia jednego wstał bardzo rano, kiedy jeszcze wszyscy spali i z trudnością przyciągnął ją pod pasiekę. Przystawił do parkanu, wszedł po niej na sam wierzch, stanął mocno, i z wielką biędą udało mu się przelozyc ją na drugą stronę. Kontent, że mu wszystko szło szczęśliwie jak z płatka, zszedł po niej na dół, a gdy się ujrzał w pasiece, podskoczył z radości. Włożył rękawiczki na ręce, narzucił chustkę na głowę, potém włożył kapelusz, ażeby się choć cokolwiek od pszczoł osłonić. Zbliża się do pierwszego ula... zalepiony! wśródku tylko był mały otwór, ale dla pszczoły, nie dla niego. Nosił on zawsze przy sobie nóż spory, który mu do wszystkich szkód słu-

żył, dobył go i póty dłubał, [skrobał,] wyrzynał, próbował, póki ula nie otworzył.

Smiało wyciągnął Jaś rękę i chciał wyjąć plaster miodu. Pszczoły, które wtedy najgorsze, kiedy się im robota zabiera, wysypały się pod chustkę. Chcąc się od nich uwolnić, przez nieostrożność zrzucił i kapelusz i chustkę, i tak całą twarz i głowę odsłonił. Opanowała go rozjątrzona rzesza; na próżno oganiał się, uciekał, wszędzie go ścigały; jad swój i żądła wpuszczały w twarz, w głowę i w szyję szkodnika, tak że na ostatek ze strachu i z bólu z całej siły krzyczeć zaczął. Usłyszał krzyk ten bartnik, który wtedy szedł do pasieki, i podług zwyczaju swojego codziennie ją dla opatrzenia pszczół odwiedzał; nie chciał jednak wierzyć, żeby ten głos był ztamtąd, bo nie pojmował, jakimby sposobem mógł się kto dostać do niej bez klucza. Otworzył jednak drzwi, i z zadziwieniem i z przestachem zobaczył Jasia leżącego na środku, i prawie w konwulsjach z krzyku, boleści i przestachu. Znali wszyscy domowi, jaki z niego był rozpustnik; domyślił się więc bartnik, co go tam sprowadziło. Przelękniony, widząc panicza w tak okropnym stanie, porwał go co tchu na ręce, okrył połą sukmany, i pobiegł co sił do dworu. Twarz Jasia tak strasznie spuchła, i zaogniła się, oczy tak mu na wierzch wyszły, iż rodzony ojciec ledwie go poznał, a on ani jego napomnień i pożałowań, ani płaczu rodzeństwa i domowych słyszeć nie mógł, bo zupełnie od zmysłów odszedł. Rozebrano go naprzód, bo kilka pszczół zakradło się aż pod suknie; powymowano żądła, obłożono mu twarz całą i głowę błotem; niezmierny ból cierpiał, przez dni kilka taką miał gorączkę, że z łóżka nie mógł się wyruszyć; bał się długo, żeby nie oślepl, gdyż koło oczu największe było nabrzmienie, i wszyscy uznali: że gdyby Bóg litościwy nie był w tę chwilę bartnika do pasieki

przyprowadził, byłby Jaś skonał na miejscu. Kilka tygodni minęło nim do siebie zupełnie przyszedł, a na całe życie jedno oko zrobiło mu się od drugiego odmiennie, bo powieka długo zagoić się nie chciała.

Tak srogą i okropną naukę dostał Jaś; pokazał czas że wyszła mu na dobre. Tyle ucierpiał, tak długo chorował, że po tym przypadku odzwyczaił się zupełnie od zarządzania szkody; chociaż żywy, stał się uważnym, powolniejszym; słuchał ojcą i starszych, nie mieszał się już nigdy do tego, co do niego nie należało, i odtąd już ani sobie, ani drugim nie czynił przykrości. — Już wyrosł słuszny, i ile razy spojrzy w zwierciadło, i zobaczy krzywe oko swoje, tyle razy dziękuje Bogu, że mu dał taką naukę, i że tak szpetny nałóg, który mógł nawet zepsuć serce jego i charakter, tak mały mu tylko ślad zostawił.

2. Śniadanie.

Nie ma w dzieciach bardziej ujmującego przymiotu, jak kiedy dla wszystkich bez wyjątku są grzeczne, uprzejme, zawsze do przysłużenia się gotowe. Taką była dwunastoletnia Różia! Zdawało się, że w oczy patrzy każdemu, chcąc przeniknąć, jakimby go sposobem ująć, czémby mu się przysłużyć można? Na pierwsze zawołanie starszej osoby biegła z pośpiechem, i przykrością dla niej było, kiedy ją kto inny uprzedził; najlepszego miejsca, najlepszego kawałka ustępowała drugim, nikomu się nie naprzykrzyła, z każdym, czy to z panem, czy z ubogim rozmówiła się grzecznie, i wszyscy serdecznie ją kochali. Nie taką była Franusia, jej stryjeczna siostra, chociaż los ich był zupełnie jednakowy. Obiedwie córki dwóch rodzonych i ubogich braci, w młodym wieku straciły rodziców, i z całej rodziny została im tylko ciotka zaślubiona doktorowi, który dopiero zaczął praktykować. Państwo Z. lubo sami troje już

dzieci mieli, a żadnego jeszcze majątku, dobrém zaczęli się sercem, wzięli więc do siebie pozostałe po braciach sieroty; lecz oboje w krótkim czasie Rózię daleko więcej od Franusi pokochali. I jakżeby inaczej być mogło, kiedy ona bezustannie starała się o ich miłość? Pan Z. mało co siedział w domu, jednak Rózia wynajdywała tysiączne sposoby, aby mu się przysłużyć. Podobnie i ciotce przypodobać się starała. Czy jój potrzeba było zawołać kogo? czy przynieść co z piwnicy lub ze spiżarni? czy dopilnować potrawy jakiej w kuchni? czy dopomódz w jakiej robocie? Rózia zawsze była gotową, i każdą powierzoną sobie sprawę jak najdokładniej pełniła. I nie dla samych dobroczyńców swoich tak uprzejmą była; służący, dzieci, goście, przychodnie lubili ją niezmiernie, i mieli za co; a kiedy przyszedł chory jaki radzić się jój wuja, nie zważała, jak był ubrany, ale z każdym była grzeczną. Jeśli wuja zastał, biegła go prosić, ażeby do niego wyszedł, jeśli nie, mówiła radzącemu się, o której godzinie ma przyjść nazajutrz, albo zapisywała sobie jego nazwisko i pomieszkanie. Zupełnie przeciwne postępowała Franusia, zupełnie też przeciwne wzbudzała uczucia; najmniejszego nie miała względu dla wuja i dla ciotki, służącym przysparzała tylko roboty, sprzeciwiała się dzieciom, a kiedy kto z chorych przyszedł do pana Z. i ją samą zastał, odrażała go najniegrzeczniejszym przyjęciem. Nikt jój też cierpieć nie mógł, a państwo Z. jedynie przez liłość trzymali ją u siebie.

Zdarzyło się niedawno, że podczas bardzo tęgiego mrozu, człowiek chory, mizerny, w wytartym płaszczu i starym kapeluszu, uchylił drzwi mieszkania doktora Z. i spytał się o niego? Nie było nikogo w pierwszym pokoju prócz Franusi stojącej przy piecu z założonemi w tył rękami, ze zwykłym sobie zaspępieniem. — Nie masz go, — odpowiedziała, mierząc

przychodnia okiem od stóp do głowy. — A kiedy przyjdzie? — Bóg go tam wie — To godzina objawowa, może wnet nadejdzie. — Może! Wolno na niego czekać; ale proszę drzwi zamknąć, bo to nie lato, a drwa kosztują! — I to mówiąc zamknęła drzwi pod nosem nieznajomemu, zostawując go w sieni. Zmęczony, bo bardzo słaby, a daleko mieszkał, oparł się o ścianę, w płaszcz się owinął, i myślał sobie: — nie winszuję panu doktorowi takiej córeczki! — Wtém głos miły wesołej piosenki, dał się słyszeć; ktoś zaczął szybko wstępować na schody, i wbiegła do sieni Różia. Spostrzegła zaraz nieznajomego, który ze słabości i z zimna zbladł niesłychanie. Przystąpiła do niego i powiedziała z uprzejmością: — Zapewne do doktora? — Tak jest. — Nie ma go w domu na nie-szczęście; ale mógłbyś pan zatrzymać się chwilkę. Już druga dochodzi, wnet nadejdzie. — Nie tylko mogę, ale muszę, moja miła panienko, — gdyżem tak zasłabł, żebym teraz wyjść na ulicę nie był w stanie. — Bo któż też słyszał czekać w sieni choremu i na takim zimnie? Proszę bardzo do pokoju. A otworzywszy drzwi, wprowadziła go, przysunęła najlepsze krzesło, i prosiła żeby usiadł.

Grzała się jeszcze przy piecu Franusia, nie skłoniła nawet głowy przed nieznajomym, powiedziała tylko do Rózi: — ty i dziada zpod kościoła gotowaś do pokoju zaprosić, a ja jak stróż jaki pilnować muszę, żeby nas nie okradł. — Różia i nie usłyszała tych słów; widząc, jak ten chory zziął i zestał, pobiegła do ciotki: — Moja droga Ciociu! powiedziała całując ją w rękę, przyszedł do wujaszka jakiś chory, nędznie ubrany, nędznie wygląda, i taki słaby, że mu się koniecznie czém rozgrzać trzeba. Jest zaczęta butelka węgryzna; już ja przez cały miesiąc kropki wina nie wypiję, a niech ciocia pozwoli dać mu szklanczkę? — Chętnie, odpowiedziała ciotka, poczęstuj

go. — Różia uszczęśliwiona poszła do szpizarni po wino, wybiegła potem przed dom; siedziała tam zawsze w bramie prze kupka z chlebem i z bułkami; za swoje trzy grosze kupiła bułkę i przyniosła nieznanemu na tacy, butelkę, szklankę, nóż i bułkę. Zjadł i wypił z niewypowiedzianym smakiem, i bardzo jej za to śniadanie dziękował. Wrócił wtém doktor, i wszedł z chorym w rozmowę; znalazł go bardzo słabym, kazał mu jak najprędzej wziąć dorózkę, wrócić do domu i położyć się w łóżku, obiecując mu swoje odwiedziny zaraz po obiedzie. Chory ten, mimo najtroskliwszych zabiegów pana Z. umarł w tydzień; od lat kilku miał suchoty, a dopiero od kilku dni leczyć się zaczął. Był to człowiek bezdzietny, bezżenny i niezmiernie bogaty, ale z liczby owych nieszczęśliwych i szczególnych ludzi, którzy zdają się, że pewny rodzaj pomieszania zmysłów cierpią. Od młodości skwapliwie i starannie zbierał pieniądze, co rok majątku przysparzał; lecz ani go sam nie używał, ani nikomu użyć pozwolił; krył się z bogactwem swoim jak drudzy z ubóstwem się kryją, a z ubioru, z pomieszkania, z sposobu utrzymania się sądząc, każdy mógł go wziąć za nędznego człowieka. Mizernem, niewygodnym życiem nadwreżył siły swoje, do ostatniej chwili żałował sobie na doktora i na aptekę, myślał zawsze, że i tak wyzdrowieje; dalekim i majątnym krewnym (bo blizkich i ubogich nie miał) zapisał swoje dostatki, a na trzy dni przed śmiercią te słowa do testamentu swojego dodał: — ostatnią jest wolą moją, ażeby sukcesorowie moi 50,000 złotych wypłacili na ten Święty Jan doktorowi Z.; a to na posag dla siostrzenicy jego Rózi. Ta panienska warta téj nagrody, grzeczna, uczynna; z jej łaski ostatnie smaczno, a co większa, darmo zjadłem śniadanie. — Łatwo zgadnąć, jakiém zdziwieniem ten artykuł testamentu napelnił umysły exekutorów? jaką radością przejął rodzinę doktora Z.,

a szczególnie dobrą Rózię? Procent z zapisanej summy wystarczył na utrzymanie i na edukacją nie tylko jej, ale i Franusi, bo natychmiast oświadczyła, że z nią równo i tym posagiem i dochodami z niego się podzieli; przestaną obiedwie uszczuplać niewielkie jeszcze wuja intraty, owszem niejaką pomocą mu będą; los ich nadal zapewniony. Ale nie tu koniec pomyslnych tego zapisu skutków. Ponura i odrażająca Franusia, przejęta dobrocią stryjecznej siostry, nie mogąc używać z przyjemnością owoców dobrodziejstwa, nie zasłużywszy na nie, zupełnie się poprawiła.

3. *Przygoda Macieja Stryjkowskiego.* *) (r. 1561.)

Dziedzice Osostowa Stryjkowscy, już od lat kilkunastu, prośbami swemi niebo męczyli; w cudownych miejscach, jaśniały ich darami ołtarze; przy każdej niemal rozstajnej drodze, stał krzyż piękny ich ręką stawiany; bo pełne były ich brogi zboża, pełne tłustego bydła obory; lecz próżne były szczęścia ich serca, próżne nadziei ich życie; nie mieli dotąd dziecięcia, nie mieli dotąd nikogo, ktoby z nimi dostatków używał, ktoby im zamknął powieki. Ale nareszcie Bóg ich wysłuchał; urodziło im się dziecię, syn czerstwy, miły, nadobny. Ledwie odrośł cokolwiek od ziemi, o własnej puścił się mocy, głosem przemówił dziecinny; już wesołością, rozumem, rodziców cieszył, dziwił czeladkę. Świeży jak wiosna, jak iskra żywy, obraz swobody i zdrowia, całym był szczęściem rodziców, całą ich życia przyszłością. Właśnie rok piąty był zaczął; właśnie w sierpniu-

*) Maciej Strykowski, herbu Leliwa, urodził się w Osostowie, w Łęczyckim, 1547 roku, czas śmierci jego nie wiadomy. Wydał wiele dzieł historycznych w łacińskim i w polskim języku, prozą i wierszem, jako to: kronika polska, litewska, i wiele innych.

wym wieczorze, przed modrzewim siedząc dworem, lubą i słodką o synie zajęci byli rodzice rozmową. W ciągu dnia, dałby dowody nadzwyczajnego dowcipu; potem na czterokątnym podwórku, zręczne wyprawiał skoki i płasy; teraz jak hetman pobiegł do sadu, na czele dzieci czeladki; tam ich do boju zwykle szykował, tam z nimi igrał wesoło; rodzice o swych nadziejach mówili. — W tym odgłos przeraźliwego krzyku, obija się o ich uszy; był tam szczególniejszy krzyk jeden, co matki serce wskrósł przeszył; powstaje, drząc cała, bieży. Ojciec zawsze od niej silniejszy, dziś jej wyscignąć nie może. Jedynek bawił się w sadzie; tam jest głęboka sadzawka... tam dążą, ku miejscu temu zbłąkane zwracają oczy; widzą rozbiegłą dziątek gromadę, jakby przed wilkiem owieczek trzoda; jedno za drzewami stawa, drugie w wysoką trawę się kryje, trzecie co zdążyć może ucieka, a wszystkie płaczą i krzyczą — Panicz utonął, utonął! — Już prawie bez tchu rodzice, pospieszają swój krok ocięzały, stają nareszcie nad brzegiem wody; z razu nic na powierzchni nie widzą, lecz wkrótce już bez oporu ciało ich syna wypływa. Zanurza się ojciec w wodę; nieszczęsnej matce stać przykazuje, wyciąga dziecię, na brzeg je kładzie. Porywa matka mokre dzieciątko, woła na nie, nie słyszy; tuli do łona, nie czuje; bierze je ojciec — toż samo! niosą je pędem do domu, a krew w ich żyłach zimniejsza, od zimnej wody co na nich ścieka. Zbiega się wierna czeladka, przybywa pleban z lekarzem, przychodzą zewsząd stare niewiasty; każdy coś rai, wskazuje, każdego ojciec i matka słucha; co tylko radzą, robią, probują, a dziecię zawsze jakby nieżywe. Sine, odęte i zimne, leży zmartwiałe ciało chłopczyny, każdy go sobie podaje, każdy go cuci, trząsa, naciera; a dziecię zawsze nieżywe. Rodzice rwą włosy i łamią ręce, głowami o ściany tłuką, dawniejsze wznawiają śluby,

świętych wzywają pomocy; lecz niebo głuchém się zdaje, i dziecię leży nieżywe. — Próżne te nasze móżdki, odbiegłej duszy już nic nie zwróci! — tak mówi cicho pleban i lekarz, tak cicho mówi czeladka. — Słońce zachodzi, noc cała mija, dzień cały drugi spływa okropny; już w sercu ojca nadzieja kona, już mdleje w duszy zbolałej matki. Widząc spełnione srogie nieszczęście, troskliwy pleban z lekarzem rodziców ciągną do drugiej izby, cichaczem trumnę przynoszą. Płacząc sędziwa piastunka, obleka dziecię w białą koszulkę, zeszkłe włoski gładko czesze, równianką z kwiatów je stroi, kładzie w ostatnią ludzi łożnicę. Tak cię ja kładłam w kołyskę — mówi do niego zalana łzami — tak ty mnie w trumnę położył miałeś! — W téj chwili wpada strwożona matka: — Okrutna! coż czynisz? — boleśnie wola — alboż to dziecię... — Umarło — pleban dokończa — umarła twoja pociecha. Ten co ją zesłał, przyzwwał do siebie, ten co dał, odebrać może. Poddaj się woli Pana, Niewiasto! szanuj z pokorą wyroki Jego! Kłękaj niewiasto, obok niej ojciec; oboje ręce do nieba wznosząc; usta ich razem mówią te słowa: — Panie, możesz — oddal ten kielich — jednakże, nie dziątek wola — Twoja, Ojcze, niech się stanie! Tak rzekli, wzmocnieni wstają, i mówią głośno: Weźcie już dziecię! Ciśnie się tłumem czeladka, do dwóch kościołów pleban znać daje, sam się w żałobne szaty odziewa; biorą trumienkę domowi, niosą na barkach odkrytą; wybladła matka zwtok się dotyka; drząc cały ojciec żonę podpięra. Idzie przez miasto orszak w milczeniu, wybiegli z domów mieszkańcy, co krok to grono zwiększają; każdy w cichości dzie-dzica płacze, a więcej jeszcze jego rodziców. Nagle, w obudwóch kościołach, huczny głos dzwonów powietrze dzieli, a matka czuje zimnych zwłok drgnienie; krzyknęła, — stawają; lekarz przybiega, kładą na

ziemi trumienkę i znowu lekkie czuć drgnienie. Porzywa matka z trumienki dziecko, osłania je suknią, rękoma, chce z niem uciekać daleko; wstrzymuje lekarz jęj obłąkanie, pomału iść przykazuje, strwożonej krzyczeń zabrania, do swego domu matkę wprowadza; tam w ciepłe łoże dzieciątko kładzie, tam je sam jeden cuci, ratuje, tam słowa nadziei głosi, milczenie, cichość zaleca; matka i ojciec dech swój wstrzymują. Po krótszej nad opis chwili, serce dzieciny mocniej uderza, po całym ciałku duch się rozbiega, dziecko do życia powraca. Niknie zwolna siność z twarzy, krew przebijając się zaczyna, odmyka dziecie oczy zawarte, i ku rodzicom je zwraca; blade usteczka na pół otwiera, chciało przemówić, uwięzły słowa, lecz się uśmiechnąć zdołało. — O Boże! wszechmocny Boże! — wyrzeka cicho przejęta matka, i łzy uniosły ciężar jęj nieszczęścia.

Zaledwie trzy dni minęło, już na podwórku biegł jedynak, już był na nowo szczęściem rodziców, już nie sama czeladź domowa, wszyscy się nad nim dziwili. W pierwsze zaś po tym dniu święto, pleban licznemu ludowi, te księgi Boskiej przeczytał słowa: — Onego czasu, przybliżał się pan ku bramie miasta Naim, a oto wynoszono umarłego z miasta, jedynaka swęj matki, i rzesza wielka szła za nim. Ujrawszy onę matkę, Pan ulitował się nad nią, i rzekł jęj: — nie płacz! — Przystąpił, dotknął się mar, i ci co nieśli stanęli. A on rzekł: — Młodzieńcze, tobie mówię, wstań! — I usiadł on młodzieniec, który był umarły, i począł mówić; a Pan dał go matce jego. Zdiał wszystkich strach wielki, i wielbili Boga mówiąc: Bóg nawiedził lud swój! — I rozeszła się powieść po wszystkięj okolicznęj krainie. —

4. *Pan Łowczy opowiada swoję historiją.*

Moj ojciec miał się nie źle; ale nas było ośmioro: sześć

córek i synów dwóch, a wieś jedna. Trzeba było o sobie myśleć, bo się nie bardzo można było spuszczać na to, co rodzice zostawia. Oddano nas do szkół; mój brat starszy aplikował się, i na dobre mu wyszło, poszedł do kancelaryi, dalej do trybunału i teraz jest sędzią ziemskim; majątność po ojcu objął, mnie spłacił, siostry wyposażył, i ma się dobrze.

Ja, Mospanie, widząc, że tylko plagi w szkole zyskam, a na wakacjach tyle drugie w domu od ojca; prosiłem go nakeniec, żeby mnie do dworu oddał, bo mi żadnym sposobem Alwar do głowy iść nie chciał. Oddano mnie za chłopca. Pan był groźny: wzięło się może więcej jak w szkołach, ale mi tego nie żal. Zostałem pokojowcem; com ja w tym stanie dróg odbył! ledwo jest jaki kął w Polsce, którego bym nie obleciał; a że byłem rażny, wytrwały, pracowity i sprawny, podobałem się panu i zrobił mnie koniuszym.

Ten, co był przedemną, był Francuz; coś to on niby zakrawał na mędrka, chciał konie pańskie uczyć tańcować, a one i chodzić dobrze nie umiały; czeladź stajenna o nic nie dbała, powozy były złe, karety uszkodzone, szory ladajakie: owo zgoła wszystko nie do rzeczy. Jakem ja się zawinął, Mospanie, jakem ludzi dobrze dojrzał; wpół roku pan koni nie poznał, a na mnie coraz łaskawszem okiem zaczął spoglądać. I podarunki dawał, i funkcyę zyskowne nastęczał; krótko mówiąc, z czasem, statkiem i cierpliwością zebrał się tysiączek. Mając go już w kieszeni, powiedziałem sobie: strzeżno ty tylko dobrze pierwszego, a obaczysz, iż i drugi do niego przyjdzie. Nie strzegłem go jednak tak, żebym go miał w worku trzymać lub w ziemi zakopać: to głupi, kto tak czyni; alem go włożył w handelek, aż tu z czasem przyszedł i drugi tysiączek i trzeci. Dopieroż wtenczas, Mospanie, odważyłem się puścić też co i na hazard.

Błogosławił Pan Bóg, pan był łaskaw, krewni się też przyłożyli i przyszło do tego nakoniec, iż przez wzgląd na moje dawne usługi, wypuścił mi pan wieś dzierzawą prawie w pół darmo.

Nie znałem się ja jeszcze wtenczas na gospodarstwie, więc udałem się do drugich po radę; a takich tylko radziłem się, co się sami mieli dobrze. Myślałem sobie albowiem po prostu, takich się pytaj, jak gospodarować, którzy zyskali na gospodarstwie; znać, że umieli gospodarować, kiedy ich to spieniżyło. Dobrze mi poradzili, jam też pilności dołożył, kompaniek się strzegłem, kartek jeszcze bardziej; a jeżeli na jarmark przyjechałem do miasta, sprzedawszy, co miał sprzedać, powracałem rychło do domu; nie chodziłem na lusztyki jak drudzy, nie świeciłem się po modnemu, sukno mojego kontusza ledwo co było lepsze od falendyszu, a czasem też i falendysz, żupan domowy, pas z włóczki, szabla prosta, paski rzemieńne. Przyjechało się na lichój dryndulce, ale za każdym razem dryndulka z miasta pieniądze przywiozła. Po pierwszym roku dzierzawy przyjechałem do pana, pieniądze na terminie co do szeląga oddałem; a że pan uwiadomiony był, żem poddanych nie obciążał, lasu strzegł, budynki utrzymywał; do jednej wsi dodał mi jeszcze i drugą. Gospodarstwo się coraz bardziej pomnażało, trzeba mi było gospodyni. Służyła u naszej Jéjmości z dziecinnych lat panienka, już na ten czas dorosła, taki też właśnie chudy pacholek jak ja. Ale żem zdawna to był w niej upatrzył, iż była oszczędna, sprawna, a do tego obyczajów dobrych; wzięwszy ją, Mospanie, Pana Boga na pomoc umyśliłem ją przybrać sobie za żonę. Przyszło mi to wprawdzie na myśl, iż posagu nie było; alem zaraz na to sam sobie odpowiedział: tém lepij, nie będzie ci miała co wymawiać, a niech tylko taką będzie, jaką się być zdaje, przyniesie ona staraniem,

czujnością i przemysłem lepszy posąg, niż owe modne, co to wiedzą, co gotowalnia, a nie znają, co kojec.

Czegom się spodziewał, to się też stało, pobraliśmy się. Dał mi Pan Bóg gospodynią dobrą, żonę poczciwą, matkę dzieciom starowną. A że teraz możemy już sobie cokolwiek pozwolić, ona sobie zhytkuje z ogrodem, a ja ze stajnią; ale tulipany i fijołki nie przeszkadzają temu, żeby nie miała wiedzieć o lnach i konopiach, a mój też cug paradny snopki wozi.

5. *Lakington.*

Lakington szewc, później księgarz londyński, do dwunastu lat niczego się nie nauczył, prócz kilku rozdziałów z biblii, które mu matka z pamięci powtarzać kazała. Człowiek ten, który później miał przeszło dziesięć tysięcy czerwonych złotych czystego zysku z księgarni, przez kilkanaście miesięcy przedawał ciasteczka po ulicach Londynu; a potem oddany był do szewca, gdzie się czytać i pisać nauczył.

W zimie, pisze we własnej biografii, pracowałem u majstra od szóstej z rana, do szóstej w wieczór; mimo tego jednak znajdowałem sposoby do czytania; uczyłem się na pamięć pieśni i kazań. Gdy mi majster w mojej izbie nie pozwalał, czytałem przy świetle księżycy, mając wzrok dobry.

Miałem lat 22, gdym się z niektórymi książkami dowiedział o sławnych filozofach w starożytności; kupiłem sobie w małym sklepiku Platona, Plutarcha, Senekę, a dzieła te wielkie na umyśle moim zrobiły wrażenie. Nauczyłem się z nich znosić nieszczęście, którego uniknąć nie podobna, a stosując wedle ich przepisu moje potrzeby do możliwości, nigdy nie doznałem niedostatku. Jednak żadnej nie opuściłem sposobności polepszenia mego losu. Szedłem w tym za radą Sokratesa: — przestawaj na tym, co masz, lecz staraj się, abyś los twój poprawił. — Oddaliwszy się

od majstra, chcąc zacząć rzemiosło na swoje rękę, osiadłem w mieście Bristol, i najawszy małą izdebkę, pojąłem żonę. Nasz skarb właśnie tylko na wydatki weselne wystarczył; nazajutrz obrachowawszy się z naszymi dostatkami, przekonaliśmy się, iż zawód małżeński o jednym zaczynamy groszu. Zaczęliśmy więc pracować wesoło, śpiewając sobie o spokojności umysłu. Było to w czasie srogięj zimy; a my mieliśmy tylko pięć złotych na tydzień do wydania. Nie piliśmy ani wódki, ani piwa, zamiast kawy paliśmy niekiedy trochę zboża w piecyku, a dla większego uraczenia się, przypiekaliśmy kromkę chleba; innego nie znaleźmy zbytku. Nigdy nie zdarzyło nam się pragnąć tego, czegośmy nie mieli, zupełnie byliśmy szczęśliwi. Z potrzeby zrobiliśmy cnotę, ale wesołym umysłem. Nie długo potem przeniosłem się do Londynu i przyszedłem do lepszego bytu. Wymogłem na żonie, która dotąd w sukienym płaszczyku chodziła, żeby sobie sprawiła jedwabny. Dotąd nigdy mi nie przyszło na myśl, iż na zimę zdałby się cieplejszy surdut, co teraz dopiero odkryłem. Dla opatrzenia się w rzeczy w gospodarstwie potrzebne, podwoiliśmy usilność w pracy i oszczędność; a raz wedle myśli naszej we wszystko zaopatrzwszy się, nie mogę opisać radości, której oglądając nasze rupiecie, w ówczas doznawaliśmy. Nie sądzę, aby Alexander Macedoński z taką pociechą patrzył na swoje zdobycze, gdy zasiadł na perskim tronie. Wśród za-
biegów gospodarskich i chęci odświeżania naszej odzieży, nie zapomniałem o książkach. Pamiętam, jak na Boże Narodzenie, tém mojem namiętném upodobaniem w książkach wypróbowałem dobroć méj żony. Około tego czasu zwykle kupując sprzęty, nie mieliśmy już tylko cztery złote wszystkiego. Postanowiliśmy sobie kupić za nie dobry obiadek na święta. Podjąłem się tego sprawunku. Idąc do traktyerni, wstąpiłem do

księgarni; nieszczęściem Nocy Younga wpadły mi w ręce, nie mogłem się wstrzymać, owe cztery złote poszły na Younga. Gdy powróciłem do domu, żona moja zapytała się: a cóż kochanku, obiad? Wówczas rozpocząłem mowę o wyższości, jaką rozkosze duszy mają nad rozkoszami zmysłów. — Pewnieś kupił książkę, przerwie mi żona! Wyciągam więc Nocy Younga z kieszeni, dowodząc jęj, iż obiad byłby się zjadł, kiedy książka na zawsze [zostanie, zacząłem potem czytać jęj niektóre kawałki z Younga, z taką żywością i upodobaniem, iż wkrótce zapomnieliśmy o głodzie.

W Czerwcu roku 1774 przyszedł jeden przyjaciel do mnie i radził mi, abym najął sklepik na pewnej ciasnej uliczce. Odpowiedziałem, iż projekt ten bardzo mi się podoba, i że przyszło mi do głowy, że w tym sklepiku mógłbym przedawać książki, gdyż jak tylko wyrzekł to słowo sklepik, myśl ta szczęśliwa, jak gdyby z natchnienia przyszła mi do głowy; uważałem bowiem, iż pewien sklepik, w którym od kilku miesięcy zaczęto stare [książki przedawać, bardzo pomysłnie wzrastał. Zresztą ten projekt i dla tego niezmiernie do serca mi przypadł, iż mi się podawała sposobność czytania wszystkich książek, któreby w me ręce wpadły.

15. Września 1774 otworzyłem księgarnię, mając wszystkich książek w całym sklepie za dziesięć czerwonych złotych. Kazałem wypisać moje imię na sklepiku, a potem bawiłem się, patrząc na mój towar, zupełnie tak, jak Nebukadnezar poglądając na Babilon, który świeżo zbudował.

Mimo ciemnej ulicy i niepokaźnego sklepiku, znalazłem kupców; sprzedane książki zastępowałem innemi, które mi w znacznej liczbie na sprzedaż przynoszono, tak iż mogłem w nich przebierać. Nigdyśmy przytęm oszczędniej nie żyli, jedliśmy tylko kartofle, a pił wódę. Postanowiliśmy sobie koniecznie coś oszczę-

dzić na przypadek choroby lub brak roboty. Nie raz doświadczywszy biedy, mogliśmy i na dal jakiego nieszczęścia spodziewać się. Moja żona melancholiznego umysłu, więcej niż ja lękała się jakiej przygody; a jednak kiedy istotne nieszczęście na nas spadło, mężnie je znosić umiała. Dziwna to rzecz bardzo, iż ludzie wśród rzetelnych nieszczęść wielką okazujący odwagę, upadają częstokroć pod ciężarem urojonych. W ciągu sześciu miesięcy, wartość mojej księgarni urosła do 50 czerwonych złotych. Wówczas dopiero spostrzegłem, iż moja ulica nie była godna tak wielkiego skarbu, dla tego do ludniejszej części miasta sklep mój przenieśliśmy. Wkrótce ostatecznie szewstwo porzuciłem, bardzo wielką liczbę książek sprzedając. W Londynie bowiem, jak po innych miastach, wiele jest takich ludzi, którzy wolą kupować od przekupniów i pożyczających na zastaw, niż w sklepach porządnych.

Upodobanie żony mojej w czytaniu bardzo mi było na rękę, dało mi bowiem sposobność rozszerzania handlu. Najbardziej lubiła siedzieć w księgarni, i tak się z nią dobrze obeznała, iż mogłem dla sprawunków z domu wychylać się. Wkrótce poznałem, iż mając większy kapitał, mógłbym więcej sprzedawać. Nie raz taka mię chęć kupienia książki uniosła, iż zastałem zegarek i suknie, a czasem książki dla nabywania innych. Niedługo po otworzeniu mojej księgarni, znalazłem to, co pewien poeta najszlachetniejszym dziełem boskiem zowie, to jest uczciwego człowieka. Jeden księgarz widział mnie w chorobie, spokojnego na przyszłość, i ztąd wniósł, że jestem także uczciwym człowiekiem; oświadczył mi chęć wejścia ze mną w spółkę, tym sposobem podwoiłem moją księgarnię.

Przykładając się całemi siłami do nauk, poznałem dość dobrze literaturę, a znajomości serca ludzkiego nabyłem w księgarni. Księgarz, który ma trochę

gustu, może tak wyziewami książek swój umysł karmić, jak rzeźnik i kucharz zapachem mięsa się tuczą. Jeśli pragnie oświecić się, jeśli umie drugich wybadywać, a handel idzie pomyślnie; w księgarni jego zbierają się ludzie różnego narodu, płci, wieku i sposobu myślenia. Wśród kupna słyszyć można bardzo zabawne rozmowy: jakóż często moją księgarnią porównywałem do teatru.

Nałóg pilnego obserwowania wszystkiego, co widziałem i słyszałem, bardzo wiele mi pomógł do zrobienia majątku z księgarstwa; mianowicie uważałem pilnie, czyli moje książki stósowały się do panującej w naukach i czytaniu mody. Uważałem, iż od dwudziestu lat, handel księgarski w Anglii znacznie się powiększył. Rozumiem, że teraz cztery razy tyle książek sprzedaje się, co dawniej. Najuboższy chłopek, parobek i wyrobnik, którzy dawniej wieczorami słuchali baśni o czarownicach, teraz synom i córkom swoim każą czytać sobie książki.

W początkach sam otwierałem i zamykałem mój sklepik, a gdy mnie przyjaciel nawiedził, ścisnąłem go tylko za rękę. Następującego roku w podobnym zdarzeniu, stawiałem przed nim dzban piwa. W kilka lat później przybyłego przyjaciela zapraszałem na obiad. W początkach dawałem tylko sztuk mięsa, później przydawałem kawałek szynki, w końcu i pieczeń przybyła. Wino i likwory w tej samej szły progressy; jakóż przeszedłszy przez wszystkie winą fałszowane i najgorsze wódki, skończyłem na winie portugalskiem. Wiele lat minęło, nimem się dowiedział, że mieszkanie na wsi potrzebne jest dla zdrowia. Najprzód nająłem domeczek, który w następnym roku zamieniłem na prawdziwy dom wiejski; tu przechadzając się po ogrodzie, powtarzałem sobie wiersze o przyjemnościach życia wiejskiego.

Zazdrość ścigała mnie za każdym krokiem, w po-

lepszeniu mojego bytu. Gdy z porady doktora przejeżdżałem się na koniu, słyszałem szemrzących około siebie: — kiedy nędzarza wsadzisz na konia, pojedzie do diabła. — Lecz kiedy zobaczono mój powóz i lokajów w liberyi, o już wtedy każdy mnie za szalonego poezytał, i blizki przepowiadał upadek.

W Czerwcu 1791 odwiedziłem moje rodzinne miasteczko. Przejeżdżając przez większe miasta, wstępowałem dla rozrywki do moich dawnych majstrów, u których dwadzieścia lat temu robiłem trzewiki. Wchodząc do sklepu, używałem zwyczajnych wyrazów: czy nie potrzebujecie, panie majstrze, robotnika. Nie mogę wyrazić podziwienia tych ludzi, gdym im moje nazwisko powiedział. Wykrzyknieniom nie było końca. Poglądali na mnie okiem wąpiącém, to znówu patrzyli na powóz i ludzi moich w liberyi. Wreszcie mocno mi winszowali i niektórzy cieszyli się szczerze z mojego szczęścia.

W mojem rodzinnem miasteczku, przyjęto mnie przy odgłosie dzwonów, w które cały dzień dla mnie dzwouiono. Z jakąż radością biegatem po łąkach, gdzie ucieszłą młodocść strawiłem!

V. GMINNE POWIEŚCI czyli POWIASTKI.

1. *Pieczary w Czarnéj Górze.*

Kolo Czarnéj Góry, (w kołomyskim obwodzie w Gallicyi) jak tylko słońce zajdzie, słyhać szum i brzęk łańcuchów, a wśród nocy widać przy miesiącu widma rozbojników czyli opryszków, którzy tu przed wiekami gościli i mordy i požogi stalowemi toporkami po przyległych osadach rozszerzali: obdzierali podróżnych, zabierali skarby z kościołów, zgromadzali do pieczar i tam zagrzebywali. Skarby tych rozbojników

leżą do dziś dnia jeszcze w beczkach, lecz rzadko komu zdarzy się namacać drzwi do nich prowadzące.

Razu jednego widział biedny wieśniak, który za załomem skały buka ściąć zamysłał, zwolna przez las postępującego pustelnika, i aby od niego nie był spostrzeżony, schował się za grube drzewo. Pustelnik przeszedł koło niego i wszedł w opokę. Wieśniak zwolna za nim postępował i ujrzał, jak tenże przy małych drzwiczkach zatrzymał się, których nikt dotąd z siola nie uważał. Pustelnik zakolatał z cicha i wyrzekł: — fórtko otwórz się, — a drzwi odskoczyły; na drugi rozkaz, — fórtko zawrzyj się, — znowu się zawarły. Wieśniak drzał, jak listek osicowy, jednak pomimo wolnie gałązkami to miejsce naznaczył. Od tego czasu wciąż go coś ciągnęło, aby się dowiedzieć, coby w tych pieczarach było. Pościł więc w najbliższą sobotę, a z wschodzącém słońcem w niedzielę, opatrzony święconą kredą, udał się w oznaczone miejsce. Z dreszczem i zębami dzwoniąc, przystąpił ku drzwiom i długo podsłuchiwał, lecz nic nie słyszał. Nakoniec zakolatał na pół bez pamięci w drzwiczki: „fórtko otwórz się“ wyrzekł słabym i cichym głosem. Odskoczyły drzwiczki, a on ujrzał się w ciemnej pieczarze, a głębiej zobaczył obszerną jasną izbę. Tutaj stały w wielkich kadziach białe talary i czerwone złote, tam leżało skrzyńceczek bez liku z perłami i drogiemi kamieniami; szczerozłote krzyże, obrazy świętych, to leżały, to stały po kątach izby na srebrnych stołach. Żegnał się wieśniak i wołałby był być sto mil od zaczarowanego miejsca oddalonym; nie mógł się jednakowoż wstrzymać, aby cokolwiek z tych skarbów nie wziął na przyodziewek dla swój żony i ośmiorga dzieci, które prawie nago chodziły. Przeżegnał się, z bojaźnią sięgnął ręką do kadzi i wziął sobie garść tych białych pieniędzy. Zaraz potém uchwycił się za głowę, lecz

ta jeszcze na swoim stała miejscu. Nieco ośmielony wziął jeszcze drugą garść drobnych białych pieniędzy i udał się ku drzwiom.

„Przyjdź znowu,“ odezwał się gruby głos z głębi pieczary. Wszystko teraz koło niego krążyło, zaczęło mu się w oczach i ledwie mógł: „fórtko otwórz się,“ wyrzec. Drzwi odskoczyły. Głośniejszym już i weselszym głosem krzyknął: „fórtko zamknij się,“ a drzwi się zawarły.

Powrócił spieszenie do domu, lecz nie powiedział o tem nikomu, że znalazł skarby; poszedł do kościoła, dał dwie dziesiąte tego, co wziął w pieczarze na kościół i na ubogich. Nazajutrz poszedł do miasta, kupił co najpotrzebniejszego żonie i dzieciom i mówił, że zaśnieźdzały talar ten i stare złotówki znalazł pod korzeniami ściętego buka.

Następującej niedzieli poszedł z mniejszą bojaźnią odważniejszym krokiem ku drzwiom opoki, postąpił i sobie jak dawniej i nabrał miernie dokieszeni. „Przyjdź znowu“ odezwał się gruby głos, a on przyszedł znowu trzeciej niedzieli i napełnił jak pierwój swoje kieszenie.

Teraz był już sobie bogatym gospodarzem i niewiedząc co miał robić z owem wielkiem bogactwem, rozdał na kościół i na ubogich dwie dziesiątyny tego wszystkiego, co posiadał; a co się pozostało, postanowił w piwnicy zakopować, aby z téj gotowizny w przypadku mógł sobie pomóc. Jednakże chciał wprzody pieniądze swoje przemierzyć, bo się za młodości rachować nie nauczył, i poszedł pożyczyć sobie miarki od sąsiada, wielkiego bogacza, który przy swoim bogactwie głód cierpiał, z lichwą żytem kupczył, robotnikom zarobek umniejszał, sługom płacy nie dawał, wdowom i sierotom należytości nie wracał, pieniądze na fanty dawał, — dzieci nie miał żadnych. Lecz w miarze były duże szpary, przez które, jak żyto ubogim robotnikom sprzedawał, strze-

sane ziarna wylatywały, co on znowu zgarniał na swoją kupę. Między te szpary zaroniło się kilka białych małych pieniędzy, których wieśniak nie wytrząsał, a które nie uszły bacznosci sokolego oka chciwego sąsiada. Udał się więc do wieśniaka, zapytując się, coby mierzył miarką? „Leśne nasienie i laskowe orzechy, odpowiedział tenże z zająkaniem. Wstrząsając głową, pokazał mu lichwiarz srebrne pieniądze, groził sądem i mękami. I tak powoli wyłudził z niego tajemnicę.

Cały tydzień przemyślał nad tém bogacz, jakby zaraz cały skarb z pieczary wydobyć. A jakby już cały skarb u siebie miał, przedstawiał sobie, jak go będzie liczył, pomалу jeden fan po drugim, jedną niwę po drugiej od swych sąsiadów na wół darmo skupował, albo wyprocessował, lub krzywemi przysięgami zarabiał. A jakby takim sposobem całe sióło zakupił, wyobrażał sobie, jak jedną wieś po drugiej, zamek za zamkiem nabywać będzie, aż wreszcie księżciem zostanie.

Wieśniakowi nie było po myśli, że się jego zawistny sąsiad do pieczar wybiera. Prosił go, aby zaniechał tego przedsięwzięcia, przestrzegał go, wystawiał niebezpieczeństwa i opowiadał tysiąc powieści o marném zaginieniu tych, co pieniądze kopali. — Lecz któż zdoła odwieść skąpca od rozwiązanego worka z czerwonymi zlotemi? Przez różne wreszcie groźby i prośby dał się wieśniak użyć, aby z nim jeszcze raz do drzwi pieczar poszedł, a tam miał on wory, które lichwiarz napelni, odbierać. Tém to mieli się podzielić, dziesięcinę dać na kościół i prócz tego wszystkim ubogim ze wsi sprawić nowe suknie. Tak prawił skąpiec, lecz w sercu swém postanowił wieśniaka wtrącić w najgłębszą przepaść, jak go już nie będzie potrzebował.

Następnęj niedzieli wybrał się skąpiec z wieśnia-

kiem przed wschodem słońca do pieczar w Czarnéj Górce. Dźwigał na plecach wór potężny, w którym znowu do sto mniejszych było woreczków. Wieśniak napominał go jeszcze raz ostatni, aby poprzestał swéj chciwości, ale wszystko darmo. Klnąc i strzygąc zębami, szedł dalej skąpiec. Już byli przyszli do drzwiczek. Wieśniak, któremu się już nie dobrze robiło, przeczuwał bowiem nieszczęście, został przed otworem, dla odbierania podawanych worków. „Fórtko otwórz się!“ krzyknął grubym i tęgim głosem lichwiarz. Drzwi się otwały, wlaższy rzekł spiesźnie zapewne, aby mu nikt nie przeszkadzał: „fórtko zamknij się“, a drzwi się zawarły. Ledwie tylko wszedł i przerzucił ożerajacemi oczyma wszystkie kadzie, beczki i skrzyneczki z złotem, srebrem, perłami i drogiemi kamieniami, wyjął drżącą ręką worki i woreczki, aby je napełnić. Wtém wyszedł z głębi pieczary wielki czarny brytan, z błyszczącemi oczyma i położył się na pieniądzach. Przestraszonemu lichwiarzowi zawróciło się w głowie, upuścił worki, a wielki czarny brytan pokazał mu zęby i zawył: „Po cóż tu przyszedł nienasycony lichwiarzu?“ Dreszczem przejęty upadł na ziemię i popęztał na rakach ku drzwiom, lecz w strachu zapomniał, jak miał mówić. „Drzwiczki otworzcie się, bramo otwórz się“ krzyczał raz po raz, lecz fortka była zamknięta.

Długo czekał na niego wieśniak z drżącym sercem. Wreszcie przystąpił bliżej ku drzwiom. Tu usłyszał głuchy krzyk i jęk pomieszany z złowieszczym wyciem psa, potem wszystko ucichło. Właśnie zaczęto dzwonić na nabożeństwo do kościoła. Zmówił Ojczy nasz, i z lekka zapukał do drzwi, „fórtko otwórz się“, drzwiczki się odemkły. Ale co za okropność — Leżało krwią zbroczone ciało nędznego sąsiada rozciągnięte na worach — a kaulie, beczki, i skrzynie ze złotem srebrem, perłami i dro-



giemi kamieniami zapadały się z wolna w ziemię przed jego oczyma.

2. Świercz wielki prorok.

W jednej wiosce żył ubogi wyrobnik, nazwiskiem Świercz. Licha była jego odzież, ale nędzniejsze jeszcze pożywienie; suchy kawał śniadego i spleśniałego chleba, był zwyczajnym jego pokarmem. Dla tego, gdy mu się czasem, najętemu do żniwa, gdzie zwyczajnie lepszą strawą podsycają ochotę pracowników, udało skosztować nabiału, sera lub masła, nie posiadał się natenczas z radości; a gdy go kiedy kawałkiem tłustego mięsa uraczono, ukontentowanie jego nie miało granic; i w uniesieniu zwykł był powtarzać, chętniebym poniósł najsroźsze kary, nawet i to nędzne położył życie, gdyby mi kto przez trzy dni przynajmniej pozwolił użyć wszystkich rozkoszy pańskiego stołu. Zdarzyło się, że powracając z roboty i wstąpiwszy w pewnej wiosce do karczmy, dowiedział się, iż pani tych dóbr zgubiła niedawno bardzo kosztowny, brylantowy pierścień, i że znaczną obiecała temu nadgodę, ktoby go znalazł. Okoliczność ta zdawała się naszemu zgłodniałemu chłopu najdogodniejszą nastęrczać sposobność do zaspokojenia coraz bardziej wzmagającego się apetytu. Myśli więc sobie: udam się za wróżka; powiem, że potrafię wynaleźć pierścień, pod tym warunkiem, aby mi przez trzy dni wprzody najwyborniejszych potraw i napojów używać dano. Po trzechdniowym bankiecie wyda się oczywiście szalbierstwo moje; poniosę zasłużoną karę, ale mniejsza o to; doznawszy takiej rozkoszy mogę téż cokolwiek pocierpieć. Odzywa się więc w karczmie do ludzi dworskich, iżby może potrafił pierścień znaleźć, ale żąda, aby go pierwój po pańsku przez trzy dni częstowano. Gdy się o tém pani dowiedziała, ucieszona, kazała natychmiast chłopu do

dworu zawołać, wyznaczyła mu osobny pokój, i dała rozkaz, aby go jak najszczodrzej traktowano, nie szczędząc najwykwintniejszych potraw i napojów. Uradowany nasz biedak tak łagłym i niepojętym szczęściem, myślał tylko o rozkoszach, które go czekają, nie zaś o odkryciu zguby, która go wcale nie obchodziła. Gdyby był miał trochę więcej oleju w głowie, byłby może użył jakiego fortelu dla wyśledzenia sygneta, znajdującego się podług wszelkiego podobieństwa w ręku domowników. Jakoż było we dworze trzech lokajów, którym pani zgubionego w ogrodzie pierścienia szukać kazała. Ci znalazłszy tak kosztowny brylant, i utaiwszy go między sobą, nie mało się teraz zjawieniem tak niebezpiecznego sobie człowieka strwożyli. Lecz bystry wzrok naszego wieszczka, nie sięgał dalej jak do półmiska, marzył on tylko o bankietach, z resztą polecał się Bogu, będąc zdecydowany na wszystko. Przeznaczony na jego usługi jeden z trzech współników przytajejonej kradzieży, służył mu jak najpilniej, uważając na każde jego poruszenie. Na wieczór, gdy sobie chłop naleździe podjadł i podpił, położył się w łóżko; a przypomniawszy sobie, że już dzień jego rajskiej rozkoszy upłynął, rzekł, spoglądając na lokoja: „Bogu dzięki, to już jeden.“ Na złodzieju czapka gore, — przestraszony lokaj myślał, że chłop do niego mowę stósuje; pobiegł więc śpiesznie do swych towarzyszków i powiedział, że się ich kradzież wydawać zaczyna, gdyż już jego pierwszego wieszczek wymienił. Strwożyli się wszyscy niezmiernie, postanowili jednak czekać końca tej katastrofy, a w tym celu drugiego lokaja do usług chłopca z pomiędzy siebie wybrali. Chłop pozwolewszy sobie drugiego dnia jeszcze więcej niżeli wczoraj, marząc o tak szybko upływającej szczęśliwości, westchnął sobie i rzekł patrząc na lokaja: „Chwała Bogu, to już i drugi.“ Lokaj tém większą zdięty

trwoga, bieży natychmiast do swych kamratów, twierdząc, że już wszystko stracone. Lecz ostatni lokaj krzepi jeszcze odwagę swych towarzyszków, każe im wytrwać do końca, kiedy rzecz nie jest jeszcze całkiem odkryta, a tymczasem bierze sam na siebie obowiązek służenia mniemanemu wrózkowi; lecz mając już głowę nabitą postrachem, rzuconym przez swych kolegów, a przytém dręczony wyrzutami sumnienia i obawą zasłużonej kary, drzy na każde spojrzenie chłopca, uprzedzając jego skinienia. Nie żałował sobie i dzisiaj nasz chłopiec, aż nareście znudzony snem i winem, zabierał się do spoczynku, i kładąc się w łóżko, rzekł: „Otóż już trzeci i ostatni, dokazałem swego.“ Na te słowa zimny dreszcz przejął występnego sługę, który był pewien, że się do niego ściągają. Tymczasem chłop widząc koniec swych rozkoszy, a wiedząc oraz, że go za to niechybna czeka kara, począł nareście wzdychać. Gdy lokaj z przestachu nieco opłonał, spytał go się, dla czego tak wzdychał. Chłop na niego smutno spojrzawszy, rzecze: „Ah bracie, jakże nie mam boleć, trzeba będzie ciężką wytrzymać karę.“

Przerażony lokaj zagrożoną sobie karą, bieży czémprędzej do swych towarzyszy, potwierdza ich obawę, dodając, iż nie ma innego ratunku, jak wyznać wszystko dobrowolnie przed chłopem, i o zamilczenie prosić. Jeszcze Świercz w najlepszą chrapał, gdy niespokojni współnicy kradzieży przychodzą, wszyscy trzej raniutenko do jego pokoju, padają na kolana, oddają pierścień, błagając na klęczkach, aby ich przed panią nie wydał. Chłop z początku myślał, że go przyszli brać na tortury, prędko jednak przychodzi do siebie, udaje, jakby o wszystkiém wiedział, i przyrzeka zręcznym sposobem zataić sprawców, byleby pierścień u niego złożyli.

Niezmiernie uradowani słudzy, że im się tak gładko

udało wywinąć, przynieśli na jego rozkaz tajemnie wielkiego indyka, któremu pierścień chłop ów dał w chlebie połknąć. Wprowadzony potem wieśniak do pani na posłuchanie, przybiera poważną minę, i oświadcza, że pani chodząc wtenczas, a wtenczas po ogrodzie, zdejmując rękawiczkę, zgubiła pierścień, który od indyka tamże biegającego półkniętym został; że sygnet ten znajduje się dotąd w jego brzuchu, i może być téj chwili z niego wydobyty. Ucieszona pani kazała zaraz spędzić wszystkie indyki, a chłop po chwili wskazał znajomego sobie ptaka, kazał go rozpruć w przytomności pani, i z wielkiem podziwieniem wydobył z wnętrzości jego kwestyonowany pierścień.

Można sobie wystawić niesłychaną radość pani i powszechne zdumienie domowników. Reputacya naszego wieszczka była zupełnie ustalona, gdyby nie pan, który właśnie w ten dzień do domu był powrócił. Ten pomówiwszy nieco z tym zawołanym prorokiem, nie chciał żadną miarą uwierzyć w jego dywinacyę; aby więc zawstydzić prostaka, postanowił wystawić go na małą próbę. Właśnie gdy się dość żywo umawiał z swoją żoną, uporczywie sławy jego broniącą, zdarzyło się, że się świerz w kominie odezwał. To dało powód, iż pan kazał go służącym poszukać, wsadzić do półmiska przykrytego talarzem, a zaleciwszy głębokie milczenie, wezwał do swego pokoja wiejskiego augura, i rzekł do niego: „widzisz oto stojący na stole półmisk, jeżeli mi natychmiast nie powiesz, co się w nim znajduje, każę cię jako bezczelnego oszusta ochłostać i uszy ci oberznąć. — Zmieszany chłop tém niespodziewaném zagadnieniem, znajdował się prawdziwie w krytyczném położeniu, nie wiedząc, co na to powiedzieć, i ulegając już niejako losowi, rzekł sam do siebie, spoglądając na półmisk, jako na przyczynę swego nieszczęścia: — biedny Świer-

czu, otóż cię złapano. — Brawo, zawołał pan, — podając rękę, zdumiałemu chłopu; — daruj mi moje niedowiarstwo! — a ucześniejszy go jak najlepiej, hojnie obdarzonego do domu odesłał.

3. *Madejowe łoże.*

Był to dzień pochmurny jesiennój pory, gdy pewien kupiec, powracając z dalekiej podróży, wjeżdżał wypakowaną bryką nad wieczorem do gęstego lasu, z zaknionemi w odległym mieście towarami. Woznica radził, choć było nieco zawcześnie, w poprzedzającej wiosce na nocleg pozostać; wiedział bowiem, że bór na trzy mile był rozległy, a przytém spadłe deszcze utrudzały drogę, i nie prędsze, jak około północy, do najbliższego noclegu rokowały przybycie. Lecz niecierpliwy kupiec, pragnąc po dwumiesięcznym oddaleniu, jak najprędzej oglądać dom własny, a nadewszystko swoją ukochaną żonę, naglił koniecznie do dalszej podróży. Na nieszczęście drogą była coraz gorsza, a gruba ciemność tak dalece przeszkadzała postępowaniu przeladowanej bryki, iż niedługo pan szczerze żałować począł, że mądrej rady swego sługi nie usłuchał. Z tém wszystkiém w obecném położeniu nie pozostawało nic więcej, jak zdawszy się na Opatrzność boską, jechać dalej.

Już się byli z wielkim mozołem do połowy lasu dobili, gdy naraz bryka w błocie uwięzła. Na próżno gorliwy woznica wśród natężonych okrzyków wiu! wiu! siekł biczem zmęczone konie, które zataczając się coraz bardziej w bezdennym roztopie, same nareszcie w błocie zagrzezły, tak, iż bez obcej pomocy nie podobna było z miejsca wyruszyć. Coż tu robić? Biedny kupiec znajdował się istotnie w oplakanyim stanie. Zmęczony, zadyszany od natężonej pracy około wydobywania bryki, a przytém przemokły, zachodził prawie w głowę, i ostatniej podawał się roz-

paczy, przeklinając drogę i swój nieszczęsny upor że się o tój dobie w ten las zapuścił: gdy naraz przy bladym świetle księżycy, który z zachmury był wyrzał, zobaczył koło siebie stojącą postać. Na pierwszy rzut oka, wziął ją z kusěj kurtki za borowego tėj kniei; lecz twarz wykrzywiona, oczy jaskrawocienkie i w kurzą stopę zakończone nóżki, na których zdawał się płynąć, zdradzały posłańca piekła. Aby się więc tём lepiej przekonać o charakterze przybysza, przeżegnał się nieznacznie. Syknął, choć zdala od niego stał, i skrzywił się mniemany myśliwiec wołając na kupca: „precz z tą motaniną! przyszedłem cię ratować; jeżeli nie chcesz użyć mój pomocy, i wolisz przepaść w tём bagnie; mniejsza o to; ty nie jesteś pierwszy, co tu w tём topielisku kark skrećił.“ Gdy kupiec nic mu na to nie odpowiedział, diabeł biorąc jego milczenie za zezwolenie, dodał: „no! widzę, bracie, masz rozum, że nie zechcesz czekać, aż koniom łbów widać nie będzie, i wolisz mniej stracić, niż wszystko. Lecz śpiewać darmo, boli gardło — nie jestem zbyt interessowany, jeżeli mi dasz to, co masz w domu, a o czém nie wiesz, wydobędę cię z tego błota.“ Kupiec rozumiejąc, że zna na palcach dokładnie cały inwentarz swego majątku, pomyślił sobie: to zapewne nowicyusz, mało widzę ma znajomości świata; nie wie, że teraz ludzie, a zwłaszcza kupcy, lepszymi są kalkulatorami; korzystajmy z jego głupoty. Diabeł widząc jego gotowość, rzekł, „ostrożność wszędzie potrzebna, musisz mi wystawić mały rewersik, bo wiesz dobrze, że teraz na gołe słowo spuścić się nie można. W mgnieniu oka, wy dobył z zanadru kawał byczěj skóry, i ostrym scyzorkiem utoczywszy kupcowi krwi z serdecznego palca, wystawił kwestyonowany rewers *in optima forma*. Poczém podskoczywszy z radości, wydobył niepojętym sposobem brykę, i wyprowadził ją na suche miej-

sce. Nagle okropny wichur zaszumił po gałęziach gęstego lasu: znikła czartowska postać, błąd tylko plomyk, jak gdyby błędnego światełka, mignął w gęstwinie, a w odległości dał się słyszyć przeraźliwy świst i piekielny śmiech: ha ha ha! Wystraszone złowieszcze sowy, puszczyki i kruki huczały i krakały nad głową strwożonego kupca. Włosy stanęły mu dębem na głowie, a biedne zszeczone nawet konie, dohywając ostatniej siły, parskając i chrapając, w największym pędzie uchodziły z tego okropnego miejsca. Jakoż po niejakiem czasie wyjechał przecie na otwarte pole, gdzie dopiero z przestrachu opłonał, i biednym zwierzętom wytechnąć pozwolił.

Pogodny i uśmiechający się poranek, zatarł w nim niedługo pamięć téj nocnej zgrozy; a zdała wynurzone z horyzontu znajome wieże ojczyzno miasta, do bliźkiego domu całą jego zwróciły uwagę. Gdy ładowna bryka już przed domem stanęła, uradowana żona, z ustęsknieniem wyglądając przybycia męża, porywa syna swego na ręce, którym ją łaskawe nieba w czasie, tak długiego oddalenia męża, udarować raczyły, i bieży skwapliwie z uczuciem najżywszej radości na jego spotkanie. Rozczulony ojciec przyciska do swych piersi matkę i syna, którego tak dawno pragnął, roniąc łzy radości; lecz nagle jak gdyby piorunem uderzony, przypomina sobie swoje nieszczęśliwe z diabłem kunszachty: „Ah biada mnie nieszczęśliwemu, biada! cożem najgorszego uczynił! biedna ty niewinna istoto!“ Potém zakrywszy sobie twarz obie-
ma rękoma, rzucił się na ławę, i w największej rozpaczycy jęczał żałośnie. Zdziwiona kupcowa, tysiącne czyniła pytania, aby wybadać przyczynę smutku mężowskiego; lecz czyli to, że boleść jego przechodziła, wszelkie wyrazy, czyli też, że chciał czulej małżonce oszczędzić tak wielkiego strapienia, nic z niego wy-
dobyć nie mogła.

Nieszczęsny kupiec wylawszy łez strumienie, ulżył sobie wprawdzie nieco, jednakże bez przestanku wewnętrzzną zgryzotą dręczony, w ciągłym był pogrążony smutku; nigdy od téj okropnej przygody, nie osiadł wesoly uśmiech na jego ustach. Czarujące nawet pieszczoty lubej dzieciny, zdawały się w nim podwajać srogie męczarnie. Tymczasem wzrastało małe dziecię. Troskliwa matka cała wychowaniem jego zajęta, wpajała weni wcześniej zarody cnoty i bogobojności; a nawet i ojciec, gdy się smutek jego nieco ukoił, najbardziej lubił z dzieckiem rozmawiać o boskich wyrokach religii, zwracając wcześniej jego uwagę na duszne zbawienie. Nic dziwnego zatem, iż synaczek, gdy już w naukach znacznie postąpił, stósownie do życzenia rodziców, duchownemu się poświęcił stanowi. Odwieziony do seminaryum, nie tylko pilnością i gruntowną nauką, ale też i pięknem postępowaniem stał się wkrótce wzorem dla swych współuczniów, i był zupełnie szczęśliwy; ta go tylko okoliczność martwiła, że ile razy do domu na wakacye przyjechał, zamiast wyczytać radość z twarzy swego ukochanego ojca, zawsze na niej smutek oglądał. Nareszcie gdy już został dyakonem i był bliżkim kapłańskich święceń, przyjechawszy po raz ostatni do domu na wakacye, upatrzył sposobną porę, i tak czule wyraził ojcu potrzebę odkrycia mu powodu jego ciągłego kłopotu, iż ten nie mógł się dłużej opierać, i wyjawil synowi fatalne o duszę jego z diabłem frymarki.

Kleryk wysłuchawszy spokojnie rzeczy całej, bynajmniej się nie uląkł; owszem natychmiast przedsięwziął odwiedzić czartowską rezydencyą i wyrwać piekłu zapis swój duszy. Opatrzony w relikwie, które go od napaści szatańskiej chronić miały, wziął z sobą kropidło i święconej wody kociołek. Trzeciego dnia samotnej wędrówki wszedł w gęsty las;

im dalej postępuje, tym dziksza i posepniejsza otacza go knieja. Już słońce schyliło się ku zachodowi, już i gruby zmrok zapadł, a nasz kleryk zbłąkany w lesie, sam nie wie, dokąd idzie. Położenie jego było smutne; wtém naraz ujrzał zdale pomiędzy gęstą zaroślą słabe światelko. Ucieszony spiesźnie kroki swoje w tę stronę skierował, i spostrzegł wkrótce przed sobą nędznie skleconą lepiankę. Chociaż odludność ukrytego i do łotrowskiej jaskini podobnego miejsca, nie radziła w niém szukać gościny, jednak potrzeba, głód i utrudzenie przemogły. Kilkakrotne stukanie do drzwi, sprowadziło nareszcie do niego zgrzybiałą babę, która naszego wędrowca do izby wpuściła. Tu gdy mu się lepiej przypatrzyła, ulitowała się jego młodości, i rzekła: „Kochane dziecko, uciekaj czém prędzej, bo cię tu niechybna śmierć czeka. Mój syn jest rozbojnikiem, wyglądam go co chwila, a jeżeli cię tu zastanie, życiem twojem swęj śmiałości przypłacisz; uciekaj dla Boga! on jeszcze nikogo żywcem z rąk nie puścił.“ — Ale kleryk tak był zmęczony, tak łaknący posiłku, tak przemokły do nitki, iż wolał pozostać w ciepłej chacie, niż na nowe w lesie narażać się niebezpieczeństwa; błagał przeto miłosierdzia staruszki, aby go posiliła i ukryła w miejscu bezpiecznem. Ledwo lichą strawą pokrzepił się cokolwiek, gdy nagle dał się słyszeć gwałtowny kołat u drzwi. Przelękniona kobieta z trudnością zdążyła ukryć go za piecem, przyrzuciwszy łuczywem, i pobięła drzwi otworzyć. Zniecierpliwiony zbójca wkroczył do izby popędliwym krokiem, mrużąc groźnie pod nosem, że mu tak długo za drzwiami stać kazała, a potem strzeliwszy po izbie swym jastrzębiem wzrokiem, i wachając jak wyżeł, gdy zwierza trop poczuje: „Ha matko! zawołał, czując świeże-człowiecze cielsko; gdzie jest? albo czy chcesz, abym i tobie moją maczugą łeb zgruchotał?“ Nim struchlała niewiasta zdołała ru-

szyc się z miejsca, odważny kleryk, nie czekając ostateczności, wyskoczył z za pieca i w pokornej postawie błagał jego litości. „Co litości?“ zagrzmiat straszliwym głosem rozjuszony rabuś „litości! ja nie znam tego słowa; jak się twój mózg pod grzmiotem mojej pałki rozprysnie, to będzie moja litość: klękaj i gotuj się na śmierć; lecz krótko, bo ja nie lubię długich ceremonii.“ Nieszczęsny młodzieniec widząc się tak nagle przed bramą wieczności, przed wydobyciem z paszczy piekielnej duszy swojej zapisu, tak przenikliwym, tak rozdzierającym głosem błagał twardego zbrojcę o życie, iż ten zmięczony spuścił podniesioną pałkę, i ciekawie o bliższe przyczyny jego piekielnej wędrówki dopytywać się począł. Wymowny kleryk obszernie opowiedział rzecz całą, ponawiając swą prośbę, aby daszy jego nie wystawiał na niechybną zgubę, oddając ją w moc czartowską. Rozbojnik stał długo zamyślony, nakoniec ozwał się ponurym głosem: Dobrze, daruję ci życie, ale jedynie pod tym warunkiem, że za powrotem wstąpisz do mnie i opowiesz mi, coś w piekle widział i słyszał. Zjadłszy w milczeniu zgotowaną wieczerzę, udali się obaj na spoczynek. Nazajutrz skoro świt, już kleryk nócąc pobożną rauną piosenkę, puścił się w dalszą podróż. Idzie przez pola, góry, lasy, pustynie, aż naraz, prędej niżeli się spodziewał, ujrzał się przed bramami piekła. Opalone czeluście, z których niekiedy grube kłęby dymu wybuchały, oznaczały główną kwaterę diabłej Mości. Szum płomienistych balwanów, przeraźliwy świst wiatrów, okropne jak gdyby obracających się kół młyńskich łaskoty, syk węzów, przeraźliwy ryk katowanych: wszystko to czyniło straszliwe, prawdziwie piekielne chaos okropności i zgrozy. Ale mężny kleryk, ufny w moc świętych talizmanów, a nadewszystko w czystość swego sumienia, ochoczo się do zapasów z piekłem sposobił.

Wydobył święconą kredę trzech króli, szkaplerze i relikwie świętych, zanurzył potrzykroć kropidło w wodzie święconej, potem zaintonowawszy pieśń: „Kto się w opiekę poda Panu swemu,“ odważnym krokiem pogрузił się w ten krater piekła. Co tam jego oko widziało, co ucho słyszało, tego żadna ludzka ręka skreślić nie zdoła: tu straszna poczwara wiję się w kłęby, syczy żądłem i straszliwe kłęby nad nim roztacza; tam inna rozwiera paszczę, klaszcze kłębem ostrym i bucha płomieniem; tu kipi płomienista fala, tam otwiera czarna otchłań bezdenną przepaść, ówdzie, jak gdyby w hucie, wyziewają piece ogniste żary, przy których biesy, przypiekają w kleszczach biedne duszyczki, a potem kują ogromnym młotem na rozpalonym kowadle. Lecz nieulekły kleryk śmiało naprzód postępował, i kropiąc kropidłem, i rum sobie czyniąc, walił prosto do Lucypera, jako najwyższego władcy piekła. Gdy się do niego zbliżył, oświadczył mu wręcz, że przychodzi po swój cerograf, który tak nieuczciwym sposobem jeden z czartów na ojcu jego wyłudził; a gdy Lucyper nie wiele pokazywał ochoty, przychylenia się do jego słusznego żądania, aby dodać więcej wagi swym słowom, tak ostrym z góry powitał go exorcyzmem, tak gorącą swoim kropidłem sprawił mu łaźnię, że biedne diabliśko, rycząc z bólu, rzucało się jak wściekłe na wszystkie strony, i ledwo się nie urwało z łańcucha, którym do swego żelaznego tronu było przykute. Tak więc nie pozostawało mu nic więcej, jak przychylić się do prośby natarczywego supplikanta, kazał przeto zawołać posiadacza dusznego wexlu, i bez odebrania waluty oddać go natychmiast interesentowi. Był nim ów osławiony duszołowca Asmodeusz, kulawy na jedną nogę, wywiedły, a nadewszystko nieużyty, jak sknera, kiedy ma powrócić grosz już schowany do swęj szkatuły. Zacięcie więc wzbraniał się wydać

w sporze będący cerograf. To uchybienie przeciw subordynacyi, pociągnęło za sobą porządkową karę: Asmodeusz porwany został na męczarnie, aby na nim wydanie cerografu wymusić; lecz on znosił cierpliwie najśrodsze męki, któremi go piekielni oprawcy stopniowo dręczyli. Kleryk nie widząc skutku, z podwojoną natarczywością uderza na Lucypera, i jużto kropidłem, już nareszcie, gdy wody przybrakło, samém poświęconém kociołkiem, tak mu dojmować zaczyna, że ten wśród najokropniejszych bólów zagrzniał straszliwie: bierzcie go na *Madejowe łożo*. Na te słowa Asmodeusz rzuca z największą wściekłością klerykowi cerograf pod nogi. Była to bowiem najstraszniejsza piekielna męczarnia, usłana z samych ostrych brzytw, które ciało w najdrobniejsze siekąc kawalki, w jednej chwili na miazgę ścierały. Ułatwiwszy tedy kleryk swój interes w piekle, myślił o odwrocie. Lubo odważnym umysłem téj wyprawy dokonał, jednakże gdy już opuścił terytoryum piekła, i ujrzał promienie słońca, westchnął sobie głęboko: „Bogu chwała!“ a padłszy na kolana dziękował gorąco niebu, za tak potężną opiekę; poczem zadowolniony sam z siebie, powracał tą samą drogą. Przechodząc przez ów las, przypomniał sobie dane słowo; zboczył więc do chaty rozbójnika, któremu wszystko co do joty opowiedział, dodając, że dopiero męczarnia na *Madejowem łożu* zniewoliła czarta do wydania cerografu. Na te słowa zbladł zakamieniały morderca, a potem w największej rozpaczyci załamując ręce przeraźliwym głosem zawołał: „ja jestem *Madej*, dla mnie te męczarnie zgotowane: biada mi, ah biada! zbrodni moich miara jest tak wielka, że żadnej już dla mnie nie masz nadziei!“ To rzekłszy z rozpaczycy w prochu po ziemi się tarzał. Wzruszony kleryk jego żalem, chciał go pocieszyć, mówiąc: iż miłosierdzie boskie jest nieograniczone, że niemasz tak

wielkiego grzechu, którego by Bóg nie odpuścił, jeżeli tylko grzesznik z prawdziwą skruchą do niego się nawraca. Te uwagi uspokoiły nieco złoczyńcę i miały zbawienny skutek, gdyż w tej chwili uroczyście wykonał przysięgę, że porzuci swe okrutne rzemiosło, i pozostałe jeszcze życia chwile, choćby w najtwardszej pokucie przepędzić pragnie. Co większa, padłszy klerykowi do nóg, zaklinał łze zami, żeby mu dopomógł usprawiedliwić się przed Bogiem. Wziął więc tenże jego pałkę, zatknął w ziemi, i rozkazawszy uklęknąć przy niej Madejowi, wysłuchał go długiej, straszliwej spowiedzi; po czém rzekł do niego: „grzeszna duszo, rozgrzeszenia dać ci nie mogę, choćby nawet mniejsze były winy twoje, bom jeszcze kapłańskich nie odebrał święceń, jednakże nie rozpaczaj, miej ufność w Bogu, żałuj z całego serca za grzechy, skrapiaj łzami tę ziemię, a niebo prośb twoich wysłucha, i zesle ci kapłana, który ci da absolucyą; a jeżeli by to nie nastąpiło, to ja do ciebie przybędę, skoro tylko uzyskam moc odpuszczania grzechów. To rzekłszy, polecił go gorącą modlitwą miłosierdziu Boskiemu, w dalszą puścił się drogę, i wkrótce z wielką radością rodziców w rodzinne zawitał progi.

Nie długo młody kleryk, odebrał z rąk biskupa kapłańskie święcenie, został księdzem, a postępując dla swéj głębokiej nauki i szlachetnego serca, na coraz wyższe stopnie, po śmierci biskupa na tę godność wyniesiony został. Trafiło się, że gdy raz w interesie powierzonych sobie diecezji, dość daleką odbywał podróż, i przez gęsty las przejeżdżał, zaleciał go zapach wonnych jabłek, które z niezbyt odległej jabłoni błyszcząc szkarłatem i złotem uśmiechać się do niego zdawały. Kazał więc stanąć swemu słudze, i pójść urwać kilka tych pięknych jabłek; lecz gdy się ten do jabłoni zbliżył, i rękę skwapliwie po owoc ściągnął, obili się o jego uszy słowa: „Kto

mnie sadił, ten tylko rwać może.“ Przelektły sługa przybiega do swego pana, z oznajmieniem tak dziwnego zjawiska. Te niepojęte wyrazy odnowiły w nim pamięć dawniejszej przygody, przypomniał sobie dane przyrzeczenie rozgrzeszenia, o którym dla ważnych obowiązków swoich był zapomniał, przywdział więc kapłańskie szaty i pospieszył do jabłoni.

Tu pod drzewem widzi klęczącego, ku ziemi pochylonego starca, którego siwa broda, aż do kolan spływała. Poznał w nim Madeja; wzniósłszy zatem umysł do Boga, czyni nad nim znak krzyża ś. i wymawia absolucyą. Lecz o cudo! gdy go się palcem dotknął, ciało jego w proch się rozsypało, a złote jabłuszka w błogosławione zmienione duszyczki, do nieba uleciały.

4. *Prezent.*

Nie dawne temu czasy, ani dalekie miejsce, w którym stał się wypadek dziwny, do uwierzenia trudny, przecież prawdziwy, bo pani Chorążyna, własnem na wszystko patrzała okiem. A chociaż jej usta onie miały na wieki, prawią przecież usta osób innych, powtarzając powieść Chorążyny co do słowa, *Relata refero*. W drewnianym dworku, z którego okien piękny jest widok na błyszczące w oddaleniu białe domki sąsiedniego miasta, i na górę wybiegającą nad miasto — na której jednym szczycie stoi Ś. Marcina kościółek, na drugim podobne do łupin stłuczonego orzecha Tarnowskich zamku sterczą okruchy. Otoż w dworku tym drewnianym mieszkał Chorąży dzie dzic wioski. Błogosławieństwo boskie spoczywało nad jego domem; wszystko pomyślnie mu się wiodło. Pomnożył się przychówek, szkatułka coraz bardziej cię żała. Mówiono o nim, iż wężyka miał w kieszeni, ile razy przypadło sięgnąć po grosz, syczał okropnie, i odstraszał rękę żądkiem. Przecież był ludzkim

i gościnnym w całym znaczeniu tego wyrazu, bo rzadki był wypadek, ażeby gość trzeźwy od niego odjeżdżał. — Miał żonę młodą i piękną. Aniela chowała się u babki, której była pieszczoszką, i nie było szybki w oknie, żeby wnuczka jej nie miała, byle się napała. Zostawszy Ckorażyną, zdarzało się często, iż skromne jej życzenia i marzenia rozбивały się, jakoby o twardą skałę, o upór oszczędnego męża.

Sąsiadki na przekorę pokazywały nieszczęśliwej tej istocie, coraz to nowe robrony, kornety, manele, chusty. Aniela dodzierała tylko ślubną swoją wyprawę. Lecz nigdy większego nie doznała frasunku, jak w ówczas, gdy się dowiedziała, iż najbliższą jej przyjaciółkę związał mąż na urodziny sznureczkiem pereł uryańskich przesłicznej wody.

Żalością przejęta, zapłakała z smutku i zazdrości. Sąsiadka bowiem ta, szczęśliwsza od niej, była żona dzierzawcy, trzymającego folwark od proboszcza. A ona dziedziczka, korale tylko nosiła na szyi. Ale żale i płacze nie przemoży Chorążego; skarcił żonę, że jej się zachciewa zbyt w tych ciężkich czasach.

Biedna żona rzuciła zapłakaną oczkiem na ciężką szkatułkę i westchnęła.

Wkrótce potem przyszedł posłaniec z listem od babki Anieli, w którym staruszka wzywała wnuczkę, aby zjechała do niej na święta.

Choraży uradowany tęp nie mało, chodził po izbie, i zacierał ręce, wiedząc o tęp, iż babka kochana, stósownie do zwyczaju swojego, odsełając do domu wnuczkę, obdarzy ją znowu sumką jaką na szpilki. —

Odjechała Chorażyna, a mąż z niecierpliwością wyglądał powrotu żony. Po kilku tygodniach przysłała nareście wiadomość, że wraca.

Choraży wychodził naprzeciwko małżonki kilkakrotnie. Jednego wieczora nareście, wyszedłszy na

wzgórze, dojrzał wznoszącą się kurzawę na gościńcu, poznał siwe konie, i koczyk. „Wraca, wraca“ zawołał, i zbiegłszy na drogę, czekał. Nadjechała żona.

„Stój“ krzyknął Chorąży — zatrzymała się kołasa, wysiadła żona, smutna jakaś i zapłakana rzuciła się w objęcia małżonka, który zadziwiony tym smutkiem, zapytał: „co się stało moje serce? powiedz.“

— Nie gniewaj się na mnie, jam niewinna — odpowiedziała zapłoniona. Dobyła chustki z woreczka, zakryła sobie oczy płaczące.

„Ale cóż się stało? powiedz,“ powtórzył Chorąży.

— Skradli mnie, skradli, zabrali wszystko — przemówiła żona.

Daremne byłoby staranie moje, opisać scenę, jaka nastąpiła po tém wyznaniu Chorążyny — iż na noclegu w karczmie skradziono jęj sakiewkę z dukatami, o której była wzmianka w liście babki do Chorążego pisanym.

Chorąży przyszedłszy do siebie, nie zasnął chwili, wysłał, i sam nareście poleciał na miejsce popełnionej kradzieży.

Badano, szukano, ale bez skutku.

Miesiąc upłynął, jeszcze Chorąży żalu swego strawić nie zdołał, i nie było żadnej w dniu jednym godziny, ażeby nie wyrzucał swęj żonie, iż płocha tyle, i nieostrożna — powtarzając swoje — „a mówiłem, miej się na ostrożności, sto cz. zł. nie chodzi piechotą, stracić tak lekkomyślnie!“ Czas najlepszy na troski lekarz, przyniósł niejaką w tym frasunku ulgę. Chorąży zapominać się zdawał doznanej szkody.

Zdarzyło się pod tę porę, iż Chorąży o zaoranie kopca granicznego sąsiadowi, pozwany do *Forum Nobilium* — wyjechał do miasta — dzień to był czwartkowy — dzień procesu.

Sprawa, acz wątpliwa, zręczną wymową Chorą

żego, tak pomyślny wzięła obrot, iż upadła; owszem powódca na kosztu processu skazany został.

In gratiam tak pomyślnego sprawy zakończenia, Chorąży zaprosił pana sekretarza, i kilku dobrych znajomych do Szmula na lampkę.

Było to jakoś z jesieni: pora dżdżysta i śnieżna. Szum wynosił butelkę po butelce, próżne odnosił. Już dobrze się zmierzchło. P. sekretarz nie żegnał fundatora, a temu jak traktującemu nie wypadało brać za czapkę pierwszemu. Ciągnęła się pogadanka o polityce Europejskiej, Amerykańskiej i Azyateckiej. Zadzwonili w ratuszu na dobranoc, a Chorąży kieliszkiem o kieliszek sekretarza dzwoniąc, zawołał: „kochajmy się.“ Ostatniem tym zdrowiem przywalony, padł na ławę Chorąży, do rana na niej doleżał, sekretarza zaniesiono do stancyi.

Nazajutrz o poranku, wracał Chorąży do domu. Gdy skręcał z gościńca ku dworowi wedle karczmy, gościnny, uchylając czapki, do bryczki przybieżał, i zawołał: „Niechno Wielmożny Pan jedzie do dworu, a prędko, dobre rzeczy tam słychać.“

Cóż to za dobre rzeczy?

Niechno Wielmożny Pan jedzie, sam na własne oko obaczy ten prezent, te perły.

— Jaki prezent? jakie perły? — zapytał Chorąży zdziwiony; — lecz woźnica śmignął batem, i przeciął dyskurs pana z karczmarzem.

Po drodze rozmyślał Chorąży, coby to znaczyły te perły, ten prezent; a wołał na woźnicę, by pospieszał. Ledwie co wjechał na podworze — obskoczyła go czeladź wszystka, przebąkując coś o prezencie, o perlach.

Z wrzasku tego, i poplątanéj gadaniny, rozumnego nie mógł wyciągnąć słowa Chorąży. Szedł więc do izby i zastał żonę przed zwierciadłem stojącą; w rękę sznur pereł miała, raz do szyi to znowu do czoła

przykładając je i przymierzając, patrzyła w zwierciadło, i uśmiechała się wesoło, jak dziecko, a postrzegłszy wchodzącego, biegła do męża, pokazując mu perły.

Zdziwiony Chorąży oku niewierzył własnemu, wziął je do ręki, liczył jedną perłę po drugiej i przesuwał po sznurku. Nareszcie zapytał z kąd je dostała, od kogo? i któż ten wielkomyślny szlachetny dobrodziej?

„Usiądź mój mężulku, rzekła żona: opowiem ci wszystko, ale uprzedzam, żebyś mi wierzył, co mówić będę, bom sama na własne widziała oczy, klucznica nie widziała, ale słyszała; sama mówi, że słyszała.

„Nieinaczéj“ wpadła w słowa przytomna klucznica stara, słyszałem na własne uszy, słyszałem szelest i wrzawę jakąś w nocy, jakby kto kuferek przesuwał po podłodze.“

— Dobrze, już dobrze — przerwał Chorąży wierzę, już wierzę, tylko mówcie, co się stało. — Otóż to się stało zaczęła mówić żona: — Jakoś to było po północy, zegar wybił 3 kwadrance na pierwszą, ocknęłam się, niebo się wypogodziło, i miesiąc świecił jasno. —

— Ależ jako żywo! teraz księżyc na nowiu. —

A to gwiazdy może tak jasno świeciły: same nadzwyczajności działy się téj nocy. Wierz mi mężulku.

Nie inaczéj, i ja z drugiej izby widziałam, że jasno było w sypialni przemówiła klucznica.

— Otóż ocknęłam się, mówiła dalej żona, i nie spałam, zegar wybił pierwszą. Posłyszałam jakiś szelest pod łóżem mojem. Przestraszyłam się, bo nie wiedziałam, co by to znaczyło i myślałam że to...

— No! co tam, mniejsza, coś myślała — przerwał mąż, powiedz, co to było?

Otóż, kiedy myślałam, że to mysz może się tłu-

eze, a to nie mysz, ale człowieczek jakiś malutki, jak ci Liliputowie, co to niedawno czytałam ci z książki, którą mi kanonik pożyczył, taki sam maleńki Liliputek wyjechał na koniu, z pod łóżka mego.

— Cóżto pleciesz za baję — przerwał mąż.

— Ale mój mężulku kochany, słuchaj jeno dalej — rzekła żona.

Nieinaczej, niech Jegomość słucha, co dalej będzie, rzekła znowu klucznica.

— Otóż, na czémże stałam? wyjechał Liliputek na koniku małym, wyjechał na sam środek pokoju, zdiął kapelusz z piórkiem, pokłonił mi się pięknie, i przemówił:

— Prawisz duby, moje serce, — rzekł mąż.

— Słuchajże dalej — rzekła żona.

„Niechno Jegomość słucha“ rzekła klucznica.

I Chorąży słuchał dalej, nieprzerywając już opowiadania żony, które w skróconej umieszczam tu treści. Człowieczek maleńki, wyjechawszy na środek pokoju, zdiął kapelusz, uczynił pokłon i zapytał się pani Chorążyny, azali nie dozwoli państwu młodemu odprawić wesela w jej pokoju?

Przestraszona z razu Chorążyna takim nadzwyczajnym zjawiskiem, oczom własnym niewierząc, wzięła to wszystko za senne jakieś widzenie; ale słowa te dobitnie, i wyraźnie wymówione, przekonały ją dostatecznie, że to wszystko na jawie było.

Zakłopotana nie wiedziała sama, jaką dać odpowiedź: bez wiedzy, i woli, ledwie to słówko: *dobrze* wymówiła, już ci zaszeleściło znowu coś pod łożem, i razem cztery karetki małe, pięciokonne, wysunęły się z pod kobierca, który spadając z łóżka ku ziemi, zakrywał, co się działo pod łożkiem. Za karetkami bryczek kilka, nareście wózek z kapelą i kilku kawalerów konno. Cała ta kalwakata była drobna, maleńka — jednej miary z tym pierwszym

Jegomością, przodem wysłanym. — Karetki i bryczki, zastósowane do tych człowieczków były, domyśli się każdy — kiedy, jak wspomniałem, cztery karety i bryczek kilka, pod łóżkiem Chorążyny wygodnie pomieścić się mogły, a wysunawszy się z pod łoża, po izbie, jakby po obszernym Krakowskim objeżdżali rynku. Nie odbyło się to bez wrzawy: turkocik karetek, trzaski z biczyków woźnic, tentencik koniczków galopujących, obił się o ucho Chorążyny wraz z muzyką kapeli, wygrywającej dziarskiego marsza.

Muzyka ta była cicha, podobna do głosu pozytywki drobnej, w zegarku zamkniętej. — Kapeli nie słyszała klucznica, w drugiej spoczywająca izbie, czego żałowała najwięcej, i na pół śpiącej zdało się, że ktoś kuferek po podłodze przesunął.

Zatrzymały się karety i bryczki — i wszystko z nich powysiadło.

Tu widziała Chorążyna najprzód państwa młodych, ślicznie ubranych, nieco staroświecka. Jacyś sędziwi panowie i panie, družbowie, i innych gości mnogo.

Stanęli w wianek, kapela urznęła mazura, i wysunęła się pierwsza parka do tańca, po niej druga, trzecia, czwarta; taniec szedł żywo, i wesoło. Samą Chorążynę patrzącą na tańczących, ochota brała do tańca.

Po Mazurku, puściła się wiarka obertasa, potem drabanta, nareście Krakowiaka: w pierwszej parze hasał pan młody z panną młodą, obleciawszy koło po razy kilka w skokach żwawych, przyskoczył do łoża, za nimi długim sznurem ciągnęły się pary. Skoro przed łożem Chorążyny stanęli, skłonili główkami, i dwoje małych, dźwigając na patyczkach jakieś pudełko, złożyli je na ziemi przy łóżku, a starosta

dziękując gospodyni za gościnność, prosił, by prezent ten przyjąć raczyła jako wdzięczności podarek.

Kapela uderzyła znowu Marsza, rzuciło się wszystko do karet i bryczek; biczyki woźnic pukać zaczęły; i wszystkie cztery karety, bryczki wjechały pomiędzy drewniane słupki, na których kaflowy piec spoczywał; turkot i kapeli odgłos coraz to cichł, i wkrótce nastąpiła cisza w izbie, i izba była próżna.

Chorażyna nie rychło przyszyła do siebie — ochłonawszy nieco z podziwu i obawy, uniesiona ciekawością, co by się w tém zawierało pudeleczku, podniosła je, otworzyła, w pudełku były perły. Radością przejęta, nie mogła doczekać ranka, skoczyła z pościeli; przybiegłszy do klucznicy, pokazała perły, i całe opowiedziała zdarzenie.

Klucznica na obie zerwała się nogi, i tysiąc pytań zadawała pani, i żałowała niezmiernie, że nie była na weselu przytomną.

Rozbudziły wszystkie dziewczki i czeladź: wszystko się zbiegło do sypialni pani i nuż zaglądać pod łóżko, nuż pod piec i kijami stukać pod piecem; nie już nie było. Chorażyna niecierpliwie powrotu czekała męża, ciesząc się darowanemi perlami.

Skończyła mówić Chorażyna. Choraży się zadumał, głową kiwał, nareście przemówił:

„Rzecz dziwna, niesłychana! słyszałem o duchach i upiorach, ale o takich maleńkich upiorkach nie słyszałem dotąd; prawda, że w książkach piszą o jakichś tam Liliputach; trudno tu nie wierzyć, kiedy perły, które przecie dobrze widzę i czuję w garści to dowodzą.

To rzekłszy, przeszedł do sypialni, zajrzał pod łóżko, patrzył po podłodze, to schyliwszy się pod piec zaglądał, laską szukając i grzebiąc pod piecem. Zdarzenie to nadzwyczajne błyskawicy chyżością rozniosło się po okolicy.

Choraży przez cały ciąg żywota swego, tyle w swym

domu, nie miał gości, ile tygodnia następnego po tej nadzwyczajnej nocy. Mężczyźni i kobiety, starce i dzieci jak do świętego miejsca, zbiegali się tłumnie w dom Chorążego. A każdy z gości ledwie przebył próg domu, pędził do sypialni i patrzył po podłodze, i zaglądał pod łóżko i pod piec.

Niektórzy ślad jakiś dostrzegali jeszcze, a słupek jeden od pieca przytarty był nieco; ztąd wnoszono, iż karetą w szybkiej jeździe osią zawadziła o niego, dodał ktoś: „dobrze, że pieca nie rozwaliła ta czereda.“

— Nie dosyć na tém, oglądano przeciwną w przyścionku ścianę izby sypialnej, w czeluście pieca wstępowali ciekawsi, rozbijając się w domysłach, którędy te karety wyjechać mogły. Ten ślad tylko zostawili ci maleńcy goście. *)

VI. POWIEŚCI WSCHODNIE.

I. Hazad.

Był nie daleko miasta sławnego Damaszku, w okolicach jego mieszkający na ojczystej majątności starzec, zwany Hazad, ten miał trzech synów, którym wedle stanu swego dał jak najlepsze wychowanie. Gdy doszli lat, będąc chorobą ciężko złożonym, kazał im przyjsźdź do siebie, i rzekł: Duch niebios Azar szczególnym familii naszej jest protektorem; ten mi się dnia dzisiejszego pokazał widocznie i oznajmił, iż ty mój synu najstarszy Ibrahimie masz być żołnierzem,

*) Prawda, że Liliputkowie nie zostawili innego śladu, ale została go sama pani Chorążyna, która, jak sobie baczny czytelnik przypomnieć raczy miała sto dukatów od matki — wszak je skradli złodzieje w karczmie na noclegu? — może i nie skradli. Dość na tém, że te perły właśnie tyle kosztowały.

ty średni Osmanie prawnikiem, ty najmłodszy Juzupie kupcem. Przepowiedział, iż wszystkim wam trzem będzie się powodziło. Dał mi zatem trzy srebrne puszkę, które przed wami widzicie postawione, a dał je z rozkazem, abym każdemu z was jedną z nich oddał. — Dał każdemu jedną z tych puszek, mówiąc: gdy ty Ibrahimie, który masz być żołnierzem-zostaniesz wodzem pólku, otworzysz swoją. Ty Osmanie, który masz być prawnikiem, gdy sędzią zostaniesz, toż samą uczynisz z twoją. Ty zaś Juzupie, który masz być kupcem, otworzysz także swoją puszkę, ale wtenczas, gdy się w handlu dziesięć kiesdorobisz. Starajcie się, miłe dziatki, wszelkimi sposobami każdy dojszć do tego stanu, a wtenczas... to mówiąc skołał.

Pogrzebłszy z niezmiernym żalem ojca, polecili się duchowi niebieskiemu Azarowi, i jał się każdy z nich w swoim stanie do zadosyć uczynienia obowiązkom swoim. Jakoż pracując statecznie, do tego z czasem przyszli, iż najstarszy dostał pólk, młodszy sęstwo, trzeci dziesięć kies. Zeszli się więc, a gdy pierwszy Ibrahim otworzył puszkę, znalazł kartkę z tym napisem: tak kończ, jakoś zaczął, a możesz bydź i wezyrem. Drugi Csman znalazł na swojej: tak kończ, jakoś zaczął, a możesz bydź i muftym; trzeci Juzup wyczytał: tak kończ, jakoś zaczął, a możesz mieć i tysiã kies.

2. Juzup.

W Bassorze, mieście wielce handlowém, był obywatel nazwiskiem Juzup. Miał on rodziców ubogich, sam też będąc do handlu zdatnym, tyle tylko zyskał ze wstrzemiężliwego życia, iż mógł się obchodzić tem, co miał, i dać dzieciom uczciwe wychowanie: zgola był w stanie mierności uczciwej. Stryj jego, Rachib był kupcem, a że w kunszcie swoim był z pracow-

tością obrotny, a szczęście mu służyło, przyszedł do znacznych zbiorów przy schyłku wieku swojego. Czując się być coraz słabszym, uczynił testament takowy: Schodzę z tego świata bezdzielny, synowiec mój Juzup wszystkie moje majątności odziedziczy; że zaś nie chcę tego, iżby mój majątek podzielony był, ten nań obowiązek wkładam, iżby to wszystko, co po mnie weźmie, jednemu, którego wybierze, z synów swoich oddał.

Testament czyniący Juzupa dziedzicem jawny był: kodycył, gdzie zakazane było majątku rozdzielenie, zatrzymał przy sobie Rachib, a czując się być bliżkim śmierci, kazał przyzwać do siebie synowca swojego Juzupa; ten gdy przyszedł, tak do niego mówił: Miły synowcze! gdy mi Bóg dzieci dać nie raczył, z słodyczą zapatrywałem się na ciebie, jak na mojego syna, takeś twojami dobrymi obyczajami i powolnością umiał skarbić przychylność moję ku tobie. Wiesz, jaki jest mój testament, w którym wszystkiego mojego majątku czynię cię panem, i pewien jestem, iż zbiorów moich będziesz umiał dobrze użyć. Teraz objawiam ci rzecz, o której dotąd nie wiedziałeś: nie mogłem i nie mogę tego na sobie przewieść, żeby mój majątek miał być na części podzielony. Ty takowy ogarnąwszy po mojej śmierci będziesz możliwym. Masz trzech synów: rozdzielony uczyniłby trzech miernie mających się, a ja chcę, żeby i po tobie jeden tylko z mojej pracy dostatnie korzystał. Pokazał więc Juzupowi kodycył, dodatek testamentu swojego, a był takowy: ów którego zdatnym do osiągnięcia po mnie dziedzictwa osądzi Juzup, mój synowiec, ten jedynie wszystko to, co zostawiam, osiągnąć ma. Wyluszczywszy więc Juzupowi myśl swoją i obowiązawszy do sekretu, wkrótce życia dokonał. Po śmierci majątnego s'ryja, stał się wielce bogatym Juzup, i dzierząc przez sługi czas roztropnie i miernie majątek swój, starał

się ile możności, w trzech synach poznać, komuby z nich miał oddać dziedzictwo stryja swego. Najstarszy z tych trzech synów Mustafa udał się na dworzeczną, i był marszałkiem dworu baszy w Alepie; średni Abul udał się do szkół i prawa, i tak dalece w naukach postąpił, iż mistrzowie twierdzili o nim, że wkrótce może im wyrównać. Najmłodszy Achmet został w domu, i siedząc w sklepie, ojca zastępował w czynnościach. Tkwiło to zawsze w myśli Juzupa, komuby z synów majątek po stryju spadły oddał; w tém przyszła nań choroba, a gdy mimo najsilniejsze starania lekarzów, coraz się bardziej słabszym czuł, przyzwał synów do siebie. Ci gdy przed nim stanęli, tak do nich mówił:

Już dzieci miłe! duch śmierci poprzednik kołacze we drzwi moje; wyrok przyrodzenia, wyrok boży, każe mi was opuścić. Pewien jestem o waszém do mnie przywiązaniu. Powiedzcie teraz dla mojej pociechy, miłe dzieci, jakto wasze przywiązanie ku mnie po mojej śmierci będziecie chcieli oświadczyć? Ja, rzekł najstarszy Mustafa, czcąc twoje cnoty, wystawię ci taki nagrobek, jakiego jeszcze w Bassorze nie widziano. Ja, powiedział drugi Abul, sprowadzę najuczestszych mistrzów, żeby prozą i wierszem pochwały twoje światu ogłosili. Gdy przyszła kolej mówienia na najmłodszego, od płaczu słowa przemówić nie mógł. Kazał im więc od siebie odejść ojciec, a przyzawszy Kadego testament uczynił, i umarł nazajutrz. Gdy po obrządkach pogrzebowych przyzwierzchności otworzono testament, taki był: Co było moje z rodziców i dorobku, to między moich trzech synów równie podzielone być ma. Co mi zapisał stryj mój Rachib z obowiązkiem, abym to wszystko jednemu z synów zostawił, niech to weźmie najmłodszy Achmet, co nie umiał powiedzieć, jak mnie kocha.

3. *Seryf.*

Było w Bagdadzie dwóch braci, bogatych kupców; jeden się zwał Ali-Hamid, drugi Eben-Azraf. Prawie w jednym czasie urodziły im żony każdemu syna, a odtąd żaden z nich innego potomstwa nie miał. Gdy już nadchodził czas dania im edukacyi, rozmawiali o tém z sobą bracia, a starszy z nich Ali-Hamid tak mówił bratu swojemu młodszemu Eben-Azrafowi: Dobre wychowanie największym jest skarbem, który możemy dać dzieciom naszym; ułożyłem więc sobie żebymoj syn tak był ćwiczony, iżby wszystkie nauki posiadał. Jak przyjdzie do tego stanu, oddam go do prawników, a jeżeli będzie miał chęć do żołnierstwa, oddam go naówczas do służby wojennój: czyli w tym lub innym stanie, gdy więcej będzie umiał, niż jego współtowarzysze, pewnie najwyższych stopni dosięże.

Gdy skończył Ali-Hamid, Eben-Azraf rzekł: a ja mojego syna nie każę takich rzeczy uczyć, i będę trzymał w domu: dość mu to wiedzieć, co ja umiem, a gdy to będzie wiedział, co i ja, będzie mógł żyć na świecie tak, jakżeśmy obadwa żyli, i przy łasce bożej żyć będziemy. Że byli zdań przeciwnych owi bracia, długo się z sobą sprzecali; nakoniec jeden drugiego gdy nie mógł przeprzeć, postanowili, ażeby każdy z nich takie dał wychowanie, jakieby według zdania swojego za najlepsze osądził. Oddał więc Ali-Hamid syna Elimu do szkoły Abula, najslawniejszego z Imanów: młodszy brat Eben-Azraf swojego syna Seryfa przy sobie zatrzymał. Elim, że był pojęcia bystrego, i pamięci nadzwyczajnej, tak dobrze z nauk mistrza swojego korzystał, iż w dość krótkim czasie stał się w biegłości równym najcelniejszemu Imanom. Po lat kilku nauki mistrz jego Abul przyszedł do Ali-Hamida, opowiadając, jako syn jego już posiadał to wszystko, czego się tylko w szkołach nauczyć można,

tego tylko, dodał, potrzebuje teraz, iżby świat i ludzi poznać mógł; dał zatem radę, iżby go do cudzych krajów wyprawić, dla poznania praw, zwyczajów, sposobów obchodzenia się rozmaitych narodów, i nauce się tego, czego mu może do zupełnej doskonałości nie dostawało. Dał się łatwo nakłonić Ali-Hamid, i postanowił natychmiast pójść do brata, żeby mu o tém przedsięwzięciu swoim dał wiadomość. Syn Eben-Azrafa strawił czas przy ojcu. Dopomagał mu do przedawania towarów, pisania rachunków; co zaś zbywało od domowego zatrudnienia, obracał ten czas ojciec na rozmowy z synem, albo go też wiodł do przyjaciół swoich, z których posiedzenia uczciwego, brał przy zabawie oświecenie.

Gdy przyszedł Ali-Hamid do brata, opowiedział mu myśl swoją, jak syna chciał wyprawić do cudzych państw, za radą Imanów; że zaś, rzekł, i twojemu może to być ku pożytkowi, wyprawmy ich razem. Przystał na tém z ochotą Eben-Azraf, i postanowili bracia czynić przygotowania do podróży dzieci. Lubo sposób wychowania braci stryjecznych weale był odmienny, żyli w przyjaźni. Elim wiele trzymając o swojej nauce, zawsze przegadał Seryfa; ten słuchał cierpliwie, ale gdy się odezwał, tak mówił, iż gdyby się zaraz Elim do ksiąg nie udawał, wyrazy uczonemi, a przeto niewiadomemi bratu, mowy nie pstrzył nie łatwo przychodziłoby mu odpowiadać na jego zagadnienia.

Gdy już wszystko gotowe było do podróży, udał się Elim do mistrza swego Abula, i ten przez kilka dni dawał mu przestrogi i nauki. Seryf tymczasem układał towary, które miał według rozkazu ojca, po różnych miejscach przedawać. Zgromadzili się przyjaciele i krewni w dzień wyjazdu. Po uczcie, gdy zaczynały się pożegnania, wziął na stronę syna swego Seryfa Eben-Azraf, i błogosławiąc mu, rzekł: synu

mój, miej to odemnie za naukę, co w tej karteczce napisanego znajdziesz: oddał mu więc karteczkę, rozkazując, żeby ją w czasie sposobnym pilnie i uważnie przeczytał. Wsiadli zatem młodzieńcy na wielbłądy, i ze znaczną liczbą sług i niewolników puścili się w drogę. Po niejakim czasie dobył księgi Elim z zanadrza, i zaczął czytać. Ze droga była nierówna, rzekł Seryf, bracie dość będzie czasu do czytania, jak staniemy na nocleg. Zmarszczył się Elim, a nie spuszczać oka z księgi: tylko prostak tak gadać może, odpowiedział; pilnuj siebie, a mędrszych rozumu nie ucz. Zmieszała takowa odpowiedź Seryfa, i począł się usprawiedliwiać; ale im więcej mówił, tém bardziej pobudzał Elima do gniewu. Do tego nakoniec przyszło, iż zamknąwszy księgę, krzyknął: idź mi precz z oczu, cierpieć towarzystwa twojego nie mogę. Kazał zatem sługom swoim iść drogą poprzeczną, i sam się za nimi udał.

Myślał Seryf, czy iść za bratem; ale bojąc się większego rozjątrzenia, postanowił osobno podróż odprawić, jechał więc drogą prostą. Gdy się już zbliżało ku zmrokowi, widząc piękną dolinę, kazał namioty rozbić. Zabierał się więc do wczasu, a zdejmując suknie postrzegł owę kartkę od ojca; porwał ją z ziemi, rozwinął skwapliwie, i to w niej znalazł: „Radź jak najmniej, dogadaj ile możności, więcej słuchaj, niż mów.“ Zastanowiwszy się nieco, a roztrząsając napomnienie ojcowskie, rzekł sam do siebie. Gdybym ja był bratu mojemu Elimowi nie radził, aby księgę schował, nie byłby się na mnie zmarszczył; postrzegłszy, iż się gniewa, gdybym chciał dogodzić chęci, którą miał do czytania, nie byłby mnie ofuknął, gdybym był zamilkł, a z usprawiedliwieniem się mojem nie rozszerzał, nie byłbym go nakoniec do tego przywiódł, iż mnie porzucił. Winiąc się więc, iż zaraz, jak był powinien, owę kartkę nie czytał,

a przeświadczony o skuteczności ojcowskich przepisów, postanowił jak najściślej trzymać się tych przepisów. Ucałowawszy więc z rozrzewnieniem karteczkę, zaszył ją w rękawie swój sukni, żeby nie zginęła. Puścił się potem w dalszą podróż, a po różnych miastach, które były na trakcie, większą część towarów z znacznym zyskiem przedawszy, zastanowił się w Smirnie, i wzięwszy od ojca pozwolenie, tam sklep założył.

Po niejakiem czasie widząc, iż inni kupcy nadto drogo towary swoje przedawali, spojrzawszy na karteczkę zaszytą w rękawie, rzekł: kazał ojciec dogadzać, ile możności; tak ja więc będę przedawał to, co mam, iżby kupujący nie byli zdarci kupnem, i jam miał korzyść. Przedawał zatem taniej od drugich, i przedawał więcej. Stratę mniejszej ceny, wielokrotnie nagrodziła mnogość odbytu, wszedł zatem w wziętość, wszyscy się do niego udawali, i wkrótce ów przychodzień zrównał się z najbogatszymi. Zapozwali go więc do Kadego, i oskarżyli, iż umyślnie towary swoje tanio przedawał, dla tego, aby cały handel do siebie przyciągnął. Nastawał czas sądów: Seryf wiedząc zarzuty, gotował się na odpowiedź, i napisał kilka arkuszy. Gdy przyszło stanąć przed Kadym, strona przeciwna podała zaskarżenia, czytane były przysłała potem kolej na obżałowanego. Wyjął więc obszernie pismo swoje, a w tém wyjmowaniu spojrzawszy na rękaw przypomniał sobie ową ojca naukę: „Więcej słuchaj, niż mów.“ Schował więc arkusze, i usprawiedliwienie swoje w krótkości słów skromnie, zawarł. Ta wstrzymałość tak się podobała sędziemu, iż zgromiwszy oskarżycielów, niewinnym go uznał i na obiad zaprosił.

Sędzia ów roztropny, biegły i sprawiedliwy w wielkiem był zachowaniu z rządcą miasta, i chwalił przed nim Seryfa, ilekroć zdarzała się do tego pora. Ode-

brał wkrótce rządca Smirny rozkaz od sultana, aby ile możności handel miasta upadający wskrzesił i wzmógł. Zwołał więc kupców na radę, Seryf przypominając sobie naukę ejcowską: „radź jak najmniej,“ wyjechał z miasta, żeby się w owym zgromadzeniu towarzyszków swoich nie znajdował. Zeszli się kupcy i po długiém namawianiu na to się zgodzili, iż do wspomnienia i rozszerzenia handlu, tego było potrzeba, aby monarcha znaczną liczbę okrętów kosztem swoim zbudować kazał, a opatrzywszy żołnierzami i ryszunkami, wysyłał je rozmaitemi ładowanymi towary do innych krajów: kupcy zaś za to ubezpieczone przewożenie towarów swoich, znaczną summę corocznie płacić się obowiązali. Podpisali się na to wszyscy, summę jaka miała być corocznie płacona, oznaczyli, i to pismo posłał rządca miasta do stolicy.

Znalazło stwierdzenie od władzy najwyższej. Sporządzono znaczną liczbę okrętów, i gdy już były gotowe do wyjścia, przyszli kupcy do rządcy miasta i rzekli: już wszystko jest na pogotowiu i towary na okrętach; ale że jeden z nas nazwiskiem Seryf, nie wchodził w radę, i nie podpisał się z nami, słuszną rzecz, aby do składki towarów, które wysyłamy, nie należał. Lubo rządca sprzyjał Seryfowi, zezwolić jednak na żądanie kupców musiał; więc Seryf wyłączony od innych, nie bez żalu, towary swoje już na okrętach złożone, musiał nazad wziąć do domu. Po kilku miesiącach gdy siedział ku wieczorowi przed domem, usłyszał u sąsiada swojego płacz i narzekanie. Wzruszyło go to, i ujrzawszy wychodzącego zamtąd człowieka, pytał się, co by za przyczyna była takiego płaczu i narzekania? Jak nie płakać, rzekł ów, kiedy pan mój wszystko razem stracił. Jakim sposobem? rzekł Seryf. Oto okręty, które wyszły z towarami, odpowiedział sługa, jedne były zabrane przez rozbojników, drugie się rozbiły na ska-

łach, a te co przecież ocalały, tak były skołatane przez szturm i burze, iż wszystko co w nich było, musiano wrzucić w morze; zgoła wszyscy kupcy tu-tejsi niezmierną szkodę ponieśli, a niektórzy, jak mój pan, stracili wszystko. Spojrzał na rękaw Seryf i dziękował Bogu, iż uszedł nieszczęścia.

Nie skończyła się jeszcze na tém kupców kłeska. Dowiedziawszy się sultan o stanie okrętów, dał rozkaz, aby wszystkich kupców, którzy owę radę podpisali, wziąć do więzienia, i póty trzymać, póki by nie wrócili tego, co okręty kosztowały, i wyprawa onych. Wzięto natychmiast do więzienia kupców, a gdy każdy co miał w gotowiznie i wexlach, oddał, nie dostawało jeszcze do zupełnego zapłacenia kilkadziesiąt tysięcy liwrów. Wzruszony niedolą współtowarzyszów swoich Seryf, a pamiętając na to, iż ojciec kazał dogadzać innym, ile możności, wziął z sobą te kwotę pieniędzy, i przyszedłszy do baszy rzekł: współbracia moi zubożeli świeżem nieprzewidzianém nieszczęściem, nie są w stanie zapłacenia reszty summy. Pobłogosławił mi Pan Bóg, z chęcią część zysków moich ofiaruję na dopłacanie tego, co się panu naszemu należy. Zdziwiony takowym postępkim rządca, pieniądze odebrał, kupców zaś kazał wypuścić z więzienia.

W kilka czasów potem zawołany był Seryf do baszy. Skoro wszedł, włożono na niego kaftan złotogłowy, a basza rzekł: rządca najwyższy wiernych czei chotę, i daje ci namiestnictwo rządów miasta Alepu. Wybrał się natychmiast Seryf do Alepu i obowiązek urzędu swego chwalebnie piastował. Zasiadając raz na dywanie, ujrzał przed sobą człowieka, którego wielu oskarżało, przeto iż był przyczyną straty wielkiej, którą poniosła karawana z Damaszkku wyprawiona do Mekki. Ci, którzy go przywieśli, rzekli: sędzio wiernych! oto jest człowiek, który wielomów-

stwem, uporem i hardością swoją tak zabałamucił Emira naszego, iż mu zdał rządy karawany. Swoim się domysłem rządząc, słuchać nas nie chciał, a samemu sobie tylko dowierzał. Gdyśmy już byli nie daleko Arabii, i stanęli na spoczynek, zwołał nas i rzekł: dotąd szła karawana drogą ku zachodowi, ja was wschodnią poprowadzę, a tak oszczędzimy sobie dziesięć dni podróży. Odpowiedzieliśmy, iż droga wschodnia, lubo łrótsza, dla piaszczystych jednak stepów i hórds arabskich tak niebezpieczna, iż się nią żadna karawana nie udaje. Strząśł na to głową, a uśmiechając się ze wzgardą, rzekł: iż ojcowie byli prostacy, należy synom i następcom ich głupstwo poprawić. To rzekłszy mimo nasze prośby i nalegania, puścił się drogą wschodnią.

Cośmy przepowiedzieli, ziściło się: w dzikich stepach konie i wielbłądy nasze pozdychały, myśmy ledwo nie poumierali z pragnienia; nakoniec Arabowie nas ze wszystkiego odarli, a gdy życie nam przecie darowali, związawszy zdrajcę, który wszystkiego nie-szczęścia naszego jest przyczyną, przyprowadzamy go do ciebie, żeby nam szkodę nagroził i karę odebrał. Oczy ku ziemi spuszczone mając, milczał oskarżony; kazał mu Seryf odpowiedzieć, a gdy głowę podniósł, poznał Seryf brata swego Elima. Wzruszył go niezmiernie ten widok, ale się wstrzymał gwałtownie, chcąc słuchać usprawiedliwienia oskarżonego; ten zaś tak mówić począł.

Cokolwiek powiedzieli przeciw mnie oskarżyciele, sędzio wiernych! istotną prawdą jest. Wykroczyłem nieludzkością, uporem, i zbytniem zasadeniem się na własnym zdaniu. Chciałbym krzywdę nagrozić, ale ciż Arabowie i ich i mnie ze wszystkiego ogołocili. Żądam względu, politowania i miłosierdzia. Otrzymasz ją, rzekł Seryf, a gdy pytał oskarżających wiele utracili, a oni mu na piśmie rzecz całą pedali, rzekł:

darujecież mu winę, jeżeli szkoda zostanie nagrodzona? Odpowiedzieli z ochotą. Obrócił się więc ku Elimowi i rzekł: słuszna rzecz, żeby brat brata zastąpił, a w tém przyskoczył ku niemu, i ściskając serdecznie, rzekł z płaczem: ja jestem Seryf, twój brat i podróży towarzysz, jam po części przyczyną nieszczęścia twój-ego, żem cię uraził niewczesną radą, niedogodzeniem i wielomówstwem. Też same, widzę, przywary przywiodły cię do stanu, w którym teraz zostajesz, a mnie, żem się ich potém strzegł, to uczyniło szczęśliwym.

Chciał paść do nóg rozrzewniony Elim, ale go Seryf wstrzymał, a kazawszy odliczyć kupcom, co im się należało, wziął brata do domu, i gdy dali znać rodzicom, przenieśli się ci natychmiast do Alepu, i byli uczestnikami szczęścia Seryfa, któremu za to Pan Bóg pobłogosławił, iż umiał szacować przestrogi ojca swojego.

4. Kadur.

Był w mieście Damaszkum człowiek, który przy moście przechodzących prosił o jałmużnę, a zwał się Kadur. Każdy z przechodzących dawał mu ją ochotnie, był albowiem, można rzec, zbiorem nieszczęścia. Mały i ślepy na jedno oko, garb miał na plecach, a na jedną nogę tak chromał, iż z ciężkością wielką przychodziło mu z miejsca jednego pójść na inne. W chorobie ciężkiej wszystkie mu były zęby wypadły, a tak się jękał, iż go ledwie rozumieć można było. Żebrząc przez czas niemały, zebrał był dosyć znaczne pieniądze, tą myślą, iż gdy do zamierzonego kresu ilość pieniędzy przyprowadzi, kupi sobie dom i pole, i resztę życia jakożkolwiek wygodnie i uczciwie przepędzi. Nie daleko mostu, przy którym żebrał, był cmentarz; tam w jednym kącie pod drzewem pieniądze składał, sam zaś udawał się na spoczynek do domu blizkiego owego cmentarza. Jednego

razu, gdy się już zmierzchało, szedł ku cmentarzowi, chcąc przyzbierane przez dni kilka pieniądze do dawniej zakopanych przyłożyć; ale gdy przyszedł ku miejscu zbiorów swoich, znalazł ruszoną ziemię i pieniądze zebrane. Pełen żalu i rozpaczy rwał włosy, i suknie swoje darł, rzewliwie płacząc. Usłyszeli jęczenia i płacz sąsiedzi, a wszedłszy do cmentarza, znaleźli Kadura ledwo żywego. Orzeźwili i pocieszyli, jak mogli, i dawszy jałmużnę, odeszli. On zaś nie mogąc znieść rozpaczy i żalu, biegł ku rzece, żeby się w niej utopił. Przyszedłszy nad brzeg, siadł, a rozmyślając o swojej nieszczęśliwej przygodzie, porwał się razem, chcąc w rzekę skoczyć; ale że był kulawy, padł na ziemię, a w tém ujrzał zbliżającego się ku sobie poważnego starca, którego w głębokim zamysleniu nie spostrzegł. Ten pytając go o przyczynę frasunku, dał naprzód sowitą jałmużnę, a potem wszedłszy z nim w rozmowę, tak dalece granatownemi dowodami przekonał go, iż Kadur odmienił myśl odjęcia sobie życia, i postanowił iść w świat. Radził mu starzec, aby szedł ku miastu zwanemu Bagdad. Dał mu nawet list do pewnego majątnego człowieka, z zapewnieniem, iż oddawszy go, dobrze będzie przyjęty, a może tam znajdzie swe szczęście. Sam obiecał wkrótce przybyć, gdy podróż ukończy. Pożegnawszy więc Kadur starca, poszedł ku Bagdadowi. Pomału szedł, będąc kulawym, wszędzie zaś po drodze żył z jałmużny. Już był większą połowę drogi odprawił, gdy spotkał liczne wozy kupców, którzy tak jak on, zmierzali ku Bagdadowi. Spytałi go, gdzie idzie? Chciał natychmiast odpowiedzieć, ale jąkanie jego uczyniło, iż go zrozumieć nie mogli; śmiali się wszyscy, a gdy się przecież na odpowiedź zdobył, zmiłowali się nad nim i pozwolili mu wsiąść na wielbłąda. Podziękował, jak mógł, za tę uczynność, i jechał z nimi.

Po kilku dniach postrzegli tuman kurzawy naprzeciw siebie, natychmiast ile w stepie, strwożyli się ludzie, i nie bez przyczyny: liczna albowiem zbojców banda ich napadła, i lubo się bronili mężnie, jedni zginęli, drugich w niewolę wzięto, a między tymi Kadura. Zaczęli więc rozbojnicy trząść i obnażać jeńców, a zabrawszy, kto co miał, zabijali. Przyszła kolej i na Kadura; ale ten, co go trzął i obnażył, postrzegłszy iż i odzież jego była nikiemna, i ze zdanych przy sobie nie miał pieniędzy, rzekł do współtowarzyszów: darujmy życie temu żebrakowi, i zezwolili wszyscy. Jeden z nich ślepy na jedno oko i kulawy, przybliżywszy się ku Kadurowi, gdy postrzegł, iż i z twarzy podobni sobie byli, śmiać się niezmiernie począł, a zawoławszy innych, rzekł: dziękuję wam wielce, żeście tego żebraka od śmierci uwolnili; nie widziałem w życiu mojem nic do mnie podobniejszego, i gdybym o tém nie był przekonany, że brata nie mam, rozumiałbym, żeśmy bliźnięta. Przystąpił zatem do Kadura, i uderzywszy go po ramieniu, rzekł: bracie! w daleką drogę zaszedł, a lekkość się wybrał, weź moją delią i czapkę, a idź, gdzie ci się podoba. Włożył mu zatem czapkę i okrył go delią. Patrząc na to naśmiali się do woli zbojcy, i każdy dał mu jałmużnę, dosyć, iż niemalą kwotę pieniędzy zebrał. Podzielili się rozbojnicy tém, co zdobyli, i każdy ze zdobyczą swoją odjechał, Kadur zaś szedł ku Bagdadowi. Wstępując do najbliższego w okolicy miasta, gdy w bramę wchodził, przełożony nad strażnikami skoczył ku niemu i zawołał, oto jest Gumlach! trzymajcie go. Wypadli zatem strażnicy i wraz z przełożonym swoim poprowadzili go do sędziego. Gdy przed nim był postawiony Kadur, rzekł przełożony strażników: oto jest Gumlach, który przed kilku dniami, brata mojego zabił, delią jeszcze jego i turban ma na sobie. Kazano zawołać świadków,

a wszyscy znający owego Gumlacha, widząc też samę postać, a do tego, iż był ślepy i kulawy, stwierdzili przysięgą, iż to Gumlach. Nie bawiąc wskazał sędzia na śmierć Kadura. Odwoływał się Kadur do sądów bożych, zaklinał i sędziego i świadki; próżne były i prośby i zaklęcia. Stał kat, i gdy z klęczącego na piasku Kadura delią zrzucił, porwał za rękę kata już zamierzającego mieczem, przełożony strażników, i obróciwszy się do sędziego, rzekł: Sędzio sprawiedliwy! odwołuję to, com powiedział. Powierzchność i mnie i przytomnych świadków złudziła. Gumlach, którego znam, prosty i kształtny jest, a u tego człowieka widzę garb, którego pod obszerną delią rozeznąć nie można było. Toż samo stwierdzili świadkowie, a natychmiast sędzia odstąpić kazał katowi, i opatrzywszy z przytomnymi Kadura jałmużną, wolnym go być uznał. Dziękując więc Panu Bogu, w dalszą podróż ku Bagdadowi wyszedł. Wkrótce spotkał człowieka niosącego sakwy na plecach; przywitali się wzajemnie, a że i tamten szedł do Bagdadu, postanowili wspólnie tę podróż odprawić. Po kilku dniach, gdy wychodzili z lasu, a słońce niezmiernie dopiekało, rzekł towarzysz do Kadura: usiądźmy w cieniu krzaczków, póki upał nie przejdzie, i odpocznijmy sobie. Siedli więc, a tamten położywszy przy sobie sakwy, układał się i zasnął. Gdy się przebudził, postrzegł na krzaczku owoce w łupinie, na kształt orzecha, wstał zatem, i kilka ich zerwał: toż uczynił i Kadur, ale włożywszy w usta, że zębów nie miał, a łupina była twarda, rzucił precz od siebie z gniewem orzechy. Śmiał się patrząc na to jego towarzysz i rzekł: a widzisz nieboże, jak to dobrze mieć zęby; było swoich lepiej pilnować, byłbyś teraz gryzł orzechy. To gdy mówił, wziął jeden, zgryzł, zjadł i padł na ziemię; skoczył ku niemu Kadur, ale już był bez duszy. Usiadł więc przy umarłym i rzewnie płakał.

Po niejakić chwili, ujrzał jadącego na dzielnym koniu człowieka, a za nim kilku innych jechało. Ten gdy spostrzegł płaczącego Kadura, a przy nim umarłego towarzysza, zsiadł z konia, i wypytywał się o przyczynę śmierci tego, którego ciało leżące przed sobą widział. Opowiedział rzecz, jak się działa Kadur, i pokazał owoc, który zjadłszy towarzysz jego umarł. Dziękuj Bogu, żeś i ty nie zginął, rzekł ów człowiek: ten owoc trucizną jest najjadliwszą, skoro go kto połknie, w tym prawie momencie umierać musi. Wdawszy się Kadur z nieznanym w rozmowę, dowiedział się, iż ten sam był, któremu ów starzec list kazał oddać.

Przeczytawszy go nieznanomy, kazał sługom, aby zwłoki pogrzebali, i prosił Kadura, aby wsiadł na jednego konia, na którym sługa jechał, i wziął go z sobą. Przybyli wkrótce przed dom wspaniały, wjechali na dziedziniec obszerny. Zsiedli z koni, a ten, który z sobą zabrał Kadura, pan domu owego, wziął go za rękę i z sobą prowadził. Weszli do gmachów ozdobionych ze wszystkich stron rzeźbą wyborną i malowaniem; przyszedłszy nakoniec do jednej galerii, z której się bardzo piękny widok ukazywał, usiedli na krzesłach, a gospodarz domu tak mówić zaczął: Łaska to jest Boża, kiedy raczy zdarzyć sposób, jakby ucieszyć, posilić i wspomódz bliźniego naszego. Dowiedziałem się od ciebie o twojej przygodzie; proszę opowiedz mi wszystkie okoliczności twojego życia. Zaczął zatem opowiadać Kadur wszystko, co mu się kiedy zdarzyło, osobliwie od owęj ostatniej okoliczności, gdy mu cały zbiór na cmentarzu ukradziono. Zastawiono dalej stół, i gdy wieczerza skończyła się, odprowadził pan domu Kadura do pokojów jemu przeznaczonych. Nazajutrz gdy wyszedł Kadur z izby, gdzie spał, znalazł w przedpokoju wyznaczonego dla siebie służę i szaty nowe,

w które się obłókł. Wkrótce przyszedł pan domu i bawili się rozmowami aż do czasu obiadu, po którym wyjechali razem na dzielnych koniach, a po odprawionej przejażdce weszli do ogrodu. Zaprowadził go do bardzo pięknego gajku gospodarz, z którego widok był na jezioro, pod sam ogród podstępujące. Przyniesiono chłodzące napoje, a gdy się nimi zasiłili, rozmaite się między nimi rozmowy [wszczęły. A że Kadur miał rozum bystry, wszystko co mówił, zdało się wielce podobać gospodarzowi. Przez niedziel dwie przebył w domu owym Kadur, codzien rozmaite, a bardzo wdzięczne rozrywki nastawały; zgoła nie doznawszy przedtém żadnej słodyczy, mniemał się być w miejscu owém, które duszom uwielbionym po śmierci obiecują. Jednego razu, gdy się zabierało ku zarokowi, przechodzili się nad jeziorem; zwrócił się nieco gospodarz, i zawoławszy Kadura, prowadził go krętymi ścieżkami przez gaj zasadzony wyniosłemi drzewami, pomiędzy którymi szumiąc przebiegały strumyki. Noc była pogodna, a blask księżyca, gdy się pomiędzy rozłożyste gałęzie przebijał, sprawił miłą posępność wabiącą ku myśleniu. Po krótkiej chwili uderzył w oczy Kadura wielki blask i ujrzał z nagłą gmach wspaniały, z którego okien pochodziło to światło. W pierwszym zadziwieniu krzyknął: ach! jużci to widzę ów raj, który nam Bóg obiecał. Rozśmiał się na takowy okrzyk gospodarz, a wtem weszli na wschody, drzwi otworzono do sali, złotem i marmurami ozdobionej, rześnistem światłem błyszczącej, i odezwała się wyborna muzyka. Odchodził prawie od siebie Kadur. Wtem obróciwszy się ku niemu gospodarz, rzekł: w twojej jest mocy być tego wszystkiego panem; klasnął zat m w ręce, drzwi się poboczne otworzyły, i wyszło sześć murzynek, a za nimi mała jakowaś osoba przykryta gazą złocistą, garbata chroma. Przybliżywszy się, stanęły mu-

rzynki z obu stron, a osoba mała skłoniła się. To jest moja córka, rzekł gospodarz, dziedziczka jedyna wszystkiego, co mam; dam ci ją za żonę, jeśli twoje zezwolenie nastąpi. Chciał do nóg upaść Kadur gospodarzowi; ale ten porwawszy się z krzesła przystąpił do córki, zdjął gazę złocistą, która ją zakrywała, i natychmiast ujrzał Kadur, lubo była w pierwszej młodości, twarz jej pełną zmarszczek; ślepa była na jedno oko, a zęby jako kły wychodziły jej z obu stron po za usta. Wzdrygnął się na ten widok Kadur, przewyciężając jednak wstręt, oświadczył gospodarzowi, iż on na powierzchowność nie uważa, i z ochotą córkę jego weźmie za żonę. Natychmiast ze wszystkich stron odezwały się odgłosy wyborniej muzyki; weszli do drugiej sali, gdzie stół wspaniale zastawiony znaleźli. Posadzony był Kadur koło swojej oblubienicy. Gdy się wieczerza skończyła, wziął za rękę Kadura gospodarz i do osobnego pokoju zaprowadził. Tam usiedli na bogatych wezglowicach, a gospodarz tak mówić zaczął: Los nie chciał mnie mieć zupełnie szczęśliwym, widziałeś moją córkę. Co jednak ujął jej urodzie, nagrodził w przymiotach. Wielu było starających się o nią, ale mimo zwyczaju kraju naszego, córkę moją ukazywałem każdemu, i lubom namieniał o jej rzadkich przymiotach, natychmiast z domu mojego odjeżdżali. Gdy spotkałem ciebie, tak niemal upośledzonego, jak ona, przyszło mi na myśl, iż może będziesz tym, którego wyroki nieba do uszczęśliwienia mojej córki przeznaczyły. Ale iż to, co teraz czynisz, może jest dla ciebie zbyt przykrą ofiarą, otwórz myśl, nie będę miał za złe, gdy powiesz, iż córki mojej nie chcesz. Oświadczył natychmiast Kadur, iż się wcale na powierzchowności nie zasadza; a gdy jeszcze o szacownych przymiotach jest upewniony, przekłada je nad powierzchowność, choćby i najwładniejszą była.

Ucieszyło wielce to oświadczenie gospodarza; wstałszy więc wesoły do córki poszedł. Ze zaś były drzwi poboczne otwarte, wyszedł przez nie Kadur do ogrodu, a rozmyślając o tém, co się z nim działo, usiadł nad brzegiem kanału, który był niedaleko gmachu onego. Zamyślenie jego trwało dosyć długo, gdy wtém postrzegł nadchodzącą tę samą osobę, którą był widział, gdy chciał w rzekę skoczyć. Starzec ów zbliżywszy się, tak mówił do niego: nie dziwuj się, że mnie tu znowu oglądasz. Tutaj jest mieszkanie moje. Właśnie powróciwszy z podróży, podczas której raz na przechadzce ciebie nad rzeką spotkałem; dowiaduję się, żeś się oświadczył gotowym pojąć moje wnuczkę za żonę. Widzisz więc, iż los słowo czeze; Bóg wszystkiém rządzi. Wtenczas gdy dla straconych pieniędzy chciałeś się w rzece topić, pamiętasz, zem cię od téj myśli bezbożnej odwiódł, i to pamiętać masz, iż dla tego, żeś był kulawym, skok twój ku rzece był przyczyną upadku, a ten upadek wybawił cię od utopienia się. Wzruszony tém, com ci naówczas powiedział, przestałeś rozpaczać; jąkanie twoje rozśmieszyło kupców i zyskałeś niem towarzystwo jazdy, a dla tego żeś nic nie miał, uszedłeś śmierci. Garb twój wybawił cię, gdy już wzniesiony miecz katowski nad sobą widziałeś; żeś zębów nie miał, uszedłeś trucizny w orzechach; nakoniec żeś ślapy, garbaty i kulawy, czeka cię los szczęśliwszy, niżbyś się mógł spodziewać. Uderz czołem, a wiedz, iż częstokroć, co my ludzie nazywamy nieszczęściem, do brodziejstwem jest Bożem. Uznał Kadur, że starzec prawdę powiedział, złożył niebu pokorne dzięki, a gdy w swéj ulomnej małżonce coraz nowe odkrywał przymioty, codzień większego w jéj pożyciu doznawał szczęścia; powtarzał swe dziękczynienia niebu, że go tak nad innych upośledziło.

VII. BIOGRAFIE.

1. *Karpiński.*

Urodziłem się w r. 1741, dnia 4. Października w ziemi halickiej, na Pokuciu, w powiecie kołomyjskim, we wsi Hołoskow, trzy mile od Stanisławowa, gdzie mnie w osmym roku ojciec do szkół oddał. Podczas mego pobytu w szkołach, był sławny w Stanisławowie pogrzeb Józefa Potockiego, hetmana. Pierwszy raz wtedy widziałem świat, jak go nazywają, wielki. Kilkudziesiąt senatorów, między którymi kilku biskupów; sam dom Potockich w tyłu gałęziach między najświetniejszymi natenczas, cóż dopiero wojska zgromadzone, które w tamtym wieku na koronacyach tylko królów, i na pogrzebach występowały; cóż dopiero nieprzeliczone obywatelów mnóstwo, z dalekich nawet województw dla ciekawości zgromadzone, tłumem wszystkie domy i ulice nappełniło. Kościół cały adamaszkiem od wysokich gzymsów aż do dołu wybito, gęsto lampami oświecony, miał ogromny w środku katafalk, axamitem ponsowym z złocistymi frandzlami, portretem, herbami, bogatemi znakami władzy na wezglówiach położonemi, ozdobiony. Od drzwi kościelnych aż do katafalku, na kroków kilkadziesiąt, posadzka z tarcic umyślnie dana, ażeby bohaterowie wojskowi, no koniach wpadając, łoskotu więcej czynili. Jużem miał tyle poznania, że przed ojcem żaliłem się na krzywdę bożą, kiedy dla człowieka, hetmana, z domu bożego stajnię zrobiono. Wjeżdżali w największym pędzie wybrani rycerze po jednemu, i ten z nich kruszył kopią przy herbie, będącym u nóg trumny hetmanskiej, inny łamał szpadę, inny rzucał pałasz, inny strzały, inny chorągiew, inny buńczuk i. t. d. Każdy zaś złamawszy owe narzędzie u nóg trumny, zsiadał z konia, niby żał po

swym hetmanie udając. Dwom z tych bohaterów nie udało się wprawdzie skruszenie chorągwi i sztandaru, bo świece na katafalku porozrzucali; ale udał się lepiej niby żal i spadnienie z koni, bo byli dobrze pijani. Blizko dwóch niedziel ta uroczystość pogrzebowa odbywała się: goście przyjmowani przez syna zmarłego hetmana, bawili w Stanisławowie.

W szkołach najpierwszym byłem między kolegami moimi do swawoli; jakże to wiele żydom okien powybijanych, ludzi przechodzących na zwodzonych! Krew żywa, która do takich swawoli peruszała, była mi razem pomocą, żem się i naznaczonych mi na pamięć pensów najłatwiej uczył. A pułność i honor jakis sprawował, że w szkole nademnie lepiej uczącego się nie było.

Po skończonym dwuletnim kursie filozofii, przyjechałem na wakacye do rodziców; mieliśmy zawsze jak największe dla matki, a szczególnie dla groźnego ojca uszanowanie. Nie można było w przytomności jego siedzieć, stanąć do niego tyłem, a nawet o ścianę stojąc przed nim, oprzeć się. Pamiętałem zawsze to wszystko, i chętnie sobie przykrość zadawałem, bylebym ojca nie obraził. Chodził raz starzec po izbie, a ja z kimsiś rozmawiając, wszystkie te wyżej wspomniane ostrożności względem ojca zachowałem, kiedy razem przystąpiwszy do mnie, ciężki mi wyciął policzek, i znowu po izbie, jak przedtém, przechodził się. Kryminałem było spytać się, za co to? W milczeniu skromnem, z oczyma w ziemię spuszczo-nemi, czekałem końca. Wtém ojciec moj rzucił mi się na szyję, i mówić ze łzami zaczął: „synu mój, ja symplak, bo czytać tylko i ledwo co napisać umiem, a ty już filozof. Doświadczałem cię tylko, jak też przyjmiesz policzek od ojca twego; ale kiedyś skromny i pokorny, kiedy mnie w starości szanujesz (wtém ukląkł w pośrodku izby, i podniosłszy ręce do

góry): o Boże Abrahama, Izaaka i Jakoba, pobłogosław to dziecko moje, niech żyje długo zdrowe i szczęśliwe!“ Padłem mu do nóg, rozrzewniony mową jego, zapomniawszy nawet o policzku, a on klęczący do klęczącego mówił rozrzewniony: „synu mój, szanuj ludzi, a będziesz szanowany; ten policzek, który odebrałeś od ojca, niechaj będzie ostatni, a gdyby kiedy do tego komu obcemu przyszło, żeby cię tak skrzywdzić miał, w krwi tylko nieprzyjaciela twego, wżgarda takowa zmazać się może.“

Nie długo potem ten srogi, ale razem najcnotliwszy ojciec pożegnał nas. Przed skonaniem po kilka razy ze mną mówić żądał, i widząc się blizkim zgonu, matce tylko zalecił: „powiedz tam Franciszkowi, niech prawdą idzie na świat“, i te były ostatnie jego słowa.

Skończywszy kurs mój filozofii, porzuciłem Pokucie i do Lwowa na słuchanie teologii pojechałem. W drugim roku mój teologii Jezuita Lwowski podnieśli szkoły swoje do stopnia akademii, a między innymi studentami świeckimi mnie także nauk wyzwolonych i filozofii doktorem, a ś. teologii bakalarzem zrobili. Na dzień umowiony publicznej pierwszej profesyi akademickiej, tłumni goście do kościoła jezuickiego zgromadzili się. Ja doktor ubrany byłem powierchu polskich moich natenczas sukien, w płaszczyk czarny popas z błękitną podszewką grodetorową, z takiego koloru obszlegami naokoło, z pętlczkami srebrnymi na przodzie, w ręku berło wyłancane, a na głowie (jak wtenczas była moda golić się) zupełnie prawie ogolonój, i tylko kilka włosków na samém wierzchu mającój, biret mi położono. Rektor akademii, jezuita, w ponsowym axamitnym ze złotymi franzlami płaszczu, inni doktorowie prawa i teologii, jezuita, w płaszczu także poubierani. Ledwie co zaczęliśmy po kościele processyą, akademik zamoj-

ski, w ławkach siedzący, umyślnie na to z Zamościa przysłany, ogromnym głosem zawołał: „protestuje się nieważność tego aktu.“ Jezuici strwożeni i zagniewani, w rozruchu niezmiernym protestującego akademika z kościoła wytrącić kazali, a ja pewniejszej się rzeczy chwytając, berłem moim w głowę go uderzywszy, dobrze go przygłuszyłem, drugi zaś kollega mój, nowy doktor także filozofii, już był go za łeb schwycił, i byłoby może co gorszego nastąpiło, gdyby Jezuici w płaszczach akademickich przybiegłszy, nie ratowali protestującego, który spokojnie za drzwi kościelne wyprowadzony, a my tymczasem po utrzymaném zwycięztwie, *Te Deum laudamus* kończyliśmy. Przyczyną téj protestacyi miało być zgwałcone dawne prawo akademii zamojskiej, którém warowano, ażeby o dwadzieścia mil od Zamościa, żadna akademія podnoszoną nie była. Prawo zapewne nieprawne: jak gdyby to więcej oświecenia w narodzie, szkodliwem być miało narodowi. —

Myślałem odtąd, jakby wyjechać z kraju za granicę, aby się czego nauczyć, i z powodu téj mojej wędrowki przebrałem się po francuzku. Z młodym Puzyną zabrałem się do Wiednia, mając około 200 czerwonych złotych zapasu w tę podróż. Jakże wiele razy, niżejśmy do Krakowa dojechali, przejeżdżając pomiędzy różnemi tłumy niekarnych konfederatów nasyłych, nie tylko o ubogie pieniądze moje, ale nawet o życie bać się przychodziło. W Wiedniu mieszkałem wygodnie, francuzkiego języka i nauk w uniwersytecie, jakich tylko żądać mogłem, uczyłem się. Cesarska biblioteka każdemu otwarta, teatry, hece, licytacye różne i fajerwerki tygodniowe naprzemian mnie zabawiały; ale skwasilo wkrótce wszystkie te rozrywki, jakieś niszczenie ciała mojego widoczne, i mimo rady najslawniejszych w mieście doktorów, coraz w gorszym się stanie widziałem. Tęskność moja do

kraju tym więcej pomnażała się, i tę wiersze moje zaświadczać: Tęskność do kraju, które w Wiedniu napisałem. Myślałem sobie: niechbym przynajmniej umarł na swojej ziemi. Wybrałem się tedy z Wiednia (r. 1770), zabawiwszy tam więcej półtora roku i powracałem przez Węgry, chcąc ten kraj poznać.

Powróciwszy do kraju i odzyskawszy zdrowie, w różnych przygodach różnemi wierszami bawiłem się; wyjechałem nakoniec do Warszawy r. 1783, gdzie po kilku dniach przez Naruszewicza na rozumnym, jak nazywano obiedzie, królowi prezentowany byłem, który mi powiedział: „Waćpana Sielanki we Lwowie drukowane, dawniej go nam zaleciły. Kochanek Justyny będzie i w Warszawie kochany.“

Księżę Czartoryski zaprosiwszy do siebie, dał mi urząd sekretarza. Napisane odemnie do niego wiersze, o powinnościach obywatela, zjednały mi łaskę jego, że ze mną nie już jako z swoim sekretarzem, ale jak z przyjacielem najpoufalej postępował, w najliczniejszych u siebie zgromadzeniach, najgrzeczniej ze mną rozmawiając. Co zaraz, jak pospolicie bywa, grzeszność dla mnie obudziło, że kiedy odemnie księżę odstąpił, wnet pierwsi obywatele ze mną bawić się chcieli. Nie długo jednak ta moja trwała uroczystość. W duszy mojej żalowałem księcia, że będąc ze wszechmiar cnotliwym, lubił wszelako, aby mu pochlebiano; ale nie żalowałem siebie, że chociaż, prawdą idąc na świat, nie poprawiłem losu mojego, jednak spokojność mojej wewnętrznej nie zmieszałem.

Po trzechletniem bawieniu w Warszawie, wyjechałem nakoniec do Galicyi, strawiwszy czas u księcia, i moich nawet cokolwiek pieniędzy z domu wziętych. A gdym przybył do mego domu w Dobrowodach, przywitał mnie tam sąsiad mój dawny Piasecki, i widząc niszczone wszystko (jak mi przepowiadał) w bawieniu mojem między panami, żalował wraz ze

mną czasu i straconych pieniędzy. Czwartego dnia po moim powrocie, i siostra moja Zańkowska, wdowa z kilkorgiem dzieci swoich do mnie przybyła. Rozrzewnienie, które czułem, witając się z tą poczciwą kobietą, jej stan ubogi, zawiedzione nadzieje moje z kwapienia się do Warszawy, było okazją wierszów, które napisałem: Powrót z Warszawy na wieś.

Po roku bawienia na wsi, zachciało mi się znowu do miasta. Król kazał mi być u siebie na obiedzie. Już on czytał dawniej moje wiersze i tak mnie obaczywszy ze łzami radośnemi witał: cóż ci to Warszawa zrobiła, żeś ją tak w wierszach swoich opisał? Odpowiedziałem: właśnie to samo, że nic nie zrobiła. Król zagadał mnie czem inszem.

W czasie bawienia mego u pewnej znakomitej pani, przyjechał do niej Badeni, plenipotent generalny dóbr ekonomicznych. Ten prawdziwie poczciwy człowiek podobał mi się z pierwszego wejrzenia; od dwóch dni dopiero poznany odemnie, wziął mnie na stronę i zapytawszy, po cobym tu do tej pani corocznie na lato przyjeżdżał, odpowiedziałem, że mi dobra swoje Orle puścić obiecała. Rzecz mi zająkliwie Badeni: pany o sobie tylko myślą, a Waćpan myśl także o sobie: teraz puszczają się na licytacye klucze dóbr ekonomicznych, wybierz sobie który, a zyskownym targiem będzie ci puszczone; obrałem więc z jego rady klucz Suchodolina zwany, z którego prócz życia i expensów innych domowych, najpewniej 200 dukatów na rok zebrać mogłem. Ten mój szacowny dotychczas przyjaciel, pamiętny mi będzie do śmierci, bo od dobroczywności przyjaźni swojej zacząwszy, utrzymywał ją potem wzajemnością w tylu zdarzeniach, chociaż czasu nie miałem zarobienia na to. Wszelako król chcąc się niby ujść w obietnicy swojej wspierania mnie, uczynił mnie rządzcą edukacyi dominika Radziwiłła; płaca roczna 1000 dukatów, a matka mało-

letniego obiecała przyczyniać 500 corocznie. Wielkie to zyski, ale daleko większa ofiara moja, bo wolności przez lat 10 utracenie. Wymawiałem się z początku, wspomniawszy, jak żadnej godziny dla siebie mieć nie mogłem, chcąc się pocziwie sprawić. Dobrze to starzy powiedzieli: „kogo bogowie nienawidzą, tego nauczycielem robią.“ Zwyciężony naleganiem króla przyjąłem najprzykrzejszy obowiązek. Lecz po upłynionym roku smutnego życia, porzuciłem ten obowiązek i wyjechałem do Warszawy. Nie mając już domu inszego (hom Sucho-dolinę wydzierzawił), sprowadziłem się do mojej kolonii w brzeskiem województwie, przy lesie biało-wieskiem sytuowanej, na którą tenże pocziwy Badeni, bez mojej o to prośby, jeszcze w r. 1791 wyrobił mi przywilej u króla. Był to kawał ziemi pastej, którą wtedy rozdawano każdemu, kto chciał. Pobudowawszy się w tej kolonii, zacząłem szczerze myśleć o sobie, ażeby na starość mając swój kawał chleba, po cudzych kątach się nie poniewierać; ciężkie mi było bez żadnego poddanego wytrzebienie dzikiego gruntu kolonii, wszystko robiąc najemnym cudzym człowiekiem. Wziąłem się tedy do pracy i sam więcej 50 lat mający, widząc, że próżno pokładałem nadzieję w obietnicach królewskich i łaskach pańskich; tyle wieku marnie przepędziwszy, zacząłem uprawiać rolę i kilka morgów, wycinając i wykopując korzenie krzaków, sam wytrzebiłem. Najemnicy, którzy przy mnie pracowali, z tym większą robili ochotą, im szczerzej i mnie przy sobie pracującego widzieli. Skutek tej pracy mojej był najlepszy, bo zawsze w czasie tych robót jadłem i spałem smaczno.

Od roku 1795 spokojnie siedząc w kolonii mojej, która z ostępu dawniej Krasnik nazywanego, dzisiaj się Karpinem zowie, uprawowałem rolę, zapomniany od króla i panów, a samemu tylko przemysłowi mo-

jemu zostawiony. Mogłem mieszkać gdzie w mieście i żyć z procentu; ale znając cokolwiek świat wielki, wolałem osieść w lesie, gdzie porobiwszy około domu mego zagrody silne, ocalałem od wilków i niedźwiedzi; w mieście zaś mieszkając, jakiż sposób ogrodzenia się od złego człowieka, żeby mnie nie naszedł?

Mam dom wygodny i nikomu pałaców nie zazdroścze. Dwie potrawy, przy chlebie smacznym na obiad, i dwie na wieczerzę — oto już cała uczta moja. Ani u sąsiadów moich będąc więcej żądam, nad najulubieńszą mi kaszę i pirogi. Po wierszach moich „Żale Sarmaty, jak w nich dałem słowo, wierszy odtąd nie pisania, tak dotąd żadnych nie pisałem. W tęsknej domowej osobności, najwięcej bawią mnie książki i gitara. Siedząc po większej części w domu, że po kompaniach obywatelskich nieznośne mi się zrobiły fircyki, czyli zepsuta młodzież terażniejsza, która nie lubiąc czytania książek, i nie mając wiadomości rzeczy żadnych, wszystkoby decydować chciała, a nie gruntośnie nie powie; siedząc w domu napisałem najulubieńszą mi książkę: Rozmowy Platona z uczniami swymi. Gdyby był król albo magnaci tyle mi się oświadczać, o poprawieniu losu mojego myśleli, byłbym zapewne nierównie więcej dzieł moich zostawił; ale głodnym będąc, wziąłem się raczej do roli, co mi teraz starość wygodniejszą zrobiło.

2. *Sokrates* (r. 400 przed Chrystusem).

Najoczywistszym dowodem zepsucia obyczajów w Atenach, jest śmierć Sokratesa, który dla wzorowego i nieskażonego życia, dla swój mądrości i głębokiej nauki, godzien był najwyższego uwielbienia swych współobywateli. Ojciec jego był sycerzem: młody Sokrates trudnił się także z początku tém rzemiosłem. Śmierć ojca uczyniła go wolnym w wyborze stanu, a szlachetna przyjaźń Krytona, majątnego Ateńczyka,

który umiał ocenić wyższe zdolności i cnoty Sokratesa, podała mu dobroczynną rękę i wróciła młodzieńca wrodzonej skłonności. Tym sposobem dzwigniony z niedostatku, opatrzony najslawniejszymi nauczycielami, kunszt tworzenia posągów, zamienił na sztukę kształcenia serca. Nieraz w głębokim pogrążony dumaniu, kilka godzin stał nieporuszony na jednym miejscu, rozmyślając o przeznaczeniu człowieka, o jego doczesnej i przyszłej szczęśliwości, i innych tym podobnych ważnych pytaniach. Niepozorna powierzchowność, szacowna w ubiorze prostota, dziwnie odbijała od zbytków i przepychu, w którym zniewieścieli jego ziomkowie na wyścigi się przesadzali. Sokrates zahartowany na ciepło i zimno, okryty lichym płaszczem, latem i zimą chodził boso, jadł proste potrawy, za napój czystej używał wody, którą sobie najczęściej sam ze studni wyciągał; a gdy był spragniony, nie napił się wprzód, aż kilka wiader na powrót w studnię wylał. Dla tego też, nawet w czasie zarazy, która okropnie srożyła się w Atenach, czerstwem zawsze cieszył się zdrowiem. Zasadą jego było: im kto mniej potrzebuje, tym jest doskonalszy i bardziej do bóstwa się zbliża. Raz uskarżał się przed nim pewien znakomity Ateńczyk, iż życie w Atenach tak jest kosztowne, i na dowód wymienił cenę purpury, przedniego wina, i innych drogich towarów. Sokrates wziął go z sobą do różnych składów żywności, i przekonali się obaj, że mąka i oliwa były dość tanie; poczem weszli do zwyczajnego kupieckiego sklepu, tu nad spodziewanie dowiedzieli się, że pospolite materye, za bezcen prawie przedawano. Inny uzał się przed nim na trudy pieszej podróży, którą był właśnie odbył. — A niewolnik twój czy zdążył za tobą? zapytał Sokrates. — Czemużby nie miał zdążyć? — Może nawet niósł co? — Spory tłumok — Zapewne też mocno strudzony? — I gdzie tam! wszak

już posłany za nowym interesem! Otóż, rzekł Sokrates, ty przewyższasz twego niewolnika darami fortuny, a on ciebie darami przyrodzenia. Ty jesteś wolny i bogaty, lecz słaby i zniewieściał; on jest niewolnikiem, ale zdrow i silny. Powiedz sam, kto z was szczęśliwszy.

Przyjaciel wstrzeźliwości, gardził przysadą, która częstokroć bywa matką obłudy, dla tego rzekł do Antisthenesa, ucznia swego, gdy tenże jeszcze mistrza w pogardzie dóbr doczesnych przewyżzyć usiłował, i w podartym płaszczu chodził: „Przyjacielu, z każdej dziury twego płaszcza wygląda próżność.“

Tak proste wiodąc życie, był zawsze humoru wesołego; nic nie zdołało zmącić spokojności jego duszy. Dowiedziawszy się razu pewnego, że ktoś źle o nim mówił, bynajmniej się tém nie zmartwił, i uśmiechnąwszy się, rzekł: może mnie i obić w méj nieprzytomności. Inną razą pozdrowił grzecznie pewnego znakomitego obywatela, który mu wcale nie podziękował, lecz napuszony, jak paw, dumnie koło niego przeszedł, i jeszcze go potrącił. Rozgniewało to grubijanstwo uczniów, towarzyszących mistrzowi swemu; ale on rzekł spokojnie: czy chcecie, żebym i ja był takim jak on grubijanem? czyż wypada osła, który mnie udepnął, pozywać do sądu? — Największym dowiadaniem cierpliwości była jego żona Xantypa. Gdy ją pojmował, mówił do Antisthena, znałem to dobrze, iż nie masz nikogo, z kimbym żyć nie mógł, jeżeli z nią żyć potrafię. Pewnego dnia rozgniewana, jak zwyczajnie, wpada z wielką furią na niego i łaje. Sokrates nie uważał na to wcale i siedział sobie spokojnie. Ale gdy się gniew swarliwej żony coraz bardziej wzmaczał, wstał z miejsca i wyjść chciał. Ta niezmacona jego spokojność tak ją do reszty zniercierpliwiała, że porwawszy naczynie z wodą, wylała

na niego. Oblany małżonek rzekł z uśmiechem: po takim grzmocie, można się było spodziewać ulewy.

Miłość nauk nie tłumila w nim gorliwości obywatela. Skoro ojczyzna potrzebowała obrony, rzucił ustron i ulubione nauki, i wziął się z innymi do broni. „Nie dość jest mówić o obowiązkach, trzeba umieć samemu je pełnić.“ Sokrates trzy lata przepędził w obozie w czasie zaciętej walki ze Spartą. Widziano go z tą samą gorliwością dającego przykład odwagi i cierpliwości w trudach obozowych, z jaką dawał wzór cnoty, gdy jej nauczał, na łonie słodkiego pokoju. Po skończonej wyprawie, upatrując więcej chwały w krzewieniu oświaty, niż w zbieraniu rycerskich wawrzynów, powrócił na łono przyjaciół, spokojności i nauk.

Głównem jego zatrudnieniem było kształcenie młodzieży, której jeszcze niezspsute serce zdolnem było do przyjęcia cnoty. Miał zaś zasadę: pierwój serce niż umysł doskonalić. Ubolewał nad tém, że ludzie zaciekają się w zbadanie ciał niebieskich, nie pomnąc na to, co się dzieje na ziemi, że chcą poznać innych, nie poznavszy wprzód samych siebie. Pierwszém więc jego prawidłem był ów sławny delficki napis: znaj siebie samego; a celem jego nauki: doskonali się w cnocie. Nie miał on u siebie formalnej szkoły, lecz nauczał wszędzie, na każdym miejscu, na rynku, na przechadzce, przy stole, w obozie: słowem, gdzie się tylko koło niego ciekawi zebrali słuchacze, żadnej za swą naukę nie przyjmując nagrody. Uczniowie jego słuchali go z ciekawością, porzucali nieraz zabawy, aby słyszeć ulubionego mistrza. Euklides, nadzwyczajnie ciekawy młodzieniec, przychodził często do Sokratesa z Megary, miasta cztery mile od Athen oddalonego. A gdy Atheńczykowie z nienawiści przeciwko Megareńczykom, pod karą śmierci zakazali im bywać u siebie; Euklides przebrany w szaty niewieście

z narażeniem własnego życia na niebezpieczeństwo wkładał się do miasta, aby tylko być uczestnikiem rozmów Sokratesowych. Młody Aeschines życzył sobie także zostać uczniem Sokratesa, ale będąc ubogim, nie śmiał zbliżyć się do niego. — Czemu stonisz odemnie, zapytał go Sokrates, gdy go raz spotkał na ulicy? — Bo nic nie mam, coym ci dać mógł. — Cóż to, odpowiedział Sokrates, takżeto mało cenisz siebie samego? Oddaj mi siebie! a tak Aeschines od tego czasu został jego uczniem.

Pewnego razu spotkał w ciasnem przejściu Xenophonta, przystojnego młodzieńca, którego Sokrates życzył sobie mieć swoim uczniem. Założył mu swoją laską przejście, i gdy młodzieniec stanął: „powiedz mi proszę, spytał go Sokrates, gdzie można dostać mąki? — Na rynku — A oliwy? — Tamże. Ale powiedz mi także, gdzie się udziela nauka, aby być dobrym i mądrym. Młodzieniec nie umiał na to odpowiedzieć. „To pójdź ze mną, rzekł Sokrates, a pokażę ci“ i od tego czasu Xenophon został najgorliwszym jego uczniem i poufałym przyjacielem. Sława Sokratesa była tak wielka, że go nawet wyrocznia w Delphach za najmędrszego z ludzi uznała.

Sokrates nie zapuszczał się nigdy w uczone różprawy, których, niewprawni jeszcze w rozumowanie uczniowie, częstokroć należycie pojąć nie zdołają; lecz wdawszy się z jednym lub kilku przytomnymi o jakimkolwiek przedmiocie w potoczną rozmowę, tak zręcznie zastosowane do pojęcia i do zgłębienia rzeczy, umiał zadawać pytania, aż nareszcie prawdę jasną jak słońce z nich wydobyl. Ten rozbiorowy sposób tłumaczenia się, przybrał od niego nazwisko *Sokratycznej metody*. Taki sposób, połączony z pewną ironią, najstraszniejszą był bronią przeciwko zarozumiałości fałszywych mędrców, czezych rozprawiaczy, *sophistami* zwanych, którzy udatną wielomownością i pozornym

blaskiem krasomowstwa mamili gmin łątwowierny, jakoby rozległe posiadali wiadomości i wszystko w świecie wiedzieli. Sokrates przybierał zwykle przy tak zawołanych mędrkach postać prostaka, jakoby ich mowy pojąć nie był w stanie; chwycił pospolicie ich ostatnie twierdzenia, i zaczął je swym trybem przez pytania, na które odpowiadać musieli, rozbierać, aż ich nareszcie swą ścisłą dialektyką czyli rozumowaniem do tego punktu doprowadził, iż sami fałsz swego twierdzenia uznać musieli. To upokorzenie rozjątrzyło tym bardziej te klasę ludzi chciwych i podłych, nie mogących wytrzymać blasku prawdziwej mądrości i bezinteresownej cnoty prawego mędrca. Spiknęli się więc na jego zgubę, i zaczęli go najprzód oczerniać i publicznie wyszydzać. Ale gdy i to nic nie pomogło, bo sława jego coraz większym blaskiem jaśniała, oskarżyli go przed sądem. Anitus kapłan Cery, stanął na czele potwarców, a podły Melitus był godnym jego rzecznikiem. Tak ów miłośnik inaczej cnoty, ów najgorliwszy wyznawca prawego bóstwa, był pozwany do sądu jako niedowiarek i kaziciel obyczajów. Sokrates wtenczas już sędziwy, 70 lat liczący starzec, uważał za rzecz niegodną siebie odpowiadać na tak niktzemne zarzuty. Z największą więc spokojnością, odwołując się do całego swego publicznego życia, okazał im, iż jedynym jego powołaniem było, przykładać się do szczęścia swych współobywateli, czyniąc ich lepszymi i cnotliwymi; że więc przez wzgląd swego dla ziomek poświęcenia, powinienby raczej uczczony być nagrodą. Słowa te wyrzeczone były z taką godnością, iż Sokrates zdawał się być sędzią, a sędziowie obżałowanymi. Nic więc dziwnego, że jeszcze bardziej przeciw niemu niegodny sąd rozjątrzyły, który się spodziewał, że Sokrates zniży się do prośb, i błagać będzie o życie. Odesłano go zatem do więzienia. Lysias jeden z jego przyja-

ciół, przyniósł mu tutaj kunsztownie ułożoną obronę, aby ją przed sądem odczytał. Sokrates pochwalił wprawdzie mowę, ale ją odrzucił, jako niezgodną z jego prostem i otwartem postępowaniem. A gdy go ktoś zapytał, dla czego sam swoją nie zajmuje się obroną? — Jakto? odpowie, albowiem nie widzicie nią zajętego całe moje życie? A to jakim sposobem? — Rozważając zawsze, co jest sprawiedliwem, a co niesprawiedliwem, czyniąc pierwsze, a unikając drugiego. — Wskazany więc został na śmierć większością tylko trzech głosów. Sokrates z największą spokojnością słuchał wyroku śmierci, lecz uczniowie od łez wstrzymać się nie mogli. Otoczyli więc sędziów, błagali z płaczem ich litości, ofiarowali im znaczne summy pieniędzy za wypuszczenie ich mistrza; ale wszystko nadaremnie. Sokrates odezwał się, że przebacza sędziom, którzy go potępili, i cieszył się, że się wkrótce połączy z cieniami wielkich mężów przeszłości. Okuto go w kajdany, i byłby musiał natychmiast spełnić kielich trucizny, gdyby właśnie wtenczas okręt Theususza nie był odplynał do Delos dla odbycia uroczystej processyi; w czasie téj uroczystości zawieszano wykonywa nie wszelkich wyroków kryminalnych, a okręt dla przeciwnych wiatrów dopiero za 30 dni wrócił. Ostatnie te chwile przepędził Sokrates z uczniami, którzy go na moment nie odstępowali, i dowiódł spokojnością umysłu, że nieustraszona odwaga, którą w obliczu sędziów okazał, nie była przysadą, ale mocą niengiętego charakteru.

Troskliwi uczniowie o ocalenie drogiego im życia, zdołali prośbami i darami nakłonić dozorcę więzienia, żeby mu ułatwił ucieczkę i przyszli uradowani donieść o tém Sokratesowi. Lecz on podziękowawszy im za przywiązanie, odrzucił ten projekt, i nauczał ich, że prawu i zwierzchności koniecznie posłusznym być trzeba. „Ah! rzekł ze łkaniem przyjaciel jego

Apollodorus, ale ty umierasz niewinny! — Czyżbyś chciał, odpowie Sokrates, abym winnym umierał?

W dzień jego śmierci zebrali się zrana uczniowie w więzieniu. Po chwili wszedł dozorca, zdiął z Sokratesa kajdany, i oznajmił mu, że dziś przed zachodem słońca, truciznę wypić musi. Przybyła i żona jego, aby się z nim pożegnać, miała na ręku najmłodsze dziecię i rzewnie płakała. Wszyscy tym widokiem do żywego byli wzruszeni. Sokrates po krótkim lecz serdecznym pożegnaniu, prosił jednego z przytomnych, aby żonę jego do domu odprowadził, iżby mu ostatnich chwil życia swym żalem nie utrudzała. Potem obrócił się do swoich uczniów, rozmawiał z nimi o życiu i śmierci, o nieśmiertelności duszy, o przyszłej doskonalszej szczęśliwości.

Tym czasem słońce zbliżało się ku zachodowi; dozorca wszedł do więzienia, trzymając w ręku pełny kielich. Powiedźże mi, rzekł do niego Sokrates, co mam czynić? — Będziesz, odpowiedział tenże, przechadzał się po spełnieniu kielicha, aż słabość uczujesz, natenczas się położysz. Z wesołą twarzą wziął Sokrates kielich, a poleciwszy się bogom, spełnił kielich od razu. Wtenczas uczniowie jego od łez wstrzymać się nie mogąc, rzewnie płakać zaczęli. „Uspokojcie się przecie, odezwał się Sokrates, wszakże dla tego oddaliłem od siebie kobiety.“ Poczem przechadzał się, a po niejakić chwili położył się z największą spokojnością. Trucizna prędko działać poczęła, nogi jego już były zimne, a członki obumierały. Nagle otworzył raz jeszcze zamykające się powieki, i rzekł słabym już głosem: Przyjaciele, winienem Eskulapowi koguta, ofiarujcie go za mnie. *) Jeden z nich na-

*) Był zwyczaj u Greków, że gdy kto z ciężkiej wyszedł choroby, ofiarował przez wdzięczność Eskulapinszowi, bożkowi sztuki lekarskiej, koguta. Sokrates uważał życie doczesne jako chorobę, od której go śmierć uwolniła.

chylił się do niego, pytając, czyby nie miał jeszcze co do zlecenia; lecz nie odebrał żadnej odpowiedzi, bo Sokrates już nie żył.

Tak umarł niewinny Sokrates r. 399 przed Chrystusem. Dopiero po jego zgonie postrzegli się Atenacy w błędzie. Całe miasto pogrążone było w grubej żałobie, nakazano publiczne ofiary bogom dla odwrócenia ich gniewu; wystawiono mu posąg i prawie boską część wyrządzano. Jego zaś nieprzyjaciół i potwarców jednych śmiercią drugich wygnaniem ukarano. Imiona ich okryli współcześni złorzeczeniem, potomność wzgardą. Duch Sokratesa ożył w jego uczniach, którzy nauki jego, jako najdroższą po swym mistrzu puściznę, spisali, i tym sposobem późnej przesłali potomności.

3. *Osobista waleczność Bolesława Krzywoustego.*

Ostrzeżeni Pomarzanie podemknęli się w liczbie trzech tysięcy pod wieś, gdzie król ochotował. Trafilo się właśnie podczas owój biesiady, że Bolesław lubiący myślistwo, udał się do poblizkiego lasu, wiawszy z sobą ośmdziesiąt ludzi zbrojnych, ale nagle ukazały się liczne Pomarzanów hufce. Nie zląkł się mężny monarcha przewyższającej liczby. Upomniawszy swoich, aby go w tak niebezpiecznym razie nie odbiegali, a kupy owych łotrzyków, poddańców swoich płoszyli, natarł na nich pierwszy z dobytym pałaszem. Potężna rąbanina w odważnym natarciu dała królowi z ludem swoim wolne przez nieprzyjacioły i rzejście; lecz on nie szukał ucieczki, ale zwycięstwa. Cośnął się nazad i tymże zapędem jeszcze się drugi raz przez tłumy owe przedarł. Nie miał już więcej przy sobie nad pięciu orężników. Nie było też widać Hetmana Skarbimira z drugiej strony walczącego; wszakże podobało się trzeci raz jeszcze spotkać się z pogaństwem, mocno już przerzedzonym: każdy Polak

do kilkunastu ich ubijał. Wtém konia pod królem za-
bito, i nim mu drugiego poddał jeden z owych pięciu
pozostałych, oskoczony, długo się w rącz ścinać mu-
siał, nie bez srogiej kłęski przeciwników. Nadbiegł
też wkrótce Skarbimir, cały ranami okryty i z utrac-
ném od postrzału okiem, a z nim trzydziestu podobnie
ranionych i zmordowanych towarzyszków. Odparci
znowu Pomorzanie, bojąc się, aby się na nich liczniej-
sza moc nie wysypała, pierzchać i niknąć po lasach
zaczęli. Jakoż ostrzeżeni o niebezpieczeństwie króla
godownicy, już się byli rzucili do broni i biegli na
ratunek. Spotkał ich powracający z bitwy Bolesław,
wracając się do dawniej wesołości. Ucieszyli się wszy-
scy z ocalenia pana, wszakże wielu przytomnych wi-
dząc szyszak i zbroję posieczoną, tudzież różne stłu-
czenia i rany, upomnieli króla, aby się na przygody
nierozmyślnie narażając, w osobie swojej na szwank
całego narodu nie podawał.

VIII. OPISY.

1. Ziemia jest okrągłą.

Wszyscy wiedzą, że ziemia ma kształt okrągły;
lecz gdyby się nas kto zapytał, czy jasne o téj pra-
wdzie mamy wyobrażenie? czy jesteśmy o niej prze-
konani? musielibyśmy podobno wyznać, że nie! żeśmy
tylko o tém od mędrszych i wiarogodnych słyszeli
ludzi, że temu wierzymy, *) podobnie, jak polegamy
na historycznych podaniach, których sami nie byliśmy
świadkami. Trzeba nam atoli wiedzieć, że ci, od

*) A wieła nawet i nie wierzy, jak pewien nauczyciel wiejski,
który powróciwszy ze seminaryum nauczycielskiego na wieś,
powiadał swoim znajomym: „uczylić mnie tam wprawdzie, że
ziemia jest okrągłą, ale ja nie głupi, żebym temu wierzył.“

których takie o kształcie ziemi słyszeliśmy zdanie, nie mieli żadnego zamiaru oszukania nas, że sami także nie byli oszukani; lecz z pewnych natury opostrzeżeń na rozumie i doświadczeniu opartych, téj prawdy doszli, a przekonawszy się o niej dokładnie, ogłosili ją drugim.

Rozważmy tylko pilnie następujące okoliczności, a zobaczymy, jaki ma kształt nasza ziemia.

1. Człowiek małą tylko ziemi przestrzeń okiem przejrzeć może; ziemia ta nie wydaje mu się wcale okrągłą i kulistą, ale owszem płaszczyzną, którą naokoło czyste otacza niebo. Na tém niebie we dnie słońce wschodzi i zachodzi, a w nocy księżyc i gwiazdy, które nam się nie zbyt wysoko nad naszymi głowami wisieć wydają. Atoli gdy się zbliżyć chcemy do tego ostatniego ziemi krańca, gdzie niebo z ziemią się styka, gdzie nam się zdaje, że gwiazdy ręką dostaniemy, przekonamy się dopiero, że tam znowu tak daleko, jak przed tém, do końca ziemi, i że to wszystko było tylko złudzeniem oka naszego.

I gdyby się kto wybrał z domu r. b., i udał się w podróż na wschód przez Polskę, Rosyą, do Azyi, do Mohometanów i pogan, z łądu wsiadł na okręt, płynął morzem, i znowu na łąd wysiadł, a potem znowu puścił się okrętem, i coraz dalej i dalej na wschód, chcąc koniecznie odkryć koniec ziemi, za kilka lat przybyłby do znajomego sobie kraju; usłyszałby znowu słodkie ojczyściej mowy dźwięki, ujrzałby zdaleka wieżę kościoła, dobrze sobie znajomą i stanąłby nakoniec w miejscu, z którego wyszedł nie znalazłszy końca świata; to jest, odbyłby podróż około ziemi, jak gdybyśmy kredą naokoło kuli drewnianej koło opisali. Przeszło 20 takich podróży odbyli we wszystkich kierunkach ciekawi żeglarze, a między innymi, sławny ów podróżnik kapitan Kook, który dwa razy ziemię objechał, a w trzeciej, na wv-

spie Owaihi, od dzikich mieszkańców zabity został. Ten więc jest pierwszy i najlepszy dowód, że ziemia jest okrągłą.

2. Znajdując się na obszernej płaszczyźnie, gdzie ani góry ani lasy naszego nie ścieśniają widnokregu, i postępując naprzód w jakąkolwiek bądź stronę, łatwo dostrzeżemy, że z nami tenże widnokąg co moment się zmienia; za nami znikają przedmioty z oka naszego, a przed nami nowe, coraz wyraźniej się wynuszają. Najprzód spostrzegamy wieże kościołów, szczyty najwyższych gmachów, później widzimy całe przedmioty. Podobnie przypatrując się okrętom na morzu płynącym, w znacznej odległości najprzód widzimy maszty i żagle, a potem cały okręt wynurza się niejako z morza, i pokazuje na jego powierzchni. Wszedłszy na górę lub wysoką wieżę, rozszerza się nasz widnokąg, to jest: widzimy nierównie dalsze przedmioty jak na dole: wszystko to jest skutkiem kulistego kształtu ziemi.

3. Jużemy wyżej powiedzieli, że człowiek na ziemi postawiony, nie może wzrokiem objąć tylko bardzo małą część jej powierzchni, nie możemy jej przeto widzieć, tak, jak widzimy figurę księżyca lub słońca. Gdybyśmy np. na księżyc przenieść się mogli, widzielibyśmy ją dokładnie i kształt jej; przeto nie mogąc się postawić w pewnej nad nią odległości, trzeba upatrywać takiego w dziełach natury skutku, któryby był koniecznym wypadkiem tej, a nie innej figury ziemi: tém są zaćmienia. Jakoż we wszystkich zaćmieniach księżycowych, widzimy zawsze, iż cień ziemi na tarcz księżyca rzucony, ma figurę koła; musi więc ziemia, tenże cień rzucająca, być okrągłą.

4. Nakoniec, gdyby ziemia była płaszczyzną, słońce wschodzące, musiałoby wszystkie miejsca, to jest całą jej powierzchnią, w jednej i tejże samej chwili, naraz oświecić. Wiemy jednak z doświadczenia, że w róż-

nych czasach wchodzi i zachodzi, np. że w Poznaniu godzinę prędzej zachodzi niżeli w Paryżu.

Z tych więc i innych pewnych dowodów, przekonano się, że ziemia nie jest płaszczyzną, ale ma figurę do jabłka podobną, czyli kulistą, i że bez żadnej podpory, podobnie jak słońce i księżyc w nieograniczonej świata przestrzeni jest zawieszona, a ze wszystkich stron otacza ją niezliczone gwiazd mnóstwo. Nie trzeba jednak myśleć, że tym sposobem jedna część mieszkańców ziemi wisi do góry nogami, i że łatwo spaść może w powietrze. Śmiesznem byłoby takowe mniemanie! Wszystkie rzeczy na ziemi, za pomocą swęj ciężkości dążą do środka ziemi, a zatem odpaść od niej nie mogą. Wszędzie nazywa się na dole, co jest pod nogami, a na górze to, co jest nad naszą głową. Nikt zatem nie wie o tém, ani twierdzić może, że jest na dole. Wszyscy są na górze, dopóki ziemię mają pod nogami, a niebo świetnych gwiazd pełne nad sobą.

Zdziwi się zapewne czytelnik, usłyszawszy pierwszy raz, jak wielką jest ta kula. Jęj średnica, to jest linia prosta, od jednego punktu powierzchni przez środek ziemi na wylot przeciągniona, długa jest 1720 mil, obwód zaś ziemi wynosi 5400 mil. Zkąd sobie łatwo wystawić można, jak ogromna jest ta kula, jak ciężka, a oraz, jak wszechmocna Opatrzność Boga, który nie tylko ziemię ręką niewidzialną trzyma, ale nadto wszystkie na niej istoty życiem i wzrostem obdarza. Powszechnie utrzymają, że tysiąc millionów ludzi na całej powierzchni ziemskiej mieszka; a wszystkich Pan Bóg wszechmocnością swoją żywi, i we wszelkie opatruje potrzeby. Lecz ileżto zwierząt, ptaków, ryb i robaków żyje na ziemi, w wodzie i powietrzu? Któż to zliczy, kto pojmie wszechmocność boską?

Potężny Boże na ziemi i niebie!

Gdy spojrzę na dzieł twych widowisko;

A potem oczy obróć na siebie,
Jak mnie ta wielkość upokarza nisko!

2. Karpaty.

W pierwotnym składzie naszej części ziemi najwyżej wzniosły się Alpy, a najobszerniej zaległy Karpaty. Część ich najogromniejsza i najwyższa, a prawie w pośrodku rozgałężeń gór sarmackich leżąca, nosi imię Krępak, później dopiero Tatrami przezwana podobno od przechodu tędy hord tatarskich. Tatry są częścią Karpat najpiękniejszą, na samém pograniczu Galicyi z Węgrami, goruje nad innemi szczyt Łomnicki 8316 stop wysoki i Krywań nieco od niego niższy.

Od północy Krywań z trudnością przystępny, ma skały przepaściste, od południa wchód bardzo łatwy. Przez półdnia po niezmiernych rozwalinach wdzieralem się na najwyższy grzebieniec, który jest cały z litego granitu. Przeszedłszy licznie góralskie polany, to jest pastwiska i sianożęcia, gdzie pasterze mają swe kotary czyli koliby i gdzie podczas sianożęcia z familią i trzodami bawią, dostałem się w kilku godzinach na wysokość, kędy już lasy ustają. Idąc dalej w górę na wysokości 960 sążni, spotykają się z wielką pracą kowane w granitach różne lochy czyli stole. Są to dawne górnicze wyroby na złoto, które tu znajduje się samorodne w listkach lub w krzewiu; kierunku żył dostrzedz nie mogłem (mówi Staszic) bo stole wszystkie częścią zapadły, częścią śniegiem i lodami są zawałone.

Od tych kopalni złota jeszcze czwarta część góry do najwyższego szczytu. Idąc prosto, możnaby wejść w godzinę czasu, ale zbyt przykro; postępując zaś grzbietami ciągnącemi się ze wschodu aż do wierzchu we dwie godziny stanąłem na najwyższym Krywania szczycie.

Trudne do pojęcia, trudniejsze jeszcze do opisanie

pierwsze wrażenie. Wszystkie dotąd z taką trudnością przebyte góry, znikają teraz pod nogami memi, i ukazywały się tylko jako poziome kupce.

Natura w dolinach jest skrytą, aby ją rozpoznać, kopać ją potrzeba; w górach jest otwartą. Tu sama zdaje się odkrywać, sama wynosić, aby się okazała całą. W równinach natura jest niezmiernie czynną, nieskończenie rozmaita, nieustannie świat ozdabia, upiększa, coraz inne tworzy kwiaty, drzewa, zwierzęta. Tu wszystko inaczej; ni tu znaku przemysłu, ni śladu rozumu; wszędzie, gdzie człowiek spojrzy, spotyka tylko jeden i zawsze jeden ogół. Jest to świat stary, ponury, chropowaty, nieużyty. Natura czyli nie śmie, czyli nie może go przyozdobić ani urozmaicić. Wśród łysych skalisk natura sama naga i zimna. Tu zdaje się spotykać pierwsze krańce ostateczności; ów koniec, gdzie wszystko martwieje, gdzie same żywioły ustają. Powietrze jakieś głuche, nie zdadne do dźwięków odgłosu; światło jakieś spokojne, nie tak jak na dole żywe, połyskłe, świetne, jaśnieje, ale nie ogrzewa. Przecież i tu wszystko natura przerabia i przemienia. Ogromne rozwałiska wszystkich gór pierwotnych, szczególnież Krywania, dowodzą, że świat ten stary nie był takim, jakim dzisiaj, kiedy został stworzony. Góry pierwotne przynajmniej raz jeszcze od terazniejszych były wyższe. Sam grzbiet Krywania, mało więcej nad dwa sążnie szeroki ma od południa spadek na dwadzieścia kilka gradusów potoczysty, cały rozwałinami skał aż do dołu okryty. Od północy ma ściany zaraz z góry przepaściste.

Na wysokości czterech tysięcy kilka set stóp w górach Tatrach ukazuje się wielki plac, miejsce na pół mili rozległe, a całe jakoby zapadłe lub wykute wśród samych granitowych skał, których widać ogromne i jeszcze na kilka tysięcy stop wyżej na około sterczące wielorakiego kształtu cypłe. Tych podo-

bieństwem do różnych istot uderzona dzielniejsza w góralach niż w gminie po równinach wyobraźni władza, różnemi je nazwała imiony: zbojów, pielgrzymów, starców, mnichów i t. d.

W pośrodku takich granitów, leży w dole obszerne jezioro *Rybie*. Spadają do niego dwa wielkie potoki, które na pięć set stóp z góry na dół lecąc, z straszonym hukiem rozbijają po skałach swe wody i czynią zachwycający widok.

W tém miejscu ogromność wszystkich razem przedmiotów łudzi oko: wszystko tu zdaje się być nie wielkie, blizkie, a przyłożona w szczegółach miara, odkrywa wszędzie niespodziewaną odległość, wielkość. Jezioro na pierwszy rzut oka zdaje się być bardzo małe; zmierzone zawiera przeszło 8000 stóp na około.

O tego jeziora głębi, o mających się w niem znajdować wielkich rybach i jakichś potworach, które czasami wyrzucają wodę do góry i porywają pasterczom nadto zbliżone do brzegów owce i kozy, są liczne między góralami tutejszemi powieści.

Pilne uważanie i użyte przezemnie różne sposoby dla złowienia ryb, lub postrzeżenia ich gatunków, nie odkryły mi innego, tylko gatunek pstrągów, zbliżający się najwięcej do tego rodzaju ryb w Laponii, które prawie jedyną są karmią Laponczyków w górach; jest to ryba mająca długości stopę jedną, głowę owalną, ogon widelkowaty, łuskę bardzo drobną, po obu stronach złotemi kropkami popstrzoną, skrzele czerwone, boki niebieskie, a brzuch żółty. Znajdują się także pstrągi mające na dwie stopy długości i przeszło; są one wyżej opisanym podobne, ale się różnią wężykowatemi pręgami.

Wyszędłszy jeszcze wyżej na te skały, z których owe dwa potoki do jeziora *Rybiego* spadają, znalazłem na wysokości odtąd jeszcze pięć set stóp, dwa drugie

jeziora, z których wody pędząc na dół, rozbijają się po skałach; jedno z nich zowie się *czarny staw*, drugie na wschód między najwyższymi i najostrzejszymi skałami, nazywa się: *morskie oko*. Otoczone jest w koło granitowemi skałami na kilka tysięcy stóp wyżej jeszcze sterczącemi. Trzy granitowe ściany od północy, wschodu i od południa są całe, gładkie, prostopadłe, nie mające żadnych rozpadlin. Czwarta zaś ściana, która niegdyś tę całą przepaść i w niej wody morskiego oka zamykała, leży teraz w zwaliskach, zasypujących wielką część rybiego jeziora.

O tém oku morskiém że jest niezgruntowane, że wody jego mają podziemne połączenie z morzem, i że te w pewnych czasach do góry się podnoszą, znalazłem między góralami liczne gminne podania. To tylko zdaje się być rzeczywistem, że wody tego jeziora wznosiły się w początkach do znacznej wysokości, czego dowodem jest ogromne rozwalisko czwartej ściany, którędy te wody spadły i dotąd spadają. Jezioro to i inne na górach pierwotnych leżące właściwie w przepaściach, nie mają żadnych źródeł, a wszystkie dla swych wód uchodu mają jedną ze czterech ścian prostopadłych rozerwaną albo całkiem wywaloną, którędy wody spadając, uchodzą. To wzbieranie i opadanie wód w oku morskiém, które tutejszych góralów tak zadziwia, jest jedynie skutkiem nawalniczych ulew i roztopień śniegów. Wtenczas wody jego wznoszą się nagle, dopóki nie przebiorą grzbietu z rozwalonej ściany, a w całej szerokości na kilkaset stóp przewaliwszy się tamtędy, czynią widok ogromnej rzeki na kilka set stóp wysoko i szeroko leżącej po skałach w Rybie jezioro.

Mimo braku w tém miejscu czołna i wszelkiego na tutejszej wysokości drzewa, starałem się przecieź w kilku miejscach zmierzyć oka morskiego głębokość. Lizu-

cana kula ołowiana na sznurze 580 stóp najgłębiej spadała.

Oko morskie leży z strony północnej Tatrów, ma wysokości 4560 stóp. Już przy niém nie znalazłem żadnego drzewa i nie widziałem nic żywego, ani ptaków, ani płazów ziemskich. W wodach oka morskiego żadnych ryb nie masz, naokoło zaś w rozpadlinach skał śniegi i lody.

3. *Nauki przyrodzone.*

Ile razy myślą na nauki przyrodzone rzucę, nie mogę się odjąć boleści. Na widok tak ogromnej budowy, którą uczeni zachodniej Europy w oczach naszych wznoszą, będziemy z założonemi patrzeć rękoma? Przybierzemyż na się postać obojętnych widzów? Nie masz więc między nami ludzi, których opatrność pięknymi darami rozumu, a los bogactwy hojnie obsypał? Nie maszże u nas ludzi w samej porze do uprawiania nauk przyrodzonych, którym *czas za długi* się wydaje? Karty zabijają czas! prawda, ale i duszę razem. Nie każdy ma zdatność i ochotę do nauk spekulacyjnych; do tego trzeba od młodości nabranych nałogów; nie każdy może się bawić malarstwem i muzyką, które to kunszta niewiastom bardziej przystoją; ale nauki przyrodzone tyle tylko zatrudniając, co potoczne życie, nie mordują umysłu. O gdyby ten, *co to go wszystko znudziło na świecie*, zajrzał tylko raz w oczy naturze, raz tylko wpatrzył się zblizka w jej nadobne oblicze, raz tylko wziął w rękę mikroskop, lub oko w teleskopie zanurzył; wątpić nie można, iżby w nim nauki przyrodzone zyskały opiekuna i znaczącę. — Ożyłoby mu to wspaniałe przyrodzenie, te pola i łąki, na które teraz obojętném powłóczy okiem. Słońceby mu wspaniałej wschodziło. Zdziwiłby się, że dotąd nie widział tak wielkich przed sobą skarbów; wspomniawszy sobie, że szukał z takim ko-

sztem, narażeniem zdrowia i majątku, rozrywek i zabawy, mając w około siebie takie cuda, tak ciekawe do odkrycia tajemnice natury, tyle do zyskania sławy i tyle przyjemności, zdumiałby się nad własną ślepotą. Ależ powie kto, nie znam wcale nauk przyrodzonych; tém lepiej, bo do innych przyjemności przybędzie jeszcze rozkosz, którą nowość sprawuje. Przyjaciel, który zna choć cokolwiek Chemii, Botaniki, Mineralogii, Geologii, wskaże dzieła, które zaprowadzą do innych; okaże się potrzeba zebrania minerałów, roślin, któreśmy dotąd obojętnie nogą deptali; a mikroskop, teleskop, mały aparat chemiczny (co wszystko dziś tanie i łatwo sprowadzić), odłoni zdziwionemu oku nowy świat cudów. Podróże dla zdrowia do wód lub interessu przedsięwzięte, nabędą nowych powabów. Wieleżto na drodze teraz tak nudnej ciekawych rzeczy się znajdzie! Każdy dzień pomnoży zbiory domowe. Pobyt chwilowy w jakiej stolicy, lub większem mieście, nastreczy sposobność zwiedzenia gabinetów, zobaczenia wielu rzeczy, o których się czytało, i oświecenia z rozmowy z ludźmi, którzy w tym zawodzie wsławili się. Nawet w późnej starości, kiedy już wszystko w nas wyrzało i ostygło, nawet wśród cierpień, ta jedna szlachetna namiętność do ostatniej chwili przyjemnie życie wypełnia i zajmuje. Nie masz szczęśliwszych i dłużej żyjących ludzi, jak Numizmatycy, Geologowie, Botanicy. Ależ to kosztowna zabawka, rzecz nie jeden. Nie tyle, co karty i inne rozrywki, a co większa nie jest zabawką. Biada człowiekowi, który tylko przez całe życie chce się bawić! Mąż światły, któryby u nas nauki przyrodzone wspierał, w zaciszu domowem nad ich wzrostem gorliwie pracował, i nie dał nam pozostać się w tyle, nowe w naukach wynalazki i odkrycia u nas ogłaszał drukiem, na ryciny, na wydanie dobrych dzieł w języku ojczystymłożył; wiele chwil słodkich

sobie przysporzy i piękną w historii kartę sobie zgoutuje, bo i my i nasze czasy równie własnością historii się staną, jak wieki minione.

IX. OPISY ŻYWE.

1. *Uczta.*

Poczuwając się do obowiązków sąsiedzkich, zjechałem w dóm obywatela znamienitego urzędem, dostatkami i ludzkością, w dzień imienin jego. Dóm stary, drewniany, ściany po części spaczone i w ziemię zalazłe, oznaczały starożytność, nieszacowną z architektury, ale nadawającą wilgoć, gdyż okna ledwo na łokieć od ziemi wznosiły się. Sień była, jak mówią pospolicie, na przestrzał, tak szeroka, jak cały dóm; drzwi więc naprzeciw wejścia, miały iść do ogrodu, ale go nie było. Po lewój ręce była izba wielka, z niej podobnej wielkości sypialna, obiedwie wybite szpalerami, podobno mającemi jakieś osób wyobrażenia; bo równie jak dom starożytne, tak były spelzły, iż co wydawały, rozeznac nie było można, zwłaszcza iż gdzie niegdzie wisiały portrety stare w kirysach i ferezyach, jak sądzę, przodków gospodarza, lub samej Jójmości.

Około jedenastej godziny przyjechałem: już była ciżba; w dwóch albowiem izbach mieścić się musiała cała okolica. Po zwyczajnych przywitaniach, i powtórzoném wierszem i prozą powińszowaniu, szliśmy do izby jadalnej. Stół był na osób sześćdziesiąt, a nas blisko półtorasta; jak więc gdzie kto mógł i na czém mógł, jeżeli tylko mógł, siadł. Mnie wpakowano między dwie rogówki tak dobrze, iż mi tylko głowę było widać; wywindowałem przecież do góry rękę prawą, ale nie mogąc nią władać, a bojąc się uszko-

dzie galowych sukien sąsiadek moich, patrzyłem się o głodzie na niezmierną piramidę z francuzkiego ciasta, która mnie zasłaniała zupełnie, a za każdym wzruszeniem stołu chwając się, nabawiała strachu, iżbym w łeb nie wziął dość sporą chorągiewką, którą geniusz z cyfrą solenizanta na wierzchu trzymał.

Jak przyszło do owego uroczystego imienin hasła: czyje obchodzimy święto, pokazał się kielich, może jeszcze od czasów zygmuntofskich zachowany, tak wielki, tak długi, tak szeroki, iżem mniemał, że go jedynie tylko dla widoku, a zatem nasycenia ciekawości naszej, przyniesiono. Gdy w niego półtory nie-malęj butelki wlało, wniósłem sobie, iż to dla pokazania miary czynią; ale gdy wzięwszy go w oburącz, najpierwszy z gości do ust przysadził, i raz tylko odetchnąwszy do ostatniej kropli spełnił i wypróżnił, i niechwiejąc się, jakby drugiego czekał na swoim miejscu spokojnie usiadł, a tóż wciąż drudzy czynili, i kolęj już się do mnie zbliżała; że właśnie dla marcepanów, które przyniesiono, trzeba się było niektó-rym z miejsca ruszyć, wymknąłem się niezznacznie z pod rogówek, wpadłem w tłum, kto inszy tym czasem miejsce moje zasiadł; a ja głodny, dorwawszy się u kredensu półmiska, uspokoiłem natarczywość głodu mojego.

W zgiełku, ciżbie i hałasie, uszedłem owego wielkiego kielicha, ale pomniejszych, które się pomiędzy nami wałęsały, kilka spełnić musiałem. A jak nie było spełnić? kiedy szło o dobro kraju, o przyjaźń sąsiedzka, o pomyślność Jegomości, Jejmości i godnych pociech prześwietnej familii? Kiedy w powszechnem rozrzewnieniu klękali przedemną sąsiady, ja przed niemi? Kiedy mnie zakłęto na poczciwość, kiedy już przychodziło do przymówek? a jakiś Jegomość trącając mnie w bok, nibyto po przyjacielsku, raz wraz i mnie i drugim, których także w bok trącał, powta-

rzał, iż kto zdrowia gospodarskiego i prześwietni konsolacyi nie wypije, jest zdrajca, i będzie miał ze mną do czynienia! Najcięższa była sprawa, gdy mnie w owym tumultie dopadł gospodarz dobrze już zarumieniony, a właśnie wtenczas, gdym się jak mógł bronił od dość sporego kielicha za zdrowie pocziwych ludzi; wpadł on wśród walczących, i jak zaczął mnie całować i ścisnąć, com nie chciał do połowy, musiałem wypić i pełno i duszkiem. To mi człowiek! zawołał naówczas ten, co mnie w bok trącał, i ścisnąjąc mię serdecznie zapłakany z serdeczności szepnął do ucha: — „rozkaz, co chcesz, a przysięgam Bogu i ojcu rodzonemu nie przepuszczę.“ Całując go i ścisnąjąc na odwrót, dziękowałem za tak heroiczną uprzejmość, i możeby trzeba było nowy kielich spełnić, gdy szczęściem rozruch ław i stolców oznaczył skończenia obiadu; tłum naszą serdeczność przerwał. Gdy się wszyscy na drugą stronę zaczęli przenosić, jam się zatrzymał nieco, i usłyszałem dopiero, co to było, co się niekiedy odbywało na podworzu; były to zaś moździerzyki, z których strzelano na wiwaty.

Mróz był tęgi, a drzwi w sieniach na obie strony otwarte; nasadziwszy więc czapkę na uszy, mniej niż inni, bo po odpoczynku, uziajany i spocony, szybkim krokiem przebyłem owę katarową przeprawę, a gdy przecież jakąkolwiek przestronność obiecywałem sobie, wpadłem w większą ciżbę niż przedtem. Nowi albowiem goście nadjechali gromadnie, a najwięcej dam chcących i grzeczność gospodarstwu oświadczyć, i z tańców korzystać. Zaczęły się po wielu rozmowach i szeptach. Jakem się dorozumiewał, naradzenie to pochodziło ztąd, kto miał iść w pierwszą parę, kto w drugą. Ja niechcąc czynić nikomu subiekty, obrałem sobie być ostatni, i poszedłem w szóstą, ale jak zaczęli po mnie stawać, znalazłem się od początku. Zagrzmiała nie bardzo liczna, ale przera-

żliwa kapela, to jest trzech skrzypaków, jeden bas, dwie trąby i waltornia. Mimo usiłowania nasze, tupaliśmy nogami na miejscu stojąc: przecież nakoniec mogliśmy się ruszyć, ale dla ciasności szliśmy z taką powagą, iż co trzy kroki była stacya, a trwała dopóty, póki cizby, która nas otaczała, nie rozepchano. Nie obeszło się bez potrącania, a ów mój serdeczny przyjaciel, jak mi przybył na pomoc, tak dzielnie nasz taniec przepchał, iż czwarta część spektatorów wyleciała za drzwi, w których on na warcie stanął, a dopiero odetchnęliśmy, i raźniej tańcować zaczęto. Gdy paniom rozdawano kawę, zawitały do nas kielichy i szedł więc taniec rażno, a raźniej jeszcze zgiełk i wrzawa óswiadczeń, rozpoznań, wzajemnych rekomendacyi, powierzenia sekretów, obmów i szyderstw, a nakoniec przymówek; przyszło do tego, iż trzeba było jednych wyprowadzać, drugich zatrzymywać. A że się na coraz żwawsze obroty zanościło, nie mówiąc nic nikomu, a widząc, iż mnie mój serdeczny przyjaciel nie pilnuje, wyniosłem się nieznanie, i zastawszy gotowy pojazd za wrotami, powróciłem do domu.

2. *Ułamek z życia Sosenki, Cześnika wyszogrodzkiego.*

Na Podolu niedaleko Winnicy mieszkał Sosenka. Cześnik wyszogrodzki, Starosta Wendeński — pan i dziedzie wioski Grużyniec, szlachcic od Antenatów i z rodu i z nałogu. Jeszcze za Władysława Jagiełły jeden z przodków Sosenków rodziny, przełożony nad psiarnią królewską, za to iż w puszczech niepołomickich gracko i dobitnie zagrał w surmę pojezdnego, przy dziku zabitym przez Władysława; dostał z rąk króla patent szlachecki z herben. trzy trąby myśliwskie srebrnej barwy w ozerwoném polu — a odtąd

herb Sosenków tam drukowano, gdzie były staroświeckie herby Saryuszów, Habdanków, Jastrzębców Jelitów itd. Nikt nie wchodził, czy z psiarni, czy z kuchni wyrósł szlachectwo; dosyć, że je wydrukowano, a w owych błogich czasach, w których żył pan Cześnik, tak wierzone w druk, jak gdyby był jedenastem przykazaniem Bożem, lub osmym Sakramentem. Sosenka doskakiwał szóstego tuzina latek, a jednak był rzezki, prosto i czupurno się trzymał, wąs biały i włos na głowie biały, na twarzy zaś rumieniec jak burak czerwieniał i oko jeszcze żywym ogniem pałało: wyglądał on jak ranek początkowej jesieni, gdy srebrny szron przymrozku pokrywa zieloną jędrność lata.

Pani Cześnikowa Salomea ze chrztu, 50 lat kończyła, sucha jak wędzonka, potulna jak legawiec dobrze ułożony, choć w wianie wioskę przyniosła; jednak nigdy ani swojej woli, ani swoich chęci nie miała; a choć może i miała, to sam Pan Bóg albo ksiądz spowiednik o tém wiedział. Jak Pan Cześnik wrzaśnie „czarno,“ to ona mówi: czarno — jak pan Cześnik zawoła: bialo, to ona powtarza bialo, jak dziecko za panią matką pacierz. Mąż każe schłostać łozami chłopa, zagrabie ostatni dobytek arendarza z karczmy z bebechami i bachurami na dwór wyrzucić, sąsiadowi miedzę graniczną przeorać, bydło zajęte w szkoldzie prawem Kaduka taxować; ona przyjdzie i powie: „kochanku! ale bo to... Cześnik groźnie krzyknie: a Imość tu po co? do kądzieli! Pani Cześnikowa potupecze w ką, zakaszlnie sucherlawo i rzeknie służebnicom: „Jegomość wszystko dobrze robi.“ U pana Cześnika piwnica zaludniła się pokoleniem oxfetów beczek, antalków, baryłek — od praszczurów, aż do najmniejszych prawnucząt latami i wielkością, ciągnął się długi szereg potomstwa. Tu uwięzionysiedział węgrzyn, madera, miód kapucyński, maliniak, wi-

śniak, rum z Jamajki. U pani Cześnikowej apteczka zamożna w pierniki, tłuczenie (ciasto z tłuczonych migdałów) i lakocie różnego rodzaju; a co nadewszystko, stały rzędami, jak bataliony żołnierzy, stopy białej kalmusówki, zielonej piolunowki, czerwonej dzięgielowki, ciemno-żółtej dębówki i łapciówki. W kredensie pełno kielichów wiwatowych i z nogami i bez nóg i gładkich i rżniętych: zgoła było w czem wybierać. Do spiżarni co miesiąc bito parę wieprzów, a mięso wołowe świeże cztery razy na tydzień regularnie dostawiano. Codziennie kucharz i dwóch kuchcików w kuchni się uwijało, a na czas biesiady ogrodniczek, dojeżdżacz, forys i stróż pokojowy do pomocy przychodzili; oprócz tego co dzień kolejno jeden z chłopów wiejskich na stróż kuchenną przychodził. Przy dworze był kredenserz, pokojowy Jegomości, dwóch hajduków i dwóch pomywaczy kredensowych, małych błazneków, urwisów od szubienicy — wszystko to chodziło w sierakach i siermięgach; ale zaledwie krzyknięto: goście jadą! natychmiast wszyscy biegli do Jejności i tam z szafy dostawali liberyą białą z czerwonymi burtami i guzikami herbowemi. Przy Jejności służebnic bez liku, wychowanie, panien stolowych, garderobianych, kawiarki, haftarki, praczki, szwaczki itd. Do tego trzeba dodać, że pan Cześnik w domu niczego nieżałował — koniom, ludziom, psom gościnnym kazał dawać siana, owsa, strawy i osypki, ile zjedzą.

Sąsiedzi po kątach Bóg wie, co wydziwiali. Pan Podstoli mówił: Sosenka tyran, po sto bizunów każe swoim sypać; ja moim nigdy więcej nad półtoręj kopy nie pozwalałam wyliczyć. Podkomorzy swojej żonie powtarzał: Cześnikunio! to rybka! za niewypłacenie daniny chłopkom bydło pograbił i sprzedał na targu; czemu nie było zrobić po mojemu, zabrać kabaty, korale żonom, to i po ludzku i po gospodarsku, bo pań-

szczyzna nie zalegnie. Pan Wojski zaś najwięcej sarka, że cześnik od sztuki bydła zajętego w szkole, zyskiwał po dwanaście złotych, wtenczas kiedy on przestawał na dziesięciu i pięciu batogach danych właścicielowi bydła; zgoła, że koalicją formowano przeciw Cześnikowi: żony, matki i dzieci niedorose, wszystko to jak kawkki krakało na Sosenkę. Ale kiedy w niedzielę w parafialnym kościele na mszy, pokazał się Cześnik w kontuszu, z karabelą przy boku i wąsa pokręcił, wszyscy nisko mu się kłaniali, a na śniadaniu u plebana na wyścigi za ręce chwyтали, witali kochanego sąsiada i pytali o zdrowie. Na imieniny, urodziny, oktawy, całe sąsiedztwo jak na odpust z dziećmi i babami do Gruzyniec się zjeżdżało, bo wino Cześnika myszką trąciło, potrawy kucharz suto korzeniami przyprawił — podniebienie łaskotane smakiem, a gardziele płokane trunkiem, na chwilę zawieszaly obmowę, jak trzęsąca febra swoje poroxyzmy.

Nadszedł dziesiąty dzień Maja, dzień urodzin panny Cześnikowny Anny. Pan Cześnik wydał rozkaz, aby dopiero o dziewiątej po mszy pędzono na pańszczyznę chłopów, a równo z zachodem zchodzić z pola, a co większa przyaresztował na ten dzień bizun ekonomowi i tylko harapnikiem pozwalał naganiać do roboty. Ksiądz pleban kazał organiście ołtarz w piwonie przystroić, czerwony ornat przygotować i w dzwony nderzyć: skrzypi lina w dzwonicy, żelazne serce skacze po spiżowém łonie, — organista to do ziemi przysiąda, to w górę podryguje, a kudłate włosy jak szalone tłuką się po plecach. Gromada sunie na modły jak za powinność; bo ekonom, pisarz prowentowy, podstarości i leśniczy pilnie okiem rachują przytomnych. Biada temu, ktoby się spóźnił albo nie przyszedł! przy okazji dobrzeby mu wygarbowano skórę za krnąbrność i niepamięć o pańskim dziecku.

W kościele ksiądz kapelan *Dominus vobiscum* wy-

ciąga, a organista na organach dziwne trele wywodzi. Pani Cześnikowa z córką w ławce wybitej aksamitem klęczą — Pan Cześnik stoi na czele gromady — na dziedzińcu przy kościele z biczów pałą, koła turkocą, konie rzą i tętnią. Sąsiedzi na mszę poprzyjeżdżali. Cześnik wita, do ławki prosi, pani Cześnikowa w dygach sąsiadkom miejsce wskazuje, Anusia pocichu powinszowania odbiera. Nareszcie ksiądz zaczął altem wyprowadzać: *Ite missa est*. Sąsiedzi powstali, pokręcili wasa, karabelami brzęknęli, a kobiety po ucałowaniu patyny zabierały się do wychodu — tu dopiero na dziedzińcu poczęły się dygi, witania, powinszowania — a pan Cześnik odezwał się: Panowie sąsiedzi, nie odmówicie mi zjeść obiadek w Gruzyncach i uraczyć waszą bytnością dzień urodzin mojej Anusi. Nie jeden niby się wymawiał, ale w oczach widać było, że język kłamie dla ceremonii, wszyscy się zgodzili.

W sali jadalnej na długim stole stały do koła na talerzach w płatki pokrajane półgęski brunatnoczerwone, przezroczyście, bursztynową obwódką do koła opasane, tłuste szynki, ozory i salcesony hojnie słoniną szpikowane — na środku stołu kielbasy, kiszka podgardlana, wątróbiana i bigos hultajski — na uboczku wódki, miody. Pan Cześnik wychylił w ręce Podkomorzego kielich kminkowki, a tak kolejno z rąk do rąk kielich przechodził, talerze zabrząkły i ruszyli do śniadania. Przez długi czas ani słowa nie było, słychać tylko noże skrzypiały, gęby młaskały a zęby stukotały.

3. Spoczynek po pracy.

Było to w miesiącu Lipcu, kiedym przejeżdżał przez okolice Środy. Ochoczy żniwiarze rączo po rozległych uwijali się polach, zgromadzając w brogi obfite

plony. Dokuczający upał trwał prawie dzień cały, słońce parne zdawało się wróżyć deszcz pożądany.

Jakoż w istocie niedlugo popołudniu tu i owdzie na lazurowym niebie, pokazywać się zaczęły białe obłoczki, z których zwolna tworzyły się na dalekim horyzoncie chmurki, na postać osrebianych gajów i gór lodowatych, obniosły się po niebie, i mnogością swą blask słońca zakryły, Wiatr wykręcił się od zachodu wkrótce utworzył czarne chmury, a gwałtownym swym powiewem rozgrzane ochłodził powietrze. Coraz potężniej szumiał po drzewach, miotał niemi silnie, i naginając jak smagle latorośle, wyniosłe topole i wierzby rozłożyste, przemora swą pokonywał ich opór i szelest daremny. Zakręty gwałtownego wiru unosiły wysoko lekkiego kurzu tumany, zaćmiły drogi i pola pyłem, i całą zakryły naturę.

Ciągły połysk błyskawicy, czarnych chmur łono daleko oświecał, gdy tymczasem przytłumiony odgłos odległego grzmotu dawał się już słyszeć. Pasterze przerażeni ku domowi zawracają trzody, których szybki pochód chrapliwe na szyjach oznaczają dzwonki, ryk bydła rozlega się w powietrzu, pierzchliwe ptastwo szuka schronienia, śmiała jaskółka bystrym lotem wraca do swych piskłat; trudno się ostać na polu, deszcz kroplisty padać już zaczyna. Wśród takiej zawieruchy, zajechałem przed karczmę. Tu z zadziwieniem słyszę wesołe krzyki, śpiewania, tańce i słaby głos skrzypcy. Wszedłem do domu, nieznośne gorąco uderzyło na mnie. Wesołość połączona z szczęśliwością, jaśniejąca na twarzach wszystkich, czuły prawdziwie wystawiała widok. Nie mogąc się jednak domyślić przyczyny tak powszechnej zabawy, mówię do gospodyni domu: dziś dzień roboczy, a wy sobie tańczycie, zapewne u was jakie święto? Oho! Nie święto odpowie gosposia, oto pan nasz obiecał ludziom, co grabili siano, kilkanaście kwart wódki, jeżeli je-

szcze przed deszczem się uwiną i zgrabią. Zgrabili szczęśliwie i wczesnie, dotrzymał im pan obietnicy, a podochociwszy oto sobie, zabrali się do tańca i tak po pracy sobie odpoczywają. Osobliwszy spoczynek po pracy pomyśliłem sobie. Przestałem mówić z gospodynią, bo i czasu niemiała, i dla wielkiej wrzawy i głośnych śpiewów trudno było się rozumieć. Wtem ulubiony od wszystkich Tomaszek, przodownik żniwa, już cokolwiek podchmielony, wywoławszy po imieniu swą Kasię do tańca, tak śpiewa z nią na przemiany:

Tom. Dalej ksobie dziewczce moje,

Jak ja umrę, bóty twoje.

Kas. Ja o twe bóty nie stoję,

Będziemli tańczyć oboje.

Tom. Póki tylko bótów stanie,

Będziem tańczyli kochanie.

Kas. Dajże Boże, by się stało

I co dzień się tańcowało.

W drugiej parze śpiewa:

Powiedziały stare baby,

Ze ja nie ładny, nie ładny;

A ja ładny jak wrzecono

Jeno mnie tak oczerniono.

Ogromny trzask uderzającego w bliskości gromu przerwał śpiewy i tańce. Nawałnica już nadciągnęła, a ustawiczne błyskanie, krzyżujące się i przyskające po niebie ognie, spadające wężem pioruny, zdawały się chcieć zniweczyć i pochłonać wszystko. Karczma jakby w ogniu gorejąca, ucichła nagle; zadrżeli wszyscy, i w mgnieniu oka zamieniła się w dom modlitwy. Skrzypek zdjąwszy kapelusz, zeskoczył ze stołu, porzucił skrzypce, klęknął, a za nim całe towarzystwo, trzeźwe już prawie z przestachu, udaje się pod opiekę swego Stworcy. Leją się gwałtowne potoki deszczu, straszny szum wiatru, połączony z hukami piorunów, wywiera swą wściekłość; lecz po niejakiem

czasie z wolna ustąpiła burza, niebo się wypogodziło, i zupełna nastąpiła cisza. Tanecznicy się rozeszli do swych domów, a ja w dalszą puściłem się podróż.

4. Cyganie.

W czasie powszechnych w Europie i w Azyi zaburzeń zjawili się u nas około roku 1400 Cyganie, i w pojedynczych hordach rozlali się po Polsce, Czechach i Niemczech. Lud wcale różnego od Europejczyków pokolenia, innej cery, innych rysów twarzy, nieznanego nam dotąd języka i szczególniejszych obyczajów. *Marcin Bielski* w swojej rzadkiej teraz „*krönice świata*“ tak Cyganów opisuje: Lud chytry, tajemny, plugawy, dziki, żadnego postanowienia nie mający; gdzie się przywłoką, tam wiarę trzymają, aby im dawano; mowę sobie zmyśliłi ku kradzieży dogodną, aby ich nikt nie rozumiał. Ztąd są misterni złodzieje, zwłaszcza ich żony, z których kradzieży mężowie żyją. Aby ku temu lepszy przystęp miały, wróżą prostym przesądnym białogłowom przyszłość, lub wskazują miejsce rzeczy skradzionych, a gdy się te najbardziej w nie wpatrzą, wtenczas lekką ręką wybiorą, cokolwiek znajdą w mieszku, a drugą ręką po dłoni kryślą. Przeto też w płachciskach chodzą, aby pod nie snadniej ręce kryły, gdy im się co ukraść zdarzy. Sami też mężowie z oszukaństwa i kradzieży żyją, kołmi frymarczą, miedź pozłociwszy, żelazo pośrebrzywszy, sprzedają, fałszywe pieniądze biją, wytrychy złodziejom robią, i rozmaite igrzyska wyprawiają, aby tylko uwolnić się od pracy. Z dziećmi swemi włóczą się od wsi do wsi, po wszystkich krajinach, stawają taborem zwyczajnie w lesie, gdzie rozbiwszy szatry czyli namioty, biesiadują przy ognisku, a gdy żywności przybraknie, idzie ta zgraja dalej, zalewając w swym przechodzie wieśniacze osady, na

jednych fortelem na drugich postrachem datek jaki wyludzając. Nie długo na jednem miejscu bawią, aby się kradzieżą jednym nie naprzykrzyli; lecz po roku znowu na te same miejsce wracają. A gdy jedna rota drugą najedzie, z sobą się potykają i porażają okrutnie. Jeżeli Cygan pochylony wielkiem lub wyniszczony chorobą nie może zdążyć za gromadą, zostawiony na posłaniu z liści pod gołym niebem, bez niczyj pomocy i wsparcia, kończy w cierpieniach życie jak opuszczone od natury stworzenie. W cudzych ziemiach bywają katami i na szpiegi jeżdżą do nieprzyjacielskich krain. Powiadają ci matacze u nas, iż im Turcy zamknęli drogę do ich ojczyzny, to jest do małego Egiptu. A gdy się kto spyta, gdzie jest mały Egipt? będzie plotł, sam nie wie co, jako ten, który tam jako żyw nie był, ani wie, z kąd się wziął; bo się tu porodziło to łotrowstwo u nas.“

Lecz starsi z pomiędzy nich posiadający lepszą rzecz wiadomość; są tego zdania, że Egipt wcale nie jest ich ojczyzną, i że tam równie są przychodniami, jak u nas; że ich piękny kraj, z którego szczękiem oręża zostali wypłoszeni, ma złota i drogich kleynotów pod dostatkiem, i najpiękniejsze wydaje owoce; spodziewają się nawet, że wrócą kiedyś do swojej ojczyzny. Jakoż niewątpliwą zdaje się być rzeczą, że owym krajem są *Indye*, w roku 1409 przez Tymura zdobyte, gdzie mongolskie hordy z niesłychanem okrucieństwem wiele tysięcy biednych mieszkańców wymordowały. W języku cygańskim prawie co trzecie słowo, jest hindostańskie; nawet zewnętrzny skład twarzy, budowa ciała, ich zwyczaje i żądze np. że lubią taniec, muzykę, stroje, że mają upodobanie w materyach czerwonego i zielonego koloru, że są amatorami koni, troskliwie z językiem swoim się ukrywają, brak religii; wszystko to przypomina nam ostatnią w Indyach kastę, *Suder* zwaną, której zapewne

są potomkami. Wypędzeni przez Tymura, zamieszkali czas niejaki kraj dziś jeszcze Zinganer zwany, z kąd poszło ich nazwisko. Gdy pierwszy raz w Europie się zjawili, dobrze byli przyjęci; trzeba bowiem wiedzieć, że nie przyszli z próżnemi rękoma; owszem ich konie, osły i muły obładowane były pieniędzmi, złotem i klejnotami; lecz wkrótce, gdy się niechcieli poddać pod prawo kraju i stali się jego ciężarem, byli prześladowani i ścigani: strzelano do nich, jak do dzikich zwierząt, męczono, palono na stosach i prawie całkiem wytepiono. W Węgrzech spotkać można bandy cyganów. Twarze śniade i ogorzałe, spojrzenia zpod dużych czarnych kapeluszków odrażające, ciała na pół nagie, siedziby pod gólem niebem przy ogniskach dziki sprawiają widok. Za dawnych czasów polskich byli w koronie nominowani z kancelaryi królewskiej rządcy Cyganów. Ci pod imieniem królów cygańskich znani, byli ich despotami i niejaką policją utrzymywali. Z powodu przebywania u nas Cyganów, Polacy wiele utworzyli przysłów: włoczy się, by cygan po świecie — czarny jak cygan. Cygan cyganem się świadczy. Masz cyganie świadki? mam żonę i dzieci. Trafnie odmalował ich życie i złodziejskie praktyki nasz poeta Książnin w operze pod tytułem: Cyganie, której tu następujące przytaczamy wyjątki.

Chor. A za nami zawsze nędza, — od wsi do wsi nas popędza.

Ej chłodno i głodno!

Choć i głodno i chłodno, ale żyjem — swobodno.

Moryga. Czy wójt jaki, czy starosta — drze nas jeden, drugi chłosta.

Dzega. Ni ja żydem ni ja Lachem — las mnie domem niebo dachem.

Jawnuta. Drzew przyrzucie do ogniska — I mnie zimno boki ściska.

Chicha. Cóż my mamy? ot te szatry, — które grodzą cztery wiatry.

- Wszyscy.* Byle na dziś było chleba — czego więcéj nam
potrzeba.
Ej chłodno i głodno! choé i głodno i chłodno;
Ale żyjem swobodno!
- Chicha.* Owóz i nasi, dobry znak, coś niosą.
Trudno też głodnym żyé rosą.

Scena druga ciż i gromada innych.

- Rudio.* Bywaj nam zdrowa o szczęśliwa nocy!
Jam ukradł cielę przy twojej pomocy.
- Wszyscy* A to jak? — *Rudio.* Ot jak? byłaby i krowa,
By trochę moja nie podrwiła głowa.
Już był ten powróz namówił jéj rogi,
Już była ze mną gotowa do drogi.
Czy mi czart nadał te wrota? —
Skrzypnęły: nuż kondel szczekać.
Aż baba z kijem: „a tuś niecnota!“
Cóż czynić miałem? uciekać.
Więc cielę na grzbiet i dalej w nogi.
Tymczasem krowka została, — krowka dojna,
krowka biała.
Żal mi jej było niebogi — jak za cielęciem i za
mną ryczała
A no zjeść djabła i babie, — jeszcze ja tutaj
ją zwabię
- Moryga.* Nim krowka nasze powiększy wesele — tym
czasem dobre i cielę.
- Rypało* A tobie bracie Rypało, co się tej nocy dostało?
Kopa tych guzów, panie miłościwy.
Dziś miesiąc dla mnie świecił nieszczęśliwy.
Jać to się byłem do lamusa wdrapał,
I pies nie poczuł, i stróż sobie chrapał
Tam się przy krokwiach trzymając drabiny,
Jużem na plecach miał poć słońiny,.
Spojrzę, aż wiszą na żerdzi dwa kąpie (szynki)
Siegając po nie, na kraj deski stapię;
Ta się zważyła: buch razem z drabiny!
Z deską do licha i z półciem słońiny,
Zleciałem na łeb, ażeby nie skłamał,
Podobnom tego coś karku nadłamał.
- 1. z Cyganek.* Ach prawda! trochę skrećilo waszeci
Dzega. Odkreći mu się, jak drugi raz zleci.

- Rypało.* Gdy tak leżałem bez duszy, aż diabeł kogoś
tam wzrnszy,
Nuz mię okładać, nuż cucić!
Wskrzesił, nie wiedząc, gdzie się obrócić,
Ledwie do ciasnej trafilem dziury,
Gdzie może tylko przebiegały szczury.
Batóg mnie wcisnął; tym ja dalej gnany,
A ze wsi całej psami oszczekany
Anim co widział, ni słyszał; — aż poza chróstem
oddyszał,
Jak zając szczuwany.
- Moryga.* By nie te guzy, coś kopę ich dostał
Tenby cię teraz basałyk wychłostał.
A wy? *IIIci cygan.* Oto rondel i dwie patelnie.
IV. cygan. A u mnie młot i kowadło.
V. cygan. Jam jedną zrabował kielnię
Oto chleb i sery i sadło.
- Dzega.* To my to dzisiaj użyjem.
VI. cygan. A ja Lajbini szynkarce, — ukradłem
miodu trzy garce.
- Dzega.* To się i napijem.
- Moryga.* No, jakożkolwiek: oddać to szafarce.
A ty *Gnus*? cóż to nie żyjesz?
Czego się za drugich kryjesz!..
Ta łapa, co się po kudłach skrobie,
Zle, jako widzę, posłużyła tobie.
- Gnus.* Zdeptałem całą noc marnie
Wszystkie zamknięte były spiżarnie
Wszystkie lamusy, wszystkie obory:
Kłodki wszędzie i zapory
Ot, jenom od psów uciekał, — to sporym
krokiem to kłusem;
Ażem i świtu doczekał. Panie zmiłuj się nad
Gnusem!
- Moryga.* Bracia! do pletni, a ty do tańca...
Zagrać na dromli smagańca
Ty zaś Rypało z nahajem
Weźno kij swoim zwyczajem.

(*Gnus* tańczy smagańca a cyganie śpiewają.)

Kij ten wodził już niedźwiedzie,
Teraz ciebie Gnusa wiedzie

Nuże teraz na kij siadać
 A naucz się dobrze kradać
 Nuże teraz przez kij skakać.
 Wara stękać, wara płakać!
 Niech ta prosta uczy chłosta.
 Wytਾਂczyłem już i do sta!

Gnus.

Scena trzecia ciż i Motłok.

Jawnuta. Już to Motłoku z jarmarku?

Motłok. Inż moja matko!

Takem się sprawił i przedko i gładko,
 Jak nigdy jeszcze; nie postrzegłem drogi,
 Jak mnie tu przyniosł gniadosz białonogi.

Jawnuta. Jakes go dostał?

Motłok.

Oto jak tylko krok mię mój ochoczy
 Zaniósł do miasta, rzucę na świat oczy,
 Aż przy kramnicy Rachelka z Chają
 Waśniąc się za lby czochrają.
 Tu jedną ręką kołaczę im zcicha — dla ciebie
 matko zgarnąłem
 A drugą dla ciebie, Chicha, — te dwa pierniki
 zemknąłem.

Więc też i dla mnie kilka gomołek
 Ta dobra kieszeń przyswoi.
 Dopieroż w ciasny umykam zaulek;
 Patrzę, aż tu koń w poprzek jego stoi.
 Chciałem go tyłem ominąć.
 Aż ktoś zawoła: „strzeż się od kopyta!
 Myślałem tedy mimo lba mu chynąć;
 Aż znowu: strzeż się, bo zębami chwyta.
 Jakże tu sobie poradzić?
 Nie było drogi, jeno go przesadzić.
 Hajże na niego! i siadłem na łęku,
 A wtem i uzda wpadnie mi do ręku.
 Jak ruszy gniadosz i dalej z jarmarku
 Przez pole zemną wypuści jak strzałą.
 Ledwo ja lecąc nie skręciłem karku;
 Aż się tu strzymał. Niebu bądź chwala!
 Jest tutaj łączka, gdzie z skały zdroj plynie,
 Gdzie to dwa dęby stoją przy choinie:
 Tam go spętawszy, puściłem na paszę,
 Mysląc, co Bóg dał, to nasze!

Jawnuta. A nasi tam jak? *Motłok* obdarto i boso,
Ale też za to jak wróble na proso
Idzie targ każdej i każdemu składnie,
Przedo co za grosz, a za trzy ukradnie.
Mowno i łowno po wszystkich ulicach
Po karczmach i po kramnicach.

5. *Lowy na wilka.*

Dawniejszemi czasy kilkunastu myśliwych, dobrze uzbrojonych, zwykle wybierało się na wilki z prosięciem na wabika. W ogromnych saniach przyrzadzonych po temu umyślnie, cała drużyna strzelców na ławkach siadała; z tyłu sani stał jeden i gniótł prosiaka, ażeby kwikiem swoim przywabić wilka; tymczasem na długim sznurku wiązka grochowin przywiązana i wleczona po ziemi, wyobrażała ciągnione prosię. Jak podobne łowy są niebezpieczne w naszym kraju, dowiedzie wypadek prawdziwy, zdarzony przed kilkunastu laty.

W Sandomirskim, Czesław, młody ziemianin zaprosił sąsiadów i strzelców, w liczbie 18, którzy na tak przygotowane sanie, zaprzężone czterema końmi, wsiadłszy, wyruszyli na łowy. Każdy oprócz dubeltówki, opatrzony był w parę pistoletów; kilka sztuk broni nabitęj na zapas, za poradą starego strzelca, wzięto na sanie. Z wesołym okrzykiem ruszyła ochocza drużyna myśliwych, wypiwszy niemało wina na pożegnanie i za zdrowie gospodyni domu. Zwawo ruszyły konie, a chrzęst śniegu gniecionego ciężkimi saniami i kwik przerywany prosięcia, ogłaszały przejazd téj zbrojnej, radosnej czeredy; ale im bliżej dojeżdżano lasu, ustawała gwarna z początku rozmowa, a jej miejsce zajmowała ciekawość ujrzenia dzikiego zwierza. Mieszało się może nieco i obawy, bo stary strzelec i doświadczony, opowiadał smutne powieści, które wszystkich czoła zachmurzyły.

„Będzie temu, mówił, lat dziesięć, podobnie jak

teraz wybraliśmy się na wilki, pięć dzielnych koni zaprzężono; wsiadło nas dwudziestu na sanie. Ale jak się pokazały ćmy wilków nieprzeliczone, bez wystrachu nawet ledwie uciekliśmy.

Tchorzu! zawołał młody Czesław, siedzący blisko starego strzelca: we dwudziestu i obawiać się jeszcze.

Strzelec nagniół silnie prosiaka, który przeraźliwie zakwiczał; po chwili odezwał się: „Zła wróżba, mój panie zuchu! prosię *dlugim głosem* zakwiczało. —

I cóż z tego? zapytało kilku z uśmiechem.

Bo tak było właśnie, mówił dalej stary strzelec, kiedy szesnastu myśliwych wilcy zjedli, a ja jeden za ledwie uciekłem.“

Na te słowa, czy wiatr zimniejszy powstał, czy może i trwoga tajemna, ale wszystkich mróz przeszył.

„Pleciesz brednie, stary gaduło, odpowiedział Czesław, trzeba by na to z tysiąc wilków.

Było ich więcej, odrzekł spokojnie, a dzięki gnadędź klaczy, że mnie żywo uniosła, chociaż jej ogona mało wilcy nie wyrwali. — Tak, tak! śmieście się panowie junaki, ale to szczerza prawda, jak to, że żyw jestem.

Będzie temu z 20 lat, z takim jechaliśmy prosiakiem. Wesoly, bo młody, pierwszy raz wybrawszy się na takie łowy, myślałem, że i samego diabła lekkać się nie trzeba, kiedy nas tylu razem! Przecież wszystkich kości wilcy roznieśli po świecie, zginęli bez pogrzebu, a wiele wdów zostało i drobnych sierot.

Zasnieżyło się niebo, wesołość znikła w tym gromie; sam Czesław popił z torby, bo wspomniął na swoją żonę i dwoje jak aniołków dzieci. Wszyscy zwrócili oczy na starego strzelca i mimowolnie poczuli jego wyższość.

Jakże to było? zapytało wielu razem.

Strzelec nie rzekł słowa, podniósł się z ławy, spojrzął w około. Śnieg drobny a gęsty, nie dozwala-

łał daleko dojrzeć; nagle odwrócił się, jakby odpowiadając na pytanie: „Jak było, tak będzie,“ ręką ponuro i wskazał palcem.

Wśród śnieżnej zawiści z początku myśliwi nie dojrzeć nie mogli. „Co ci się przywidziało? ot śnieg na polu roztajał; to czerni się ziemia,“ rzekł Czesław, wpatrując się pilnie.

Widzicie to pole, mówił strzelec zcicha, a to nie pole, ale taka ęma wilków; stado, jak pole długie i szerokie. Już nas poczuli. W konie, w konie! bo inaczej zginiemy wszyscy.

Strzelać! odezwali się niektórzy, przecież tyle ludzi i broni!

Cicho! zawołał z gniewem strzelec, usiąść na ławach, broń mieć w pogotowiu, ale nie strzelać. „Strzelać, strzelać! wołacie; a cóż będzie z tego? zabijesz pięciu albo dwudziestu, a sto się na ciebie rzuci i pożre!

A wszyscy na groźne starego myśliwca słowa, posiadali na ławach; konie jakby poczuły i w chyżym biegu zaledwie dotykały ziemi.

Jeżeli dostaniem się prędej na utarty gościniec, ocalimy się zdrowo. Rachujcie teraz panowie wilków, co to się wam strzelać zachciało.

Czesław spojrział! Co zdawało się zdaleka wśród śnieżnej zamieci kawałem pola, była to gromada wilków; szli w gęstej massie, kilku tylko wybiegło na przód. Przy zmroku coraz większym błyskały ogniem oczy zajadłych i zgłodniałych wilków. Czesław usiadł na jednej ze strzelcem ławie, a ten zcicha rzekł do niego.

„Tego wilka, co najbliżej widzicie, zabić nie trudno; ale ten chyba strzeli, kto chce, by kości jego święta ziemia nie przykryła, ale żeby je zaszczubiły zęby wilcze, a dzioby kruków szpik wydziobały — To wilczyca.

Tu przestał, jakby dokładnie wszystko objaśnił;

nagle odwrócił głowę: widać było na jego twarzy bladość, usta zsiniwały. W konie! na rany Chrystusowe! w konie zawołał.

Dobył kordelasa, ścisnął mocno ryj prosięciu i przebił do razu: nie było słychać najmniejszego kwiku. Uniosł się z ławy, spojrział w około, a widząc, że już blisko szeroka droga do wsi prowadząca wysadzona lipami, których jeno suche konary sterczały, przeżegnał się, porwał za nogi skrwawione prosię i z zamachem wyrzucił z sanek.

Wilczyca najbliżej pędząca zatrzymała się w biegu, porwała zdobycz i poczęła szarpać. Przyskoczyło więcej wilków, ale śnieżycy nie dozwalała rozpoznać, jak się dzieliły tak drobnym dla nich kąskiem. Wszyscy przeziębli od mrozu i wiatru wlepili oczy w twarz starego strzelca, chcąc z niej wyczytać ocalenie lub zgubę. Woźnica zcicha rzekł: już widać we wsi dzwonnice.

Strzelec naszykował dubeltówkę — No! panowie, jeszcze dla nas ostatnia nie wybiła godzina, lecz trzymajcie się mocno, bo kto wypadnie z sanek, tego zostawim na strawę wilkom, choćby to był mój brat rodzony! A teraz Macieju! zawołał na woźnicę, co koń wyskoczy! I woźnica trzasnął silnie biczem, a dzielne bieguny wyciągnęły się, prawie brzuchami dotykały ziemi; lecieli, jak na sokolich skrzydłach. Wiatr donosił szczekanie psów ze wsi, świeciły ognie przez małe okienka chatek; wystraszeni łowcy wzięli je za iskrzące oczy wściekłych wilków. Strzelec stał, trzymając się krzepko w saniach, odwiódł zamki u dubeltówki i zawołał głośno: „Panowie! który może, do mnie się niechaj obróci i ognia razem.“ — Zdarzała ziemia od huków strzałów; po nich usłyszano głucho wycie wilków — „Ognia znowu! krzyknął strzelec, i tak raz po raz grzmiały strzały, których echem było okropne wycie wilków.

Już blisko byli opłotków, a stado goniących wilków ani się na chwilę nie wstrzymało; psy ze wsi całej, jedne na dachach chlewów i obór, drugie skryte w budach załóżnie wyły; zuchwalsze, które się na drodze pokazały, w oczach myśliwców rozszarpaane bez znaku. Leciały sanie przez wieś... już są na dziedzińcu dworu, zład tak wesoło i radośnie wyjeżdżali. Załedwo wpadli do dworu i drzwi zatarasowali, stado wściekło napełniło dziedzińiec. Ogromne kundle, wyżyły, charty, przeszło dziesięć psów w jednej chwili wilcy rozszarpali. Strzelcy i domownicy rozstawiwszy się w oknach i na ganku, ciągłym ogniem razili. Blisko godzinę grzmiały strzały. Księżyc zmrok rozjaśnił, zajaśniała wilków gromada rozpierzchła się i znikła w nocnej pomroce.

6. *Wielkanoc w Rzymie.*

O wschodzie słońca huk dział i dziwnie wesoły odgłos dzwonów po mieście, daje pierwsze uroczystości hasło. Na wałach zamku S. Anioła, zatknięte białe chorągwie z herbami miasta Rzymu i panującego papieża, powiewają nad drogą do świątyni Piotra prowadzącą. Mszą przy środkowym wielkim ołtarzu odprawia sam papież, siedząc na tronie, twarzą obrócony do ludu; po bokach, podług starszeństwa siedzą rzędem kardynałowie i biskupi w obrzędowych ubiorach; sześciu z nich w ornatach służy papieżowi do mszy. Wspanialszy jeszcze widok z drugiej strony ołtarza; cały kościół napełniony ludem, który się w nim nawet pomieścić nie może, i widać przez drzwi otwarte, jak z odkrytymi głowami plac i krużganki zajmuje. Po skończonem nabożeństwie obie massy łączą się z sobą na placu, oczekując błogosławieństwa papieża.

Ktoby chciał choć w najmniejszej części pojąć wielkość i wrażenie tego obrzędu, niech nie zwaza

na słowa opisu, ale niech sobie wystawi w myśli ów przepyszny plac S. Piotra z kościołem z przodu, z olbrzymiami kruzgankami po bokach, z dwiema najpiękniejszymi w świecie wodotryskami i obeliskiem w środku, zamknięty z czwartej strony kilkunastą rzędami powozów, napełniony kilkunastą tysiącami ludzi, oczekujących z religijnem wzruszeniem na ukazanie się i błogosławieństwo namiestnika Chrystusowego; nad tém błękitne niebo włoskie i pogodne słońce kwietniowe!

Powietrze drzy od gwaru; wtem w głębi ciemnego okna nad przysionkiem kościelnym promień słońca odbił się o coś jasne i błysnął. W jednej chwili cichość powszechna; wszystkich oczy w jeden cel wryte! Jasność w oknie powiększa się, wysuwa, i jednym razem, za pomocą urządzonej do tego maszyny, ukazuje się nad przysionkiem papież, siedzący na tronie, w białych szatach, w tyarze, otoczony półkolem kardynałów w purpurze. Huk dział, dźwięk dzwonów, odgłos tręb, bębnow i rozstawionych muzyk, zabrzmiały razem, jak piorun, i równie nagle zamilkły. Papież powstaje z tronu, podnosi obie ręce ku niebu, i modli się za lud nad ludem. Cichość — jakoby nikogo nie było, wrażenie nie do opisania; każdy w tej chwili być musi katolikiem w duszy. — Papież opuszcza ręce i zwracając się na trzy strony, błogosławi: „światu i miastu (orbi et urbi).“ Znowu działa, dzwony, bębny i muzyka jak przedtém, zmieszane ze rżeniem koni, przerażonych tym nagłym przejściem z milczenia do wrzawy. Wszystek lud na kolanach w pokorze i milczeniu jak gdyby po przyjęciu Sakramentu ołtarza. Papież usiadł na tronie, chwilę jeszcze pozostaje na miejscu, powtarza błogosławieństwo siedzący, usuwa się w głąb okna i znika. Godzien politowania, kto świadek tego obrzędu, głębokiego nie doznał wzruszenia. Wieczorem oświecenie kopuły, kościoła i kruzganków, i nazajutrz wspa-

niały fajerwerk na zamku S. Anioła, kończą uroczystości świąt wielkanocnych w Rzymie.

7. *O fałszowaniu Win.*

Prawdziwych uciech życia jest tak mało, tych, którzy umysłowe rozkosze pojąć i tworzyć je sobie zdolni, tak nie wiele, że świat najsmętniejszą przybrałby był postać, ludzie to z nudów, to z kłopotów do rozpaczby byliby przywiedzeni; gdyby zaradczą naturą, obok milionów swojej dla człowieka szczodrobliwości, z łona ziemi winnej także nie była wydo była latorośli. Z jej to obfitych, soczystych jagod, tłoczy człowiek napój błogi, napój boski, prawdziwy nektar dla siebie; nim rozwesela umysł i serce, leje w krew zdrowie i życie, zagrzewa odwagę, zaostrza dowcip, gasi nienawiść, rozochaca, rozczula, rozrzewnia, a w starości jedyną daje skrzepłym siłom podniecie. Któż kiedy w gościnnym Polaka domu, w płomieniących biesiadników licach, w ochoczej wszystkich wesołości, w której znikwały niesnaski, i tylko jedno braterskie panowało uczucie, nie podziwiał błogich skutków wina? Któż sam, wzięwszy w rękę kielich jagodowego płynu, nie pasł oczu przezrokiem złocistego koloru, nie zalechtał uroczym smakiem języka, a czując łagodnym napojem krew zagrzaną, umysł i serce w przebierającym szczęśliwego zadowolenia uczuciu nie wyrzekł, że nic nie ma nad wino.

Lecz jak wszystko, co jest święte, skażonem, co jest szlachetne, spotwarzonem, co dobre, zepsutem przez ludzi zostało; tak i ten drogi dar niebios skalają przemyśl i chciwość ludzka. Zamiast czystego wycisku z winogron, pijamy rozczyń z różnych, najczęściej zdrowiu szkodliwych dosadów; ztąd też zamiast przyjemnych, dolegliwych doznajemy z takiego napoju skutków; a że fałszowanie win tak się już teraz upowszechniło, i sztuka winiarzy do tego doszła sto-

pnia, że i najlepszemu znawcy fabrykowane wino od czystego odróżnić trudno; to choć się komu i zdarzy prawdziwego zakosztować wina, sama obawa, że go może jednak oszukano, odbiera mu połowę rozkoszy.

Czy, że przodkowie nasi lepiej od nas umieli cenić nieczrównane niczem przymioty czystego wina; czy że w lepszych żyjąc czasach i więcej go pijąc, więcej on dbali; czy w reszcie, że łatwiej jeszcze w ówczas było rozpoznać fabrykowane wina: dosyć że przynajmniej starali się, aby ustawami i karą zapobiedz już i wtenczas szerzącemu się złemu.

W starych dokumentach miasta Poznania znajduje się rota przysięgi, którą każdy winiarz złożyć był obowiązany. Ja N. przysięgam, że wszystkie wina które mam w piwnicy, niczem przetwarzać ani słażyć będę, aby łagodniejsze i droższe było. Takie gdy mi cena postanowiona będzie, żadnego podlejszem winem, nie roztworzę, ani odmienię, i ono samo w sobie bez przymieszania innego podlejszego, nie odmieniając jego przezwiska, za takie, za jakie ono kupią, przedawać będę. Tak mi Panie Boże dopomóż i Syna jego umęczenie.

I sąsiedni Niemcy znać dawniej więcej pijąc wina, więcej o czystość jego dbali. W mieście Norymberdze, w Bawaryi, niegdyś pierwszym z miast handlowem w Niemczech, słynnem bogactwami i zamożnością, dziś jeszcze przy moście zwanem Fleiszerbrücke, pokazują miejsce, na którym karano potwarców, krzywoprzysięzców i fałszujących wina. Pierwszym urzynano tu język, drugim ucinano palec, ostatnim zabierano cały skład wina, zawożono na most i wytaczano w rzekę.

Konrad Celtas, jeden z obywateli Norymberskich, uważając, że pomimo to fabrykacye win coraz się zagęszczają, umyślił zaostrzeniem kary temu zapobiedz. Gorliwy obrońca nieskażonego wina w mowie swojej

łacińskiej mianej w senacie miasta, tak się między innymi wyraża: Hańbą to wieku naszego, że w nim obok tyle złego, wylęła się i ta kazirodzka mieszanina win, ta zaraza w wszelkie brzemienne przekleństwa. Nie tylko po Niemczech, ale i po Gallii, Pannonii, Sarmacyi i innych krajach, rozszerzyła się zbrodnicza sztuka fałszująca kolor, smak, zapach, istotę i ojczyznę wina. Martinus Bavarus Frankończyk miał jej być pierwszym wynalazcą. Bodajby w piekle wiecznie gorzał on, który piyn słodki, najskuteczniejszy, najwyborniejszy ku pokrzepieniu sił człowieka, uczynił szkodliwym i zabojezym; który skalał dar natury, co go gwiazdy niebieskie i samo słońce na ozdobę świata wypielegnowały; który trunek rozkoszy i wesela, zamienił w rozczyn, w różne zarodny choroby: on nieprzyjaciel rodzaju ludzkiego, krwawożerny uciech jego morderca! Jeżeli, Oświeceni ojcowie, fałszujący pieniądze lub towary życiem tego przyplacają, jakieżże kary godnymi sądzicie tych, którzy tylu już ludzi zatruli, fałszowanie bowiem win zatrąwa, gryzie, szarpie, dopieka, wysusza wyniszcza; nie gasi, ale powiększa pragnienie, bo takie są skutki siarki. Taką to truciznę, ukrytą w słodkim rozczywie kupujemy za ciężkie złoto dla siebie, przyjaciół, żon i dzieci naszych. Dla tego, Oświeceni ojcowie, nie dosyć na tem, że winiarzom beczki rozbić i owę truciznę w rzekę wylewać nakazujecie, ich samych wskazujcie na stós, ku żywemu spaleniu. Bo waszym jest obowiązkiem surowo karać nie tylko zabójców, ale i fabrykantów trucizny.

Nie wskorał nic Konrad Celtes u senatu Norymberskiego, którego członkom winiarze zapewne dostawiający niefałszowanego wina, najlepiej się z uczonego im zarzutu obmyli. Lecz nieugięty w zapale Celtes, i przekonany, że jak świętą ob staje sprawą udał się do Wiednia do Cesarza Maxymiliana I. i przed

nim wytoczył skargę. Ognista wymowa Celtesa nie była bez pożądanego skutku. Roku 1498 wydał Maxymilian obszernie ustawy względem winiarzy, zalecając wszystkim urzędnikom troskliwie ich zachowanie. Nie każe wprowadzić żywcem palić winiarzy fabrykujących wina, jako gorliwy Celtos zaproponował, ale wskazuje na karę 100 florenów (w owym czasie summa bardzo znaczna) każdego win fałszerza.

Jak się to odtąd czasy zmieniły! W ówczas zagrożone ostremi karami fabrykacye win, jako zdrowiu szkodliwe; dziś, choć od nich wewnątrz pali, jakby kto żaru nasypał, uważane są za ozdoby przemysłu i Chemii. Chępli się jawnie fabrykant, że doprawił kompozycyą, naśladowującą musujące wino szampańskie; że z perek, których rozciek już jako gorzalka miliony zatruwa ludzi, szlachetne zrobił wino. Perka i winna jagoda! ta gorącemi dojrzewająca promieniami słońca, owa w ciemnym łonie ziemi, ziemną karmiona wilgocią. Jak różne w szlachetności są tych dwóch owoców przyrodzenia, tak różne muszą być przymioty wytlóconego z nich płynu. Zdaje się, jak gdyby niebian nektar, z pięknej ciśnionej jagody, zły duch chciał naśladować z brudnego perczyska.

X. MORALNOŚĆ.

1. *Wszystko na świecie P. Boga chwali.*

Chwalmy Boga, bo on jest wielki; uwielbiamy Boga, bo on jest dobry. On wszystko stworzył: słońce, żeby znaczyło dzień; księżyc, żeby oświecał noc ciemną. On stworzył ogromnego wieloryba i słonia, i drobnego robaczka, co pełza po ziemi. I ptaszęta chwalą Boga, świegocąc wdzięcznie, w cieniu drzew zielonych. Rzeki i strumienie chwalą Boga,

mrucząc przyjemnie po drobnych kamykach. I ja mym głosem chwalić będę Boga, chociaż dzieckiem jestem. Lat temu niewiele, słabą byłem dzieciną, nieme były usta moje. I nie znałem imienia Boga, bo jeszcze nie obudził się wę mnie rozum. Ale teraz mówić umiem, już myśleć mogę o dobroci jego, a serce moje kocha Boga i dobroczyncę. Niech mnie zawoła, a pojdę do niego; niech rozkaże, a będę mu posłusznym. Gdy mi lat przybędzie, lepiej jeszcze będę umiał chwalić Boga, nie zapomnę o nim, póki mi tylko życia stanie.

a. *Wiosna.*

Chodźmy w pole, patrzeć na rozwijające się drzewa, słuchać śpiewu ptasząt; i biegać po miękkiej murawie.

Twarda zima przeszła, owocowe drzewa zaczynają kwitnąć, wierzby się zielenią, na grzędach pachną kwiatki, a skromny fiołek kryje się w trawie.

Patrz, oto w polu młode jagniątko, chwiejąc się dążą za matkami; słabe ich nóżki, zaledwo je udźwigną.

Choćbyście upadły, małe jagniątko, nie zrobicie sobie szkody, leży pod wami mięki i zielony kobierzec.

Motylki przelatują z krzaczka na krzaczek i na słońcu roztaczają swe różnofarbne skrzydełka.

Wszystkie zwierzęta czują szczęście swoje, radują się wiosnie, i dziękują temu, który je stworzył.

Bo i one Boga swym sposobem chwalać, ale my lepiej go chwalić możemy, mając mowę i rozum i serce.

Ptaszki śpiewać mu mogą, jagnięta beczeć radośnie; my jedni na cześć Boga usta otworzyć zdołamy, i słowami wielbić dobroć jego.

Dziękujmyż więc Bogu za siebie i za stworzenia, co mówić nie mogą.

Wy kwitnące drzewa, wy igrające jagnięta, gdybyście tylko mogły, każdeby z was powiedziało, jak

jest Bóg dobry; ale wy nieme jesteście, my więc przemówimy za was.

Ofiarę za was składać będziemy, na każdym pagorku, na każdej łące złożemy ofiarę dziękczynienia, czci czystej kadzidło.

b. *Wioska, miasto, królestwo, świat.*

Patrz na tę chatę rolnika, zczerniałą słomą pokrytą! Matka przedzie przed drzwiami, małe jej działki siedząc około niej, w piasku się bawią; starsze już nawykają do robót, ojciec pracuje na ich utrzymanie. To orze ziemię, to sieje, to zbiera, to młóci zboże. Kiedy wraca do domu, dzieci wybiegają naprzeciw niemu, a żona skromną stawia przed nim wieczerzą.

Ojciec, matka i dzieci składają rodzinę. Ojciec jest jej głową. Jeśli rodzina liczna, pole obszerne, rolnik ma do pomocy sługi; wszyscy w jednej chatce mieszkają, śpią pod jednym dachem, jeden chleb jedzą; rano i w wieczór każdy z nich klęka i wzywają Boga. Ścisłe złączeni kochają się wzajemnie; jeśli jedno z nich chore, smucą się; jeżeli którego szczęście spotka, weselą się razem.

Kilkanaście chat takich w jednym zbudowano miejscu, kilkanaście rodzin obok siebie mieszka; spotykają się w polu w gospodzie; odgłos jednego dzwonu zwoływa ich w dni świąteczne do domu bżego. Jeśli jeden z nich w potrzebie, wspierają go drudzy, jeśli chorzy lub nieszczęśliwy, odwiedzają go drudzy i cieszą; takich chat i rodzin kilkanaście, to wioska. Patrz jak rozrzucone te domostwa wśród drzew i płotów, a wieżę drewnianego kościołka widać zdaleka. Gdzieindziej są domy piękniejsze, jest ich nierównie więcej, to miasto.

Wiele wiosek i miast, wielka rozległość kraju składa królestwo; przecięte rzekami; są w nim góry, la-

sy, jeziora; mieszkańcy jego zowią się współobywatelami, mówią jednym językiem, kochają się jak jednej matki synowie, a na czele ich jest król.

Wiele takich królestw, wiele krain zaludnionych, wysp, łądów tę ziemię składają, a jej władzcą jest Bóg. Ludzie krzątają się po niej, jak mrówki kolo kopca swego: jedni są aż czarni od skwarów słonecznych, drugich gęste futra od zimna zasłonić nie mogą; jedni piją sok winogron, drudzy chłodzą się mlekiem z owoców, inni wodą pragnienie gaszą.

Wszyscy składają wielką rodzinę Boga, który zna ich wszystkich, jak dobry pasterz zna owieczki swoje. Modlą się do niego w rozlicznych językach; on ich wszystkich rozumie i słucha; żaden z nich nie jest tak potężnym, aby go Bóg ukarać nie mógł; żaden z nich nie jest tak nikczemnym, aby się Bóg nim opiekować nie raczył.

Biedna niewolnico, która mdlejesz w więzach, i nad dziećmi swemi płaczesz! nikt na ciebie nie patrzy; ale Bóg cię widzi! nikt nad tobą litości nie ma, ale Bóg zlitować się gotow. Podnieś tylko głos niewiasto opuszczona, wezwij Boga wpośród więzów twoich, a on cię usłyszy.

Narody ziemskie, bojcie się Pana; rodziny ludzkie wzywajcie imienia Boga.

Jeśli jest człowiek na ziemi, którego Bóg nie stworzył, niech ten go nie chwali. Jeśli jest taki, który od niego dobrodziejstwa nie doznał, niech ten go nie kocha.

c. Opatrzność.

Chódź, pojdzem w pole, rozmawiać o dziełach boskich.

Weź garść piasku, policz ziarnka, spuszczaaj je po jednemu na kolana.

Spróbuj zliczyć listki trawy téj łąki, albo liście tego drzewa.

Nie możesz ich zrachować, są niezliczone, Trudniejsze jeszcze do zliczenia inne dzieła Boga.

Czarna jodła rośnie na wysokich górach, a jasna wierzba zwiesza gałęzie nad wodą.

Chmiel zarzuca długie swe gałązki koło wysokiej tyki, dąb zapuszcza w głąb ziemi twarde swe korzenie i walczy z burzą.

Każdy listek kształt ma inny, na każdej roślinie inny owad mieszka.

Patrz na te ciernie ubielone kwiatem, patrz na te zioła, co depcesz; nie uprawiał ich człowiek, ani ręka jego te ziarna posiała.

Jedne rosną na urwiskach, do których stopa ludzka dojść nie może, drugie wśród trzęsawisk, inne jeszcze w głębi lasów lub na bezludnych wyspach; rosną wszędzie i okrywają całe łono ziemi.

Ale któż to wszędzie życie im daje? Kto wichrom ich nasiona powierza? Kto przysypuje je ziemią, dżdżem i rosą orzeźwia? kto je słodkim wiatru powiewem ochładza, wonią i barwą bogaci? kto roztacza lekkie i przezrocyste listki?

Jakim sposobem z czarnego łona ziemi róża swój szkarłat, lilia białość wyciąga? Jakim sposobem małe ziarnko duży krzak w sobie zamknąć może? Zkąd zna każda roślina porę sobie właściwą. Wszystkie rozłożone są porządkiem, każda wie swoją godzinę i ustaje z kolei.

Stokrotki i fiołek najbardziej się spieszą; skoro wiosna nadejdzie, wychodzą z ziemi, i jakby mówiły: jesteśmy! Gwoździak wygląda większego ciepła, astry jesieni czekają. Kto w roślinach przechowuje życie podczas tęgiej zimy, kiedy śnieg pola okrywa, a od mrozu ziemia skościeje?

Drzewa wtedy są ogołoczone, smutne i suche jak kości na cmentarzu. Kto w nie tchnie nowe życie, czyje tchnienie nagie konary liściem i kwiatem odziewa?

A towarzysko małą jest częstką dzieł Boga, próbką cudów jego.

Ale czyż potrzeba tobie mówić o Bogu, kiedy wszystko o niem przemawia.

Każda łąka jest jakby księgą otwartą, na każdym kwiatku wyryta o nim nauka.

Każdy strumyk mowę ma swoją, każdy wiatru powiew. Wszystko mówi o Bogu, który wszystko stworzył; wszystko dobroć jego głosi.

Nie możemy widzieć Boga, bo jest niewidzialny; ale możemy przypatrywać się jemu w dziełach jego i w nich go uwielbiać.

d. Dąb.

Patrz, jak na téj murawie dąb wspaniała rośnie! ozdobą jest i chlubą téj wioski. Pień jego ogromny, konary silne, a kręte korzenie głęboko wchodząc w ziemię, utrzymują ten ogrom. Na gałęziach jego ptak gniazdo zakłada, w jego cieniu bydło spoczywa, wiejskie rodziny gromadzą się pod ten dach zielony; starzy pokazują go wnukom, ale najstarszy z nich nie wie, kiedy ten dąb tak wyrosł. Pokolenia ludzkie z kolei rodziły się i wymarły, a ten syn lasów stoi: oparł się burzom dwóch wieków.

Przecież ten dąb ogromny był niegdyś żołądźką, kształt jój drobny, niczyjój nie zwracał uwagi. Ten pień ogromny, te silne konary, to mnóstwo liści, wszystko to w téj żołądźki było. Drzewo powstało, rozrosło się stopniami; deszcz, rosa i żyzna ziemia karmiły je, ale wyszło z drobnój żołądźki. Dżdże, rosy i najżyźniejsza ziemia, nie wydadzą dębu bez nasienia.

Umysł dziecięcia do téj żołądźki podobny; nie może od razu rozwinąć zdolności swoich, lecz już je posiada. Pamięć, wyobraźnia, znajomość złego i dobre-

go, są w umyśle każ'ego dziećcia, w tém nawet, co się urodziło przed chwilą.

Pomysł o najmędrszym człowieku, którego znasz, lub o którym ci mówiono; wspomnij na najznakomitszego męża, co jest chlubą i ozdobą swój rodziny, i jak ten dąb opieki i schronienia użył, i powiedz sobie: umysł tego człowieka, był niegdyś takim, jakim mój jest dzisiaj, myśli jego równie jak moje dziecinnemi były.

Gdybyś tylko znał żołądz, nie mógłbyś zgadnąć kształtu i wielkości dębu; gdybyś nigdy nie znał mędrca, nie mógłbyś go wystawić sobie ze słabego i niemego dziećcia.

Nauka jest pokarmem umysłu, jest ona rosą, dżdżem i żyzną ziemią. Jako żyzna ziemia, deszcz i rosa wzrost drzewu dają, jako przez nie corok nowe puszcza gałązki; tak nauka, książki, rozmowa, karmią umysł i popęd dają zdolnościom umysłu.

Szanujże o dziećcie umysł twój, przymuj pokarm nauki, ażeby człowiek, który jest w tobie, mógł wzrosć i zakwitnąć. Ani zgadniesz, do jakiego stopnia doskonałości on dojść może.

Wiele czasu minęło, zanim ten dąb odział się wspaniałością, kilkanaście lat przeszło, a on krzaczkiem był jeszcze. Wiele czasu minęło, nim powiedziano o nim: oto drzewo. Wiele czasu minie, nim na dziećcie powiedzą: oto człowiek.

Mogło było to drzewko gałęzi być pozbawioném, mógł wiatr szczyt mu złamać, i dziś pień jego byłby sękaty i krzywy, ale zawsze byłby dębem. Dziećcie może wyrosć bez nauki, bez cnoty, ale wtedy chybi przeznaczenia swego, bo duch wyższego rzędu dziećcie i człowieka ożywia.

Ach kochajcie tego drogiego ducha; karmcie go prawdą i nauką; od Boga on wyszedł, na jego obraz

stworzony. Dąb trwać będzie lata i wieki, ale duch człowieka przetrwa wieczność.

Szanujże w dziecięciu przyszłego człowieka, nie występiaj w człowieku początków anioła,

e. *Zima.*

Otoż zima nadeszła! smutek i milczenie zajęły pole, już nie słychać śpiewania ptaszków ćwierczenia owadów. Strumyki szemrać przestały, mróz zatrzymał ich w biegu.

Drzewa wznoszą ku blademu niebu nagie swe konary, jak gdyby uschłe ramiona, sok który je ożywia, już w nich nie płynie. Kwiaty i rośliny pachnące zwiędły do korzenia.

Samo słońce smutne i zimne, zda się, że na to światło rozlewa, by żalność powszechną okazać.

Natura w żałobie jest po własnych dzieciach, nie dawno cieszyła się w swój płodności, wietrzykom woń róży roznosić kazała, szczep winny podawał jej soczysty owoc, a na wszystkich łąkach, na zielonych pagórkach, niezliczone kwiatki rosły i kwitły.

Natura, piękna natura, ty Boga ulubiona córko? czemuż dziś tak smutna? opuściłże cię twój ojciec! Daż ci on zginąć?

O nie, nie opuścił on ciebie, jesteś ty zawsze jego ukochaną córką, wiecznym doskonałości obrazem; w tobie piękność jego spoczywa, ty blaskiem jego oblicza jaśniejesz.

Dzieci twoje ożyją, obaczysz, jak wnet wstaną i zakwitną; róża znowu napelni wanią powietrze, z łona ziemi wyjdzie zieloność.

Ale czyż nie płaczesz dzieci twych ludzkich, których tu już nie ma? a synowie i te córki snem śmierci uspione, nie obudzą się już nigdy? Róża i fioletek zakwitną na nowo, a człowiek czyż zginie? Nie ockniez się w grobie? Światło mądrości zgaśniez na wieki

w prochu, a łzy wylane nad umarłymi darmoż płynęły?

Nie, i oni ożyją, ich zima przejdzie, i oni kiedyś zakwitną. Łzy twoich dzieci obeschną, skoro wieczności pora nadejdzie. Przybывaj więc poro wieczności, przybывaj.

„Dziecię jednodniowe! z kąd idziesz? czemu tak smutna postawa twoja? dla czego oczy od płaczu czerwone?“

Widziałem różę w całym blasku swoim, otwierała liście przed promieniami wschodzącego słońca. — Wróciłem, a róża już zwiędła, listki jej na ziemi rozrzucone leżały, wiatr pomiatał niemi!

Widziałem wspaniale drzewo wznoszące się w dołynie, korony jego zakryte były liściem, sięgały daleko, pień był podobny do mocnego słupa, a korzenie głęboko wpoily się w ziemię — wróciłem, wiatr wschodni pożółcił zieloność jego, siekiera konary odcięła, robak drogę w pniu wytoczył, sam rdzeń zgnił, i drzewo uschłe zaległo ziemię.

Widziałem różne owady igrające nad wodą, skrzydelka ich złotem i purpurą jaśniały, ciało błyszczało jak szmaragd; tak ich było wiele, żem ich policzyć nie zdołał, a igrały tak szybko, że oczy moje doścignąć ich nie mogły. — Wróciłem, już ich nie było; zmiotł je wiatr wieczorny; jaskółka porwała jedno w swym locie, połknął drugie szczupak żarłoczny, i z tego mnóstwa żaden nie został.

Widziałem człowieka w całej sile wieku, twarz jego jaśniała zdrowiem i pięknnością, mocne członki pewne były życia i siły; słyszałem, jak powstał i chodził, słyszałem, jak powtarzał z dumą, że jest najwyborniejszym Boga stworzeniem. — Wróciłem — leżał zimny na ziemi, nogi jego i ręce były martwe, oczy zawarte, duch życia z niego wyszedł, tchu już w ustach nie było! Zapłakałem, bo śmierć jest na ziemi, zni-

szczenie między dziełem Boga. Wszystko więc, co stworzone, zniknie! wszystko, co żyje, umrze! zostaw mnie, zostaw, będę płakał jeszcze!

2. *Młoda Różia traci swą matkę.*

W starożytnym zamku mieszkał waleczny rycerz z małżonką swoją, która była wzorem cnót, a szczególnie dobroczynności; mała córka Różia, zywym jej była obrazem.

O czemż Różia nie długo cieszyła się ową nieoszacowaną matką? wkrótce bowiem zachorowała niebezpiecznie. Czując się bliską śmierci, nie tała się przed córką, kazała posłać po księdza: on mnie poświęcił Bogu przez Chrztost s. gdym się urodziła, on i przy schyłku życia nie odmówi mi swęj pomocy. Pospieszył pobożny kapłan; rozmawiała z nim kilka godzin na osobności, przyjęła z rąk jego chleb żywota. Kochająca córka jak anioł opiekuńczy na krok swęj matki nie odstąpiła. Mąż jej, który wieczorem powrócił z dalekiej podróży, zbliżył się do łóżka, struchlał na widok umierającej prawie żony. Różia z drugiej strony łóżka utulić się nie mogła. Chora z tklwym uśmiechem podając ręce mężowi i córce, rzekła słabym głosem: drogi małżonku, kochana córko, już oczy moje nie ujrzą wschodzącego słońca! nadeszła ostatnia godzina! lecz nie płaczcie nad moją stratą. Przenoszę się tylko do innego mieszkania, do domu ojca mego, gdzie mnie czeka niepojęte szczęście. Przyjmijcie moje błogosławieństwo, wkrótce złączymy się na wieki. Zwątlone siły nie dozwoliły jej mówić dłużej. Odpocząwszy trochę, dodała: „Drogi mężu, oto jest córka nasza, ten żywy obraz niech ci przypomina utraconą żonę. A ty Róziu bądź zawsze pobożną, dobrą i niewinną. Kochaj Boga, naśladowaj Zbawiciela, unikaj złego. Kochaj i szanuj twego ojca, niech zawsze widzi w tobie najprzywiązaną córkę.

O Boże, zawołała wznosząc ku niebu powłoką śmierci zaćmione oczy, strzeż ją od złego, prowadź drogą cnoty, wysłuchaj ostatnich prośb macierzyńskiego serca, które już bić przestaje.“

Spokojność anielska, promienie blizkiej chwały zdawały się jaśnieć w wybladłych rysach jej twarzy. A spojrzawszy na obraz konającego Zbawiciela na krzyżu, będący naprzeciwko łóżka, złożyła ręce i już prawie gasnącym głosem rzekła: „O mój drogi Zbawicielu! jakoś ty ducha twego polecił ojcu twemu, tak ja duszę moję składam w ręce twoje.“ Zamilkła, śmiertelna bladłość twarzy jej okryła, oczy zamknęły się na wieki.

3. *Sposób nauczania Sokratesowego.*

Za czasów Sokratesa młodzi Ateńczykowie ommieni sławą Peryklesa, Temistoklesa i pełni bezrozumnej ambicji, przysłuchawszy się przez niejaki czas lekcjom Sofistów, którzy im obiecywali uczynić ich wielkimi politykami, rozumieli, że już do wszystkiego sposobnymi byli i najwyższych pragnęli godności. Jeden z nich nazwiskiem Glaukus, nie mając jeszcze lat dwadzieścia, tak się był zapalił żądzą kierowania sprawami rzeczypospolitej i zarobienia sobie na sławę, że ani przyjaciele, ani krewni wybić mu tego z głowy nie mogli. Jednemu tylko Sokratesowi, który go dla tego, iż był bratem Platona, kochał, udało się odwieść go od nierozumnego zamysłu.

Spotkawszy się z nim jednego dnia, tak go swą rozmową zajął, że Glaukus pilnie jej się przysłuchiwał. To Wasę masz chęć, mówił Sokrates, rządzić Rzeczpospolitą. — Tak jest, odpowiedział młodzieniec. — Nie mogłeś lepszego sobie obrać zawodu, dodał Sokrates, bo jeśli się Wasci poszczęści, będziesz mógł być pożytecznym swym przyjaciółom, dom swój wzniesiesz, granice państwa rozszerzysz. Sława Wasz-

mości rozejdzie się po całej Grecyi, a może być, że zajdzie aż do barbarzyńskich narodów.

Taki pochlebny wstęp podobał się bardzo paniczowi, chętnie więc słuchał dalej. „Ponieważ Waszmość pragniesz zjednać sobie znaczenie i chwałę, tedy rzecz jawna, że chcesz się stać Rzeczypospolitej użytecznym“ — „Zapewne“ — „Proszę, powiedzże mi Wasć pierwszą usługę, którą chcesz Rzeczypospolitej wyświadczyć? Gdy się Glaukus tém zapytaniem zmieszany, z odpowiedzią ociągał, rzekł Sokrates: Bez wątpienia, chcesz się przyczynić do powiększenia dochodów, w celu z bogacenia kraju — Właśnie to powiedzieć chciałem. — To Wasć znasz zapewne dokładnie wszystkie źródła dochodów Rzeczypospolitej, abyś natychmiast potrafił, gdyby jedno ustało, drugie otworzyć? — Dalibóg! odpowie Glaukus, żem jeszcze o tém nie pomyślał. — To mi Waszmość wymień przynajmniej wydatki Rzeczypospolitej, ponieważ, jak wiesz, ważna to jest rzecz, ograniczyć zbyteczne. Przyznaję się, że i w tym względzie nie lepiej jestem oświecony, jak w pierwszym. — Trzeba nam tedy na późniejsz odłożyć przedsięwzięcie z bogacenia Rzeczypospolitej, kiedy Wasć ani dochodów, ani rozchodów nie znasz.

Ale przecie, rzekł Glaukus, jest jeszcze inny sposób, o którymś zamilczał; można wzmódz Rzeczypospolitą zniszczeniem nieprzyjaciół. — To prawda, odpowiedział Sokrates, lecz do tego trzeba czuć się na siłach, gdyż inaczej własne moglibyśmy utracić. Ten tedy, co od podniesienia wojny zamyśla, powinien znać dokładnie siły z jednej i drugiej strony. A znasz też Wasć potęgę naszej Rzeczypospolitej na morzu i na lądzie, jako też i naszych nieprzyjaciół? Bardzo mię Wasć ukontentujesz, jeżeli mi bliższej w téj mierze udzielisz wiadomości. — Jeszczem ję nie zasięgnął, odrzekł zawstydzony Glaukus. Widać więc, odpo-

wiedział Sokrates, że nie tak prędko będziemy mieli wojnę, jeżeli Waszmości hetmaństwo polecą, bo Waśc wiele się jeszcze poprzednio nauczyć musisz, nim będziesz mógł w pole wyruszyć.

Znalazłszy go w innych rzeczach równie nieukiem: — a boj się Waśc Boga, dodał Sokrates, jakże możesz się tak dalece zaślepiac, i pragnąc godności, któraby cię dla niedołężności twojej do niesławy i hańby przywiodła. Glaukus korzystał z téj lekcyi, wziął się szczerze do nauk, i nie wprzód przystąpił do służenia Rzeczypospolitej, aż się w nich należycie wydoskonalił.

4. Pan Zacharyasz Prawdzie.

Pan Zacharyasz Prawdzie urodził się w miasteczku prowincjonalném na Żmudzi i nie podróżował przez całe życie, jak tylko do poblizkich wiossek. Ztém wszystkiém lepiej się poznał na ludziach, niż ci, którzy majątek swój w Paryżu lub Neapolu zjedli. Obfity był w historyjki różnego rodzaju, których mu własne dostarczyło doświadczenie. Nie wiele w nich było zalety z wynalezienia, ale tym więcej z użyteczności praktycznej i tę miały do siebie osobliwość, iż zawsze mówił po parze tych przypowieści.

Raz znajomy jemu młodzik pan Szust uwielbiał jego rozum — „Ej co tam“ odpowiedział Pan Prawdzie i czmychnął, „miałżebym ja być tak rozumny!“

„Powszechny to odgłos Mości Prawdzie, a że i ja życzyłbym sobie podobnej...“

„No! jeżeli w istocie tego tak sobie życzycie, to nie ma nic trudnego. Uważajcie tylko pilnie, jak robią głupcy.“

„Co? jak robią głupcy?“

„Tak jest, Panie Szust, a starajcie się inaczej robić jak oni.“

Naprzykład?

„Naprzykład, Panie Szust. Za mojej młodości

żył tu jeden stary Rachmistrz, zgryźliwe, osowiałe stworzenie, nazywał się Pan Zero. Ten snuł się od kąta do kąta i mruzczał zawsze pod nosem. W życiu swoim do nikogo nie zagadał, a nawet w oczy nikomu nie spojrział. Zawsze w ziemię tylko patrzył. — Jakże myślisz, Panie Szust, że go ludzie nazywali?

Jak? zapewne głową myślącą?

Ba i prawda! właśnie też! nazywali go powszechnie głupcem. Oto, pomyśliłem sobie (ten tytuł nie bardzo mi przypadł do gustu): Prawdzie, nie rób tak jak Pan Zero. Brzydko patrzeć z podełba. Patrz ty lepiej ludziom w oczy śmiało i przyzwoicie. Albo zamiast sobie rozmawiać sam z sobą, fuj! Mów ty raczej z drugimi. Coż, Panie Szust, czy miałem racją?

Zapewne, tak nie inaczej.

Ależ, bo to nie wiem, czy koniecznie tak ze wszystkim. Gdyż w tym samym czasie uwijał się u nas drugi biegus, nazwiskiem Pan Furbo, tancmistrz z rzemiosła. Ten wszystkim w oczy zaglądał, wszystkich zaczepiał, do wszystkich gadał, kto tylko miał uszy. Wieszcze, Panie Szust, jak jego nazywali?

Jak? może człowiekiem krotofilnym.

Zgadłeś, tak jest, także głupcem! — Tam do kata! pomyśliłem sobie, to osobliwsza! Jakże tu sobie postąpić, żeby się nie wystrychnąć na dudka. Ani tak zupełnie jak Pan Zero, ani też tak całkiem jak Pan Furbo. Najprzód patrzaj ludziom śmiało w oczy jak drugi, a potem uważnie spojrzij na siebie jak pierwszy. Najrzód rozmawiaj głośno z ludźmi, jak Pan Furbo, a potem tajemnie z sobą samym, jak Pan Zero. Otoż widzisz, Panie Szust, tak ja robiłem, i to cały sekret.

Drugi raz nawiedził go młody kupiec Paliwoda z Mitawy, który bardzo narzekał na swoje nieszczęście. Ej co tam! odezwał się stary Prawdzie

i wstrząsł go za rękę. Trzeba przecie o sobie, szczerze pomyśleć, Panie Paliwodo, i próbować szczęścia.

Oj, próbując ja go dawno, ale cóż to pomoże, kiedy jedna bieda wali się za drugą. Przyjdzie do tego, że porzucę wszystko i opuszczę rękę.

Nie czynić tego, Panie Paliwodo, uważajcie tylko dobrze, jak macie gębę nosić.

Co, jak mam gębę nosić?

Tak jest, Panie Paliwodo, jak macie gębę nosić. Wyłomaczę wam się jaśniej. Kiedy tu po lewej ręce mój sąsiad dom stawiał, cała ulica założona była balkonami, ceglami. Przechodził tam przypadkiem nasz Pan burmistrz Chwyć, wielki wtedy jeszcze sowizdrzał. Owóz tedy pędzi, jak gdyby go kto gonił, zadzierając nosa, jak gdyby końcem jego obłoka chciał dotrzeć — rym padł jak długi, stłukł muzgownicę i do tam potężną zaszczycony jest czerwoną szramą, rzekł: byś że się z huzarami rąbał.

Ah to stara przypowieść, nie zadzieraj zbyt nosa do góry.

Tak jest, widzicie. Ale też nie zwieszaj zbyt na dół. Bo nie długo potem wtém samém miejscu przechodził zadamany nasz miejski poeta Pan Kleta; musiał mieć w głowie wiersze, albo domowe kłopoty, bo włókł się krokiem tak opieszalym, tak zamysłony kwaśny, z oczyma tak w ziemi utopionemi, jakby się w niej chciał zagrzebać. Tra, urywa się lina i belka jak piorun spada na piędz przed jego nosem. Z przełknięcia zemdłał na miejscu nieborak i kilka tygodni chorował. Uważacież, Panie Paliwodo, do czego ja zmierzam, jak gębę nosić trzeba?

WPan myślisz, tak średnio.

Zapewne, ani zbyt gorno w obłokach, ani też zbyt ponuro w ziemi wzrok topić. Kto spokojnie prowadzi oczy to do góry, to w prawo, to w lewo,

to przed siebie na ziemię, ten bezpiecznie idzie coraz dalej, i nie tak łatwo przydybie go przygoda.

Jeszcze raz odwiedził P. Prawdzica młody, poczynający spekulant P. Fraszka i chciał od niego na małą jakąś spekulacyjkę pożyczyć pieniędzy. — Mizerny to wprawdzie, dodał, zysk będzie, ale tak samo wlażło mi w ręce, że nie podobna się usunąć.

Ten ton wcale się Panu Prawdzicowi nie podobał. I wieleż to tam, Panie Fraszko, do tego interessu potrzebujecie?

Fraszka, prawdziwie bagatela, sto talarów.

I, jeżeli tylko tyle, dam wam jak najchętniej. A na dowód, jak wam sprzyjam, dam wam jeszcze prócz tego co innego, co między braćmi warto przynajmniej tysiąc talarów. Możecie się z bogacić. — Ale jakże to Panie Prawdzic, jeszcze prócz tego? — Ej to nic. Jest to tylko mała historyjka. Kiedym był młodszy, żył tu w mojem sąsiedztwie winiarz, Pan Lewarkiewicz, oryginalny człowiek, ten przyzwyczaił się był do jednego słowa, które go nareszcie przywiodło do torby.

Ah dla Boga, cóż to za osobliwe słowo?

Kiedy go się czasem kto spytał, jak wam się powodzi Panie Lewarkiewiczu? Zyskalżeś co na swoim handelku? — Fraszka, odpowiedział, prawdziwie bagatela, pięćdziesiąt talarów. Cóż to znaczy? — Albo gdy do niego mówiono: Panie Lewarkiewiczu, podobności także przy tém bankructwie stracili. — Ej to drobnostka, odpowiadał; nie warte gadania: pięćset talarów. Człowiek ten był w dobrém pierzu, znaleźmy go dobrze; ale jakem powiedział, ten jeden przeklęty frazes, wysadził go, jak mówią z siodła, i musiał pójść z torbami — Wieleż to potrzebowaliście P. Fraszko?

Ja? Mości Prawdzic. — prosiłem o sto talarów.

Aha prawda, krótką już mam pamięć. Ale miałem jeszcze drugiego sąsiada, ten handlował zbożem P. Krupa. Ten innym frazesem wybudował swój

wielki dom z całym zabudowaniem gospodarskiem i ogromny skład towarów. Jednem słowem, cóż wy na to?

Ach, jakem poczciwy, Mości Prawdzie, bardzobym rad wiedział, co to za słowo? — Kiedy go się kto zapytał, jak się W Panu powodzi, P. Krupo, zyskałeś co na swoim zbożu? — Ach niezmiernie wiele, mówił, a oczy iskrzyły mu się z radości i serce się rozpyływało, całe sto talarów. Albo gdy się kto do niego odezwał: cóż wam to P. Krupo, żeście tak smutni? Ach, odpowiadał, straciłem niezmiernie wiele, straciłem bitych pięćdziesiąt grubych talarów. Zaczął od niczego ten człowiek, ale jak powiedziałem, w oczach naszych postawił sobie wielki dom z magazynem i ma piękny sklep kupiecki. Cóż P. Fraszko, który sposób mówienia lepiej wam się podoba?

Oczywiście, że ostatni!

Ależ bo i to nie ze wszystkiem! Gdyż P. Krupa mawiał także wiele, niezmiernie wiele, kiedy przyszło ubogim dawać, a przecie mógł wtedy mówić tak jak Pan Lewarkiewicz, mój drugi sąsiad. Co do mnie P. Fraszko, ja, który między temi dwoma frazesami mieszkałem, zanotowałem sobie obadwa i wedle czasu i okoliczności mówię raz tak jak P. Lewarkiewicz, drugi raz, jak Pan Krupa.

Nie, nie, dalibóg, ja trzymam z P. Krupą dom i sklep, to mi się podoba.

Chcieliście tedy..?

Wiele pieniędzy, wiele, miły Panie Prawdzie, całe sto talarów.

Aha, widzicie, Panie Fraszko, jakieście to pojęli?

Tak się należy. Kiedy u przyjaciela pożyczasz, trzeba mówić jak Pan Krupa, a kiedy przyjacielowi w potrzebie pomagasz, trzeba mówić jak Pan Lewarkiewicz.

5. *Jak się młodzieniec sposobić powinien na uczonego.*

Aby młodzieniec wyszedł na uczonego, trzeba, żeby był cnotliwy, chęć mający, pilny i stateczny. Powinien być cnotliwy, bo niecnoty przeszkadzają do nauk; ten albowiem, który się udaje na życie rozwiozłe, traci zaraz rozum; a jeżeli w nim niektóre iskiereki przyrodzonego światła jeszcze błyszczą, umyślnie je gasi, i jako natrętnika jakiego z serca precz ruguje.

W uczącym się powinna być chęć do nauk. Tę chęć zwykli rodzice uważać w dziecięciu najbardziej wtedy, kiedy mu się daje czas i wolność czynienia, co chce. Patrzą, do czego ma ochotę, czyli do broni zazywania i nią się bawienia, czyli do nauk, biorąc książki w rękę i w nich upodobanie pokazując, czyli do koni, psów i t. d. Owidyusz w dzieciństwie do wierszopistwa taką miał ochotę, że nawet wtenczas, kiedy go matka biła, wierszami gadał. Tucydides dzieckiem będąc, gdy słyszał Herodota, dziejopisów greckich ojca, czytającego w zgromadzeniu wielu mądrych mężów, napisane przez siebie dzieje, nie mógł się wstrzymać od płaczu dla wielkiej radości. Co widząc Herodot, obróciwszy się do ojca Tucydidesa, rzecze: szczęśliwys ojcze! że masz takiego syna, który tak wczesnie tak wielką chęć do nauk pokazuje. Jakoż Tucydides na wielkiego wyszedł dziejopisa.

Powinien jeszcze uczący się być pilny w naukach, bo jeżeli będzie szukał tylko rozrywek, i zamiast książki kartami się do grania bawił, albo z fuzijką na ptaszki wybiegał, lub też balikami i tańcem zaprzątnie sobie głowę; już tam po naukach; już taki na mądrego nie wyjdzie. Nauki, ile z siebie trudne, potrzebują wielkiego starania i pilności. Widzimy to

i w innych rzemiosłach, których także bez mozołu i długiej ciągłej pracy nauczyć się nie można.

Nie dosyć jest, że uczący się będzie cnotliwy, chęć mający, pilny; ale trzeba nadto, aby był stateczny w dalszych latach, aby te nasiona cnoty i nauki nie niszczały, ale się rozkrzewiały coraz bardziej i pożytkowały; bo inaczej to będzie jako z ogrodem pięknie założonym, zasadzonym i zasianym, gdy nie przyłożysz starania do jego zachowania, utrzymania i pomnożenia, ta wszystka pierwsza praca w niwecz pójdzie, wszystka ozdoba zniknie, i z ogrodu stanie się pustynia i dzikie pole. „Miałem, rzekł raz do mnie pewien gorliwy nauczyciel, bardzo wielu sposobnych i ochotnych do nauk w naszym gimnazjum młodzieńców, którzy znaczny postęp z wielką moją pociechą uczynili; którzy najprzedniejszych łacińskich pisarzy krasomowców, dziejopisów, poetów rozumieć i naśladować potrafili, którzy z swojej głowy dzieła krasomowskie wymyślić, części rozporządzić i wymową przyzwoitą wyrazić zdołali; zgoła nieplonną nadzieję czynili, że na wielkich w ojczyźnie rajców, sędziów, krasomowców, wierszopisów, dziejopisów wyjść mieli. Lecz jakże moje oczekiwania zawiedli! Jeden piękne owe przymioty i dary w trunku utopił; inny sposobność wielką i ochotę do nauk i do cnoty wcale zatarł i zatłumił, skrzętnem i ustawicznem około gospodarstwa staraniem. Nie zobaczysz u niego innej książki, tylko folwarczne karby, długie szeregi wydatków, zasiewów, omlotów, drobiazgów, obory i stada; albo w domu ustawiczne hałasy, grożenia, łajania, bicia, albo po polach chodzenia, biegania łatania, dozierania, rozkazywania; te są jego zabawy. „A Cyccero, Mości Panie, Wirgiliusz, przed tém ukochani, jak się teraz podobają?“ — A co mi tam po nich, odpowie: barany, barany to grunt, siano jeszcze nie zgrabione, pole nie zorane, ktoby tam miał czas

do czytania. Inny dawniejszą owę ochotę do nauk i do cnoty zgasił i zniszczył przemierzeniem łakomstwem: cała jego biblioteka, szufladki różnemi pieniędzmi nałożone, całe jego papiery, listy zastawne, które brzmiące procenta przynoszą; z niemi najchętniej przebywa, waży, liczy, rachuje, o tém tylko myśli, jakby kogo, choćby rodzonego brata, oszukać, ostatni grosz z nieszczęśliwego wyłudzić, wypieniać. Czyż ten kiedy o książce pomyśli? Broń Boże! to wydatek niepotrzebny! na co i po co? próżno miejsce zawadza. Dziecko jego własne, oddane w mieście do szkół na ladajaką stancyą, aby niepotrzebnego kosztu oszczędzić, nie może się ojca doprosić, aby kilka złotych wyłożył na książkę szkolną, którą syn biednego wyrobnika do tejże klasy uczęszczający, już dawno posiada. — Inny cały się udał na łowy, myślistwo i polowanie; codzienna jego zabawa za zwierzem się uganiać, psy chować i tuczyć. Rozmowa nie insza tylko o zajęcach, sarnach, i dzikach. Tak cały zatopiony w łowach, czy może się doskonalić w naukach; raczej i to, co zebrał w szkołach, po lasach, kniejach, łąkach i polach, uganiając się za zwierzem, rozproszy i na wiatr puści.

6. Rady młodemu Rzemieślnikowi.

Chciałeś, bym ci napisał prawidła, jakich się sam trzymałem, i jakie przydać się mogą i tobie; oto są:

Pamiętaj, że czas jest to samo, co pieniądze. Kto może zarobić sześć złotych na dzień, a przez pół dnia spaceruje i nic nie robi, choćby wydawał podczas próżnowania sześć tylko groszy, wydaje daleko więcej, bo nie zarabia trzech złotych.

Pamiętaj, że i kredyt jest to samo, co pieniądze. Kto zostawia w mém ręku swoje pieniądze, oddaje mi procenta, czyli oddaje całe zyski, które za ich

pomocą zarobić mogą. Zyski te dojdą do znacznej wysokości u osoby mającej zaufanie i umiejącej pieniądze używać.

Pamiętaj, że pieniądze mogą się mnożyć nieskończenie. Pieniądz rodzi pieniądz. Z sześciu złotych będziesz miał siedm, potem ośm, a nakoniec sto talarów. Im ich jest więcej, tym się więcej pomnażają, a zysk rośnie co chwila raptowniej. Kto zabija prośną maciorę, niszczy jej plemię na tysiące generacyi. Kto zabija złotówkę, traci wszystko, coby przyniosła, to jest tysiące talarów.

Pomnij na to przysłowie: że kto regularnie płaci, jest panem cudzego worka. Kto jest znanym z tego, iż długi swoje w przyrzeczonej czasie uiszcza, ma w każdym zdarzeniu otwarte kieszenie u swoich przyjaciół. Jest to rzecz nader ważna. Po pilności i oszczędności nic więcej nie pomaga młodemu człowiekowi na świecie, jak rzetelność w interessach; nie przetrzymaj więc ani godziny nad czas oznaczony pożyczonych ci pieniędzy; raz złamane słowo może ci zamknąć raz na zawsze kieszeń przyjaciela.

W zachowaniu swego kredytu najmniejszej strzedz się trzeba okoliczności. Kiedy wierzyciel słyszy twój młotek o godzinie piątej rano, lub dziesiątej w wieczor, staje się na sześć miesięcy cierpliwszym; ale kiedy cię ujrzy w godzinach od pracy grającego w billard, lub śpiewającego w szynkowni, posyła zaraz nazajutrz po swoje pieniądze; woli odbierać częściami, niż czekać niepewnej całości.

Pilność w pracy pokazuje nadto, że pamiętasz o tém, coś komu winien; nadaje ci postać człowieka starownego i uczciwego, powiększa bardziej twój kredyt.

Jednym słowem, wiedz o tém, że droga do majątku zależy na tych dwóch wyrazach; pracy i wstrzeźmliwości; nie trwój ani czasu ani pieniędzy i uży-

waj ich jak najlepiej. Kto zarabia uczciwie, a zarobek, zaspokoiwszy konieczne wydatki, oszczędza, musi stać się bogatym; chyba Opatrzność, co rządzi światem, i której prosić winniśmy w każdym naszym przedsięwzięciu o błogosławieństwo, rozporządzi inaczej.

7. Szkoły publiczne.

Pobudki moje, żem szkoły publiczne nad domowe przeniósł wychowanie, były takowe. Uważałem w dzieciach moich przyszłych obywateli, którym przyjaźń braterska koniecznie potrzebna. Przyjaźń z młodu powzięta grunt ma stały. Jest nas dotychczas kilku w sąsiedztwie, którzyśmy razem do szkół chodzili; słodka pamięć szczęśliwego wieku, ile się razy zjedziemy razem, najulubięszą jest teraz rozmowę naszą. Emulacya w szkołach kwitnie, w domu być nie może; jest zaś najżywszą i do nauk i do czynów chwalebnych podniętą. Wierz mi WPan, iż z większą usilnością starałem się częstokroć w szkole o pierwsze miejsce, niż na sejmiku o poselstwo. Ta usilność miała za cel naukę: czego więc napominania starszych, przeświadczenie czasem wewnętrzne nie wymogło, punkt honoru dokazał. Pomyśl WPan, co za żyzne ziarno ten punkt honoru, przyjęte w młodości, na dalszy wiek młodzieńca. Oddawanie młodszych do szkół i ten jeszcze pożytek za sobą prowadzi, iż się przy nich ubożsi uczą. Synowie podstarościęgo w gospodzie służą moim, a w szkole czasem ich podsiadają. Ztąd z jednej strony emulacya wzrasta, z drugiej zobopolne względy między nimi się kojarzą. Znajdą dzieci moje wychodząc na świat w osobach tych domowych wychowaućców nie tak służ, jak wiernych i doświadczonych przyjaciół; i gdy fortuna którego z nich nad dzieci moje wyniesie, spodziewać się należy, iż nie wzgardzi strumykiem, pamiętny na źródło, z którego czerpał.

Szkoły przeto publiczne były zawsze poczytane za miejsca najprzystojniejsze dla ukształcenia dobrych obywateli i ludzi z ludźmi żyć mających. Tę potrzebną nauki trudno nabyć w rodzicielskim domu, i zdaje się, że w społeczności dla społeczności kształcić się należy. W publicznych to szkołach uczą się młodzi, choćby najbogatsi, zachować równość ze współuczniwami, nie wynosić się nad innych, cenić największą zdolność i dobre przymioty i wszystkich sobie uczynnością, grzeczną zniżać. Tu młodzieniec widzi obraz świata, wchodzi w poznanie ludzi, zabiera znajomości, kojarzy związki z tymi, którzy kiedyś towarzyszą w życiu będą. Tu panicz otrząsa się z pieszczot domu rodzicielskiego; nie mając na kogo się oglądać, przyzwyczajają się sam o sobie radzić i widzi zawczasu, że wyniosłość, zuchwałość, pogarda niższych nie miłe zawsze pociągają skutki. — Majątek bywa bardzo często największym dla młodego nieszczęściem. Nie jeden panicz myśli sobie w duszy, chociażby się do tego przyznać wstydzil: niech się mozola, dukwią nad nauką te biedaki, co z pracy oczekują mienia i chleba; ja będę bogaty, noszę imię piękne; czegoż się mam męczyć? I zostaje w ciemności. Jakby do utrzymania wielkiego majątku i sławnego imienia nie trzeba częstokroć więcej światła, niżeli do ich nabycia? jakby dziś ludzi nie z istotnych zalet, ale z pozornych tylko i przypadkowych ceniło przymiotów. Te czasy już dawno minęły!

8. *Nauka.*

Kto kocha nauki, im się bardziej w nich zagłębia, tym więcej poznaje swą nieudolność i ograniczenie; bo jako w długiej drodze, choć się sztuka jaka przebędzie, widzi się jednak, jak wiele jeszcze pozostaje, tak w naukach im się dalej zapuszczamy, tym się jaśniej odkrywa, jak daleki kres ostatni! Puste glo-

wy zaś, pychą nadętą, już rozumieją, że na wierzchołek góry weszli, gdy ledwo krok jeszcze na dolinie uczynili i bez żadnej pracy i przyłożenia się, roją sobie w głowie, że mogą latać bez skrzydeł, kiedy oni ledwo czołgać się po ziemi potrafią.

Chciałbym, aby nauczyciele zawczasu wbijali to swoim wychowankom, jak nauka jest morzem niezmiernym; niech im przekładają liczbę umiejętności, trudności, niezliczoną moc pisarzy, którzy około każdej wyjaśnienia i udoskonalenia pracowali; niechaj im wskażą księżnice dziełami wielkich ludzi napełnione, aby zrozumieli, jak wiele jest rodzajów i środków mądrości, aby to było wędzidłem na pychę i wyniosłość, która się z ladajakich w nauce początków w dziecinnych i niedowarzonych głowach rodzi. Nadto zachęcać ich mają do pracy i pilności; łatwo zaś im wytłumaczyć, jak jest rzecz wstydu godna, być głupim, a jako jeszcze obrzydliwsza, nie umiając nic, mieć wielkie o sobie rozumienie. Gdyby sobie tak rodzice i nauczyciele postępowali z młodymi, mało by się między młodzieżą dudków z wyniosłemi czubami znajdowało. Ale kiedy to ojciec rozumie, że jego synek jest Salomonem, bo już przebąkuje to po łacinie, to po francuzku, to po niemiecku; kiedy matka rozpływa się, gdy widzi, że jej dziecię przy książce siedzi i chlubi się z jego żywości, z jego wielkiego dowcipu; mają tedy na siebie narzekać a nie na kogo innego, kiedy o ich synach dorosłych ludzie światli powiedzą: że trzeba ich do cechu dudków zapisać; bo ci młokosi nadęci temi okrzykami i pochwałami domowników, przedają wszędzie swoją naukę, której nie nabyli. Gdyby wiedzieli ci mędrkowie, że najpewniejszy znak nieuka, popisywać się z mądrością, nigdyby się nie pokazywali ze swemi bredniami.

Pierwsza tedy przyczyna nauk pięknych i uczonych ludzi, jest dobre wychowanie od rodziców

w pierwszych zaraz latach. Te pierwsze lata są od roku trzeciego: już wtedy matki trzymać dzieci pod ręką swoim, mają je uczyć dobrych obyczajów, i łamać złe namiętności; starać się, aby dziecię pojmowało Boga, i umiało go szanować, aby poznawało siebie, że jest nikczemne stworzenie, aby gniew poskramiło, lada czego się nie napierało; a gdy mu czego bronią, nie dąsało; aby szanowało rodziców, zwierzchność i starszych, aby ochędożne było koło siebie, w jedzeniu nie łakome, nie zbyt ciekawe, aby się nie wynosiło z sukien. A jeżeli dzieci sposobne są ćwiczyć się w obyczajach, czemużby nie mogły uczyć się przynajmniej początków nauk, mających je przysposobić do dalszych wiadomości. To ich odwiedzie od próżniactwa i zbytich rozrywek, gdzie się dusza dziecięcia częstokroć tak dalece zatapia, iż ją ciężko potem do nauk napędzić, przywykłą do ustawicznych gier i zabaw próżnych. Wreszcie wtenczas najlepiej dzieci do nauk wprowadzić, kiedy są najspособniejsze; w pierwszych zaś latach zdaje się być ta sposobność najlepsza, bo wtenczas i pamięć jest w dzieciach najszcześniejsza i ciekawość do wszystkiego największa.

Zródłem lenistwa, wstrętu do nauki i pracy wielu dzieci, a nawet wielu dorosłych osób jest to: że ich nie przyzwyczajamy zawczasu do zatrudnienia. W wielu to domach do sześciu, siedmiu lat pozwalają dziecku próżnować, bawić się dzień cały, nadchodzi nareszcie chwila, w której już koniecznie uczyć go wypada. Napędzają gwałtem do nauki, musi siedzieć po godzin kilka na jednym miejscu; i dziwią się rodzice, że się z płaczem uczy i ma wstręt do książki i pożytecznego zatrudnienia. Zwolna, ale zawczasu dzieci sposobić należy do pracy; małeńkie i łatwe zrazu zadawać im powinności; pomnażać z wiekiem ich trudność i liczbę; a tak nieznacznie zatrudnienie drugiem

życiem stanie się dla niego. Raz, dwa razy niechęć przewyciężywszy, wprawia się dziecko w przekonanie, że są obowiązki, którym chętnie czy niechętnie, codziennie za dosyć uczynić trzeba,

Sposób atoli uczenia prędkiej, raptownej, powierzcho-wny, gdy w kilka dni chełpią się przed rodzicami nauczyciele, że ich uczniowie znacznie już postąpili, pokazuje wielki nierozum, czyniący szkodę uczniom zawód rodzicom. Niech wszyscy o tém pamiętają, że nauki nie są grzyby, które zgnęła wychodzą z ziemi, ale jak drzewa wielkie, które do wzrostu czasu potrzebują.

9. O Języku Francuzkim.

Że bez ćwiczenia się w języku ojczystym kwitnąć nauki nie mogą, dowodem tego są państwa, gdzie nauki się zaczęły, gdzie rosły, gdzie się rozmnażały i długo trwały. Do zaszczepienia tedy nauk najpierwsza potrzeba, jest doskonałość języka ojczystego, bo język do nich tak jest potrzebny, jak ręka do rzemiosła. A jako nierozsądną byłoby rzeczą, nie swoją ręką chcieć grać, pisać, ale cudzą lub przyprawioną; nierozsądkiem nie swojemi zębami jeść, ani swojemi nogami chodzić, ale przyprawionemi: tak równie nierozsądek nie w swoim ale w obcym języku nauk szukać. Uczyć się języka obcego, aby rozumieć książki w tym języku wydane, nie jest rzecz naganna, ale podłością jest mówić obcym językiem dla tego, aby nas cudzoziemcy chwalili, albo żeby się pospółstwo dziwowało.

Te narody, które zaniedbawszy swego języka, chwytają się obcych i niemi między sobą gadają, podobne są do niewdzięcznych synów, którzy matkę własną wyrzuciwszy z domu, przyjęli obcą jakąś niewiastę, i tę za matkę mają. Matka własna siedzi na folwarku między czeladzią, a owa gościenna niewiasta

siedzi w pokojach między nami. Ona z nami u stołu siada, z nami wyjeżdża, z nami uczęszcza na wielkie biesiady i zgromadzenia, a wszyscy ją szanują, wszyscy jęj się kłaniają; a kto jęj nie zna, za prostaka i niegodnego towarzystwa szlacheckiego poczytany bywa; a gdy my tęg cudzęg nadskakujemy, gdy ją między sobą za boginią mamy, jęj krewni i rodacy z boku na nas patrzący z nierozsądku naszego się natrzásają, płochosć naszą palcem wytykają, wiedząc, jak własnej wyparliśmy się matki, w jaką wypchnęliśmy ją poniewierkę.

10. *Próżność.*

Próżność jest to źle zastosowana miłość własna; miłość własna jest jedném z najpierwej budzących się w nas uczuć; jeszcze dziecię w pieluchach, a już lubi, kiedy je chwala; jeszcze mówić wyraźnie nie umie, już dla pochwały co dobrego uczyni. Możnaż te zdolności umysłu, ten dar drogi głuszyć i wytępieć? Broń Boże! Straconym byłby najlepszy sposób prowadzenia dziecięcia; ale należy strzedz pilnie tego, aby ta zdolność nie znikczemiała, przeistaczając się w próżność. Matki najczęściej do tęg smutnej pomagają zmiany. Gdyby one dzieci chwaliły jedynie z rzeczy prawdziwie szacownych, nigdyby próżnemi nie były. Ale cóż zyskuje zwykle pochwały? Oto piękność, ubior, błache talenta. Dziecię słysząc to nieustannie, w tych marnych rzeczach pokłada wartość człowieka i staje się próżne. Niech chwala dzieci swoje z istotnych zalet: z grzecznego ułożenia, z pracowitości, przykładania się do nauk, z dobrego serca; a wpoją w nie szlachetną miłość własną. Z tych nawet rzeczy niech chwala je wtedy, kiedy prawdziwie zasłują. Wielu matkom mogłoby się przytrafić, co się jednej zdarzyło; miała zwyczaj powtarzania przed wszystkiemi dowci-

pne słówka swego syna, i to w jego przytomności. On też raz gdy wiele było gości, tak się odezwał: Cóż to Mamo? nie powiesz tym paniom, com ja dziś rano tak dowcipnie powiedział!

11. *Pycha.*

Za zbytkiem idzie wszystko złe, a osobliwie pycha. Rozmaita jest w ludziach: jeden chce przewyższać drugich gładkością ciała, inny nauką, inny dowcipem. Ten znowu z rodu swego się wynosi, herbami się popisuje i długi szereg przodków wylicza; niektórzy zacności swój dowodzą bogactwy, inni zaszczytu szukają z nikczemnych rzeczy, z chodzenia, siedzenia, stania, głowy zwieszania, kłaniania. Inni popisują się szatą, trzewikiem albo bótem, czapką, kordem, pasem, perłą świetną, kamykiem osobliwym; podstęp, oszukaństwo, pijaństwo, obżarstwo, wszelaki zbytek za pochwałę sobie mają... Zgoła pycha wiele złego rodzi, a zwyczajnie powstaje z głupstwa i niepoznania siebie samego. Boć czegoż się wynosić nad drugich? wszakżeż wszyscy jednako się rodzimy, wszyscy od jednych pochodzimy rodziców, wszyscy mamy jednego niebieskiego ojca. Wątlność przyrodzenia, wychowanie, bieg żywota, postępek wieku, nakoniec śmierć czyni nas wszystkich równymi sobie. Chłubić się też z bogactwa i możności nie przystoi, są to rzeczy niepewne i częstokroć w okamgnieniu giną... gardzić zaś kim dla tego, że się nie urodził szlachcicem, jest to uwłaczać Mądrości Boga, który jest sprawcą rodu naszego. — Jedna cnota do pierwszeństwa prawo nadaje i temu, który ją ma, sławę i dostojność przynosi! Ale cnota człowieka niedoskonała jest, a zatem bez skromności wnet cnotą być przestaje. Za cnoty zaś nasze i dobre uczynki nie szukajmy chwały u ludzi, bo tracimy tę, która jest od Boga.

12. *Zdania Filozofów.*

Thales. Obfitość słów nie oznacza rozumu. Zapytany razu jednego, co jest najtrudniejszego? rzekł: najtrudniej siebie poznać.

Bion. W młodym wieku czerstwość nas rzeźwi, w wieku podeszłym roztropność.

Aristoteles. Prawa uczą niewiadomych, rozkazują złym; światły, a poczciwy człowiek uprzedza prawo. — Światło zmysłowe oświeca ciało, nauka duszę. Umysł nauką wsparty zdobi w szczęściu, cieszy w niedoli. — Pytany, co kłamca zyskuje? to, rzekł, iż choć prawdę mówi, nikt mu nie wierzy.

Antisthenes. Najlepsze takowe zbiory, których ogień pochłonąć nie zdoła, woda zalać nie może, a człowiek wydrzeć nie potrafi. — Kraj taki prawie zginąć musi, gdzie poczciwych od łotrów rozeznac nie można.

Demetriusz z Falery. Nie potrzeba temu się dziwić, iż bogactwa ślepią, ślepego bożyszcza są darem. — Młodzież powinna w domu starszych szanować, za domem spotkanych, w osobności siebie.

Diogenes. Mawiał częstokroć, iż gdy mu przychodziło zastanawiać się nad miast porządkiem i bezpieczeństwem, nauk wytwornością, sztuków różnaitością i znamienitością; zdawał mu się człowiek najmędrszym ze zwierząt: ale gdy zwracał oczy na zbytki, zdrady, podstępny i gusta, żadnego zwierza tak głupiego nie znajdował. — To Bogów od ludzi różni, iż niczego nie potrzebują: to mądrego od głupich, iż najmniej mu potrzeba.

Epikur. Prawdziwa rozkosz jest w cnocie. — Próżne w ludziach zaufanie: od nas samych spokojność wewnętrzna, a z nią i w niej prawdziwa szczęśliwość zawisła. — Największą jest słodyczą życia przyjaciel wierny, znaleźć go największe szczęście.

Epiktet. Prawy człowiek trzyma na wodzy żądze,

a wiedząc, jak rzeczy znosić należy, znajdzie w sobie to, czego inni daremnie pragną i szukają. — Nie wynoś się z tego, coś winien przypadkowi: gdyby koń mógł powiedzieć, iż jest kształtnym, byłaby znośniejsza chluba jego; ale gdy się z jego kształtu chlępisz, z tego się wynosisz, co nie twoje. — Gdy okręt przybije do lądu, wolno wyjść na brzeg żeglującym, ale trzeba im mieć bacność, rychło sternik do wsiadania zawoła, toż samo w życiu przestrzegać się powinno. Bądźmy zawsze gotowi na opuszczanie tego, co mamy i co nas otacza. Jeżeli masz żonę, dzieci, opatruj ich potrzeby, ale gdy cię najwyższy sternik zawoła, bież czémprędzej ku okrętowi i porzuć wszystko, żebyś dobre miejsce otrzymał. — Myśl często o tém, iż wszystko, co masz, jest tylko tobie pożyczone, i że będziesz w odpowiedzi za twoją dzierzawę. — Gdy masz gliniane naczynie, ilekroć nań spojrzysz, pomnij, iż stłuc się może, a nie zdziwisz się, gdy się stłucze, boś się na jego stłuczenie przygotował.

Co jest najstarsze, najpiękniejsze, najdoskonalsze i razem najpowszechniejsze?

Najdawniejszy Bóg, ponieważ stworzonym nie jest. Najpiękniejszy świat, wszystka bowiem piękność w nim się zawiera. Największe miejsce, ponieważ wszystko w sobie obejmuje. Najdoskonalszy czas, bo wszystko odkrył, albo odkryje. Najpowszechniejsza nadzieja, bo i ci się nią cieszą, którzy nic nie mają.

13. Zdania moralne.

Człowiek zazdrosny podobien jest do żelaza, które się własną rdzą trawi. — Najnieszcześniejszy z ludzi zazdrosny, którego i własna dolegliwość i cudze szczęście dręczy.

Prawdziwy przyjaciel jest ten, który, gdyśmy w szczęściu, do nas się nie zaprasza, a w nieszczęściu nieproszony przychodzi. Prawdziwe jest to przysło-

wie, iż wprzód kilka beczek soli zjeść trzeba ze swoim przyjacielem, nim kto o jego przyjaźni upewnionym być może. Przyjaciel w przygodzie skarbem jest nieoszacowanym, ale skarby takie ciężkie są do znalezienia. Słowa powabne nie wiele znaczą, serce prawe, to grunt człowieka. Znośniejszy takowy, który szczerze nie nawidzi, nad tego, który oziębłe kocha; ma on dwie dusze na jednym języku. Ten co w oczy chwali, gotów ganić w nieprzytomności; przeciwnie, kto się odważa ganić przytomnego przyjaciela, poza oczy pewno go nie oczerni. Pochlebca wzgardy godzien; kto się podłego tego rodzaju ludzi nie strzeże, źle o sobie tuszyć każe. Pochlebstwem zysk zawsze włada: nie daj im nic, pojdą od ciebie i znajdą takiego, kto im da, bo głupich pełno. Do stołu, skoro go zastawisz, zleć się jak pszczoły do miodu przyjaciele, a w przygodzie, jakbyś je siarką podkurzył. Lepiej wpaść w szpony krucze, bo te ptaki tylko umarłych szarpią, niż w ręce pochlebców, którzy żywych pożerają. Gdy się dowiesz, iż kto źle o tobie mówi, niech cię to bynajmniej nie wzrusza, i owszem powiedz, iż gorzejby jeszcze mówił o tobie, gdyby o wszystkich twoich wiedział zdrożnościach.

Szczęście. Trwale szczęście nie jest ludzkim przeznaczeniem; za ledwie go nam kiedy zakosztować wolno; jest ono błyskawicą wśród nawałności życia naszego, krótkim spoczynkiem w trudnej podróży, którą od kolebki do grobu odbywamy. — Nie jestto żadna sztuka po rodzicach odziedziczyć majątek i godności; ale dojść do nich uczciwą pracą i cnotliwym życiem, to jest chlubą, to prawdziwym zaszczytem.

Nigdy nikt nie był prawdziwie szanowanym i kochanym dla samych pieniędzy, albowiem i góry czciłby potrzeba, dla tego, że złoto w swych wnętrznościach posiadają. Bogacz znajdzie kilku podłych pochlebców; ale całe bogactwo jego nie przeszkodzi prawdzie, żeby

wad i występków jego wykryć nie miała; cały majątek nie zmusi jednego serca, żeby go kochało; wszystkie skarby nie zniewolą ust żadnych, żeby szczerą pochwałą jego wyrzekły; niedola lub zgon jego, jeźdźniej lży z niczyjego nie wycisnie oka, jeżeli bogactw duszy z bogactwami fortuny nie złączy. Przeciwnie enota, choć uboga, zjedna sobie dobre imię, wszystkich szacunek i miłość wielu.

Są tacy, którym zdrowie, zacność i bogactwa dogodzie nie mogą. Przystawaj na tém co masz, a bylebyś chciał, choć i w szczupłej mierności, będziesz miał wszystko, czego ci potrzeba. — Złoto nasycić nie może i owszem pragnienie zwiększa: pocóż to gromadzić, czego nigdy dosyć mieć nie można. — Ten, który się rozumem nie rządzi, szczęścia i nieszczęścia znieść nie potrafi. Najdoskonalszy człowiek jest ten, którego mądrość prowadzi w każdym działaniu i kroku, który wprzód uważa niż działa.

Próżniak. Próżniak nie ma nigdy wolnego czasu, posiada tysiąc serdecznych przyjaciół, sto osób, których przyjaźń chce sobie skarbić, i nie wie, komu się pierwój przysłużyć. On zna każdego w mieście, wie gdzie się kupują najtaniej towary. Zawsze zatrudniony, zawsze w biegu — obaczysz go wszędzie; na koncertach, na widowiskach, na przechadzkach, rewiach, pogrzebach, na placu, gdzie tracą winowajców, wyjąwszy w kościele. Wszyscy chcą go mieć u siebie, gra w każdą grę, wie najpierwszy, kto umarł, zasłubił się, urodził, zbankrotował: zgola wie wszystkie zdarzenia i kłótnie. Donosi o nowych piśmiakach i daje o nich zdanie, chociaż ich wcale nie czytał, a to z taką śmiałością, jak dziennikarz. Odbiera wszystkie gazety i pisma peryodyczne. Grzeczny, obowiązujący, troskliwy, zawsze jednego humoru. Czyni tysięczne bagatelne przysługi w towarzystwie, reguluje zegarki, najmuje łóża, szafuje bilety na bal,

zamawia fiakra na przejażdżkę, znajduje służbę lokajom i dostawia robotników. W kompanii stara się wszystkich bawić, już to opowiadając ucieszne awantury, już to deklamując czule wierszyki; jednych pobudza do płaczu, drugich usiłuje rozśmieszyć. Jeśli zesłabniesz, sprowadza ci lekarzów i na ich naradzie jest obecny; jesteś zmartwiony, wchodzi gwałtem i nie odstępuje, póki cię nie rozweseli. Otóż to życie próżniaka jest bardzo czynne; tyle on w jednym dniu zrobi, ile najpracowitszy człowiek w miesiącu nie dokazał. — Powiedział Apollonius, że trzej tylko są sędziowie, od których ludzie spodziewać się mogą ratunku: Bóg, czas, filozofia. — Trzy rzeczy są, mówił Arystoteles, które stan i humor człowieka zmieniają: godności, żona i wind. — Słowik przy kuku osadzony, zapomni śpiewać. — Jak sowa nie lubi słońca, tak szalbierz spojrzenia pocziwego człowieka. — U kogo sumienie i honor czyste, kto zachował dobrą sławę u ludzi, kto niczyjjej łaski nie potrzebuje, kto nigdy nie ściągnął na siebie złorzeczenia; ten prawdziwie szczęśliwy, ten zacny. Nie ubóstwo, ale niecnota upadła i hańbi. Honor nieskażony, to zaszczyt prawdziwy. — Ze wszystkich rodzajów marnotrawstwa, najszkodliwsze marnotrawstwo czasu. Dla ludzi światłych, dzień zdaje się mieć więcej godzin, niż dla innych, a to dla tego, że zawczasu nauczyli się korzystać z czasu. — Chcąc żyć z ludźmi w pokoju, trzeba otwierać oczy na ich zalety, zamykać na ich wady. Tyle się tylko powinniśmy zastanawiać nad wadami bliźnich, ile nam tego potrzeba, żebyśmy sami podobnych uniknęli. — Fortuna jestto szklanka. wyśliźnie się łatwo, a jak upadnie, już amen! nie ma się po co schylać. Nieszczęścia są nieoszacowaniem dobrem, kiedy kto z nich korzystać umie. — Długi serca jedno tylko serce wypłacić potrafi, a jakież dług wyraźniej na sercu zapisany być powinien od tego,

który młodzieniec zaciągnął względem swych nauczycieli.

Szlachectwo — szlachetność. Kto ma herby przy nazwisku, ma szlachectwo; kto ma piękną duszę, szlachetność posiada. Szlachectwo jest więc darem przypadku, losu; szlachetność owocem cnoty; maszli pierwsze, nie chełp się, ale staraj tém pilniej o drugie, bo zdaje się, że rod szlachecki koniecznie szlachetnego sposobu myślenia wymaga.

Plebán. Możesz kto z ludzi (prócz monarchy) większe mieć powołanie od męża, którego niebo za ojca przewodnika, pocieszyciela kilkudziesiąt rodzin przeznaczyło? możesz mieć czyj przykład wpływ większy, od pasterza, na którego oczy licznej trzody zwrócone, w którego ślady tyłu wstępuje? możesz czyje światło skuteczniejsze rzucać promienie, jak kapłana, który w świątyni Boga przemawia, i każde słowo swoje, wspiera powagą słowa bożego? Życie dobrego plebana może upłynąć ukryte dla świata, imię jego może być mało znane, ale zdradza go światłość od ziemi do niebios się wznosząca, światłość sprawiedliwych.

Niech każdy z plebanów w szczupłym swym obrębie prawdę i światło jasnymi słowy szerzy, cnotę, pobożność, dobre obyczaje, przykładem wpaja; niech im dóbr właściciele rękę dobroczynną podadzą, a wnet włościannie wyjdą z gnębiącej ich nędzy i ciemnoty, pozbędą się szkodliwych nałogów: moralność znaczne, pożądane uczyni postępy.

14. O Przysłowiach.

Każdy prawie dom, każda liczniejsza rodzina, osoby długo razem żyjące, mają zwykle między sobą pewne wybrane, ulubione, przyjęte z rozmaitego powodu wyrazy, wysłowienia i obroty mowy, które dla obcych, dla ludzi innego towarzystwa, innego miejsca, nie mają już takiego znaczenia, nie czynią na nich

tęgo samego wrażenia; wynikły bowiem z tożsamości codziennego pożycia, ze wspólności uczuć, myśli, zdarzeń, postrzeżeń właściwych tylko owemu domowi, owój rodzinie, owemu towarzystwu. Toż samo, tylko na rozleglejszą skalę, dzieje się w mowie całego ludu. Duch każdego języka, jego, że tak rzekę, serce zawiera się mianowicie w wyrażeniach przysłowiowych, familiarnych, poufałych; w nich wyciska się i maluje piętno charakteru narodu, wychodzą na wierzch jego uczucia, jego myśli własne, i przegląda się cała jego domowość, cała rodzimowość. Im który język ma tych wyrażań więcej, im je ma wybitniejsze, i sobie tylko właściwe, tym głębszą i trwalszą nosi na sobie cechę, narodowości, i tym dla ludu, który nim mówi, powinien być droższy. Lud polski rólniczy, żyjący więcej niż inne życiem domowem, familijnem, ma w swojej mowie takich wyrazów mnóstwo nieprzebrane; tu się odbija cała przyszłość; tu jest rdzeń myśli narodowej; tu leży bogactwo, dzielność i okrasa językowa. Powyjmować te wyrażenia z jakiego języka, jest to, że tak powiem, powyparac z niego żyły, wykruszyć jego siłę żywotną. U nas wszelako zacierają się one coraz bardziej. Moźnaby już do jakiego salonowca mówić takimi wyrażeniami, ciągle przez kilkanaście minut, i patrzyłby na mówiącego jak na raroga, słuchałby, jak o żelaznym wilku, jak o niestworzonych andronach, rodak rodaka nic a nic nie rozumiejąc, albo ledwie piąte przez dziesiąte. Umiemy i chętnie powtarzamy przysłowia francuzkie, ale znać polskie i używać ich, broń Boże! byłby to znak złego tonu, złego wychowania. To też dobrze (przysłuchajmy się terazniejszym rozmowom; mowa nasza jędrna, dosadna, wystawna, pełna ozdoby, szybkości i blasku, jest tam jakaś wyschła, wątła, nikczemna, nie swoja, aż serce boli. Takeśmy téj francuszczyzny nabrali; takeśmy nią przesiąkli, iż doprawdy gadamy po pol-

sku, jakby gadał Francuz oddawna w Polsce osiadły, który jednak w toku i zwrotach mowy ciągle zatracą swoją rodowitą.

15. *Przysłowia narodowe, to jest samemu tylko ludowi polskiemu właściwe.*

Albo pij, albo się bij. Dla zrozumienia tego pijackiego przysłowia służy dawniej sarmackiej gościnności przymus spełniania roztruchanów, smoczków, puharów często aż do stracenia zmysłów.

Ach jakto pili dawniej, to aż wspomnieć miło.
Zadnego kieliszeczka wcale tam nie było:
Kwarta najmniej, od razu garniec pospolicie;
A kto by tam pić nie chciał, niebezpieczne życie:
„Pij, albo się bij zemną“, a kiedy nie chciałeś
Brat szlachcic do pałasza, zaraz się rąbałeś.

Piwnice dawnych Polaków dostarczały obficie wina rozmaitych gatunków; ogromne beczki srebrne stały w jadalnych komnatach, były z win kosztownych fontanny w górę, a puhary garncowe, które dziś oglądamy jako zabytki osobliwości, ugięły kosztownie i ze zbytkiem zastawione długie stoły.

Zwyczaj przymuszania do spełnienia zdrowia, już duszkiem ogromnego roztruchana, już picia z damskich trzewików, najwięcej za Augusta II. był zageszczony; zką drugie urosło przysłowie: Za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa. Dla tego też Krasicki pisze:

Każdy w pijaństwie dziwne rzeczy broił,
August Sas Polskę do reszty rozpoił.

Za panowania Stanisława Poniatowskiego postrzegli się w błędzie Polacy i z téj i wielu innych bardzo szkodliwych przywar otrząsnąć się zdołali.

Ztąd Krasicki pociesznie rzuca przekleństwo na króla:

O ty na polskim co osiadłszy tronie,
Wzgardziłeś miodem i nie lubisz wina,
Gierpisz, pijaństwo że w ostatnim zgonie;

Z ciebie gust książek, a piwnic ruina:
 Tyś naród z kufłów, szklenic, beczek złupił,
 Bodajes w życiu nigdy się nie upił!

Bezpieczny jak za taborem. Mieli dawni Polacy osobliwy sposób obwarowania obozów. Spinano wozy łańcuchami w czworogran: w przedziałach i rogach ustawiano armaty i tak pod strażą téj ruchomój twierdzy postępowało nieraz rycerstwo, otoczone zewsząd od nieprzyjaciół, dzielny im stawiając odpór, i częstokroć szczęśliwie uchodząc z niebezpieczeństwa.

Pod zasłoną takiéj warowni ustępował Stan. Żołkiewski, hetman W. K. z Wołoszczyzny przez bagna, pagórki, doliny trzydzieści mil ciągiem, ośm dni, broniąc się z niewypowiedzianém męstwem rojom Turków i Tatarów. Już blizki był swego celu, już stanął na godzinę tylko drogi od Dniestru; lecz niektórych niedbałość a niekarność tłuszczy obozowój zaprędko opuszczających oboz i spieszących na drugą stronę do ojczystej ziemi, o srogą klęskę i śmierć go przyprawiły. Wpadają w rozerwany tabor ośmielone barbarzyńców tłumy. Pozostałe towarzystwo pozbawione koni, potykając się piechotą, raz jeszcze mężny stawi odpór, lecz wkrótce pod przemocą upada. Żołkiewski widząc już całą rzecz straconą, że umrzeć potrzeba, ścisnął syna za rękę, a wzięwszy rozgrzeszenie od ks. Szymona Karmelity, spowiednika swego, z szablą w rękę na tłumy rzuca się nieprzyjaciół, wyrzekłszy te pamiętne słowa: „Rzeczpospolita powierzyła mi to wojsko, jeżeli go nie zachowam, zginę z niem razem.“

Wtém jeden z rotmistrzów podaje mu konia i zaklina, by się ratował; obruszony hetman myślą ocalenia siebie wtenczas, gdy wszystko ginęło, uderzył konia ostrzem żelaza, lecz cios wiekiem osłabionój dłoni raz tylko lekki zadaje; wkrótce mając koło siebie syna i synowca, gdy bój nierówny zwodzi, naj-

przód utracą rękę, potem niepoznany wśród nocy pod tysiącami trupów upada. Pierwszy Koniępcelski postzegł zgon sędziwego wodza, a żalem zdjęty, kogo tylko w ciemności mógł rozeznac z starszyny, wołał: „Opuszczeni od niecnych, osieroceni po dzielnym hetmanie, idźcie za mną waleczni! pomścić się klęski jego lub śmierci nie przeżyć.“

Słowa te ożywiły pozostałych jeszcze, z orężem w rękę przebijają się przez hufce Turków, lecz wkrótce napadają na nowe, biją się otoczeni zewsząd, znużeni przeciwko świeżo przybyłym w szczupłej liczbie naprzeciwko tłumom: wielu okrytych ranami pada, inni zabrani w niewolę. Skoro dzień rozjaśniał, zebrali się Turcy dla zbierania zdobyczy i chowania pobitych naszych i swoich. Wśród stosu trupów znaleziono i Żółkiewskiego ciało. Poznano męża po białej siwiznie, po tej szlachetnej i śmiałej twarzy, co zdała się grozić i po śmierci nieprzyjacielowi. Przyniesiono uciętą głowę do Skinder-Baszy. Mówią, że wódz ten długo w nią wlepione trzymał oczy, czyli to karmiąc mściwą pychę widokiem tak znakomitego nieprzyjaciela, czyli z zadumania nad niestałością rzeczy ludzkich.

Szlachcic na zagrodzie równa się Wojewodzie. Wiadomo z dziejów, że w Polsce nie było feudalnych stosunków. Nie było więc między szlachtą innej różnicy nad tę, którą i teraz talenta lub majątek nadają. Najuboższy szlachcic używał tych samych swobód, co najznakomitszy koła rycerskiego magnat. Każdy miał prawo głosowania na elekcyi królów i mógł mieć nawet nadzieję otrzymania berła, jak się niekiedy tego wydarzały przykłady. Ta równość w należeniu do elekcyi nie tylko króla, ale posłów sejmowych, deputatów na trybunały i t. d. zmuszała najznakomitszych panów do skarbienia sobie łaski „drobnej czyli zagonowej“ jak nazywano szlachty. Z téjto

przyczyny inaczej nie mówiono jak tylko „Panie Bracie!“ chociażto senator, wojewoda lub kasztelan przemawiał do orzającego pługiem szlachcica. Ztąd i znaczenie i wziętość w narodzie zależała od tego, im kto więcej miał przyjaciół między szlachtą. Okazywały to dowodnie sejmiki i zjazdy elekcyjne, gdzie tysiąc szabel było w pogotowiu na skinienie jednego pana, który umiał sobie hojnością i popularnością zjednać przywiązanie szlachty. Sławne „nie pozwalam“ (*liberum veto*) jednego posła tak było w poważaniu, że mogło przerwać obrady sejmowe.

Po śmierci Zygmunta III., gdy Władysław IV. jednogłośnie na tron ojcowski przywołany został, jeden ze szlachty nie chciał dać pozwolenia. Cały zatem zjazd prawie prosił go usilnie, aby sam tylko jeden nie chciał się sprzeciwiać temu. Natenczas ów szlachcic rzekł: „Gdy mnie panowie bracia prosicie, chętnie zezwalam; chciałem się tylko przekonać, czy głos jednego wolnego szlachcica majeszcze znaczenie i powagę.

Imię szlachcica polskiego uważano za najwyższy zaszczyt i wyżej ceniono niż zagraniczne tytuły Hrabów, Baronów, Książąt, które jako równości polskiej szlachty nie miłe, dopiero później się rozmnożyły.

Dać komu wieniec grochowy. Jestto odprawić z niczem. Dawniej bowiem był zwyczaj, iż zalotnikom, którzy wzajemności nie mieli od panien, dawano wieniec grochowy, lub do powozu odjeżdżających przywiązywano wiązkę grochowin. Posłuchajmy w tym względzie piosnki pełnej prostoty.

<i>Stas.</i> Ludku moja, Ludku!	<i>Ludka.</i> Stasinku, Stasinku!
W zielonym ogródku,	Przy mojem okienku,
Jest róża miesięczna	Corok w lubej wiosnie
I miła i wdzięczna;	Groch cukrowy rośnie.
Z tej róży w Sobotę	Z niego przed Sobotą
Wianek sobie splecę;	Siostry wianek splecę
A w świętą niedzielę	I twą skroń młodzieńczą
Już nasze wesele!	Tym grochem uwiecznę.

Dołączyć tu należy wiadomość, iż na dworach nawet najznakomitszych panów polskich było w zwyczaj, iż podobnym zalotnikowi dawano przy stole czerninę z gęsi, która była odpowiedzią odmowną, iż ani wzajemności dziewicy, ani przychylności rodziców spodziewać się nie może. Był i ten obyczaj, iż zalotnikom przy stołach podawano kapłonów do rozebrania na powietrzu. Złęczność w tém działaniu stanowiła przyjęcie lub odrzucenie zalotnika. Lecz często się zdarzało, że kawaler luby pannie lub rodzicom dostawał niewidocznie już rozebranego kapłona, gdy inny męczył się długo i nie mógł dopełnić zwyczaju, dostawszy i nóż tępy i twardego zamiast kapłona koguta.

16. *Przysłowia polskie z Rysińskiego, Knap-
skiego, Fredry.*

A białe? białe; a czarne? czarne. — Młynarzu, są tu ryby? Są, łaskawy Panie. Ej, podobno nie masz! Ha, zkądżeby się wzięły. — Ani do rady, ani do zwady.

Baranie nie macz wody. — Bardziej boli od języka niż od miecza — Będzie dobrze jak złe minie — Bez ochoty nie spore roboty; bez prace nie będą kołace. Brzuch tłusty łeb ma pusty. — Boli gardło śpiewać darmo — Bliższa koszula ciała a niżeli suknia. — Bóg nie opuści, kto się nań spuści. — Buczno, huczno, a w pięty zimno.

Chcącemu nic trudnego; cudze ręce lekkie, ale nie użyteczne. Co się prędko wznieci, nie długo się świeci. — Choć ubogo, ale chędogo. — Chleb z solą z dobrą wolą. — Cicha woda brzegi rwie; chodzi jak owieczka, a tryxa jak baran. — Chuda fara, sam ksiądz pleban dzwoni; cztery kąty i piec piąty. — Co głowa, to rozum. — Co ma wisieć, nie utonie. — Co się stało

odstać się nie może. — Co tobie nie miło, tego drugiemu nie czyn. Czego oko nie widzi, tego sercu nie żal. — Czego panowie nawarzą, tém się poddani poparzą. — Czego się nowa skorupka napije, tém zawsze trąci. — Czapka na złodzieju gore.

Darowanemu koniowi nie zaglądać w zęby. — Dla ścieżki gościńca nie opuszczaj. — Dla przyjaciela nowego nie opuszczaj starego. — Dobry chleb, gdy nie ma kołacza. — Do czasu dzban wodę nosi. — Domoowego złodzieja nikt się nie ustrzeże. — Dla kompanii dał się cygan powiesić. — Dziurawego woru nie napelnisz.

Gość i ryba trzeciego dnia cuchną. — Gdzie cię radzi widzą, tam nie często bywaj; a gdzie nie radzi, tam nigdy. Głodnemu chleb na myśli. — Gdzie złe przypadki, tam przyjaciel rzadki. — Gdzie nie możesz przeskoczyć, tam trzeba podleść. — Głupi kiedy milczy, za mądrego ujdzie.

Ja o Pawle, a on o Gawle. — Jak cię widzą, tak cię piszą. — Jak sobie pościelesz, tak się wyspisz; jaka praca, taka płaca. — Jaki krój, taki strój. — Jaki pan, taki kram. — Jakie drzewo, taki owoc. — Im dalej w las, tym więcej drzew. — Jednemu szydła gołą, drugiemu brzytwy nie chcą. — Jedna jaśkółka nie przyniesie wiosny. — Jest to cnota nad cnotami, trzymać język za zębami.

Każda liszka swój ogon chwali. — Każdy dudek ma swój czubek. — Każdy kraj ma swój obyczaj. — Kiedy przyjdiesz między wrony, musisz krakać, jak i ony. — Kiedy trwoga, to do Boga. — Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. — Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. — Kto się dotyka smoły, zmaże się od niej. Kociół garncowi przymawia, a oba smolą. — Karanie słuszne, lekarstwo duszne. — Kogo Bóg chce skarać, temu wprzód rozum odejmie. — Kruk krukowi oka nie wykole. — Kurowi danó

grzędę, a on chce wieży. — Kto doje, dopije, ten w rozum nie tyje.

Lepiej być dobrym chłopem, niżeli złym popem. Lepszy łot szczęścia, niż centnar rozumu. — Lepszy rydz jak nic — Łacno o kij, kiedy kto chce psa uderzyć. — Łaska pańska na pstrym koniu jeździ. — Lepsza cnota w błocie, niż niecnota w złocie.

Mała iskierka największe pożary wszczyna. — Ma się jak groch przy drodze, albo jak pączek w maśle. — Mądrzej głowie, dość dwie słowie. — Mędrsze kurczęta niż kokosz. Mądry Polak po szkodziu. — Mówi, co mu ślina do gęby przyniesie. — Między drzwi palca nie wtykaj.

Na pochyłe drzewo i kozy skaczą. — Niedzwiedź w lesie, a ty skórę jego sprzedajesz. — Nie trzeba głupich siać, sami się rodzą. — Nie wszystko złoto, co się świeci. Nie każdy śpi, co chrapi. — Nie każdy kasa, co wąsami trząsa. — Nie od razu Kraków zbudowano. — Nie mów hup, aż przeskoczysz. — Nie pomoże krukowi mydło, ani umarłemu kadzidło. — Nie tak diabeł straszny, jak go malują. — Nie wywołuj wilka z lasu. — Ni z pierza, ni z mięsa.

O wilku gadka, a wilk w sieci. — Oko pańskie konia tuczy. — Obiecanka, ganka, a głupiemu radość. — Od złego dłużnika bierz i plewy. — Oglądaj się na ostatnie koła. — Od łyżeczka do rzemyczka. — Ostatnia wilkiem orać.

Pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki. — Przez posły wilk nie utyje. — Plecie jak na mękach; trzy po trzy plecie. — Po nici kłębka dojdiesz. — Poszło mu po nosie; poszło mu w pięty. — Prawda w oczy kole. — Psie głosy, nie idą w niebiosy. — Postawij dosyć, a wátku mało.

Ręka rękę umywa, noga nogę wspiera.

Sen mara, Pan Bóg wiara. — Strzeżonego Pan Bóg strzeże. — Siedzę jak na szpilkach. — Świnia

kwiczy, a wór drze. — Słówko wróblem wyleci, a powróci wołem. — Sowa nie urodzi sokoła, ani sokoł sowy.

Tłusty poleć smarować. — Tonący brzytwy się chwyta. — Trafiła kosa na kamień. — Trafił, jak kulą w płot. — Trafiło się, jak ślepój kurze ziarno. — Trudno tego wodzić, co sam nie chce chodzić.

Ustawy, jako pajęczyna, mucha uwięźnie, bąk ją przebiję. Umie za panią matką pacierz.

Wilk syty i koza cała. — Według stawu groblą sypią. — Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. — W gorącej wodzie kąpany. — W pustkach największe echo. — Wilka natura ciągnie do lasa.

Znać ptaka po pierzu. — Z wielkiej chmury mały deszcz. Zna się, jak koza na pieprzu. Znać dobrze po mowie, co się dzieje w głowie. — Złój taneczniczy i koszula zawadzi.

XI. OSOBLIWSZE ZWYCZAJE.

a. Co kraj, to obyczaj; pospolite niesie przysłowie. Każdy się swoich trzyma, swoje tylko, jako najlepsze uwielbia.

W Kochinchina, gdy się witają, bot zdejmują i na głowę swoją kładą. W Pegu odpinają pas i tymże powitanego okrążają dokoła. W innym znowu kraju, gdy kto chce kogo powitać, dmie mu w ucho i dłonią go po brzuchu głaszcze. — Król w Kongo obiera sobie do przejażdżki dzień taki, w którym panuje wielki wicher, czapkę wtedy zlekka na jednym uchu zawiesza; w którą stronę wiatr mu zrzuci, na tych mieszkańców swego państwa podatek nakłada.

Kolor biały u Japończyków jest znakiem żałoby, a czarny wesela. Siadają na konia z prawej strony;

nie pozdrawiają ani głową ani ręką, ale nogą. W paradniejszych sukniach siedzą w domu, a wychodząc na miasto, zrzucają je i najgorsze biorą na siebie. Japończyk szlachetnego urodzenia schwytyany na występku i on przekonany, miałby sobie za największą hańbę prosić, żeby mu życie darowano; o to tylko stara się, żeby mu pozwolono albo samemu odjąć sobie życie, albo żeby mu je odebrał który jego krewny. Pojedynek jest u nich brzuch sobie nożem rozzerznąć, i to przeciwnik także uczynić musi, jeżeli się na hańbę wystawić nie chce.

U Rzymian kiedy przeprowadzano pannę młodą do domu jej oblubieńca, niesiono przed nią kądziel z wrzcionem, wrażając jej, iż się miała pracą rąk i gospodarstwem zabawiać. Połrowny i grzeczny Franuz nadto jest delikatny dla swój oblubienicy, żeby tak podłemi, wieśniaczemi narzędziami miał jej oczki przerażać. Po zawartej intercyzie posyła on swój przyszłej połowicy koszyczek z kwiatkami, wstążeczkami, rękawiczkami, wachlarzami, kolczykami, zausznicami, słojkami z pachnącą pomadą, flaszeczkami perfumowemi, puszczkami z rużem i muszkami, woreczkami i innymi galanterijkami. To też proszę widzieć, jeżeli który Rzymianin w całym państwie rzymskiem miał taką jak on żonę elegantkę.

Czytamy w pewnym opisie podróży, iż gdy pastor hollenderski dał w podarunku flaszkę gorzalki jednemu królikowi afrykańskiemu; ten na okazanie mu swego ukontentowania i wdzięczności, dał znak do bitwy. Natychmiast tłumy krajowców wysypały się przeciwko sobie, i siekąc się zobopolnie z ostatnią wściekłością, zasiały ziemię rannymi, konającymi i trupami; a pomimo prośb i wstawienia się Hollendra, trwał ten mord dość długo. „Nie uważaj nic, odpowiedział mu królik, wszystko to są moi poddani, i nie wiele co mnie kosztuje ich strata; a niewymo-

wnie kontent jestem, iż tą przynajmniej bagatelką mogę ci się za twoje dobre serce wywiązać, i szacunku mego dać ci dowód. Piękny szacunek! szalone wywiązanie! za kwartę gorzałki, rozlew strumieniami krwi niewinnej.

X b. *Kalendarz zwyczajowy.*

1. *Nowy rok.* Przedtém na Nowy rok spotykano się z życzeniem: „Bóg cię stykaj! polecano się tym sposobem błogosławieństwu Wszechmocnego. Rodzicom lub opiekunom, albo komu przez to uszanowanie okazać chciano, prawily dzieci oracye, żaki perory, dworscy sadzili się na koncepta, i ksiądz pleban z ambony kończył swe kazania winszując dziedzicowi i parafianom. Podobnież za powrotem z kościoła, na obiad zaproszeni goście, oświadczaży życzenia, by rok zaczęty był w zdrowiu i szczęściu. Ci, którzy osobiście przybyć nie mogli, wyrażali to na piśmie, przez umyślnych posłańców. Wiedziano, czego każdemu życzyć: tym dostatków, owym wyższych dostojenstw, rodzicom pociechy z dziątek, pannom i kawalerom dobrego zamęzcia lub ożenienia; a wszystkim błogosławieństwa niebios i długiego wieku. Krasicki takie posłał powinszowanie:

„Rok się stary kończy, nowy zaczyna grzeczność więc każe winszować, a przyjaźń i szacunek czece oświadczenia w istotne życzenia przeistacza.

Żyż lata Matuzalowe — Albo przynajmniej połowę;
A choćby ćwierć dla igraszki — Dwieście lat i to nie fraszki.

Lecz coraz gorsze nastają czasy:

Im się bardziej idzie w lata, — Tym powszechniej to się iści,
Iż się dobre złem przeplata, — Więcej szkody niż korzyści.

A choćby inszych strat i szkód nie było, ta bolesna,
Iż czas przeszedł, a im go więcej przeszło, tym czu-
lój się spostrzega, iż spieszo uchodzi; jednakże:

Choć chwil przeszłych czuła strata, — Te uczucia są odmiennie,
Nie żałuje rolnik lata, — Kiedy widzi snopki plenne.

Jeżeli koncept nie najwyborniejszy, życzenie uprzejme; proszę je tem sercem przyjąć, którem pisałem, i zachować mię w szacownej przyjaźni.“

Dziś to wszystko inaczej. W mieście bilety z wyrażeniem imienia, nazwiska, urzędu i z dodaniem początkowych tylko liter z p. n. r. z powinszowaniem nowego roku (albo modnie j po francuzku p. f. l. n. a. (*pour feliciter la nouvelle année*) służący roznosi lub powozem pańskim rozwozi, i cały ten obrząd odbywa. Nie silimy się na dowcip, unikamy trudu, ale też grzeczność i uprzejmość starożytna niknie, dopełnienie jęj lokajom i próżnej karecie przekazane.

Kolęda. Wyraz ten podług jednych ma pochodzić od pogańskiego bostwa starożytnych Sławian, którego święto do uroczystości Bożego Narodzenia zastoso-
sowano. Podług innych od słowa łacińskiego Kalendae, pierwszy dzień miesiąca. Trwa kolęda od Bożego Narodzenia aż do N. P. Gromnicznej, a czasem przez całe Miesopasty. Zaki chodząc po domach z jasiełkami lub też z gwiazdą misternie z papieru wyklejona, (Ostatnia była wewnątrz oświecona gorejącą świecą i obracać się mogła) śpiewały pieśń: W żłobie leży, — kto pobieży — kolędować małemu? i t. d. Zwyczajnie także sam ksiądz pleban z organistą w towarzystwie przybranych w komeszki chłopców, którzy z całej siły dzwonkiem dzwonili, chodził po kolędzie. Wszedłszy do izby, dawał krzyż do pocałowania mieszkańcom i stawiał na przygotowanym stole. Po krótkiej przemowie do domowników, examinował dzieci i służących z katechizmu; po jego oddaleniu się dziewczęta ubiegały się do stołka, na którym Dobrodziej siedział, w tém przekonaniu, że która pierwsza usiądzie, tego roku za mąż pójdzie. Po wsiach dawano na kolędę: szperki, kilkałokciowe kielbasy,

ser, orzechy, owoce, kokosze, po kilka groszy; we dworach sporszy pieniądz, i raczono podług możności.

W domach zamożnych bywała kolęda okazalsza. Magnat rozdawał między swych domowników niekiedy wsie, konie z sutemi rzędami, puhary srebrne, albo kiesy napełnione złotem. Teraz przychodzą jeszcze z powinszowaniem muzykanci, stróże, kominiarczyki, woźni, i małym kontentują się datkiem, radzi, że drzwi przed nimi nie zamknięto.

Po wsiach najpospoliciej odbywa się kolęda około Trzech Króli. Z tego powodu wilią téj uroczystości nazwano u pospólstwa Szczodrym wieczorem, że wtenczas rodzice dzieciom, gospodarz czeladzi kolędę zwykli byli rozdawać. Parobcy poprzebierani za bobaków, dziadów z przewróconym kożuchem, lub też prowadząc na powrósle w grochowiny przystrojonego niby niedźwiedzia, obchodzili wieś całą, pociesznie wyprawiając skoki, a dla większej uciechy spektatorów, często porządnie przez grochowiny kijem okładali mu boki. Gdy już wszystkie chaty obeszli, wrócili w umówione miejsce; jedna z towarzyszących im dziewcząt, obrana gospodynią, gotowała wiececzkę; kupowano wódki za uzbierane pieniądze i zabawa trwała do późnej nocy.

W dzień Trzech Króli był zwyczaj poświęcania na ołtarzu złota, mirry, kadzidla i kredy. Złotem święconém określano szyję na ból gardła, kadzidłem i mirrą nakadzano domy i obory, kredą kolędujący proboszcz, lub bakalarz pisał u góry na drzwiach mieszkalnego domu, spichlerza, obory, litery G. M. B. to jest imiona trzech króli Gasper Melchior i Balcer i rok bieżący. Prócz tego kreda trzech króli gra ważną rolę w rozmaitych czarnoksiężkich gusłach, zaklęciach i uważana jest jako talizman przeciwko czarom.

Przy końcu obiadu roznoszono w Trzy Króle ciasto, którego tyle kawałków było, ile osób przyto-

mnych. W jednym z tych kawałków znajdował się migdał. Kto go otrzymał, królem uroczystości został, i mianował królową, efiarując jej piękny, do tego umyślnie przez ogrodników przygotowany bukiet z prawdziwych lub też sztucznych kwiatów. Zręczna gospodyni umiała nakierować losy, ażeby się migdał dostał téj osobie, której go przeznaczyła; to najsędziwszemu, to najwaleczniejszemu, to kochanemu mężowi, to najmilszemu z dzieci, to najszacowniejszemu z przyjaciół, to dziewicy, którą synową ujrzyć chciało.

Zapusty od wyrazu Pust, bożka niegdyś pustoty, swywolnej rozpusty i wesołości tak nazwane.

Trzy dni ostatnie do Popielca zwały się Ostatki, albo dni szalone, dla tego, że huczna wesołość, szumne biesiady, jak mówiono na trzy zbyty, wesołe zabawy, maskary, tańce i widowiska dni te zajmowały. Do zabaw zapustnych należały, dyalogi, które żaki szkolne na teatrach ku temu sporządzonych wyprawiały, wyjęte pospolicie z dziejów świętych. Ale najwięcej bawiły krotofilne intermedia, któremi akty granéj sztuki przeplatano. Śniali się do rozpuku, łatwi do zadowolenia widzowie, gdy widzieli leżącego w znak drągała, po którego brzuchu dwie lub trzy pary chłopiąt skakały; albo gdy zapalona z rurki papieru fiófa, wąsy pod nosem śpiącego osmalila. Trafnie je opisał w sztuce rymotwórczej F. Dmochowski:

U nas przez długie lata teatr był ubogi;
 Miejsce jego trzymały szkolne dyalogi,
 Gdzie w niezgrabnym układzie, dla prostéj zabawy
 Kiedy pozasiadała liczna szlachta ławy,
 Żaki różne czyniły widowiska z siebie.
 Udawały co w piekle, co się dzieje w niebie.
 Cała się rzecz kończyła na wrzaskach i śmiechach.
 Potém Bachus w rześzystych speluniany kielichach,
 Weselój jeszcze gości, niż aktor zabawił:
 Jeżeli diabeł przestraszył, Bach dobrą myśl sprawił.
 Widzieliśmy niedawno tych widowisk szczątki,
 I tych, gdy śmieszne role grano w wielkie Piątki,

Annasza, Kajfasza, Heroda, Pilata,
Chcąc uczcić obchód śmierci Zbawiciela świata.

W ostatni Wtorek jeden z społeczeństwa ubierał się za księdza; włożywszy na siebie koszulę zamiast komży, pas zawiesiwszy na szyi zamiast kapłańskiej stuły, stanął w kącie pokoju na stolku, i jak gdyby z Ambony, śmieszne do zgromadzenia po skończonych tańcach na dobrą noc prawił kazanie. Po wieczery mięsnej w ostatni Wtorek, około godziny dwunastej północnej, częstowano mlekiem, jajami, śledziami, temi potrawami przygrywając niejako postowi nadchodzącemu i po stopniach od mięsa przez nabiał do niego postępując. Ta częstacya zwała się podkurek. — Po wsiach obwozili parobczaki w ostatni Wtorek kurka drewnianego po wsi, osadzonego na dwóch kółkach z dyszlem, zapraszając dziewczki i gospodynie na tego kurka, jakby na prawdziwego. Te dawały im ser, masło, szperki, kielbasy, do czego oni dokupiwszy gorzalki, mogli porządną wyprawić ucztę.

Szlachta używała na wsiach w mięsopusty zabaw kuligowych. Zmówiło się sąsiedztwo, gdzie najprzód zjechać się mają, i ułożyli kolej, od której rzadko się kto uchylał. Obrany gospodarz kuligu, zwykle najcelniejszy z młodzieży, wszystkiem zarządzał. Ochocze dziewczęta, a czasem nawet i matki, pohulać jeszcze lubiące, chętnie wszystkie trudności ułatwiały. Poprzebierani mężczyźni za żydów, cyganów, olejkarzy, chłopów, dziadów; niewiasty za żydówki, cyganezki, wiejskie dziewczki, zebrani w pewnym miejscu wyjeżdżali z mrokiem, jak obyczaj kazał przy świetle kagańców i pochodni i odgłosie muzyki. Była to huczna szlichtada. Suną po słońcym i brylantowym śniegu lekkie sanie; tentent koni, brzęk dzwonów różnogłośnych, odgłos muzyki, głośzące trzaskania z biczem zręcznych zwoszczyków, okrzyki wesółych, już się dawały słyszeć, gdy do wsi wjeżdżali. Arlekin

a raczej drużba maszkarnie przybrany, poprzedzał tę kuligową kalwakatę i wpadłszy pierwszy do domu, ogłaszał przybycie kuligu. Za nim niebawem z brzękiem i dźwiękiem wpadała huczna zgraja, tocząc po sali skoczne krakowiaki lub dziarskie mazury. Gospodarz domu witał ich z kielichem wina spełniając duszkiem: Wiwat kulig i łaskawi sąsiedzi! Po hulauce nazajutrz, rad nierad zabierał się gospodarz w dalszą sąsiadów kolej, gdy mu śpizarnię i piwnicę wypróżniono. Powiększał się tym sposobem coraz bardziej kulig, przybywało coraz więcej wesołej młodzieży, sanek i ochoty. Ta hulanka, podobna do alpejskiej lawiny, wzrastająca coraz bardziej, gdzie spadła, to dla tego jedynie, aby wesołość pomnożyć, serca zbliżyć, wspólnie się starym obyczajem ucieszyć. Topniała nareszcie i każdy do siebie powracał, zabierając, gdzie co zostawił i odsyłając nawzajem cudze.

3. *Popielec*, także wstępna Środa, pierwszy dzień postu. Dziś w kościele sypie kapłan nabożnym popiół na głowę, te pamiętne mówiąc słowa: „Proch jesteś, w proch się obrócisz.“ Powiadają, że muzułman jeden będąc w Wenecyi świadkiem tego obrzędu, a widząc później, jaka spokojność nastąpiła po szaleństwie zapustnem, sądził, że kapłan rozumem posypał głowy. Dawniej był zwyczaj po wsiach i miasteczkach, iż sądzono mięsopust, zamiast którego stawiano balwana w kajdanach; ścinali go potem, różne czyniąc uciechy, zwłaszcza, że i to do zwyczaju należało, żeby trunkiem zęby po mięsie popłukać. Dziś chłopcy przypinają w Warszawie ukradkiem tak zwane klocki do sukien kawalerów i panien, szydząc z nich, że nie zmienili stanu w czasie zapust.

4. *Wielki post*. Posty za wprowadzeniem wiary chrześcijańskiej śnać nie małej doznawały trudności, kiedy Dytmar Mersburski w ks. 8 tak surowe Chrobrego na łamiących posty wzmiankuje prawo, iżby

zębę temu wybijano, ktoby się w poście mięso jeść poważył. Zdaje się jednak, że tak surowe prawo wykonywane nie było, ile że wstrzeźliwi przodkowie nasi nie tylko cały wielki post, ale nadto suche, krzyżowe dni, wile do każdej uroczystości, a nawet szczególnych patronów, środy, piątki, soboty jak najskrypatniej suszyli, nie dozwalając sobie nawet nasłnych pokarmów. Nie mieli wprawdzie oliwy, lecz miejsce jej zastępował rzepny, lniany, makowy, słonecznikowy, przesmażony z cebulą lub z octem wypyryskany olej. Wiadoma jest anekdota, że papież dziwiąc się ścisłemu zachowywaniu w Polsce postów, zapytał się przybyłych do Rzymu Polaków: macie też oliwę? Ci mniemając, że mowa o oleju, który po łacinie ténże samém nazwiskiem mianują, mamy, odpowiedzieli, i tak obficie, że wozy nią smarujemy. Kiedy tak, rzecze, to poście.

5. *Wielki Piątek.* Dzień ten poświęcony rozpamiętywaniu męki pańskiej. Po południu obchodzą się w miastach groby, w niektórych kościołach bardzo gustownie i wspaniałej u nas jak w innych krajach chrześcijańskich urządzone. Pospolicie przeznaczają się na ten cel jaka uboczna, głęboka kaplica, gdzie ustawiona w dalekiej perspektywie, najczęściej w kształcie promienistego słońca, świetna monstrancya z sanctissimum, zakryta przezroczystą gazą, tajemnicze jakieś w pobożnych sercach wzbudza uczucie. Miejsce to przybrane zwyczajnie w sztuczne kwiaty, śniące gwiazdy, zwierciadła, migocące światelka, rzesisto jarzęcemi świecami i kolorowemi lampami oświetlone bywa. Z przodu stoją piramidy, łuki, także gorejącemi lampami różnokolorowemi, wizerunkami do tego żalobnego obchodu zastosowanemi w składnej symetrii przyozdobione. Na ziemi przed grobem leży na krzyżu rozpięty Pan Jezus, którego rany z największą skruczą całuje lud pobożny, hojne na obok stojący pół

misek rzucając jałmużny. Dawniej była przy grobie podwojna straż, trzymająca karabiny, rurą na dół obrócone. Muzyka dobrana przygrywa w pewnych interwallach rozrzewniające melodye, albo też odzywają się przytłumione organ lub pieszczonój harfy żałobne dźwięki.

Nad wieczorem odbywały się dawniej processye z passyami, a nawet pobożne wyprawiano widowiska, w których wszystkie szczegóły męki pańskiej naocznie przedstawiać chciano. Szedł człowiek udający P. Jezusa w koronie cierniowej z łańcuchami i dźwigał krzyż wielki. Dopomagał mu Cyreneusz, otaczali ich żołnierze, a kiedy upadał pod tém brzemieniem, uderzano go, mówiąc: postępuj Jezu!

Kapnicy i Biczownicy w szarych lub czarnych kapach, mając tylko otwory wykrojone do oczu, i w tyle zasłony spuszczone do obnażenia grzbietu, towarzyszyli w długich szeregach tym passyom, smagając się i biczując w czasie, gdy śpiewano Miserere.

6. *Rezurekcyja i Święcone.* Rezurekcyja odbywa się pospolicie raniuteńko w niedzielę, po większych miastach już się wieczorem w Sobotę zaczyna. Umilkły głuszające klekoty i grzechotki, któremi chłopcy przez wielki Czwartek, Piątek i Sobotę w miejsce dzwonów do ogłaszania nabożeństwa nieznośny łoskot czynili. Uderzają we dzwony, a gdy ksiądz zaśpiewa Alleluja, wieszowali sobie przodkowie nasi uściśnieniem ręki, skłonieniem głowy i cichym głosem wesołego alleluja już w kościele albo spotykając się na ulicy lub w domu. W czasie rezurekcyi strzelano z armat, moździerzy, organków, z karabinów i pistoletów; palono koło kościoła lub na bliższych miejscach beczki smolne. Po skończoném nabożeństwie odleglejsi parafianie w największym pędzie, wyscigając w drodze jeden drugiego, do domu na Święcone śpie-

szyli, mając ten przesąd, że kto najprędzej do domu przybędzie, ten najrychlej żniwa ukończy.

7. *Święcone.* Obyczaj to kraju naszego. W tym dniu i najuboższy kmiotek zdobędzie się na kawał mięsa, kiełbasę, kołacz i jaja; majątniejszy na okazalsze święcone: niesie je do swego plebana, lub wzywa go w dom własny, aby mu je pobłogosławił. Po nabożeństwie odbytem z rodziną, domownikami, gośćmi, dzieli się najprzód gospodarz uprzejmię, wśród życzeń jak najlepszego zdrowia i pomyślności, święconem jajkiem, którego nikt odmówić nie może. Potém innemi kęsami częstują. Baranek z przyprawioną chorągiewką, kołacze żółte z szafranem i rozynkami, babi, jajka pospolicie żółto malowane, szynka, to grunt święconego. U wielkich panów sadzono się na różne do wielkanocnej uroczystości zastosowane symboliczne wyobrażenia: robiono baranka z masła, dając mu oczy brylantowe z ukrytych w maśle pierścieni i inne cudne utwory z ciasta. W drugie święto wielkanocne odbywa się Emaus, to jest przechadzka dla rozrywki do ulubionej jakiej okolicy w bliskości miasta, na pamiątkę, iż Chrystus z uczniami szedł tego dnia z Jerozolimy do Emaus.

8. Zwyczaj *Dyngusu* czyli śmigustu, to jest oblewania się zniecka nawzajem wodą, ma mieć początek od Jagielly, kiedy król ten nawróciwszy Litwę do wiary chrześcijańskiej, a nie mogąc wielkiej liczby nawróconych chrzcic pojedynczo, kazał napędzać tłumy do wody i w niej nurzać, albo stojących na brzegu wodą obficie polewać. Inni utrzymują, że pochodzi z Jerozolimy, gdzie schodzących się i rozmawiających o zmartwychwstaniu Chrystusowem, żydzi z okien wodą oblewali, dla rozpędzenia z kupy i przytłumienia takich powieści. W Poniedziałek wielkanocny mężczyźni oblewają kobiety; we Wtorek i dni następne kobiety mężczyźn. Grzeczniejsze osoby, chcąc

tę ceremonią odprawić bez przykrości, skrapiają lekko rozanną lub inną pachnącą wódką. Ci, którzy swawolą nad dyskrecją przekładają, oblewają i damy wodą prostą, chlustając garnkami i sklenicami. Gdy się kompania rozkulała, panowie i dworzanie, panie i panny, dnia swojego nie czekając, lali jedni drugich ze wszelkich naczyń, jakich dopaść mogli, a hajducy i lokaje cebrami donosili wody, że nareszcie wszyscy zmoczeni byli aż do nitki. Największa była rozkosz przydybać jaką damę w łóżku, i zlać zniecka. Pamiętne tego niebezpieczeństwa niewiasty, w ten dzień wstawaly jak najraniiej, albo jak najmocniej zamykały sypialne komnaty, aby ich ujeta datkiem mężczyzn służebna ukradkiem otworzyć nie potrafiła. Bywało nie raz, że zlana jak myszka panienka jaka lub młoda mężatka, dostała febry; nie zważano bynajmniej na to, byle się zadosyć stało powszechnemu zwyczajowi. Na wsi parobcy chwyтали dziewczki, które się wtenczas jak mogły ukrywały, wlekli je do stawu lub rzeki i tam je wrzucali do wody, albo włożywszy w koryto przy studni, lali wodą, póki im się podobało.

9. *Maj, Majowka.* Miesiąc to wiosny rozwiniętej nadobnie. Jakiż to uroczy widok pogodnego nieba! wieś odzyskuje wszystkie swoje powaby; uśmiechające się łąki, zielone gaiki, wdzięczny śpiew słowika napawają duszę czułą, słodką i niewinną rozkoszą. Starożytni czcili boginią Maję i w dniu pierwszym tego miesiąca obchodzili jej uroczystość. Słowianie przez pieśni i tańce na murawie zwykli witać wiosnę. W niektórych stronach Litwy zakopywano tego dnia na błoni, gdzie się lud zbiera do zabawy, drzewo zielone w różnofarbne wstążki ubrane. Przybywały dziewczęta, mężatki, chłopcy i ludność cała, mając na czele hożą dziewczicę, wyobrażającą boginią wiosny. Wieniec zielony zdobił jej skronie, gałązki brzozone aż do stop ją okrywały. Śpiewano piosnki, w któ-

rych często się powtarzało: o Maja, Maja i tańcowano w koło drzewa. Gdzieindziej zakopywano w ziemię gładki i wysoki świerk lub inne jakie wysmukłe drzewo, na które pięła się dziarska młodzież, aby zawieszoną na wierzchołku nagrodę, lub też tylko poklask zręczności pozyskać.

Pierwszego Maja obchodzili uczniowie w szkołach publicznych majówkę, czyli majowe rekreacje. Uszykowani w rzędy porządkiem klas pod chorągwiami swemi, wraz z rektorem i professorami szli do jakiej wioski o milę lub dalej, gdzie ochoczy gospodarz, wcześniej o tém uprzedzony, uprzejmie wszystkich podejmował. W niektórych miejscach panowie polscy zapisywali całe folwarki, żeby młodzież szkolna miała się gdzie bawić i hojnie podejmowaną być mogła. — Z tym miesiącem rozpoczyna się między młodzieżą gra zwana Zielone. Dwie osoby umawiają się, że przez cały ten miesiąc i dłużej, zawsze zielone przy sobie mieć będą; listek lub gałązkę, i robią pewien zakład. Osoba przydybana od drugiej bez zielonego, umowioną karę opłacać musi. Gra to dzieci, przyjaźni i miłości, dająca sposobność zrobienia komu upominku, nazywana także mienione, że często zielone odmieniać trzeba. Zielone tak opisał Kochanowski:

Z tych drzew zrywam latorośle,
Te Marynie pięknej pośle;
Zielonem niech się zabawi,
A niech słuszny zakład stawi.
Ta gra tém się prawem chlubi,
Komu zwiędnie, kto je zgubi,
Lub go zbędzie innym kształtem,
Opłaca zakład ryczałtem.

10. *Zielone świątki.* Miły jest widok zieloności. Starożytny to kraju naszego zwyczaj, że świątynie pańskie i możnych pałace i najuboższą chatkę zdobiły w tym dniu drzewka zielone przy wnijsciu, u okien i na rogach zatknięte. Wewnątrz kościoła ołtarze

ławki, a w domach kąty pokoiów były równie ozdobione młodemi drzewkami. Od tego zapewne uroczystość Zesłania Ducha ś. piękną Zielonych świąt w naszym języku przybrała nazwę. Teraz potrzęsają ziemię łąciem tatarakowem, co także miły sprawia widok i gubi robactwo. Poniedziałek świąteczny jeszcze zwykle od Niedzieli weselszy, przeznaczony na przechadzki i przejażdżki. Takich używają szczególnie mieszkańcy Krakowa i Warszawy, odwiedzając w tym dniu przyległe Bielany.

11. W wilię S. Jana Chrzciciela, to jest 23. Czerwca zachowują dotychczas wieśniacy w krakowskiem zwyczaj palenia ogniów na polach nazywając je Sobotkami. Młodzież jednej lub kilku osad zgromadzona w pewne miejsce kładła wielki ogień, dorzucając suchych gałęzi, liści i świerkowych trzeszczących gałązek; potem wzięwszy się za ręce, tańczyła, płała koło ognia, śpiewała, czyniła rozmaite wróżby, skacząc przez płomień; niekiedy trzody przepędzano przez ten ogień, ubezpieczając je tym sposobem od chorób i zarazy. Miły to był nadzwyczaj widok dla oka, gdy z zapadłym zmrokiem tysiące zapalono ogniów w nieprzejrzanej przestrzeni. Bliższe odbijały się w kryształe spokojnej Wisły, dalsze aż ku Karpatom, gdzie powierzchnia ziemi wzniesiona, naksztalt małych gwiazd słabem tylko migotały światelkiem; niektóre ognie pojedyncze, inne po kilka razem zapalone tak, iż patrząc z pewnej wysokości na kilka mil rozległą okolicę, sobotkami posianą, nie można się było nasycić tém czarującym panorama. Jeden z dawnych naszych poetów w wierszu pod tytułem: *Bylica S. Jan-ska* tak Sobotki opisuje:

Wszyscy na rozpust jako wyuzdani
 Idą bylicą w poły przepasani
 Świerkowe drzewa zapalone trzeszczą,
 Dudy z bąkami jak co złego wrzeszczą;

Dziewki muzyce po szelągu dali,
 Ażeby skorzniej w bęben przybijali;
 Włodarz jak wódz przed wszystkimi chodzi,
 On sam przodkuje, on sam rey zawodzi.
 Za nim jak pszczoły drużyna się roi,
 A na murawie beczka piwa stoi.
 Co który umie każdy dokazuje,
 Ten skacząc wierzchem płomienie strychnje,
 Ów pożar pali, drudzy huczają, skaczą,
 Aż ich dzień zdybie, to się wzdy zobaczą.
 (przecie upamiętają.)

Ogień do zapalania Sobotki krzesali sobie, trąc z całej siły żerdź suchą o płot, aż się płomień wydobył i przygotowaną do tego słomę zapalił. W innych okolicach gdzie Sobotek nie palą, gaszą wieśniacy w tym dniu po domach ogień i dopiero ten czysty samorodny ogień wzmiankowanym sposobem wydobyty, do chat przynoszą.

Ponieważ Sobótki nazywają w niektórych okolicach kupałą, kupałnicą albo kupałną nocą, przeto podobnie wszelkiego podobieństwa do prawdy, pochodzą one jeszcze z czasów pogańskich, w których Kupale, bóstwu urodzajów i obfitości (kupa) czyli sławiańskiej Cererze, 24. Czerwca w całej Sławiańszczyźnie czyniono ofiary, jak to wiele nazwisk wsi naszych noszących to miano, a między innymi Zobten, to jest Sobota za Wrocławiem pod Swidnicą, Sobota pod Gdańskiem, w Łęczyckiem, w starostwie Spiskiem ztąd powstałe, widocznie potwierdzać się zdają. Również niewiadomy jest cel tej uroczystości. Czy to, jak utrzymuje Bandkie miało znaczyć oczyszczenie przez ogień, czyli, co do prawdy podobniejsza, odwrócenie zarazy i chorób od bydła; zwłaszcza że w czasie Sobotki zbierano zdrowiu pomocne zioła, jako to: łopian, bylicę, jaskier do kąpieli; piołun, rutę, rozchodnik, i dziewczki płasające koło ognia miały zwykle wianek na głowie i bylicą się opasywały; rzecz dotąd nierozstrzygnięta. To tylko pewna, że dzień ten tajemniczy był hasłem różnych guseł i czarodziejskich praktyk. Dotąd trwa

w wielu miejscach, zwłaszcza w Warszawie zwyczaj puszczania wianków na Wisłę, który wiele widzów na most i brzegi sprowadza. Dziewczęta wyczytują z biegu wianków, jak płyną, jak się z wiankiem chłopca stykają lub oddalają przyszłe swoje losy. Czyj wianeczek pochłonięty, zła wróżba. Wten dzień także zbierają zabobonni kwiat paproci. Paproć, podług mniemania gminu wtenczas właśnie zakwita i w oka mgnieniu opada. Komu się uda tego kwiatu dostać, może stać się niewidzialnym, kiedy zechce, wszystkie zamki i kłódki odmykają się same za dotknięciem tego cudownego talizmanu. Za pomocą niego można znaleźć i najgłębiej ukryte w ziemi skarby. Wieśniakowi pewnemu kwiat paproci wpadł za kurpie; nie wiedział o tem i znalazł krowę, której przez kilka dni napróżno szukał i widział, gdzie tylko były ukryte pod ziemią skarby. Że nie miał narzędzia do ich wydobywania, spieszy po nie do domu, przezuwa się i wytrząsa kwiat cudowny. Odtąd już tych miejsc poznać i widzianych przedtem tak dokładnie skarbów znaleźć nie mógł.

Co większa dzień ten poświęcony jest także złym duchom. Co Czwartek po nowiu, lecz szczególnież we Ś. Jan lecą czarownice kominem na ozogu, miotle lub łopacie na Łysą górę, nasmarowawszy się tłustością z dzieci przed chrztem uduszonych. Gdy tam same być nie mogą, biorą pełną gębę dymu, i już wiedzą, co się tam stało. Czarownic potęga w wiekach łatwowierności była straszliwa. Sprowadzały burze, grad, pioruny, deszcz, suszę; sprawiały płodność lub ją odejmowały; wbiwszy kółek w słupek w oborze, doili z niego mleko cebrami, przemieniały nawet ludzi w wilki, barany myszy, ptaki i t. d. Wszystkiego zaś dokazywały za pomocą diabła, któremu się zapisały i który w pierścionku lub w starym trzewiku w kącie ciągle ich oczekiwał. Do swoich czarów używały zwyczajnie

szaleju, bylicy, trupich kości, drzewa z trumny, proszku z fartuchów przy figurach, powązek etc. Najzysskowniejsze były czary, kiedy się do nich udawano, aby miłość w pewnej osobie dla kogo wznieciły, bo im tę sztukę sownie opłacać musiano. Były wszakże sposoby poznawania czarownic i zniwczenia czarów; jako to: kurzyć trupim zębem, snopek siana lub słomy na drzwiach obory powiesić dla zachowania nabiału, kredą święconą znaczyć, gromnicą krzyż wypalić, zawiesić ją, a znak zębów czarownicy można potem na niej ujrzeć. Powązkę, wrzuciwszy w nią szpilki, gdy gotują z wiorami z 9 podworzy; kolki czarownicę dręczyć będą. Przybiega prosić ognia, i chce zniwcka, naczynie wywrócić. Pławienie ich na suszę, albo dla poznania, czyli są czarownicami, było jeszcze używane aż do roku 1765, które nie tonęły palono. (zob. w Przyjacielu Ludu palenie Czarownic w Doruchowie.)

12. *Więniec.* Widząc nadzwyczajne w domu przygotowanie, pytałem się pana Podstolego, czyli się znacznych jakich gości u siebie spodziewa. — Najznaczniejszych, odpowiedział; dziś zakończywszy żniwa gromada z wieńcem do mnie przyjdzie.

Wyrazy te Krasickiego, który nam w panu Podstolim tak dokładny zostawił obraz dawnych zwyczajów i charakteru narodowego, najdobitniej oznaczają wartość odprawiających się powszechnie o tej porze uroczystości wiejskich, wieńcami zwanych. Poczciwy kmiotek, który cały rok dla pana pracował, a w czasie żniwowym złoty plon pracy rąk własnych w pocie czoła z pośpiechem zbierał, i do gumien pańskich nagromadził, wart zaiste, by go wtenczas za najznakomitszego poczytać gościa, gdy panu ukończonego szczęśliwie żniwa przychodzi powinszować. Uroczystość ta w całej upowszechniona Polsce, najodleglejszych sięga czasów, i w żadnym innym kraju ani z taką nie bywa odprawiana uciechą, ani z taką

ze streny panów gościnnością. Przypomina ona podobne uroczystości u Rzymian Saturnalia zwane na pamiątkę złotego wieku panowania Saturna odbywane. Ustawiała wtenczas wszelka między panami a ich niewolnikami różnica. Sługom i niewolnikom wyprawiano sute uczyty, przy których im panowie posługiwali. Wolno było w tym czasie niewolnikowi w obecności pana z nakrytą chodzić głową, i prawdę mu bez ogródki powiedzieć. I u nas na wieńcu zaproszony chłopiec na zabawę, porównany z panem, śmiało panią swoją w taniec prosi, a dziewczyna pana; ile razy się przed graczem nawróci, w dowcipnych a wesolych śpiewkach, obok pochlebnych dla państwa zwrotek, nie raz i ostrą prawdę zaśpiewa.

Dwa wieńce, jeden z pszennych uwity kłosów, drugi powiązany z orzechów, niosą dwa żeńcy na głowach, idąc parami wśród radośnych okrzyków przy odgłosie muzyki; zbliżając się do dworu, śpiewają:

Plon niesiemy plon — W Jegomości dom;

Bodaj zboże plonowało, — Dziesięć korey z mendla dało.

Potém pare razy przede dworem na murawie przetańczywszy, przystępują do pana i wieńce mu oddają, kończąc wynurzanie życzeń wesolą piosnką:

U naszego Jegomości dobry rozsądek. — Wystawi nam beczkę piwa i wódki sądek. Dalej idą coraz weselsze zwrotki, w których niekiedy prawdziwy jaśniej dowcip, włodarzom i ekonomom gorzką częstokroć nócący prawdę. Przy największym rozochoceniu chłopiec nie zapomina o względach przynależnych państwu. Gdy uważają, że już dość długo w domu pańskim się bawią, przychodzą sami z podziękowaniem za zabawę i uraczenie, i pożegnawszy się, wynoszą się do goścince, gdzie niez mordowani aż do świtu wesolych chwil używają. Rzadkiemi one są w ich życiu, są to błogie sny, w których zapominając o swój niedoli i znojach ciężłej pracy, szczęśliwymi

się czują. Bodajby ta niewinna dla chłopków naszych zabawa nigdy nie wychodziła ze zwyczaju, lecz rok w rok w tym była utrzymywana poważaniu, w jakim ją Krasicki opisał.

13. Dzień Ś. Andrzeja 30. Listopada bardzo ważny dla pańien, ponieważ te cały wieczór przepędzają na zbadaniu przyszłego swego losu. To na talerzykach poprzylepiane kawałki zapalonego stoczka puszczają na wodę, (które się zejda, wróżą małżeństwo); to podsłuchują, z kąd pies zaszczekał, gdyż z téj strony ma przybyć kawaler; to wpuszczają do izby gąsiora z zakrytymi oczami, do której przyjdzie, ta męża najprzód dostanie; to znowu każda trzewiczek swój daje i stawiają z kolei jeden za drugim na podłodze, której progę się dotknie, ta w przeciągu roku za próg, to jest za mąż wyjdzie. Własną ręką gdzie niegdzie nałoży ogień dziewczyna, zgotuje trzy potrawy na wieczerzę z samych jarzyn, nakrywa stół na dwie osoby, wyjdzie na środek i zawoła: w imię Ojca i Syna i Ducha Ś. proszę ciebie na wieczerzę Amen. Postać upragnionéj osoby powinna się ukazać, obejdzie trzy razy stół i znika. Bezpieczniej wszakże nie kłaść noża ni widelca, bo widziadło tém narzędziem śmierćby zadać mogło. Czasem w samotnéj izbie o północy siada ciekawa osoba, stawia jedno zwierciadło przed drugie za sobą, przy nich świece i pilnie się w nie wpatruje, czy się jaki cień nie przemknie. Szczególniej zaś uważano, co się komu przyśni i ztąd wnioskowano o zameżciu i pożyciu, jak następujący wiersz opiewa:

W wigilią Ś. Jędrzeja
 Spełniona moja nadzieja;
 Bógdaj to się sprawdziło,
 Co mi się ongi wyszło,
 Ze z rąk ojca dobrodzieja
 Zostałam wydana
 Za pana Stefana.

Bo też to galant cacany
 Wąs misternie wymuskany
 Tak ułożona zgrabnie czupryna
 Jakby za szatnego miał kupidy.

Kładziono pod poduszki karteczki z imionami kawalerów znajomych, jaką która nazajutrz wyciągnęła, ten miał zostać mężem.

14. *Wilia do Bożego Narodzenia.* Dzień ten radosny w całym chrześcijaństwie uroczyście biesiadą pośną obchodzony bywa; lecz raz tylko i to dopiero o gwiazdzie jedzą. Przedewszystkiem łąnią się opłatkiem białym z rodziną, gośćmi i domownikami, życząc sobie nawzajem Dosiego, to jest długiego wieku. Izba jadalna słomą, a stół do jedzenia sianem pod obrusem popolicie bywa zasłany, a w każdym kącie izby stoją snopy rozmaitego zboża. Czasem łańcuchem stół opasywano, żeby go się chleb trzymał, a żelazo płuzne pod stół kładą, aby krety roli nie psowały. Przy końcu wieczerzy wyciągała młodzież z pod obrusa źdźbło siana; jeżeli zielone, znaczyło w zapusty odmianę stanu, jeżeli zwiędłe, to znaczyło niepomyślną wroźbę. Ze snopów kłosa wyciągano, wycierano ziarka i liczono je; parzyste związek małżeński oznaczały, nieparzyste dłuższą samotność. Jeszcze do dzisiaj jest u ludu prostego we zwyczajach, iż drzewa owocowe przewrosłem, że słomy, która pod stołem leżała, obwiewywać zwykli, aby lepiej rozdziły i nie przemarzły od mrozów. Dziś do obchodu wili należy koniecznie strucl, czyli chleb pszenny podługowaty przez środek plecionką z ciasta obłożony i posypany czarnuszką; prócz tego jabłka, orzechy, pierniki, zwłaszcza toruńskie dzieciom i służącym na podarki; a sama wieczerza składać się koniecznie powinna z dziewięciu potraw, między którymi polewka z migdałów i kluski z makiem i z miodem najważniejsze. Przestrzegają, żeby osób u stołu było do pary.

15. *Boże Narodzenie* 25. Grudnia, jedno z najprzedniejszych świąt w chrześcijaństwie z wesołością obchodzone, Gody od popołudnia zwane. Radość powszechną świata kapłani trzenia mszami, lud pobożny okazuje przez śpiewy, które od północy zaczynają się zwykły. Do wesołości świąt należały dawniej komedyczne dyalogi, które żaki publicznie i po domach prywatnych wyprawiali. Ci bawią dotąd lud jasełkami, czyli szopkami, gdzie w niezgrabnych osobkach narodzoną dziecięcą na łonie matki, lub złożoną na słomie, trzech króli z darami, starego Jozefa, skoki i przygrywania pasterzy i wszystkie okoliczności narodzenia pańskiego wystawiają. Osobliwie potrzebny jest do tego wół, osieł, żyd z żydówką, diabeł i baba z maślnicą, a to w celu ubawienia patrzących. Czasem bywają niektóre figurki, mianowicie te, które do rozśmieszenia służą, ruchome. Jeżeli deklamujący lub śpiewający obnosiciel ma dosyć dowcipu, iż swoim tłumaczeniem sceny potrafi wzbudzić śmiech powszechny, sowitą odbiera kolędę. Wyraz jasełka znaczy właściwie żłob.

26. Grudnia Ś. Szczepana pierwszego wiary chrześcijańskiej męczennika. Lud popołity dawniej w ten dzień owies święcić dawał, i gdy kapłan miał go kropić święconą wodą, idąc środkiem kościoła, rzucano nań garściami zboże, na pamiątkę ukamienowania męczennika. Ten dzień świętym jest osobliwie dla czeladzi, która w tym czasie roczną służbę odmienia. Szukający parobków gospodarze zmagają ich przy kieliszku wódki i raczą. Ztąd przysłówie: na Ś. Szczepan, każdy sobie pan.

c. *Trzy najważniejsze chwile życia człowieka.*

1. *Postrzyżyny*, Postrzyżyny obrządek pogański w siódmym roku odbywany. Postrzygano dziecięciu włosy i nadawano mu imię. Uroczystości tej obecni

bywali kumowie; spraszano i innych gości i częstowano ich hojnie. U Huculów, to jest Górali w Karpatach dochowuje się dotychczas ślad postrzyżyn, ale w 18. dopiero roku. Gdy nadchodzi czas postrzyżyn, staje chłopak nieulekniony i prosi, żeby mu wolno było wnieść do rzędu parobków. Zezwalają starzy i zabierają się do postrzyżenia włosów, czego mu dotąd nie było wolno. Prowadzą go pod sosnę, opierają plecami o drzewo i kazał mu włosy w garść zebrane w górę wyciągnąć. Natenczas odważny i w rzucaniu pocisków niezawodny góral chwytł toporek, a mierząc bacznie między głowę i rękę, ciska pewną dłonią i przecina włosy młodzieńca, który kiedyś podobną uroczyść sam dopełni śmieło, jak teraz przy jej spełnieniu nie zadrzał. Ta nieustraszona odwaga na łonie natury żyjącego Górala podobną jest do owęj zręcznej zuchwałości, gdy podochoceni przodkowie nasi do korków u trzewika na stole stawionych żon i córek swoich kulą z pistoleta strzelali. Truchleje teraz na takie barbarzyństwo pieszczone i niemęzki młodzian; ale baczny historyk ważne ztąd o przeszłości i obecności wyprowadza wnioski. Po tym obrzędku chłopak staje się parobkiem, tańczyć mu i pić w karczmie wolno; przez wdzięczność poi starszych i siebie.

2. *Wesele.* Najważniejsze momenta w czasie zawierania małżeńskich ślubów z mowiny, czyli zapoiny po naszymu zaręczyny, ślub i oczepiny panny młodej. Najprzód potrzebny był swat, czyli družba także dziewosłębem i starostą zwany. Był to człowiek dowcipny i mowny; powinien umieć rozśmieszyć i do łez rozrzewnić, obfitym być w żarty, dowcipne czynić pytania i w potrzebie trafnie odpowiadać. On na weselnych godach wszystkim zarządza, on mistrzem ceremonii, gospodarzem weselnym, krajczym i trefniem. Przed lat kilkuset taki był zwyczaj starania

się o pannę po dworach szlacheckich. Od dzieciństwa kawaler panny, ona kawalera nigdy albo rzadko tylko widywała; ten do lat 35 pilnował obozu, ona do 28 kądzieli. Sąsiad do sąsiada np. pan Paweł z Wierzbowa, przezwisk albowiem nie było jeszcze, wysłał 60 letniego dziewczęcia; ten wjechawszy na dziedziniec, zsiadł z konia i za uzdeczkę go trzymając, do okna zapukał. Poczyniała się wtenczas rozmowa następująca:

„P. Paweł mile Waszmość pozdrawia, i radby wiedział, czy to Waszmość pozwoli, o co on się przeniebie pytać będzie.“ Odpowiedział P. Piotr „Słucham panie sąsiedzie“ — „Oto P. Paweł ma parobka, już mu się do lat 40 zabiera, a słyszał, że Waszmość masz dziewczkę już też dorosłą; a zatem jeżelibyś Wmć pozwolił, toby się pobrali.“ — „Wstąpcie jeno do nas, to się o tém namówimy.“ Dziewosłab u kółka okiennego uwiązał konia, wszedł do izby, stół zastał nakryty, chleb i sól na talerzu. Pierwsze było powitanie: „Panie sąsiedzie! zjedzcie chleba z sołą, jeno z dobrą wołą.“ Wtem zawołał na żonę: „moja, pódzcie jeno do nas.“ Gdy przyszła, rzecz jój opowiedział w krótkości; ta się odezwała: „jak się wam, panie mój, widzi.“ Zawołał córki i ozwał się do niój ojciec: „moja dziewczko! jużście się dosyć u nas kądzieli naprzędli, czasby też wyjść na swój chleb; a to Panu Bogu dziękuj, że sąsiad Paweł potyka cię swoim parobkiem. Jakże zezwalasz na to?“ Córka upadła do nóg rodzicom na znak zezwolenia. Dziewosłab nasypawszy pereł i kleynotów w czapkę, wysypał je w podolek (na łono) pannie młodej, mówiąc: „P. Paweł od swego parobka na ten dar prosi, przyjm Wmć wdzięcznie, aż się o więcj postara. Ojciec wtém odpowiedział dziewczębowi: „powiedzcie panu Pawłowi, że za dwie niedziele, będzie wesele. Niech pan młody sprowadzi z sobą skrzypków, ja też każę

cielątko, kurkę jedną i drugą zabić, nasycić miodu, i tak wspólnie cieszyć się będziemy.

Jeśli konkury przyjmowano łaskawie, pokąd kawaler był w domu, nie stawiano gości z czarnym sosem, gdyż czernina na stole albo snopek grochowin przypięty do pojazdu odmowę oznaczał. Młodszej córki przed starszemi nie wydawano. Przy zaręczynach dawano pannie młodej do zwinięcia motek splątanego jedwabiu dla doświadczenia jej cierpliwości. I w wyższych stanach jest przesąd ubiegania się o postawienie wprzód nogi na kobiercu ślubnym dla uzyskania przewagi nad mężem, albo kładzenia na wierzchu ręki w czasie wiązania ich stulą. Przed wyjściem do kościoła družba najczulszą do rodziców czyni odezwę. Panna młoda przypina przysłanemu małżonkowi rozmarynową gałązkę i łzami zalana po wynurzeniu wdzięczności rodzicom, którzy ją wypielęgnowali, rodzeństwu, które ją kochało, po otrzymaniu błogosławieństwa od wszystkich, siada na żywiącej ich przez lat tyle dzieży; tam rozczesują jej włosy, smarują miodem i masłem, i kawałek chleba przypinają w wieńiec i ubierają do ślubu.

Teraz zmieniły się nasze obyczaje. Jeden z obywateli Podgórze znalazł w archiwum następujące stopniowanie. Jego prapradziad w roku 1687 miał do ślubu żupan biały lity, bekieszę axamitną zieloną, obłożoną łapami rysiami, guzy rubinowe i kołpak soboli. — Pradziad w roku 1714 żupan morowy seledynowy, ferezyjkę papuzią, pas z kłamrą srebrną, czapkę adamaszkową z wypustką lamparcią. Dziad 1760 żupan atlasowy ponsowy, kentusz z sajety koloru perłowego, pas słucki, bóty żółte, czapkę białą z kasztanowatym barankiem. Ojciec 1780 miał czapkę granatową z potrzebami srebrnemi, pas z kobylki, mankiety u rękawów koszuli, bóty czerwone, czapkę gredytorową, karmazynową z denkiem jedwa-

bném. Syn 1808 frak szafirowy, spodnie, kamizelkę i pończochy białe, kapelusz spleaszczony. Dzisiejszy potomek w bieżącym roku tużurek granatowy, pantalon także, kapelusz okrągły. — Wesele prapradziada trwało tydzień, wyszło wina beczek 10, pradiada pięć dni, beczek wina 7; dziada 3 dni, wina beczka 1, ojca 24 godzin, wina 100 butelek; syna wieczór tylko, szampańskie przy cukrowej kolacyi; ostatnie zaślubiny *incognito*, herbaty 12 filiżanek.

3. *Pogrzeb*. Zmarłego Słowianina opatrywano w odzież przystojną, oręż, nóż, siekierkę, krzesiwo, i jaką monetą, ztąd często w urnach słowiańskich pieniądz się rzymski znajduje. Palenie ciał i chowanie popiołów w glinianych urnach na wspólnych zgliszczach było używaném u Słowian. Urny te rozmaitego kształtu stoją w ziemi do czterech stóp głębokości, zwykle na talerzu, czyli podstawie, przykryte mniejszym talerzykiem, kilku kamieniami przyciśnionym i mieszczą w sobie prócz popiołów niektóre szczątki ludzkich kości. Na podstawie obok urny, znajdują się często małe różnokształtne garnuszki, podobno do zachowania łez ronionych przez płacznice i członków rodziny nieboszczyka, i na znak wiecznego żalu obok urny bywały stawiane. Świeżo z ziemi wydobyte są nadzwyczajnie kruche i mają kolor surowej gliny, lecz im dłużej stoją na słońcu, tém więcej nabierają mocy a z czasem koloru ceglanego. Nie mają żadnych napisów prócz foremnych karbów i centek; lecz powszechnie są tak misternie zrobione, iż pospolity nasz garncarz ledwie naśladowałby je zdołał.

Mniej znane są Mogiły, zwyczajnie na pobrzeżach rzek i to jeszcze wyniosłych, pracą kilku tysięcy ludzi usypane. Nazywają się w niektórych okolicach sopki to jest naspy i żalniki, i zawierają wewnątrz opalone kości, węgle i różne pomniejsze metalowe narzędzia. Jest dotąd zwyczaj, że przechodnie rzucają kije i ga-

łęzie na mogiły zwłaszcza zabitych lub samobojców zwyczajnie na rozstajnych drogach lub wśród lasów ciemnych pochowanych. Ztąd powstają ogromne stosy wskazujące te grobowce. Wolno jest je spalić, gdy są nadto wielkie i znowu nowe narzucać, lecz nikt z nich nic nie ujmie.

Gdy Gedymin w roku 1329 w czasie oblężenia twierdzy Friedburg strzałą ognistą ugodzony, ducha wyzionął, synowie taki sprawili mu pogrzeb. Przygotowano wielki stós smolnej sośniny w Wilnie tam gdzie Wilejka do Wilii wpada. Ubrano go w szaty książęce, które za żywota najbardziej lubił; dano mu szablę, włócznię i sajdak z łukiem, sokołów i chartów parę, konia z siodłem żywego i sługę najwierniejszego związanego z nim na stós włożono i z wielką żałością zgromadzonego rycerstwa drwa w kolo zapaliwszy, miotali na ogień pazury rysie i niedźwiedzie, broń, część łupów nieprzyjacielskich i trzech zbrojnych jeńców żywcem spalili. Popiół i kości książęcia, sług, konia i chartów zebrawszy w trumnę, w ziemi na miejscu owem pochowali.

Duisburg nancza, że Litwini obmywszy zmarłego w łaźni, ubierali go w białą koszulę, sadzali na stołku i pili jego zdrowie, mówiąc: Ja do ciebie piję, miły przyjacielu! i czemużeś umarł! wszak masz swoją miłą oblubienicę, dziatki, bydło, przyjaciół i wszelki dostatek. Prowadząc zwłoki wołali: gigajte, begajte Pikolo, to jest uciekajcie, bieźcie precz diabli, i wywijali orężem albo nożem, ażeby złe duchy odstraszyć. Na stypę pogrzebową zapraszali także umarłych, stawiali dla nich próżne stołki, rzucali każdej potrawy pod stół, i zlewali nieco trunków. Dopiero gdy się do pijatyki zabierano, umiatali wprzód izbę, mówiąc: jadyście, piłyście miłe duszyczki, a teraz precz, precz. Teraz jeszcze jest zwyczaj w niektórych okolicach, iż gdy wynoszą umarłego za kapłanem, uderzają tru-

mną w każde drzwi na znak pożegnania. Gdzie nie masz obecnego księdza, występuje jeden ze starszych gospodarzy i ma do ludu pod Bożąmką za wsią exortę, która najczęściej słuchaczów do łez pobudza. W prostych, lecz nader czułych wyrazach, dowodzi patryarchalny ten mowca, że zmarły za życia nie zawinił nic takiego nikomu, coby mu przy zgonie darowanem być nie mogło; a jeśliby kto miał do niego jaką urazę, w imieniu jego, wszystkich obecnych i nieobecnych przeprasza.

Pogrzeby królów i wielkich panów chrześcijańskich bywały bardzo okazałe. To najszczególniejsza, że na nich przy końcu nabożeństwa wbiegali do kościoła na koniach rycerze i wśród odgłosu trąb, huku dział, kruszyli o katafalek oręż, proporzec i inne rycerskie znaki, a na pogrzebie królów kanclerz tłukł pieczęć, marszałkowie laski łamali, poczem trumnę z trzaskiem w ziemię wpuszczano. Jeszcze tu jedną okoliczność wspomnieć należy. Dnia 2. Listopada, to jest w święto Hgi, odprawiano na Litwie i na Żmudzi dziady czyli uroczystość obchodzoną na pamiątkę dziadów to jest zmarłych przodków. Obchód ten początkiem swoim sięga pogaństwa i zwał się niegdyś uczta kozła, na której przewodniczył guślarz (koźlarz) razem kapłan i poeta. W teraźniejszych czasach, ponieważ światło duchowieństwo usiłowało wykorzenić zwyczaj połączony z zabobnością i zbytkiem częstokroć nagannym, pospółstwo więc święci dziady tajemnie w kaplicach lub pustych domach nie daleko cmentarza. Zastawia się tam uczta z rozmaitego ja-dła, trunków i wywołują się dusze nieboszczyków.

CZĘŚĆ DRUGA.

I. B A Y K I.

1. *Wicus.*

Na zamarznętej sadzawce w ogrodzie,
Ślizgał się Wicus po lodzie,
A chociaż mu brat starszy ganil tę zabawkę,
Gdy sposobność upatrzył, dalej na sadzawkę.
Zaufany w zręczności, mniej ważył przestrożę.
O przypadek nie trudno. Wicus złamał nogę;
Wtedy biedny chłopczyzna sam wyznał ze łzami:
Ze się nie godzi starszych pogardzać radami.

2. *Stas.*

Stas na sukni zrobił plamę,
Płacze i przeprasza mamę:
Korzystając z chwili mama,
Rzeczę, na sukni wypierze się plama;
Ale strzeż się, moje dziecię,
Brzydkim czynem splamić życie;
Bo ci, Stasiu, mówię szczerze,
Ta się plama nie wypierze.

3. *Franus.*

Franus miał śliczne jabłuszko czerwone,
Pieści się niem, na każdą obraca je stronę,
I rzecze: szkodaby cię zgładzić z tego świata,
A przytém trzebaby dać połówkę dla brata;
Nie, nie, ja ciebie nie ruszę,
Cały rok cię chować muszę,
A potem... nie i potem... rzecze mały sknerka,
I schował je do kuferka.
Cóż się stało? jabłko zgniło,
Jakże mu żal wtedy było!

4. *Dziecię i dzbanuszek.*

Mała dziecina łakoma i chciwa,
 Jak to często w świecie bywa,
 Nigdy na tém nie przestała,
 Co mama dała.

Były dwa jabłka, trzeciego żąda;
 Były trzy gruszki za czwartą pogląda;
 Dano cukierków, to zawsze za mało;
 Dano pierniczek, dziecię ciastka chciało,
 Iż mu w dzbanuszek wsypano orzechy,
 Ach co to było uciechy!

Dziecina rączkę w wążką szyję wkłada
 I wszystkieby zabrać rada.

Ale niestety! wyciągnąć nie może:
 Dziecię w płacz, w takim razie i płacz nie pomoże,
 Szarpie, wszystko na próżno, i orzeszków niema
 I dzbanuszek rączkę trzyma!

Ktoś się wręście zlitował i dał rady zdrowe,
 Nie bądź kochanku chciwym, weź tylko połowę.
 Wymiesz rączkę, orzeszki wybierzesz po trosze,
 A pomnij w dalszym wieku tak czerpać rozkosze!

5. *Lew i owieczka.*

Broń się owco, lub zginiesz! rzekł lew niespodzianie.
 Jazbym się miała bronić, Najjaśniejszy Panie?
 Mnie łaskawa natura oręza nie dała,
 Pokora i niewinność, to moja broń cała! —
 O niewinność nie pytam, pokory nie cenię.
 Broń się, albo krwi twojej popłyną strumienie! —
 Czyń co chcesz, gdy niewinnej cnota nie osłoni,
 Ja zność tylko umiem innej nie mam broni. —
 Podoba mi się twoja skromność i odwaga,
 Jój potęga nad samą dzikością przemaga,
 Jesteś wolna, żyć będziesz, jest to tylko próba,
 Nigdy ja nie myślałem pastwić się nad tobą;
 Bo kto gnębi niewinność bohater nie wielki,
 On w sercu krwi szlachetnej nie ma i kropelki.

6. *Lis i bocian.*

Pytał się lis bociana; powiedz mi, mój bracie,
 Bo to wy już oddawna po świecie bujacie,
 Cożeście przecie ważnego widzieli,
 Gdyscie od nas odlecieli? —

Tu nasz bocian wędrowny, uniesion zapalem,
 Ach! co ja rzecze bagnisk i kałuż widziałem;
 Tam to, tam to dopiero wyborne przysmaczki,
 Jakie żabki tłusciutkie, jak pulchne robaczki!
 Co też widział ważnego nasz młodzik w Paryżu?
 Niezrównane pulpety i przysmaczki z ryżu!

7. *Owieczka.*

Nie oddalaj się, kochanko, od trzody!
 Mówiła stara owca do owieczki młodej,
 Zobaczysz, porwą cię wilki,
 Na to dosyć jednej chwili!
 Młoda mruknęła sobie: Ot! Bóg wie, co plecie,
 A wilków nie ma na świecie;
 Nie dziś żyję, żadnego jeszcze nie widziała,
 U starych aby burczeć, to na tém rzecz cała.
 Tak sobie rozumując, została się w tyle,
 Pędzi po krzakach motyle;
 To liś z drzewa skubnie wśród parowu,
 To się zatrzyma, to podskoczy znowu.
 Wtém razem strasznie zawoła:
 Ach! ratuj mnie mamuniu! wilki już dokoła!
 Mamuniu dobrodziejko! mamuniu kochana!
 Biegną co tchu pasterze, krzyczą na brytana;
 Lecz już zapóźno, oddała już owieczka ducha!
 Takto bywa, dziecieczki, kto starszych nie słucha!

8. *Papuga i wiewiórka.*

Młoda jedna papuga, piękna, okazała,
 Lepiej jeszcze od pani swojej szczebiotała.
 Ztąd plotki: bo co tylko zdrożnego postrzegła,
 Zaraz z nową powieścią, do Jejmości biegła.
 Była tam i wiewiórka wychowana z ptaszki;
 Ta tylko pilnowała skoków i igraszek:
 Żyły w zgodzie, co rzadka, zwłaszcza przez czas długi;
 Pani ptaka kochała, a wiewiórkę sługi.
 Widząc, że jej nie lubią, raz papuga rzekła:
 Radabym téj niechęci przyczyny docięła! —
 Rzecze na to wiewiórka: przyczyny nie badaj,
 Tak rób, jak ja: baw panią, a nie wiele gadaj.

9. *Ojciec łakomy, syn rozrzutny.*

Zawsze się zbytek kończy doświadczeniem smutnym:
 Płakał ojciec łakomy nad synem rozrzutnym.

Umarli obaj z głodu, każdy z nich zasłużył:
Syn, że nadto używał, ojciec, że nie użył.

10. *Baran dany na ofiarę.*

Widząc, że wieńce kładą, że mu rogi złocą, ¹⁾
Pysznił się tłusty baran, sam nie wiedział o co.
Aż gdy postrzegł oprawcę, ²⁾ a ten powróz bierze,
Aby go poniewolnie ciągnął ku ofierze,
Poznał swój błąd; rad nie rad, wypełnił los srogi.
Nie pomogły mu wieńce i złoczone rogi.

11. *Syn i ojciec.*

Każdy wiek ma gorycze, ma swoje przywary,
Syn się męczył nad książką, stękał ojciec stary:
Ten nie miał odpoczynku, a tamten swobody,
Płakał ojciec, że stary; płakał syn, że młody.

12. *Ptaszki w klatce.*

Czego płaczesz? staremu mówił czyżyk młody,
Masz teraz lepsze w klatce, niż w polu wygody: —
Tyś w niej zrodzon, rzekł stary, przeto ci wybaczę:
Jam był wolny, dziś w klatce, i dla tego płacę.

13. *Mysz i kot.*

Mysz, dla tego, że niegdyś całą książkę zjadła,
Rozumiała, iż wszystkie rozumy posiadała.
Rzekła więc towarzyszkom: nędzę waszą skrócę,
Spuście się tylko na mnie, ja kota nawrócę.
Posłano więc po kota: kot zawsze gotowy,
Nie uchybił minuty, stanął do rozmowy.
Zaczęła mysz exortę, kot jej pilnie słuchał,
Wzdychał, płakał: — Ta widząc, iż się udobruchał,
Jeszcze bardziej wpadała w kaznodziejski zapal,
Wysunęła się z dziury: a wtém ją kot złapał.

14. *Podróżny i kaleka.*

Nie skarzyłem na ludzi, nie skarżył na losy,
Choć musiałem iść w drogę ubogi i bosi.
Wtém, gdy razu jednego do kościoła wchodzę,

1) Poganie zabijali na cześć bogom swoim różne zwierzęta, które
wprzody kwiatami wieńczyli i rogi im złocili. 2) Kapłana
sprawującego ofiarę.

Postrzegłem, leży żebrak bez nogi na drodze.
 Nauczył mnie tém bardziej milczeć ów ubogi:
 Lepiej mnie bez obuwia, niż jemu bez nogi.

15. *Rybka mała i szczupak.*

Widząc w wodzie robaka rybka jedna mała,
 Ze go połknąć nie mogła, wielce żałowała.
 Nadszedł szczupak, robak się przed nim nie osiedział:
 Połknął go, a z nim haczyk, o którym nie wiedział.
 Gdy rybak na brzeg ciągnął zdobycz okazałą,
 Rzekła rybka: dobrze to czasem być i małą.

16. *Zwierzęta i niedźwiedź.*

Pod lwem starym ustawną prowadziły wojnę:
 Młody, że panowanie obiecał spokojne,
 Cieszyły się zwierzęta: niedźwiedź cicho siedział.
 Spytany, czego milczy? wręcz im odpowiedział:
 Zatrzymajmy się jeszcze z tą wieścią radosną,
 Aż młodemu lewkowi pazury urosną.

17. *Talar i czerwony złoty.*

Talar zwierchnią postacią swoją okazały,
 Gardził czerwonym złotym, dla tego że mały:
 Gdy przyszło do zmienienia, nie patrzano miary.
 Złoty pieniądz, choć mały, wart był trzy talary,

18. *Niedźwiedź i liszka.*

Rozumiejąc, że będzie towarzysów bawił,
 Niedźwiedź, według zwyczaju, nic do rzeczy prawił:
 Znudzeni temi bajki gdy wszyscy drzymali,
 Gniewał się wilk na lizkę, że niedźwiedzia chwali.
 Rzekła liszka: mnie idzie o ochronę skóry;
 Niezgrabną ma wymowę, lecz ostre pazury.

19. *Łakomy i zazdrosny.*

Porzuciwszy ojczyznę i żonę i dzieci,
 Szedł łakomy z zazdrosnym, Jowisz z nimi trzeci.
 Gdy kończyli wędrówkę, bożek im powiedział:
 Jestem Jowisz, i żeby każdy o tém wiedział,
 Proście mnie, o co chcecie: zadosyć uczynię,
 Pierwszemu, a drugiemu w dwójnasób przyczynię.
 Nie chce być pierwszym skąpy, i stanął jak wryty,
 Nie chce mówić zazdrosny równie nieuzyty.

Nakoniec kiedy przeprzeć łakomcy nie może:
Wylup mi jedno oko, rzecze, wielki Boże!
Stało się. I co mieli zyskać w takiej dobie,
Stracił jedno zazdrosny, a łakomy obie.

20. *Lis i osieł.*

Lis stary, wielki oszust, sławny swym rzemiosłem,
Ze nie miał przyjaciela, narzekał przed osłem.
Sameś sobie w tym winien, rzekł mu osieł na to:
Jakaś sobie zgotował, obchodz się zapłata.
Głupi ten, co wniść w przyjaźń z łotrem się ośmiela:
Umięj być przyjacielem, znajdziesz przyjaciela.

21. *Dziecię i ojciec.*

Bił ojciec różgą dziecię, że się nie uczyło:
Gdy odszedł, dziecię różgę ze złości spaliło.
Wkrótce znowu Jas krnąbrny na plagi zarobił,
Ojciec rozgi nie znalazł, i kijem go obil.

22. *Mądry i głupi.*

Nie nowina, że głupi mądrego przegadał;
Kontent więc, iż uczony nic nie odpowiadał,
Tym bardziej jeszcze krzycheć przeraźliwie począł;
Nakoniec zmordowany gdy sobie odpoczął,
Rzekł mądry: żebym nie był w odpowiedzi dłużny;
Wiesz, dla czego dzwon głośny? — bo wewnątrz jest
próżny,

23. *Pasterz i morze. (z Fedra.)*

Ponad skały i rzeczki,
Pędził pasterz owieczki;
Gdy zeszło zorze,
A ujrzał morze,
Jak wspaniałe, dostojne,
Jak w zaciszu spokojne,
Jak się skłniły po wodzie,
Błaski słońca przy wschodzie;
Zakochał się w żywiole.
Więc rzekł: płynąć ja wolę,
Niż się tulać po ziemi
Z owieczkami mojemu;
Przedał je więc i z stratą.

A za to

Nakupował daktyłów, na okręt zgromadził,
Płynął morzem; a gdy go wiatr przeciwny zdradził,
W złą chwilę,

Stracił okręt i daktyle.

Więc do owiec nieborak; a gdy je pasł znowu,
Zoczył merze: wspomniawszy na korzyść z obłowu,¹⁾
Rzekł, kłaniając się nisko, raz, drugi i trzeci:
Mówię to i z przysięgą powtarzam waszeci,

Bądź jeszcze pozorniejsze,

Bądź jeszcze spokojniejsze.

Lśknij się, jak chcesz, w pogodzie,

I w zachodzie i wschodzie;

Wiém ja, co cię łagodzi,

Wiém ja, o co tu chodzi:

Chciałoby się daktyłów?... nie uda się sztuka.
Panie morze! ostrożny, kto się raz oszuka.

24. Chłop i Jowisz.

Chłop stojący, zazdrościł siedzącemu panu

Lepszego stanu;

I lżył niebiosy

Za takie losy

Myślą zuchwałą;

Iż jednym nadto dają, drugim nadto mało.

Rzekł wtém Jowisz: on chory, a ty jesteś zdrowy,

Lecz masz wybór gotowy.

Chcesz bogactw? będziesz je miał, lecz podagrę²⁾ razem.

Uszczęśliwion wyrazem,

Przyjął chłop złoto, ale legł kulawy.

Wesoł był z razu, lecz gdy ból żwawy

Coraz bardziej dokuczał;

Chłop narzekał i mrucał:

A winując się o to,

Rzekł: Jowiszu! wróć zdrowie, a weź sobie złoto,

Z skutecznieniem Jowisz się nie bawił,

Odjął bogactwa, podagrę zostawił.

25. Wilczki.

Pstry jeden, czarny drugi, a bury najmniejszy,
Trzy wilczki wadziły się, który z nich piękniejszy.

1) Stratę, którą poniósł, ironia. 2) Ból w nogach,

Mówił pierwszy: ja rzadki,
 Mówił drugi: ja gładki,
 Mówił trzeci: ja taki jak i pani matka.
 Trwała zwadka.

Wtém wilczyca nadbiegła,
 Gdy w niezgodzie postrzegła,
 Cóż to, rzecze: same w lesie
 Wadzicie się!

Więc one w powieść, jak się rzecz działa.
 Gdy wysłuchała,

Idzie tu wam o skórę, rzekła, miłe dzieci,
 Która zdoła, która szpeci.

Nasłuchałam się tego już to razy kilka,
 Nie przystoi to na wilka
 Wcale.

Ale

Jak będziecie tak w kupie
 Dysputować głupie;
 Więcie, kto nie zbłądzi?

Oto strzelec was pozwie, a kuśnierz osądzi. ¹⁾

26. *Dzieci i żaby.*

Koło jeziora,
 Z wieczora,

Chłopcy w koło biegały
 I na żaby czuwały:

Skóro która wypływała,
 Kamieniem w łeb dostawała.

Jedna z nich śmielszej natury,
 Wystawiwszy łeb do góry

Rzekła: chłopcy, przestańcie, bo się źle bawicie,
 Dla was to jest igraszką, nam idzie o życie.

27. *Myszy.*

Każdy się swoim zatrudnia kłopotem;
 Myślały myszy, co tu robić z kotem?

Mówiły jedne: darami go skusić;

Mówiły drugie: lepiej go zadusić.

Wtém się odezwał szczur szczywany, bo stary,
 Prózne tu groźby, prózne i ofiary.

1) Strzelec was zabije, a kuśnierz wyprawi skórę i osądzi, która piękniejsza.

I dary weźmie i przysięgi złamie:
 Najlepiej cicho siedzieć sobie w jamie;
 A opatrzywszy zewsząd bez łoskotu,
 Ani być z kotem, ani przeciw kotu.

28. *Czapla, ryby i raki.*

Czapla stara, jak to bywa,
 Trochę ślepa, trochę krzywa,
 Gdy już ryb łowić nie mogła,
 Na taki się concept wzmogła.
 Rzekła rybom: wy nie wiecie,
 A tu o was idzie przecie.
 Więc wiedzieć chciały,
 Czego się obawiać miały?

Wczora

Z wieczora

Wysłuchałam, jak rybacy
 Rozmawiali: wiele pracy
 Łowić wędką, lub węcierzem;
 Spuścmy staw, wszystkie zabierzem:
 Nie będą mieć otuchy,
 Skoro staw będzie suchy.

Ryby w płacz: a czapla na to:
 Boleję nad waszą stratą;
 Lecz można ztemu zaradzić,
 I gdzieindziej was osadzić.

Jest tu drugi staw blisko,
 Tam obierzcie siedlisko;
 Chociaż pierwszy wysuszą,
 Z drugiego was nie ruszą. —

Więc nas przenieś! rzekł ryby;
 Wzdrygała się czapla niby:
 Dała się nakoniec użyć,
 Zaczęła służyć.

Brała jedną po drugiej w pysk, niby nieść mając,
 I tak pomału zjadając,

Zachciało się nakoniec skosztować i raki.
 Jeden z nich widząc, iż go czapla niesie w krzaki,
 Postrzegł zdradę, o zemstę zaraz się pokusił;
 Tak dobrze za kark ujął, iż czaplę udusił.

Padła nieżywa:

Tak zdrajcom bywa.

29. *Kogut.*

Kogut, iż piał na odmianę,
Zyskał życie pożądane.

W szczęśliwej porze
Osiadł we dworze.

Skoro raz pan umieścił,
Każdy sługa go pieścił,
Zażywając do rady,
Pan, panięta, sąsiady,
Uwielbiali proroka,

Pół roka.

Zapał był raz po deszczu; — odmiana:

Więc zaraz z rana
Gospodarz w pole,
Sasiad na role,
Szli zaufale:

Ale

W pośród roboty,
Nadeszły sloty.

Kogut winien; — więc na niego,
On sprawcą wszystkiego złego:

On źle poradził,
On grad sprowadził,
On czas rozziębił,
On zasiew zgębił,
On źepsuł pole,
On zniszczył role:

Idąc na śmierć, rzekł nieborak,
Dobrze mi tak, zem był dworak.

30. *Kruk i lis.*

Bywa często zwiedzionym,
Kto lubi być chwalonym.

Kruk miał w pysku sér ogromny,

Lis niby skromny

Przyszedł do niego i rzekł: miły bracie,
Nie mogę się nacieszyć, kiedy patrzę na cię.

Cóżto za oczy?

Ich blask aż mroczy!

Czyż można dostać

Takową postać?

A pióra jakie?

Lśknące, jednakie:
 A jeśli nie jestem w błędzie,
 Pewnie i głos śliczny będzie.
 Więc kruk w kantaty, ¹⁾ — skoro pysk rozdziawił,
 Ser wypadł, lis go porwał, i kruka zostawił.

31. *Dudek.*

Złe ten czyni, kto cudzą rzecz sobie przyswoił.
 W pióra się pawie dudek ustroił,
 I w tej postawie
 Wszedł między pawie:
 Poznały zdrajcy świeże rozboje. ²⁾
 Postradał cudze, stracił i swoje.
 Z tej więc pobudki,
 Wrócił, gdzie dudki,
 A te w śmiech z niego:
 Chciałeś cudzego?
 Dobrze ci tak, i nikt cię żałować nie może,
 Kiedyś stworzon na dudka, bądź dudkiem nieboże.

32. *Wilczek.*

Wilczek chowany zrobił się grzecznym;
 Bezpiecznym. ³⁾
 Jegomość pieścił, a Jójność pasła,
 Przywykł do mleka i masła.
 Hoży, dogodny,
 Wilczek był modny:
 Nieszczęściem kurczę zaszło mu drogę.
 Chęć — zjem to kurczę; skrupuł, nie mogę:
 Więc chciwy, trwożny, a czuły,
 Gdy się biedził ze skrupuły,
 Jakoś w tej walce gorącej,
 Zjadło się kurczę niechęcący.
 Po kurczęciu kogutek, po kogucie kura,
 Przemogła w nim natura.
 Z resztą poszedł do lasa, a wpadłszy w manowce,
 Ów wilczek stał się wilkiem, gryzł gęsi i owce.
 Aż go nakoniec w jamie dostali:
 Najciężej zacząć, pójdzie się dalej.

1) Śpiewy rozpoczął. 2) Kradzież, cudzą własność, którą sobie
 dudek przywłaszczył przez zdradę. 3) oswojonym.

33. *Kanarki.*

Pewien gospodarz pan licznych folwarków,
Miał w swym pokoju dwóch białych kanarków.
Oba z nich miały dziane paciorkami klatki,
Maku, cukru, konopi niezmierne dostatki:
Wodę zawsze z krynicy, jako kryształ, czystą;

 Słowem, wszystkiego rzesisto.

Z tym tylko obowiązkiem, aby się uczyli,

 Co im piszczałka zakwili;

 A pana swego, jak z pola przyjedzie,

 Czy przy śniadaniu, czyto przy obiedzie,

 Gdy zacznie pić smaczne piwko,

 Słodką bawili rozrywką.

Ledwie kilka miesięcy upłynęło, alić

Nie mógł się z nich jednego, kto słyszał, odchwalić.

Tak wszystko ślicznie pojął, co zagrał organek;

 Czyto menwecik, czyto skoczny tanek,

 Czy mazurka, czy kosaćka;

Nic nie było trudnego dla cudnego ptaczka.

Mało na tém, że śpiewał, kiedy mu na linie,

Kazano w orzechowej do góry łupinie

 Ciągnąć wodę, lub obrok makowy ze żłobem;

Póty się silił to nóżką, to dziobem,

 Aż do klatki zawindował;

Pan go też zawsze na rękę piastował:

 Pozwalał mu z dłoni jadać,

 I czasem na wąsach siadać.

Nie tak się drugi udał, choć równą wygodę

 Miał jak kolega, mak, cukier i wodę;

 I z kilką drążkami klatkę,

 I świeżą, zawsze sałatkę.

Nie chciało mu się uczyć, biegał w kątek z kątką,

Każdego ostrym pyszczkiem dotykając prątką,

 Aby mógł tylko przez jakową dziurę

 Przykrą pożegnać klauzurę. ¹⁾

Darmo chłopiec nadymał organkowe miechy:

Lepiej wróbel świergotał, siedząc koło strzechy,

 Niżeli on nieuk śpiewał:

Skakał tylko, psuł klatkę, albo brzuch nadziewał.

Aż też pan rozgniewany, nie widząc poprawy,

 Cisnął go kotu buremu do strawy;

1) Więzienie.

Mówiąc: kiedyś niewdzięczny za me łaski ptaku,
 Znajdziesz lepsze mieszkanie u matusa w saku. ¹⁾
 Niechaj ten raczej na świecie nie żyje,
 Kto tylko na nim je darmo i pije.
 Mości panowie studenci.
 Życzę większej do nauk wam przykładać chęci:
 Nie traćcie marnie czasu, często się to przyda,
 Że szlachcic głupi umrze za piecem u żyda.

34. *Wilk i baranek.*

Racya mocniejszego zawsze lepsza bywa:
 Zaraz wam tego dowiodę.
 Gdzie bieży krynica żywa,
 Poszło jagniątko chlipać sobie wodę.
 Wilk tam naczczu nadszedłszy, szukając napaści
 Rzekł do baraniego syna:
 A któżto ośmielił waści,
 Że się tak ważysz mącié mój napitek?
 Nie ujdzie ci bez kary tak bezecna wina.
 Baranek odpowiada, drząc z bojaźni wszystek:
 Ach Panie Dobrodzieju! racz sądzić w téj sprawie
 Łaskawie,
 Obacz, że niżej ciebie, niżej stojąc zdroju,
 Nie mogę mącié pańskiego napoju.
 Co, jeszcze mi zadajesz kłamstwo w żywe oczy?
 Poczekajno języku smoczy.
 Przed rokiemś mię zelżył szkaradnemi słowy.
 Ja zaś? jeschcem i na to poprzysiądz gotowy,
 Ze mnie przeszłego roku nie było na świecie. —
 Czy ty, czy twój brat, czy który twój krewny,
 Dość, że tego, jestem pewny:
 Ze wy mi sławę szarpiecie,
 Wy, pasterze, i z waszą archandryą ²⁾ całą,
 Szczekacie na mnie, gdzie tylko możecie,
 Muszę tedy wziąć zemstę okazałą.
 Po téj skończonój perorze, ³⁾
 Capes ⁴⁾ jak swego, i zębami porze.

35. *Pani i dziewczki.*

Była tu jedna staruszka w Warszawie;
 Miała dwie służebnice, Magdeczkę i Kachnę,

1) W brzuchu. 2) Gromadą, hałastrą. 3) Przemowie. 4) Porwał
 go i rozszarpał.

Powiadają to o nich, że w przedzenia sławie
 Przeszły Lidyjską Arachnę. ¹⁾
 Częstoć dobry przymiot niewygodny bywa:
 Napędzała je bardzo baba do roboty,
 Z wieczora pałac łuczywa;
 Alić znowu skoro brzask, fruczą kołowroty:
 Tak od nocy do poranku
 Musiały praść bez przestanku.
 Kiedy było blisko rana,
 Kogut piał jak opętaniec:
 Baba zaraz chyc z tarczana, ²⁾
 Porwawszy na się brudny odziewek,
 Biegła oświecić kaganiec, ³⁾
 A potem prosto do dziewczek.
 Te w grochowinach śpiące po pracy głęboko,
 Jedna się poczęła drapać,
 A druga jedno otworzywszy oko,
 Chce jeszcze troszkę pochrapać.
 Lecz darmo, bo nad głową hałasuje jędza:
 Wstajcie dziewczki, gdzie jest przedza?
 Musiały zatem wstawać, markocąc pod nosem:
 Czy cię piekielnik ⁴⁾ rozpierzyl psi ptaku,
 I z twoim przemierzłym głosem?
 Przyplacisz ty tego gdaku!
 Słowo do słowa, nakoniec się zdarza.
 Ze zagniotły złośnice pana excytarza. ⁵⁾
 Alić im to zabójstwo nie zdało się na nic,
 Bo nie mogąc rozeznać dnia ni nocy granic,
 W nocy baba latała jak kot zagorzały:
 Dziewki więc jeszcze mniej spały.
 Trafiły tedy z deszczu pod rynnę niebogi.
 Ktokolwiek chcesz jechać sporzej,
 Na ścieżkę z gościńca nie bocz dla złej drogi,
 Bo często uwięzniesz gorzej.

36. *Myszka, kot i kogut.*

Coby to była za szkoda!

O mało nie zginęła jedna myszka młoda,
 Szczera, prosta, niewinna, przypadek ją zbawił. ⁶⁾

1) Piękniej przedły, jak owa Lidyjska księżniczka Arachne, którą Pallas przez zazdrość w pajaka zamieniła. 2) Ława do spania. 3) Lampę. 4) Bies z piekła. 5) Budziciela. 6) Ocalił.

To co ona swęj matce, ja wam będę prawil:
 Rzuciwszy naszych kryjówek głębiny.
 Dopodłam jednęj zielonęj równiny;
 Dyrdając jako szczurek, kiedy sadło śledzi, ¹⁾
 Patrzę, aliści dwoje zwierząt siedzi:
 Jeden z nich trochę dalej z milczeniem przystojnym
 Łagodny i unizony:
 Drugi zaś zdał mi się być burdą ²⁾ niespokojnym,
 W żółtym bócie z ostrogą chodził napuszony,
 Ogon zadarł do góry,
 Lśniącemi błyskotał pióry;
 Głos przeraźliwy, na łbie mięsa kawał,
 Jakby kto powykrawał;
 Ręce miał, któremi się sam po bokach śmigal, ³⁾
 Albo na powietrze dźwigał.
 Ja, lubo z łaski boskiej dosyć jestem śmiała,
 Ażem mu srodze nakłęta;
 Bo mnie z strachu drzączka wzięła,
 Jak się wziął tłuc z tartasem ⁴⁾ obrzydły krzykała,
 Uciekłam tedy do jamy.
 Bez niego byłabym się z zwierzątkiem poznała,
 Co kozuszek z ogonkiem ma tak, jak my mamy.
 Minka jego nie nadęta,
 I choć ma bystre ślepięta,
 Dziwnie mi się z skromnego wejżenia podobał;
 Jak nasze, tak samą robotą ⁵⁾ ma uszka,
 Coś go w nie ukąsiło, bo się łapką skrobał.
 Szłam go poiskać, lecz mi zabronił ten drugi
 Tej przyjacielskiej usługi;
 Kiedy nagłego narobił łoskotu,
 Krzyknąwszy na mnie z fukiem: kto to tu? kto to tu? —
 Stój, rzeczce matka, córko moja luba!
 Aż mrowie ⁶⁾ przechodzi po mnie!
 Wieszli, jak się ten zowie, co tak siedział skromnie?
 Kot, bestya, narodu naszego zaguba.
 Ten drugi byłto kogut, groźba jego pusta:
 I przyjdą może te czasy,
 Ze z jego ciała jeść będziemy frykasy; ⁷⁾
 A zaś kot może nas schrusta. ⁸⁾

1) Zwęchnie. 2) Kłótnik. 3) Bił, uderzał. 4) Hałasem. 5) Po-
 podobne naszym. 6) Dreszcz mnie przejmuje. 7) Potrawa z ró-
 żnego mięsiwa. 8) Pożre.

Strzeż się tego skromnisia, proszę cię jedynie,
I tę zdrową maxymę ¹⁾ w twój pamięci zapisz:

Nie sądź nikogo po minie,
Bo się w sądzeniu poszkapisz. ²⁾

37. *Kmieć i Merkury.*

Ufając sobie w boskiej opiece,
Kmiotek drwa łupał przy rzece.

Uskoczy w wodę siekiera.

Podniósłszy ręce ze łzami:

„Jakże, zawoła, los mną poniewiera!

Nie dość ciężkimi znoić mię trudami,

Ostatni jeszcze sposób mi odbiera.

Cóż teraz pocznę? o nieba!

Czém zarobię na kęs chleba?“

Alić (o cudo!) zponad brzeźnej góry

Spuści się razem Merkury;

Bożek ludzi utrapionych,

I patron rzeczy zgubionych.

Z ulitowaniem: coż ci to? rzece,

Czego tak płaczesz miły człowiecze?

„Nie wiem, odpowie, z jakiej przygody

Wpadła mi do téj siekiera wody.

Ostatni życia sposób straciłem:

Z niéj tylko żyłem!

Tu Merkury nurkiem sięgnie,

Siekierę złotą wyciągnie“

A co? spyta się, czy twoja? —

Nie, mówi, nie, to nie moja,

Srebrną potem wydobędzie:

Może ta będzie?

Nie ta. — Tu za trzecim razem

Dobrywa drewno z wsadzoném żelazem.

To jest, ta! skoczy, i czyniąc podziękę,

Boską całuje mu rękę.

Bożek cnotliwą tknięty prostotą,

Wziąwszy zarazem srebrną i złotą,

Rzekł mu: człowiecze szczerzy!

I te miej sobie siekiery.

Oddawszy zniknął: a kmieć w radości

Uniesie za nim ręce wdzięczności.

1) Naukę, przestrozę. 2) Pomylisz.

Gdy takim darem bogaty
 Począł się chlubić przed swojemi braty;
 Gdy opowiedział, aż do ich zazdrości,
 Boskiej nad sobą cud opatrności;
 Jeden z nich także postanowił sobie
 Użyć fortelu ¹⁾ w podobnym sposobie:
 Nie mówiąc o tém nikomu,
 W toż samo miejsce zaszedł pokryjomu;
 A co pierwszemu trafi się z przygody,
 Umyslnie wrzucił siekiere do wody.
 Zaczął płakać, rece łamać,
 I przed całym niebem kłamać.
 Przybył Merkury z równą ochotą;
 Siekiere najprzód wyciąga złotą;
 Mój przyjacielu! czy to ma być twoja?
 A on z radości wyskakując krzyknie:
 Ah! moja właśnie, moja to jest, moja!
 Taka bezczelność bożka przeniknie.
 I rzekł Merkury ku wszystkim nauce:
 Brzydę się sercem podłego przechery! ²⁾
 Nie tylko ci tej nie oddam siekiery,
 Ale i tamtej nie wrócę.
 A tak co zdradą radby się z bogacił,
 I złotej nie wziął, i żelazną stracił.

38. *Filizanka.*

Precz ztąd odemnie! rzeknie filizanka,
 Do glinianego dzbanka,
 Co tobie w głowie, czyliś ty szalony,
 Z postacią twoją nikczemną,
 Bratać się zemną!
 Patrz, jak mój cały obwód wykształcony;
 Jakem misterną ³⁾ zdziałana robotą,
 Od głowy do stóp u mnie kapie złoto!
 Każdy spogląda na mnie z podziwieniem,
 I nie zbliża się jak z drzeniem.
 Dzban jej odpowie: skończ wymówki twoje,
 Wszakżeśmy z gliny oboje;
 Z tą tylko chyba różnicą,
 Ze się na tobie marne fraszki świecą:
 Ze stoisz próżno, lub służysz do zbytku,

[1] Zdrady. 2) Oszusta. 3) Sztuczną, kunsztowną.

A ja służę do nżytku.
Przypadkiem chłopek zbliżony,
Słyszając tę rozmowę z dzbanem:
Sądziłem, rzeknie do żony,
Ze to ja gadałem z panem.

39. *Skoczek na linie.*

W małej wiosce pod samą Weroną ¹⁾
Mieszkał rólunik jeden z żoną;
Człek poczciwy, rozsądny, jako na wieśniaka;
Miał on syna jedynaka,
Który zamiast pociechy przy ubogim bycie
Smutkiem zaprawiał ich życie.
Był to frant wielki, wielkie nic dobrego,
Słowem mówiąc, do niczego.
Lat piętnaście kończył blisko,
Furbo było mu nazwisko,
Ojciec go najprzód chciał widzieć rolnikiem,
Potem żołnierzem, potem rzemieślnikiem;
Odrzucił wszystkie te stany.
Rzekł mu nakoniec: ależ mój kochany!
Co z ciebie będzie? ubogiegoś rodu,
Pracuj, jeżeli nie chcesz umrzeć z głodu.
Niepodejrzana jest ojcowska rada:
Tato! nakoniec Furbo odpowiada,
W ułożonej sztucznie minie,
Ja chcę tańcować na linie,
I pokazywać rozmaite sztuki,
Racz kuglarzowi dać mię do nauki.
Zmartwiony dziwną ochotą syna,
Długo ojciec napomina;
Przekłada, że to stan nie szacowany,
I na przypadki wydany.
Próżno, bo synek trwał w swoim wyroku:
Wielu to, rzeczce, urodzonych w nędzy,
Skacząc po linie, przyszło do pieniędzy.
Jał się więc uczyć, i nie wyszło roku,
Wszystkich współuczniów celował.
Właśnie jarmark następował,
I po ulicach ogłosily druki,
Ze Furbo będzie pokazywał sztuki,

1) Miasto we Włoszech, ojczyzna sztuk pięknych i kuglarstwa.

Lud się na rynek gromadzi,
 Gdzie już zawieszona lina;
 Wszyscy zręczność widzieć radzi,
 Furbo tańcować zaczyna:
 Zadziwia wszystkich swą giętką postawą,
 Waży się raz na lewą, drugi raz na prawą,
 Łamie się w rozmaite strony,
 I kręci się, i wywija . . .
 Ojciec krzyczy przełękniiony:
 Synu! chódź prosto, bo wstrachu szyja.
 Drudzy wołają przeciwnie:
 Ah! jak wybornie, przedziwnie,
 Jak się wykreca, jak śmiały,
 To diabeł cały!
 Buja wzruszona raz linka;
 Furbo poklaskiem pyszniejszy,
 Chcąc już zrobić skok trudniejszy,
 I ostatniego wywinąć kominka;
 Gdy najbardziej oczy nęcił,
 Spadł na ziemię i kark skrecił.

40. *Konik polny i mrówka.*

Konik polny, co swój cały,
 Wpośród lata czas prześpiewał;
 Tak był na zimę zgłodniały,
 Ze tylko wiatr nim powiewał.
 Zeby też odrobina jaka
 Z muchy lub robaka,
 Nic zgoła!
 A więc idzie, płacze, woła,
 U skrzętnej mrówki kołace:
 Pożycz, jój, pożycz, powiada,
 Kilka ziarek dla sąsiada:
 Jakem konik, tak zapłacę,
 By tylko Sierpień zawitał,
 Prowizyą i kapitał. —
 Mrówka na to: opatrz Boże!
 Ze nikomu nie pożyczam,
 Do wad to moich policzam,
 Nawet i najlżejszych może.
 Ale już mnie nie poprawisz,
 Raczej odpowiedz mi nato,
 Cóżś robił całe lato,

Ze się dziś żebranką bawisz? —
 Tak w dziennéj jak w nocnej dobie,
 Wciąż śpiewałem bez ustanku —
 Śpiewales! dobrze, kochanku!
 Teraz skakaj sobie. —

41. *Niedźwiedź i zając.*

Nie tylko ludzi łączy zapal święty,
 I między zwierzęty
 Bywa przyjaźń gorąca.
 Pewien młody niedźwiadek,
 Przez rzadki przypadek,
 Tak się przywiązał mocno do zająca,
 Zając do niego nawzajem,
 Ze ich przyjaźni nazywano wzorem:
 Był to Pollux z Kastorem. ¹⁾
 Cóż kiedy Pollux ²⁾ straszny był mazgajem.
 Ilekroć z swoim zapałem wyjedzie,
 Ilekroć swoje uczucia niedźwiedzie
 W zajęcze serce chciał przelewać tkliwie,
 Zawsze go obsapał, odrapał,
 Tak że nasz zając skrzeczał przeraźliwie.
 Lecz nie tu koniec smutnej jego doli;
 Bo gdy raz w cieniu topoli,
 O smutnym rozmawiali losie,
 A o marnościach świata rozmyślając
 Zdrzymał się zając,
 I mucha siadła mu na nosie;
 Niedźwiedź każdej pory
 Do przystugi skory,
 Nagle się porywa;
 Straszliwie zaczął się dąsać:
 Tak mi mojego przyjaciela kąsać!
 Oj czekaj gadzino złośliwa,
 Nie wiesz, czém to pachnie!
 Jak się odsadzi, jak machnie,
 Tak dobrze łapą zagrabił,
 Ze razem muchę i zająca zabił.
 Kiedy kto w przyjaźń nierozważną wchodzi,
 Biedę i nudy tylko sobie kupi,

1) Synowie Ledy i Tytadara, bliźnięta, którzy się bardzo kochali.

2) Niedźwiedź.

Mądry przeciwnik często mniej zaszkodzi,
Nizeli przyjaciel serdeczny, a głupi. —

42. *Indyk.*

Indyk, na wiosnę, chodząc po dworze,
W szczególnym jakimś humorze,
Czy usłyszał głos flecika,
Czy tkliwą piosnkę słowika,
Czy kto zagwizdał wesoło,
Zaraz ogon rozpostarł i postać napuszył,
I poważnie tupcząc w koło,
Swém głośnym szułydy bułydy każdy ton zagłuszył.
— Cóż to Waszmości się stało? —
Zdziwione ptastwo pytało.
— Co mi się stało? rzekł dmąc się z szelestem,
Recenzent jestem. —

43. *Dwa szczury i małpa.*

Raz za piecem, blisko dziury,
Była zwada,
I nie lada.
Skarb znalazły gdzieś dwa szczury.
Skarb arcyznacznym,
Ser bardzo smaczny.
Kiedy przyszło do podziału,
Spor się zaczął nader żywy.
Bo nie tylko człowiek chciwy.
Z kłótni wkrótce do zapalu;
A w zapale tego sporu,
Któryś tam dotknął honoru,
I dalej do pojedynku.
A w tém, na blizkim kominku,
Siedząca małpa domowa,
Odezwała się w te słowa:
— Ej! moście panowie szczury!
Zadenże z was nie usłucha
Praw narodów, praw natury
By dla śmiechu złęgo ducha
Brat na bratnią krew nastawał?
O cóż? o ten sera kawał?
Czyż go podzielić nie można? —
— Ach! podziel więc, rzekły oba,
O! małpo! jaśnie wielmożna! —

Ta, jakby ważna osoba,

Idzie wspaniale,

Przynosi szale,

Ser na pół łamie,

Szczury się dziwią,

I nie przeciwią

Poważnej damie.

Wtém jedna szala na dół opada,

Z nadętą miną Temis kosmata

Bierze większą część sera i trochę go zjada.

Waży: aż szala w górę podlata,

Więc dla zrównania, i z drugą połową

Toż samo robi, i waży na nowo.

Lecz trudno trafić; znów szale się krzywią;

Małpa znów równa, a szczury się dziwią:

Sędzia ser zjada i prawa tłumaczy.

— Gwałtu! krzyknęły szczury niespodzianie,

Wszak z tego działu nic nam nie zostanie.

— Cicho! zawoła małpa, cicho! cóż to znaczy?

Takaż to wasza wdzięczność! Niewiecież zuchwali,

Jak się karzą rozruchy na sądowej sali? —

To rzekła i ostatnią zjadła cząstkę sera,

A nieboraki z niczem wrócili do dziury.

Ej! bracia, kto się z sprawą do sądu zabiera,

Niechaj sobie przypomni, jak wygrały szczury,

44. Wrona.

W nabożnym kraju, na Zmudzi,

Raz przy drodze, na kościółku,

Siadła wrona na wierzchołku.

Ktokolwiek tędy przechodził z ludzi,

Wnet Boży domek uszanowano:

Czapka do ręki,

Ten zgiał kolano,

Tamten nabożne zaczął piosenki;

A wrona wszystkim kłania się, kłania

— Pan Bóg wam, prawi,

Pobłogosławi

Za te dowody uszanowania. —

Zkądże spytacie ta grzeczność wrony?

Ach! czyż to jeden, co trafem sędzie

Na wielkich skarbach, lub na urzędzie,

Myśli że jemu biją pokłony?

45. *Szlachcic.*

Pewien szlachcic nad Wisłą, że miał liczne zbiory,
 Ze mu pokłon dawano, czyniono honory,
 Rozumiał, iż npodli przez to swego syna,
 Gdyby go ujrzał w szkole z dzieckiem mieszczanina.
 Począł tedy przemyślać, jak go edukować?
 Za najlepszą osądził guwernerów chować,
 Sprowadził więc Anglika, Włocha i Francuza,
 I kazał go nauczać, co opiewa Muza?
 A tak gdy synek wyszedł z tych trzech mistrzów
 szkoły,
 Powiedział, że Polacy nie ludzie, lecz woły.
 Zapłakał szlachcic na to, gdy słyszał o wole,
 I odtąd dzieci kształcił w narodowej szkole.

46. *Piorun i chmura.*

Pocóż bryło ogroma wzniosłaś się do góry?
 Pyszny swoją potęgą, rzekł piorun do chmury.
 Cóż znaczysz? nikt się twojej wielkości nie boi,
 Mnie to raczej nad ziemią panować przystoi;
 Ja to przecie porządnie kiedy huknę sobie,
 Co to zaraz hałasu i trwogi narobię!
 Chmura na to: nie przeczę twojej wielkiej chwale,
 Nigdy ci nie wyrównam, ryczysz doskonale;
 Gdy jednak deszcz moj cichy suche niwy zrosi
 Ileż głosów wdzięczności ku mnie się podnosi
 Wierz mi, nie hucz tak bardzo i przestań mnie winić.
 Na to jesteśmy w górze, a by dobrze czynić.

47. *Pies i pszczoły.*

Jest to cnota nad cnotami
 Trzymać język za zębami!
 Stare prawda przysłowie;
 Wszyscy jednakże smakujem w obmowie;
 O cudzych grzechach rozmowa tak słodka,
 Raz pewien wyżeł i zgrabny i śmiały,
 Wielki bajarz, wielki plotka,
 Przy tém lizuś doskonały;
 Proszony czy nieproszony,
 Latał na wszystkie strony,
 Wiedział wszystkich zwady, sprzeczeki,

Wszystkich skrytości dociekał,
 Słowem u wszystkich obgryzał kosteczki,
 A potem wszystkich oszczeakał,
 Zdarzyło się kilkakrotnie,
 Ze niecierpiący obludy,
 Nie jeden brytan sromotnie
 Wypędził go z budy;
 I jeszcze na drogę,
 Dał mu przestrożę.
 Lecz i w tém się nie poprawił.
 Raz wraz plotki prawil.
 Suczki z suczkami,
 Psiarnie z psiarniami,
 Zwaśnił, zniechęcił i skłócił,
 Cały porządek przewrócił.
 Wtém, raz szczególna ciekawość go wzięła,
 Jakaś pokusa go bodzie,
 Zajrzeć do ula, który stał w ogrodzie.
 Naprzód ostróźnie bierze się do dzieła,
 Obchodzi, wacha, skrada się, przymyka,
 Ale zaledwie nos wtyka,
 Cała pszczoł gromada
 Z straszliwym brzękiem wypada;
 Wyżeł w nogi; lecz te w złości
 Tak go cięły bez litości,
 Ta po brzuchu,
 Ta po uchu,
 Ta po pysku, ta po grzbiecie,
 Ze już nie wiedział o świecie.
 Wtém mu jedna w noźdrze wpadła
 I tém mu dojadła.
 Szarpie się, rzuca i wyje,
 Nosem ziemię ryje;
 Jęcząc, na wszystkie strony
 Wykręca się i wywija;
 Wreszcie leci jak szalony,
 I łeb o kamień rozbija.
 I dobrze mu to było. — Kto nadto ciekawy,
 Kto nos swój niepotrzebnie w cudze wtyka sprawy,
 I wszystkich czerni szkaradnie,
 Prędzej lub później w taką łapkę wpadnie,
 Ze będzie wzgardą i pośmiechem świata.
 Taka to wścibskich zapłata.

48. *Pokrzywa i róża.*

Pokrzywa rosnąc blisko róży krzaka,
 Krzyczała: „a ty taka! ty owaka!
 Robisz mi zawsze zgorzenie;
 Ledwie pierzchną nocne cienie,
 Z całego do ciebie świata,
 Roje motylów się złata“ —
 „Moja ty pani kochana,
 Rzekła jej róża rumiana,
 Muszę ci prawdę powiedzieć niechcąca,
 Wszystko to mówisz z zazdrości;
 Oto nie miej tyle złości,
 Nie bądź tak wszystkich szczypiąca,
 Nie oceniaj bardzo siebie,
 Będą bywać i u ciebie.“

II. LEGENDY I POWIESCI.

1. *Źródło Św. Gangolfa.*

Znużony Gangolf pielgrzymką długą
 W piaszczystej Włoch okolicy,
 W skwarne południe nagle nad strugą
 Szumiącą stanął krynicy.
 A gdy spragniony chłodnym napojem
 Orzeźwił siły mdlejące,
 Wnet na kolaną padłszy nad zdrojem,
 Bogu niósł dzięki gorące.
 Wtém nadszedł dziedzic i rzekł: „za złoto
 Chętnie ci sprzedać zdrój mogę.“ —
 Pielgrzym zapłacił wartość z ochotą,
 I w dalszą puścił się drogę.
 I do burgundzkiej wracał krainy
 Uweselony z nabycia,
 Gdzie łączy przyjaciół, gdzie łączy rodziny,
 Mierzą czas jego przybycia,
 A ledwie luba żona w progu
 Z uśmiechem wita go miłym,
 Rzekł, „ciesz się żono! podziękuj Bogu,
 We Włoszech źródło kupiłem.“ —

— „Na cóż się przyda? cóż nam pomoże
 Zdrój w tak dalekiej krainie?
 O nierozważny! sądziłeś może,
 Ze on za tobą popłynie?“ —

— „Niewiasto!“ Gangolf przerwał surowo,
 „Niech się gniew płochy uśmierzy!
 Toż ci nieznane Chrystusa słowo?
 Czy mu twe serce nie wierzy? —
 On rzekł: „zaprawdę mówię wam, który
 Ze szczerem we mnie ufaniem,
 Rozkaże góróm „pójdźcie!“ wnet góry
 Powstaną i pójdą za niem.“
 „Jam obietnicy boskiej zawierzył.
 Bóg szczeręj wiary nie myli.“ —
 To rzekł i laską w ziemię uderzył,
 I oto! w téjże wnet chwili.
 Z ziemi obfite wyprysną zdroje,
 Na podziw zląkłej małżonce;
 I chłodne kwiatom niosąc napoje,
 Z szelestem biegą po łące. —
 Wielki minęły, a jeszcze płynie
 Krynica czysta i chłodna,
 Ale we włoskiej za to krainie
 Zdrój hojny wysechl aż do dna. —

2. *Pielgrzym.*

„Przez litość otwórzcie wrota!
 Wiatr z północy wieje srogi;
 Na dworze ciemność i ślota
 Zakryła ścieżki i drogi.

„Nie jestem ja ten, co w borze
 Poluje cudze jelenie;
 Choćby on nawet w téj porze,
 Wart był wybłagać schronienie. —

„Lecz wiodę życie pielgrzymie,
 Czyniąc pokutę za grzechy;
 Byłem w Solimie i Rzymie,
 Szukając dusznej pociechy.

„Święte pamiątki przynoszę,
 Część krzyża, wodę z Jordanu;
 Otwórzcie! otwórzcie proszę!
 Chętnie udzielię ich panu.

„W gnieździe skrył się ptak pierzchliwy,

Jaskinia strzeże jelenia;
 A ja starzec nieszczęśliwy.
 Nigdziez nie znajdę schronienia?...
 „Słyszysz, jak szumią potoki,
 Widzisz, na dworze jak ciemno;
 Mam przebydź strumień głęboki;
 Panie! miej litość nademną!
 „Czyż twego serca nie wzrusza
 Błaganie starca, jęk żalu?
 Czyż od żelaznych wrót, dusza
 Z twardszego w tobie metalu?
 „Lecz próżno! — Bądź więc zdrów Panie!
 Nie masz litości nademną;
 Obyś nigdy w moim stanie
 Nie błagał równie daremno!“ —
 Na miękkim złożon atłasie,
 Pan wzgardził starca prośbami;
 Lecz nie raz w wichrów hałasie
 Będzie je słyszał ze łzami.
 Bo skoro słońce powstało,
 Gdzie potok nad brzeg się wzdyma,
 Znalezione skrzepłe ciało;
 Ciało to było pielgrzyma.

3. Śmierć żołnierza.

Hanka podlewa w swym ogrodku róże,
 Aż tu przybiega konik na podworze,
 Koń białonogi, oko ma sokole,
 Świetną maść gniadą i gwiazdkę na czole,
 Patrzy się Hanka, to konik Stefana,
 Gdzieżeś koniku, podział swego pana?
 Mojego brata z jasnemi oczami,
 Co miesiąc temu, jak się żegnał z nami?
 Pośród łez rzewnych, pośród broni szczękę,
 W rycerskim stroju, z chorągiewką w rękę,
 Ty to pamiętasz, koniku Stefana,
 Lecz gdzieżeś, gdzieżeś podział swego pana?
 Ale kasztanek smutnie zwiesił głowę,
 Jakby pojmował tkliwą Hanki mowę!
 Bił nogą w ziemię, jakby mówić żądał,
 I wciąż za siebie z żalością poglądał.
 Przyjrzy się Hanka, aż on krwią zbroczony.
 Tu już żalowi wytrzymać nie może,

I zacnie wołać: nielitośny Boże!
 Więc mi zabrałeś, com najdroższe miała
 To, com po tobie najwięcej kochała.
 Więc i mnie zabierz w jasne progi twoje,
 Bo się na ziemi dłużej nie ostoję;
 Nie długo potem przy księżycu blasku
 Grzebali mężnych na raszynskim piasku,
 A w pięknej wiosce, kędy Hanka żyła
 Świeża mogiła w cmentarzu przybyła.

4. *Jatmużna.*

Maj to był właśnie: ledwie jutrzeńka
 Rozlała blaski i wonie
 Gdy pewna piękna, jeszcze maleńka,
 Biegła dziewczynka przez błonie.
 Nie dając spocząć strudzonej nodze,
 Przebyła większą część drogi,
 Aż gdzie drewniany krzyż stał przy drodze,
 Pod krzyżem siedział ubogi.
 „Pan Jezus z tobą, miła dziewczynko!
 Dokąd to sama, o świcie?
 Ze łzami w oczkach, z żalną miną.
 Co tobie? powiedz me dziecie.“ —
 Na taki widok, na głos staruszka,
 Dziewczynka nagle, się wstrzyma,
 A łzy otarłszy końcem fartuszka,
 Mierzy go długo oczyma.
 „Co ci dziewczynko, czego tak stoisz?
 Rzekł starzec, ukój łzy twoje;
 Czy czego pragniesz? czy się mnie boisz?“ —
 — „Ja się ubogich nie boję.
 Bo oni biedni, kochać ich trzeba,
 Często słyszałam od matki;
 Zawsze im sama wynoszę chleba,
 Gdy który przyjdzie do chatki.
 Ale mój dziadku, matka mi chora,
 Chce mnie, jak mówi, porzucić;
 Nie spała, ani jadła od wczora,
 Ach! jakże nie mam się smucić!
 Całą noc cierpiąc żal niestanny,
 Klęcząc prosiłam ze łzami
 Pana Jezusa, Najświętszej Panny,
 By mieli litość nad nami.

I ty sturuzsku módl się do Boga,
 Proś go o zdrowie méj matki,
 A przyjm to; choć ja sama uboga,
 Choć to me wszystkie dostatki.
 Chciałam dziś za to kawałek chleba
 Kupić dla siebie; lecz lepiej
 Tobie to oddam, prosź tylko nieba,
 Niech moję mamę pąkrzepi.“ —
 — „Tak jest, pąkrzepi! będę go prosić.
 Nie próżna twoja otucha;
 Przestań dziewczynko ocz łzami rosić,
 Bóg szczeréj próśby wysłucha.
 Bo kto biednemu poda jałmużnę,
 Cierpiącym boleść osłodzi,
 Temu, rzekł Chrystus, niebo jest dłużne,
 I Bóg go hojnie nagrodzi.“ —
 Zaledwie skończył, aż w mgnieniu oka
 Blask nagły blyznął do koła,
 Z plecy szat grubych spadła powłoka,
 Starzec się zmienił w Anioła.
 Z ramion mu złote skrzydło wystrzeli,
 Trzy gwiazdy młodą skroń wieńczą,
 Do kolan długi strój śnieżnej bieli
 Jasną przepasan był tęczą.
 Pogoda wiosny śmiała się z czoła,
 Róża kwitnęła we tchnieniu,
 Gdy mgłą przejrzystą oblał do koła,
 Wzłatał ku nieba sklepieniu.
 A gdy dziewczynka nąglém widzeniem
 W dłoni strwożony wzrok chowa;
 Z tkliwym uśmiejchem, z wdzięcznym spojrzaniem
 Te jeszcze do niéj rzekł słowa:
 — „Nie płacz dziewczynko, powróć do chatki,
 Bóg twoję żalóść obaczył,
 I drogie zdrowie wrócił dla matki,
 I dla cię szczęście przeznaczył.
 Bo kto biednemu poda jałmużnę,
 Cierpiącym boleść osłodzi,
 Temu i niebo zapłatę dłużne,
 I Bóg go hojnie nagrodzi.“ —
 To rzekł, i coraz, i coraz chyżéj,
 Wznosi się we mgle obłoka,
 I coraz wyżéj, i coraz wyżéj,

Aż całkiem zniknął z przed oka.
 Długo dziewczynka drżąca i zbladła,
 Jak wryta na miejscu stała,
 Przez nadzwyczajne złąkła widziadła,
 Wracać do chatki nie śmiała.
 Wróciła wreszcie — o! co za radość,
 O! co za szczęście tam było!
 Stało się wszystkim życzeniom zadość,
 Matce jój zdrowie wróciło.

5. *Pacierze.*

Piękną się niebo śmiało pogodą,
 Lekko tchnął powiew wieczora,
 Gdy raz sędziwy kapłan nad wodą,
 Cichego jechał jeziora.
 Wzniosłszy wzrok w niebo kapłan pobożny
 Świętymi zważał myślami:
 Jak ten bydź musi dobry, wielmożny,
 Kto niebo zasiał gwiazdami.
 Kto wiedzie słońca ogniste biegi
 I blady księżyc koleją;
 Kto nalał morza w głębokie brzegi,
 Z których się wyrzecz nie śmieją.
 Czyją się sprawą ziemia zieleni,
 Dzień świeci, ciemnieją noce;
 Kto kwiatki wiosnie, kto dał jesieni
 Ziarna i słodkie owoce.
 Za czyjém „stań się“ wszystko się stało.
 Czyjém się tchnieniem świat stworzył. —
 Tak dumał kapłan, i myśl zdumiała,
 Przed wszechmocnością ukorzył.
 A gdy po chwili na szklaną wodę
 Znowu ciekawe szle oczy;
 Postrzegł wieśniaka, a ten przez kłodę.
 To skoczy, to znów przeskoczy.
 „To tobie Boże,“ — za każdym skokiem, —
 „A to mnie Boże,“ — wyrzecz. —
 Zdziwiony kapłan takim widokiem,
 „Co czynisz, spyta, człowiecze?“ —
 — „Modłę się.“ — „Jak to! kapłan zawoła,
 To ty nie umiesz pacierza?
 Alboż to u was nie ma kościoła,
 Alboż to nie ma pasterza?“

— „Nie wiem — z dzieciństwa śród tego lasu
 Sam jeden żyję — a w drogę
 Nigdy nie chodzę, bo nie mam czasu,
 A chwałę Boga jak mogę.
 „Czy zbieram kłosa, czy ziarno sieję,
 Czy grabię siano do stogu,
 Czy słońce świeci, czy ślota leje,
 Za wszystko dziękuję Bogu.“ —
 Zdziwiony kapłan takiej prostocie,
 Jął mu wykladać pacierze;
 Uczyl Ojcie nasz, Zdrowaś i Wierzę,
 Mówił o Bogu i cnocie.
 A gdy już mniemał naukę świętą,
 Ze mu w pamięci zostawił;
 Powtórzył jeszcze, pobłogosławił,
 I kończył drogę zaczęta.
 Wtém nagle słyszy wołanie w dali;
 Lecz cóż to razi go trwoga?
 Spojrzy, o cuda! po wzdętej fali
 Wieśniak suchą bieży nogą.
 „Poczekaj ojcie, poczekaj! woła,
 Powtórz mi swoje pacierze.
 Coś mi wprzód mówił, nie pomnę zgoła,
 Choć chciałbym umieć je szczerze.“ —
 Lecz kapłan widząc dziwne dowody,
 Jak go w swęj łasce Bóg chowa,
 Rzecz mu: „Synu! módl się jak wprzody,
 Serce Bóg ceni, nie słowa.
 Przed jego tronem pierwszeństwo biorą,
 Pokora, cnota i praca.“ —
 Rzekl, a szczęśliwy znów przez jezioro
 Bezpiecznie wieśniak powraca.

6. Grosz wdowi.

Trudem schylony w pocie ochrzcony,
 Małuczki tutaj, a wielki w niebie;
 Pocziwy ludu! posłuchaj cudu,
 Jakim Bóg niegdyś zaszczycił ciebie.
 Niech z téj powieści, żalostnej treści,
 Nadzieją błysnie słomiana strzecha;
 Niech się rozplynie w całej krainie,
 Cześć Bogu, sercom prostym pociecha!
 Czasu onego, z kraju czeskiego

Przyszedł mąż święty na pruską ziemię;
 I z wiarą żywą, Chrystusa żniwo
 Rozpoczął, ucząc pogańskie plemię.
 Gardzono zawdy nasieniem prawdy,
 Lecz krwią zroszone, zakwitło wszędzie;
 Przecież moc piekła i tutaj rzekła:
 „Zabijmy prawdę, a ciemność będzie.“
 I tak się stało, jak piekło chciało.
 Już święty Wojciech w świetnej koronie,
 W niebieskim progu, modli się Bogu
 Za tych, co w jego krwi broczą dłonie.
 Na próżno wierni, z rąk dzikiej czerni
 Chcą ciało święte, wydrzeć zniewadze;
 Czerń chciwa łupu, woła okupu,
 Złota równego ciała na wadze...
 Ciesz się zapłata! zdobycz bogatą
 Już ci prowadzą od tej tu strony;
 Bolesław Chrobry, mężny a dobry,
 Kupi tę gwiazdę do swój korony.
 Już są, stanęli — już okup zdięli;
 Skrzynia potężna, złotem nabita.
 Na lewą szalę sypią wciąż... ale
 Prawa tak leży, jak w ziemię wbita.
 Tylko z niebiosy, jakoweś głosy
 Zabrzmiały pieniem, rzewnem, wspaniałem:
 Jakby anieli, z nieba zlecieli,
 I zawisnęli nad świętym ciałem.
 Więc znowu sypią! łańcuchy skrzypią,
 Szala pod złotem gnie się jak karta;
 Na drugiej z ciała, taki blask pała
 Że słońce blednie!... ta stoi wsparta.
 Więc sypią dalej, na lewej szali;
 Lecz coraz wolniej, coraz to bladną;
 Już wszystko... biada! waga niespada;
 I od podziwu na twarz upadną.
 A inni dłonie, ku swojej stronie,
 Łamiąc wołają: „spiesz królu dobry!“
 Niespiesz ja radzę! ho na tej wadze
 Przegrałbyś państwo i miecz twój chrobry.
 Potem krzyż święty, pierścienie sprzęty,
 Rzuca kto może, modli kto może.
 Lecz znamię krzyża, wagi nie zniża
 Ni ślubny pierścień, ni słowo boże.

A więc pogany i chrześciany
 Zbladłe, milczące, postrach zdiał srogi;
 Tylko w niebiosy, ciche szły głosy,
 Niby rozpaczy, modłów i trwogi.
 Już wrzawa wzrasta . . . a w tém niewiasta
 Z pośrodku ludu, rozpycha zgraje;
 Z zamkniętą dłonią, z promienną skronią,
 Z wzniesioném okiem, przed wagą staje.
 I w szczerój wierze, w dwa palce bierze,
 Pieniązek złoty, drobny jak plewa,
 I taki mały, tak lekki cały
 Ze go wiatr powiał, jak listek z drzewa,
 I ten z ochotą, rzuca na złoto.
 Cudo! . . . jak z wiosną lodów okowy,
 Runęło złoto i pierzchło w błoto;
 A na dnie szali, został grosz wdowy!
 Ciało zaś święte, w górę dźwignięte,
 Jako gołąbek zatacza koła;
 A blask zeń bije, że lud twarz kryje,
 Chyląc ku ziemi, pokorne czola.
 I znów w niebiosy, słodkimi głosy
 Zabrznięła nuta rzewna, wspaniała;
 Jakby anieli w niebo wzlecieli
 Spiewając chwała! o chwała! chwała!

7. *Ruth.*

Pada piękny łan jęczmienia
 Pod sierpami stu zniwiarzy,
 Brznią w około śmiechy, pienia,
 Sam tu dziedzic gospodarzy.
 Tych zachęci, tych pochwali,
 A przymawia, by szli dalej
 Więc się skorsze wzniosły pieśni,
 Na wyścigi żency spieszą.
 Im ukończą łan swój wcześniej,
 Tym się dłużej w noc ucieszą.
 Jeszcze w górze twarz jest słońca,
 A już pole blizkie końca.
 Za wesołem zeńców kołem,
 Od Bethleem strony miasta,
 Ze spuszczoneń w ziemię czołem
 Trwożnym krokiem szła niewiasta
 Cudzoziemska na niój szata,

W oczach młode błyszczą lata.

Uronionych kłosów szuka,

Cała potem już oblana,

Jeszcze każdy ją ofuka,

Ze bez wiedzy czyni pana.

Więc się boi, nieszczęśliwa,

Czy nie straci tego żniwa.

Pan ją widząc wraz się pyta,

Czy nie wiedzą, co za jedna?

„Jakaś obca znać kobieta,

Odpowiedzą, pewnie biedna“

Smutna siedła koło drogi,

Przy niej snopek dnia ubogi.

Pan ją woła: „Lube dziecię,

Powiedz, jakie twoje losy?

Czy zarabiasz tak na życie,

Czy przez chciwość zbierasz kłosa?

Wyznai; moje to jest pole,

Mogę zmniejszyć twą niedolę.“ —

„Niech nagrodzi Bóg twe słowa,

Dobry panie! we łzach powie,

Jam Noemi jest synowa,

Rodem z Moab, Ruth się zowie.

Kłosa zebrany z twojej ziemi

Ma mnie żywić i Noemi.

„Opuszczałam dom rodzinny,

By piastować matki lata;

Dla niej przyszedłam w kraj ten inny,

I na koniec szłabym świata;

Dla niej znoszę prace, znoje,

Bo jej szczęście, szczęście moje.

Wejrzy na nas litościwie,

Racz darować, dobry Panie,

Tych zgubionych na twój niwie

Kilku kłosów zbieranie.

Uczyn łaskę tę sierotom,

Bóg odplaci twoim cnotom.“ —

Gdy o głodzie tak od rana

Szuka kłosów, złana potem,

Czyliż biedna odpędzana,

Choć pomyśleć mogła o tém,

Ze zostanie pół tych pania,

Ze ci żeńcy robią na nią!

A tak było! Pan wzruszony
 Jęj młodością, wiarą stałą,
 W Ruth cnotliwej szukał żony.
 Przez nią dom swój okrył chwałą;
 Ze z Obeda jego syna,
 Dawidowa szła rodzina.

8. *Zarozumienie.*

Przyjechał do rodziców na święta Rafałek
 Głosząc himn wesoły,
 Ze już skończył szkoły!
 I rzecze do nich pełen zuchwałych przechwałek
 „Czém tylko chcesz, Mamo, tem będę na świecie!
 Czy w mundurze, czy w birecie.
 Czy w cywilności,
 Do wszystkiego zupełne posiadam zdolności.
 Jeżeli mnie do kommissyi wezwą oświecenia
 Podjąwszy się bez wzdrygnięcia
 Będę radził! — mój rozsądek
 Zakreśli nowy porządek;
 Pochodnią światła zapalę,
 Ciemnotę zwalę.
 Niechno głośna moja wszędzie powoła mię sława
 Do steru sprawiedliwości;
 Napiszę prawa
 Na nieograniczonej podstawie wolności;
 Wnet przedemną będą drzały,
 Appellacye, trybunały!
 Adwokaty, podsędki, woźni, podpisarze,
 Muszą robić, co ja każę.
 Administracya? — Wydział skarbowy? —
 Są i graską dla mój głowy.
 Niechże mię król nakoniec umieści w senacie
 Dopieroż państwo poznacie
 Syna waszego Rafała;
 Nieśmiertelna chwała
 Uwieńczy me skronie;
 Potrafię przy tronie
 Być pierwszą osobą
 A sejmujących ozdobą,
 Oslupieją towarzysze,
 Jak im przeczyłam na sejmie,
 Nową konstytucyą, którą wraz napiszę!

Ona to wszystkie w sobie swobody obejmie:

Naród zdziwiony

Odda mi hołd i pokłony. —

Lecz porzućmy nareszcie krajowe urzędy, —

Do których dziś niestety! wstęp nadają względy;

Nieprzyjazny trosce

Osiędę na wiosce.

Kiedy niekiedy stolicę

Talentem moim zaszczycę,

Oddam się literaturze!

Oj biedni autorkowie nasi dramatyczni!

Czy tragiczni, czy komiczni,

Wszystkich ze sceny wykurzę:

Cynny, Horace

Alzyry, Barbary

Bułatem recenzyi, jak muchy wytracę

Bo też są godni téj kary. —

Lecz nie chcę dłużej mamy trudnić jedną rzeczą:

Biada tym! co mi mego pierwszeństwa zaprzeczają.

Kto się nawinie

Od razu zginie

Wszystko bowiem, co dotąd drukują, czytają,

Nazywam zbieraniną, literacką zgrają;

Niemasz gustu, geniuszu!

Poezya dzisiejsza jest obrazą uszu,

A proza, proza!

To aż wstyd, zgroza! —

Stoj! rzecze ojciec już zniecierpliwiony

Szalenstwem płochego syna;

Jakaż to głupich dziwactw mieszanina!

Co za dziwaczne androny!

Więc w twoim szalonym zapale

Nikomu nic dobrego nie przyznajesz wcale?

Chcesz sam rej wodzić, sejmów być ozdobą,

Ojczyznę rządzić, a nie umiesz sobą.

Wszyscy u ciebie są niczem;

A w zaślepieniu zwodniczem,

Nie pokazałeś jeszcze świadectwa ze szkoły,

Czy twoi nauczyciele

Przyznają to, co mówisz o sobie wyniosły!

— Przebacz Papo, odpowie, gdy ci wyznam śmieie

Ze to są straszne osły. —

Umilkł ojciec na te słowa;

Bo się przekonał z boleścią,
 Ze jego żonka, duszy synowskięj połowa,
 W zachwycenie wpadała, durzona tą wieścią!
 Lecz braciszek starszemu niezazdrosny chwały,
 Władys dziewięcioletni przerwał mu téj chwili:
 Jakże możesz Rafalku być tak doskonały,
 Skoro cię osły uczyli? —

Aż tu w śmiech wszyscy z mądrego junaka
 Biedna mama upiekła porządnego raka.
 Szalony młokosie, w twojej głupiej mowie
 Tak mu wraz ojciec zaprzeczy,
 Jakież będzie dalsze życie;
 Kiedy oto małe dziecko
 Ma więcej oleju w głowie,
 I powszechną zgrozę dzieli,
 Ze tak uczoney dalece,

Nie mogłeś się nauczyć najważniejszej rzeczy,
 Szanować nauczycieli,

W których wzrastałeś opiece? —

Krnabrny Rafał z początku postawił się hardo,
 Już chciał ojca zbyć pogardą;
 Lecz wyczytawszy w twarzach gości i rodzeństwa
 Ze powinien ustąpić, dać znak posłuszeństwa,
 Padł do nóg ojcu, ze łzami je ścisnął,
 I tę rozumną przestrożę uzyskał:
 Ze najpiękniejsze talenta, przymioty
 Same nawet cnoty,
 Mimo powszechną wartość, upadają w cenie,
 Gdy je zhytnie o sobie kazi rozumienie.

9. Skutki przestרחu.

Hałas, tartas, klekot w domu,
 Coś pytluje, jakby w młynie;
 Choć się zdarzy zajrzeć komu,
 Krzyżyk robi, dom ominie,
 I ucieka i ucieka,
 Choć go wołaj, nie zaczeka.
 Tfu, do czarta, czy nikomu
 Rzec nie wolno, co w tym domu,
 Przez dzień boży od poranku,
 Tak terkoce bez ustanku?
 Może — Panie, odpuść grzechy,
 Sypie z woru bies orzechy?

Nie, panowie! mylne zdanie.
 Niech pozwolą piękne panie,
 Ja wykryję dziw tajony:
 Jestto język — swarnej żony.
 On to, jakby blacharz w sklepie
 Takim taktem zawsze klepie,
 Nawet wtedy w gębie myka,
 Kiedy zaśnie dobrodzika.
 Przymiot rzadki i nie lada!
 Domem idzie po kądzieli;
 Różnie temu radzić chcieli,
 Rozumiejąc, że to wada.
 Ot waryaty poszaleli!
 Jójmość sama to powiada,
 Ze dla tego tylko gada,
 Ze gadała jój mamunia
 I prababka i ciotunia
 I siostrzyce i kuzyny
 Gadał cały szczerp rodziny.

Ale komuż niebo dało
 Nie podlegać żadnej zmianie;
 Los psikusów ma nie mało,
 Piata figle niespodzianie.
 Posłuchajcie, piękne panie,
 Co się żonie później stało.
 Raz, gdy ciągle gada, gada,
 I nagadać się nie może;
 Mąż zgłuszony w zapał wpada,
 I porywa broń ze sciany. —
 By ją zabić? — nie, broń Boże!
 Chciał nieborak zmordowany,
 Dla wytrwania w cierpliwości,
 Choć wystrzelić do zajęcia,
 Kiedy nie mógł do Jójmości;
 Lecz niebaczny w kurek trąca!
 Huk się rozległ w całym gmachu,
 Jójmość padła konająca:
 Ze zabita, wszyscy w strachu!

Wielkie wprawdzie z huku лихо,
 Lecz raz pierwszy w domu cicho!
 Jójmość leży, jak nieżywa, —
 Niechże z Bogiem odpoczywa!
 Tego wszyscy życzą szczerze.

Mąż zmówiwszy trzy pacierze,
 Już się do pogrzebu bierze —
 Lecz . . . o chwilo nieszczęśliwa!
 Trup się podniósł, Jéjmość żywa.
 I choć wåtła, i choć blada,
 Chce nagrodzić chwilę przerwy,
 Chce zagadać — ale biada!
 Gębą miele, a nie gada:
 Strach w języku skurczył nerwy.
 O zdarzenie dziwu pełne!
 Słudzy ciągną z usz bawełnę,
 Mąż z radości w głos wykrzyka:
 Zona droga, bez języka!
 Gdy co padnie wilk wie w lesie:
 Już lekarza lichu niesie!
 I choć nie był zaproszony,
 Bieży macać puls u żony!
 I wybadał: „Jak ja wróżę,
 Co strach odjął, wrócić może.
 Mąż nieborak zbladł, jak ściana,
 Prorokowi pcha kubana,
 By zamilczał swe *arcana*.
 Wyszedł lekarz; Jéjmość w migi
 Jak telegraf kroi znaki;
 Idą zygzy, idą figi,
 Idą pięści i kułaki;
 Jéjmość giestem gadać umie;
 Lecz się śmieje jaki taki,
 I powiada: „nie rozumię“
 Jéjmość ledwie się nie zdusi,
 Ze choć nie chce milczeć musi!
 A mąż sługom wydał hasło:
 Aby w domu nic nie trzasło,
 Ani hukło, chowaj Boże!
 Bo się Jéjmość wzdrygnąć może!
 Już upływa rok i drugi
 Jak na palcach chodzą sługi
 Kiedy oto niespodzianie
 Diabeł znowu — odpuść panie!
 Mąż wyjechał raz na łowy,
 I był właśnie spodziewany;
 Kucharz zawsze pianiej głowy,
 Przysposabiał marcypany.

Smażąc biszkokt w złej godzinie,
 Coraz więcej masła wali;
 Buchnął płomień po kominie,
 A wrzask powstał, że się pali!
 Choć to była szkoda mała,
 Ale Jójmość zagadała!
 Zagadawszy w dłonie klasła,
 Podskoczyła na dwa łokcie.
 O przekłety bądź biszkokcie
 Co tu licha wyszło z masła! . . .
 Mąż wracając wesół z łowu,
 Ani myśli, co go czeka! —
 „Ciesz się mężu, gadam znowu!“
 Wrzasła Jójmość w głos zdaleka.
 Taki głoszek, czegoż trzeba,
 Był to jasny piorun z nieba!
 I uderzył w samą głowę:
 Mąż z przestachu stracił mowę.

10. *Sąd w Pacanowie.*

Już nam to weszło w przysłowie
 Ze raz w mieście Pacanowie,
 Gdzie nie bez sromotnej zgrozy,
 Jeszcze dotąd kuja kozy,
 Chciano powiesić ślusarza;
 A że jak się często zdarza,
 Moźniejszy słabszego zwała,
 Więc powieszono kowala.
 Zkąd taki wyrok nieprawy
 Każdy wiem, nie bez obawy,
 Na to zdarzenie wspomina;
 Musi być jakaś przyczyna,
 Nie jeden sobie uważa;
 Bo kowala za ślusarza
 Karać, jeszcze szubienicą;
 Niech się tem dzieje nie szczyćcą
 Sławetnej pamięci miasta;
 To zgroza — i na tém basta.
 Nie basta, moi panowie!
 Co się działo w Pacanowie,
 To się dzieje w całym świecie.
 Jeżeli mi więc zechcecie
 Dać posłuchanie łaskawe,

Opiszę wam całą sprawę.
 Mniej więcej przed dwieście laty,
 Bo nie mogę wiedzieć daty
 Z dziejopisa mego księgi,
 Co sam pewnie dla mitręgi
 Nie chciał nad tem łamać głowy,
 Stał się przypadek takowy.
 W czwartą po świątkach niedzielę,
 Wpadło nieważne ciele
 Do ogrodu burmistrzowi.
 Nie, jak wieść fałszywa mówi,
 Zeby na ten czyn nieśmiała
 Koza odważyć się miała.
 Sam pan burmistrz na tej szkodzie,
 Zastawszy ciele w ogrodzie,
 Wzywa na świadectwo żonę:
 Jako wszystko potłuczone,
 Ze nawet rozmaryn, rutę
 Ciele, chociaż niepodkute
 Pogryzło i podeptało.
 A więc tę szkodę nie mała
 Ogłosił po całym mieście,
 Wartującą złotych dwieście.
 Ze ciele było ślusarza,
 Zatem do niego utwarza
 Prawo do wynagrodzenia,
 I w dwojnásób je ocenia:
 Z przyczyn, że ślusarz bogaty,
 Jak wieść miosa miał dukaty:
 Co nie były żadne baśnie.
 Lecz przypadek zdarzył właśnie,
 Że o tej samej goźninie,
 I na takim samym czynie,
 Ślusarz złapał także krowę.
 I trzy kozy burmistrzowe,
 Przy swojej prawnej własności.
 Ztąd nawzajem sobie rości,
 Nie naruszając sumienia,
 Trzysta złotych uszkodzenia.
 Wrzawa okropna powstała!
 Pan majster sztuka zuchwała,
 Zająwszy bydło ze szkody,
 Obszerne słowne wywody

Układa ze swojej strony,
W których czyn był dowiedziony.

Ze to był ów wiek szczęśliwy
Gdzie nie były żadne dziwy,
Iż między tysiącem osób
Rzadko jedna znała sposób
Mieścić słowa na papierze:
Przeto ślusarz świadków bierze,
Na obradę do szynkowni;
Tam ludzie w zdaniach gruntowni
Mianowicie Pan Ignacy,
Kowal sławny z swej pracy,
Pełen głębokiej wymowy,
Wszystko potwierdzić gotowy
Za szklanek miodu lub wódki,
Zapowiada bez ogródki,
Całej zgromadzonej radzie:

Iż w tak zapalczywój zwadzie,
Nie zna innego sposobu
Do wynagrodzenia obu,
Jak tylko jeden takowy:
Ażeby trzech kóz i krowy
Burmistrz ustąpił własności;
Ze zaś sobie wzajem rości
Do wynagrodzenia wiele,
Niech za to otrzyma ciele.

Wszyscy przyjęli to zdanie,
Nawet ślusarz przystał na nie.
Gdy się tak kończy obrada,
Burmistrz do szynkowni wpada
Z miejskim sługą, uzbrojony,
I nie wdając się w androny,
Zaledwie ślusarza zoczył,
Pędem do niego przyskoczył.
A tuś! krzyknie na głos cały —
Wtém palką twardszą od skały,
Jak go utnie całą siłą,
Aż mu się w oczach zaćmiło.
Lecz ten pewny bitwy losu,
Nie czeka drugiego ciosu;
Wściekłym się gniewem zapala,
A porwawszy z rąk kowala,
Pełną szklenicę mądry,

Którą mu przyjaciel szczerzy
 Musiał oddać z żalem serca,
 Wymierza srogi morderca
 Prosto burmistrzowi w pałę!
 W tém miejscu szczęście niestałe
 Co zwykle nas tam prowadzi,
 Gdzieśmy postąpić nie radzi,
 Miejskiego sługę nawija.
 Srogi cios burmistrza mija,
 I trafia biedaka w ciemię:
 Ze wraz upadłszy na ziemię,
 Ręką ruszył, nogą kiwnął
 I ducha w niebo wyziewnął.
 Tu wszystkim ręce opadły.
 Zdumiał się ślusarz zajadły,
 Pan burmistrz stanął jak wryty,
 Wszyscy krzyknęli: „zabity!“
 Kowala tylko zasmucił
 Miodek, że mu się nie wrócił;
 Bo nie pomyślał w tej chwili,
 Że za to, iż się pobili
 Pan burmistrz z swym przeciwnikiem,
 On miał zostać męczennikiem.
 Jąkoż na tem kończąc zwadę,
 Burmistrz zwołał miejską radę;
 Lecz przed skarceniem tej zgrozy,
 Ślusarz musiał pójść do kozy.
 Wiemy to już z dawnych dziejów,
 Ze wśród licznych przywilejów,
 Jakie dla wzrostu i chwały
 Nasze miasta posiadały,
 Było także prawo miecza,
 Co od zbrodni ubezpiecza.
 Schodzą się przeto sędziowie
 W własnym mieście Pacanowie,
 Pan burmistrz stada na czele . . .
 Choć był w tej sprawie o ciele
 Stroną interessowana,
 Wcale na to nie zważano.
 I przystąpiono do sprawy.
 Ławnicy zasiedli ławy,
 Pan sędyk w burj opończy
 Całe grono sędziów kończy.

Ze zaś sam czyn udowodnia,
Iż widoczną była zbrodnia;
Zatem dla pośpiechu dzieła,
Cała rada przedsięwzięła,
Nie wchodzić w żadne badania,
Lecz zacząć od kreskowania.
Wnet bez dalszych ceregieli
Wszyscy sędziowie krzyknęli:
Słusarz godzien szubienicy!

Wtém słyhać gwar na ulicy,
Mocny odgłos powstał wszędzie,
„Ze słusarz wisieć nie będzie!
Kogo chcecie, to powieście:
On sam jeden w całym mieście!
Nie ma drugiego tak blisko.“

A że dobre burmistrzysko
Za swoje w ogrodzie szkodę,
Już miał w kieszeni nagrodę,
Którą słusarza obawa,
By nie padł ofiarą prawa,
W ważnym obrączkowym złocie,
Podsunęła mu w istocie:
Stojcie zawołał, sędziowie
Kto inny nam tu odpowie,
Vos populi, est vox dei,
Zacznijmy z innej kolei.

Ten czyn burmistrza wspaniały
W zdumienie wprawił sąd cały.
Mamy w mieście dwóch kowali,
Odezwie się burmistrz dalej:
Ze zaś w czasie owej zwady,
Pomiedzy nami sąsiady,
Kowal trzymał szklanke z miodem;
A ztąd jasnym jest dowodem,
Ze tę szklanke uchwyciwszy,
Słusarz człowiek najpocziwszy,
Popelnil zaboystwa zbrodnie:
Co przekonywa dowodnie,
Ze tu rzecz ma się inaczej;
Niech zatem światły sąd raczy
Zmienić wyrok na słusarza!

Samo go prawo umarza. —

Przydał pan Sedyk z swęj strony:

Bo ten występki spełniony,
 Istotnie jest przez kowala,
 Więc jego wieszać dozwala.
 Tym bardziej, krzyknie nareszcie
 Kiedy ich mamy dwóch w mieście;
 Nie zgrzeszymy nic w tym względzie,
 Że jeden dziś wisieć będzie.

Na tak prawne przełożenia,
 Sąd natychmiast wyrok zmienia,
 I wydaje go w tej treści:
 Ponieważ się u nas mieści
 Jeden ślusarz, dwóch kowali,
 Zatem wszyscyśmy uznali
 Jednomyślnie, jednozgodnie,
 Aby za zbrojstwa zbrodnię,
 W naszym mieście popełnioną,
 Jednego z nich powieszono.

Ze zaś sąd rozpoznał z prawa,
 Że cała ta zbrodnia krwawa,
 Na Ignacego kowala
 Najsprawiedliwiej się zwala,
 Który z tą tylko różnicą,
 Że nie swą własną prawicą,
 Lecz co tym więcej obraża,
 Przez poczciwego ślusarza
 Istotnie spełnił tę zbrodnię,
 Co świadkowie udowodnią:
 Ergo sąd wyrok uczynił,
 Aby cierpieć, jak zawinił.
 To jest: bez żadnej obrony
 Ma być zaraz powieszony.

Ślusarz zaś za to jedynie,
 Że w tym niegodziwym czynie,
 Użyty był za narzędzie,
 Wszystkie koszta znosić będzie.

Jakoż w tej samej godzinie
 Kował za ślusarza ginie
 Haniebnie na szubienicy.

Odtąd wszyscy rzemieślnicy,
 Łatwo się domyślić czemu
 Mieszkają tam po jednemu.

III. BALLADY.

I. *Brzoza gryżyńska.*

Lubisz uroczne wiejskich marzeń kwiaty,
 Przyjmij więc jeden w ofierze;
 Pierwsza to gadka wielkopolskiej chaty
 W szaty się rymu przybierze.
 Nie żadaj po niej świetnego ubrania,
 W proste się barwy przystroi;
 Skromne są ludu naszego podania,
 Skromny im wierszyk przystoi.
 Wznosi się w gruzach na gryżyńskiej ziemi
 Kościół świętego Marcina,
 Głośno on niegdyś hymny brzmiał boskiemi,
 Dziś głucha w polu ruina.
 Mnóstwo tam grobów i mogił do koła
 Liczne kryje pokolenia,
 A biała brzoza, jak skrzydłem anioła,
 Cichy sen zmarłych ocienia.
 Jeśli to drzewo, pierwszy wieniec wiosny,
 Ciekawość twoją obudzi;
 Zkąd polubiło ten pobyt żaloszny,
 Gryżyńskich spytają się ludzi.
 Onego szasu, lecz któż wie, lat wiele?
 W prostym ci rzekną sposobie,
 Zmarło tu dziecko, i przy tym kościele
 W zimnym złożono je grobie.
 Cicho cichutko w swą mogiłce leżał
 Antoś matczyzna nadzieja,
 Kiedy wtém kopacz do księdza przybieżał,
 I tak strwożył Dobrodzieja:
 „Jakieś się licho na cmentarz nam wydarło,
 Próżno czelek strzeże i czuwa;
 Dziecię, co właśnie przed tygodniem zmarło,
 Wciąż rączkę z grobu wysuwa.“
 Dziwi się pasterz, krzyż i stulę bierze,
 Biegnie na miejsce zjawiska,
 I trzykroć żegna i zmawia pacierze,
 I sam rączkę w ziemię wciska.
 Wznosi się sercem, duszą w niebo wznosi,
 Przy drobnej klęczy mogile;
 Ale daremnie i błaga i prosi,

Widmo powraca za chwilę,
 Budzi się rączka tajemniczój siły,
 Wzrusza swój wzgórek grobowy,
 I znów z zielonój wyrasta mogiły
 Bieluchna jak śnieg majowy.
 Dzwóni więc pleban, całą wioskę woła:
 Młodzież i starce i dziatki,
 A kiedy wszyscy już staną do koła,
 Tak się odzywa do matki:
 „Co w syna twego dzieje cię tu grobie,
 Ja ludzką myślą nie schwycę;
 Samój to tylko wiadomem jest tobie,
 A więc wyjaw tajemnice.“
 Wzbrania się matka i zalewa łzami
 I ręce łamie z rozpaczy,
 Gdy wtém straszniemi zaklętą słowami,
 Tak się wśród jęku tłómaczy:
 „Kara to mojej matczynój ślepoty,
 Bóg mi złém za złe odmierzył;
 Synek ten memi popsuty pieszczoty,
 Raz mię w swym gniewie uderzył.“
 Bierz więc tę różgę i chłószcz rękę syna,
 Tak pasterz na nią zakrzyknął,
 Ziemiśkiej on się tu kary dopomina,
 Aby wieczystój uniknął.
 Uderz! zawoła — i silnemi ramieniem
 Matka do grobu ciagniona,
 Odwraca oczy i z ciężkiém westchnieniem
 Okropnej kary dokona...
 I patrz! zaledwie różczkę puszcza z dłoni,
 I pada jakby nie żywa,
 Sama się rączką w grób swój cofa, chroni,
 I znów ją ziemia pokrywa.
 I wszystkie serca zimny przestrach ściska,
 Śmiertelnym dreszczem przenika;
 A ksiądz na pamięć strasznego zjawiska
 Różczkę na grobie zatyka.
 I drugim cudem, w pierwszój zaraz wiosnie
 Gęsty liść ją ozienienia,
 Coraz się wyżej i wzmaga i rośnie,
 W rozległe drzewo zamienia.
 Runął kościółek i niejedne czasy,
 Niejedna przeszła nawała,

Wala się dęby, całe wala lasy,
 A brzoza stoi jak stała.
 I wciąż liczniejsze przychodzą tam dzieci,
 Patrzą nań w strachu i grozie,
 I co raz dalej i słynie i leci
 Powieść o grzyżyńskiej brzozie.

2. *Celina.*

„Tkliwą siostrę znajdziesz we mnie,
 W nagrodę twojej czułości;
 Nie zasmucaj mię daremnie,
 Nie żądaj innej miłości.

Uspokój twoje cierpienia,
 To ci zostaje jedynie;
 Bo na twe żale, westchnienia,
 Nie wolno patrzeć Celinie!“ —

Słyszy to Edgar z zdumieniem.
 Ciężki żal w sercu zamyka;
 Silnym ją żegna ścisnieniem
 I na bystrym koniu znika;

Wszędzie odgłos wojny szerzy;
 Wszystkie swe rotę gromadzi,
 Z krzyżem na piersiach, rycerzy
 Do świętej ziemi prowadzi.

Już tam laurami okryty
 Wznosił się sztandar ich chwały:
 Skłniących hełmów gęste kity,
 Groźnie w bojach powiewały.

Liczne hufce muzułmana,
 Ręka Edgara przemogła;
 Cóż, gdy w sercu ciężka rana
 Niczym się zgoić nie mogła! —

Rok cały zniósł te cierpienia,
 Lecz już dłużej znieść nie zdołał;
 Daremnie szukał ulżenia,
 Próżno spokojności wołał.

Wsiada więc w okręt i płynie,
 Do lubej wraca krainy;
 Tam, gdzie po cichój dolinie,
 Ulata oddech Celiny.

I przed jej zamek przybywa,
 Trzykrotnie w bramę uderza;
 Ale, o wieści straszliwa,

Z którą przyjmują rycerza!

„Już ona twoją nie będzie,

Złoczyła śluby dozgonne;

Wczoraj przy świętym obrzędzie

Przyjęła szaty zakonne.“

Rzuca więc ojców podwoje,

By do nich nigdy nie wrócił;

Ni na konia, ni na zbroję,

Już więcej okiem nie rzucił.

Zrzekł się chwały wojownika,

Chce żyć w świecie zapomniany,

W smutnej szacie pustelnika,

Zszedł w dolinę niepoznany.

I naprzeciw owej góry,

Wzniósł dla siebie domek mały,

Gdzie stare, klasztorne mury,

Z ciemnych świerków przeglądały.

Tam chwile ranne, wieczorne,

Dni całe smutny przebywał;

Ciągle się w okno klasztorne,

Z cichą nadzieją wpatrywał.

Patrzył od samego ranka,

Patrzył, w swej smutnej zaciszy;

Aż się ukaże kochanka,

Aż brzęk jej okna usłyszy.

Aż ujrzał drogą Celinę,

Aż wreszcie słodka, nadobna,

Wychyliła się w dolinę,

Samemu niebu podobna.

Chętniej spoczął w nocnej dobie

I zasypiał spokojniejszy;

Już się skrycie ciesząc w sobie,

Ciesząc na ranek jutrzejszy.

I tak siedział rok za rokiem,

Nie żalił się, ni narzekał;

Zawsze tęsknym patrzył okiem,

I na brzęk jej okna czekał.

Aż ujrzał drogą Celinę,

Aż wreszcie słodka, nadobna,

Wychyliła się w dolinę,

Samemu niebu podobna.

I tak jednego poranka,

Ujrzano zwłoki siedzące

I martwe oczy kochanką,
Jeszcze w jej okna patrzące.

3. Król dębów.

Ktoż konno w północnej pospiesza zamieci?
To ojciec z swém dzieckiem wyruszył i leci,
I ujął chłopczykę w przesilne ramiona,
I trzyma go mocno i tuli do łona.

Dla czego drzysz, synu, i kryjesz twarz w dłoni? —

— Nie widzisz, mój ojcze! król dębów nas goni,

Roztacza ogony, we wieńcach skroń pała —

Cyt, synu! to z jezior powstaje mgła biała.

„Chodź do mnie, chodź do mnie, dziecino kochana!

Mam cacka, mam lalki, zabawka mi znana,

Po błoniach, po gaju rozliczne mam kwiatki,

A złotą sukienkę dostaniesz od matki.“

— Mój ojcze, mój ojcze! nie widzisz, jak skrycie

Król dębów tu stoi i wabi twe dziecko? —

Cyt — synu! z kąd ci się te strachy uprzedły?

To gnany wiatrami szeleści liść zwiędły.

„Chcesz, luba chłopczyño! w moj dom cię powiodę,

I córom strzedz każę, a córy mam młode,

Do tanów ponocnych tancerki jedyne,

Zatańczą, zanocą i uspią dziecinę.“

— Mój ojcze, mój ojcze! nie widzisz nad wodą

Wysmukłe tancerki ponocny rej wiodą? —

Mój synu, mój synu! ja widzę, to w dole

W pół kręgi sadzone szarzeją topole.

„Twa postać mnie nęci, zachwyca twe lice

Gdy sam pójść nie zechcesz, przemocą cię schwycę!“

— Już ściąga, już ściąga swe ręce zabojcze,

Król dębów mnie chwyta; ach ratuj mnie ojcze!

Mroz starca przeszywa, jak wichur się miecie,

Przyciska do piersi jęczące swe dziecko;

Spocony, zdyszany, z rącością nieścigłą

Przypada na zamek — lecz dziecko zastygło.

4. Odważne dziewczę.

Panowie bracia! dalej na konie!

Daleko mamy pohasać.

Tam w owój stronie, gdzie łona płonie,

Tam, tam będziemy popasać!

Na konie wskoczą, sztandar roztoczą,
 Wesoło trąbka zadzwoni,
 Rumaki spięli, bramę minęli,
 A na ich czele on goni.
 Pędzą bez drogi, miną rozłogi,
 Miną i stępy i pola,
 Aż gdzie do koła plądruje sioła
 Zawołczyk, czartów swawola.
 Hej bracia wiara! mężstwo i wiara
 Odwaga bracia! Bóg z nami!
 Furknęły piki, runęły szyki
 I już się sieką z wrogami.
 Ho, ho! gdzie nasza zafurknie pika,
 Próżno się bronisz, psi synie!
 Hartowna pika, w krwi najeźdnika
 Łupieżcy serca nie minie.
 Znajcie zuchwali grom naszej stali!
 Już ich wysiekli i lecą,
 Aż gdzie za siołem tańczą półkołem,
 Gdzie półmiesiące się świecą.
 Hej bracia wiara! mężstwo i wiara,
 Odwaga bracia! Bóg z nami!
 Zgęszczą się szyki, zafurkną piki,
 I już się sieką z wrogami.
 Wiara, wesoło! wpadli na czoło,
 I już na karkach im siedzą;
 Szyki złamali, w trąbkę zagrali.
 Tatarzy, gdzie ująć, nie wiedzą.
 Tam, tam na prawo, mknie Tatar żwawo,
 Przy nim na siodle dziewczyna.
 „Hej, za mną dzieci!“ kordem zaświeci,
 „To moja córka jedyna.“
 Ten żwawo goni, ów żwawo stroni;
 Lecz przed Zawolcem Dniestr płynie;
 Wstrzymał się w biegu, stanął u brzegu,
 Spał konia — już na głębinię.
 Dziewcze się zrywa i Boga wzywa,
 I pchnie Tatara na tonię;
 Konia zwróciła, na brzeg skoczyła,
 I już u ojca na łonię.

5. *Giermek.*

Smutnie w polskiej było ziemi,
 Smutne wojsko i lud smutny;

Wszystko siły przygniótł swemi,
Podbił, zajął Szwed okrutny.

W długim cieniu drzew lipowych
Koczowały zbite szyki,
Przy ogniskach obozowych
Stały nieme wojownicy.

Gdy wtém siwym strojny włosem,
Którym lekki wiatr powiewał,
Wieszcz się znanym ozwał głosem,
Tracił w lutnię i tak śpiewał:

Mile gadka dawnéj treści
Brzmi dla ucha, w serce wpływa;
W starych czasów to powieści
Stara dzielność się ukrywa.

Był czas, gdyśmy za przedmurze,
Za tarcz ludom, światu stali;
Był czas, gdyśmy wschodnie burze
Piersią naszą odpierali.

Lasem polskich dzid narody
Zastłaniane od podboju,
Wynucaly pieśń swobody,
Pieśń miłości, pieśń pokoju.

Naszym hymnem był szczepek broni,
Trąb wojennych dzikie dźwięki,
Wrzawa bitew, grzmot pogoni,
I rozległe rannych jęki.

Złoci wieczór łan Podola,
Ciągną wojska, tabor, wozy,
Tętnią całe lasy, pola,
Stoją groźne dwa obozy:

Z jednej strony sztandar wiary,
Siwy hetman, młodzież dziarska;
Z drugiej wściekłość, krew, pożary
I straszliwa czerń tatarska.

Jutro, jutro z rannym brzaskiem
Dzień gonitwy, dzień rozprawy;
Słońce krwawym zaszło blaskiem,
Bóg to będzie straszny, krwawy.

Ledwie pierwszy mrok zapada,
Polski hetman kord przypasze,
Z młodym giernkiem na koniu siada,
I objeżdża czaty nasze.

Jedzie — patrzy w obóz dziczy,

Słucha gwaru — rżenia koni,
 Pyta — zważa — ognie liczy,
 I już w myśli łamie, goni.

O nie ciesz się, wodzu stary,
 Zmienne wojny są koleje,
 Nie tak łatwo to z Tatarzy;
 Słuchaj! patrzaj, co się dzieje!

Hura! hura! pędzi horda,
 Nocny napad w obóz leci,
 Giermek za broń, wódz do korda,
 Na koń! woła, na koń dzieci!

Spieszą, biegną do swych szyków,
 W pośród nocnych pędzą cieni;
 Gdy wtém z grzmotem nowych krzyków.
 Zewsząd czernią otoczeni.

Tną i walczą na przebicie,
 Rąbie hetman, giermek łamie;
 Całą młodość, ogień, życie,
 W wojujące przelał ramię.

I już słyszą, słyszą w dali,
 Jak nadbiega polska wiara;
 Ale już ich nie ocali

Już nie wyrwie z rąk Tatara,
 Wzięty giermek, hetman wzięty;
 Krzyczy, huczy motłoch dziki;
 Bucha gniewem Han zacięty,
 Patrząc na swe niewolniki.

Wrę i zemstą ryczy srogą,
 Każe jedném skuć żelazem
 Nogę giermka z wodza nogą,
 I tak obu więzić razem.

Smutnie wzrok ich wzniósł się, zwrócił
 Na wysokie gwiazd sklepienia;
 Ale na cóżbym wam nucił
 Ich boleści, ich marzenia?

O kto nigdy pęt nie nosił,
 Kto nie jęczał w wrogów mocy,
 Strawy swojej łąz nie rosił,
 Nie przetęsknił długich nocy;

Kto w pół dzikim, podłym tłumie
 Nie włócił ciężkich łąz niedoli;
 Nie, nie pojmie, nie zrozumie,
 Jak jest gorzkim chleb niewoli!

I na chwilę marząc smutnie
Wieszcz ucicha . . . łzę wylewa . . .

I znów nagle trąca w lutnię

I tak dalej gra i śpiewa:

Zasnął hetman siwobrody,
Zasnął jakby między swemi;
Nie śpi, czuwa giermek młody,
Długo o swęj duma ziemi.

I łza tryska mu z źrzenicy,
Zal i rozpacz serce tłoczy;
Gdy wtém nagle w swęj ciemnicy
Zapomniany topór zoczy.

Patrzy, duma, drzy i marzy,
Serce szczytnym ogniem płonie,
Wielki w duszy zamiar waży,
Topór w obie chwyta dłonie;

I podnosi ręką śmiałą,
Mężnie ku swym pętom zwróci,
Tnie — odcina nogę całą,
I hetmana swego cuci.

Wolnyś! rzecze, straż zaspana,
Uchodź, ocal twą krainę;
Spiesz, i pobij wojsko Hana,
Ja z radością tutaj zginę.

Powstał hetman i wzniósł dłonie,
Rzewnemi się łzami zalał,
Zegnał, Boskiej zdał obronie,
Scisnął, uszedł i ocalał.

I straż nagle z snu się zrywa,
Wieść ucieczki wodza szerzy,
I sam wkrótce Han przybywa,
I zaledwie oczom wierzy.

Długo, długo wzrok swój wryty
W śmiałych topi mu źrzenicach,
Stoi jakby gromem zbity,
Po dostojnych czyta licach.

I odpycha wszystkie straże,
Cnota dzikość zwyciężyła;
Każe leczyć, dąrzyć każe,
I do Lachów go odsyła. —

W świetném dworzan, wodzów gronie.
Szkarłatnemi szaty odzian,
Siadł król polski na swym tronie,

Wdzięczny przed nim stanął młodzian.

W miejscu nogi prosta kula
Ujmującą postać wspiera,
I dwór cały się rozczuła,
Z szmerem dziwu nań spoziera.

I dwaj wiodą go rycerze,
Kornie przed tron przystępuje;
Król z wezglowia szczerbiec bierze,
I rycerzem go pasuje.

Gdy wtém w pośród wodzów koła,
Hetman nogę niesie złotą;
Oto herb twój! król zawoła,
Wysłuzony twoją cnotą.

I porywa dłoń rycerza,
Wśród okrzyków ludu wiedzie,
I przed ołtarz pański zmierza,
I sam klęka z nim na przedzie.

O blask, chwałę swych orężów,
Korne w niebo dłonie wznosi,
I o więcéj takich mężów
Dla ojczyzny swojej prosi.

Tu dźwięk lutni, mdlał, upadał,
Coraz głuchszém cichła brzmieniem;
A wieszcz w duszach śledził, badał,
Co w nich swoim wzbudził pieniem.

6. *Lilie.*

Zbrodnia to niesłychana

Pani zabija pana;

Zabiwszy grzebie w gaju,

Na łączce przy ruczaju;

Grób lilią zasiewa,

Zasiewając tak śpiewa:

Rośnij kwiecie wysoko,

Jak pan leży głęboko;

Jak pan leży głęboko,

Tak ty rośnij wysoko.

Potém cała skrwawiona

Męża zbójczyni żona,

Bieży przez łąki, przez knieje,

I górą i dołem i górą;

Zmrok pada, wietrzyk wieje

Ciemno, wietrzno, ponuro,

Wrona gdzie niegdzie kracze
I puhają puchacze.

Bieży w dół do strumyka,
Gdzie stary rośnie buk,
Do chatki pustelnika,
Stuk stuk, stuk stuk.

Kto tam? spadła zaporą.
Wychodzi starzec, świeci;
Pani nakształt upióra,
Z krzykiem do chatki leci.
Ha! ha! ssiniące usta,
Oczy przewraca w sęp,
Drżąca, zbladła, jak chusta:
Ha mąż, ha trup!
Niewiasto, Pan Bóg z tobą!
Co ciebie tutaj niesie,
Wieczorną słotną doba.
Co robisz sama w lesie?

Tu za lasem, za stawem,
Blyszczą mych zamków ściany,
Mąż z królem Bolesławem
Poszedł na Kijowiany;
Lato za latem bieży,
Nie masz go z bojowiska:
Ja młoda wśród młodzieży,
A droga cnoty ślizka!
Nie dochowałam wiary,
Ach biada mojej głowie!
Król srogie głosi kary;
Powrócili mężowie.
Ha! ha! mąż się nie dowie!
Oto krew, oto nóż!
Po nim już, po nim już!
Starcze wyznałam szczerze.
Ty głos świętymi usty,
Jakie mówić pacierze,
Gdzie mam iść na odpusty.
Ach pójdę aż do piekła,
Zniosę bicze, pochodnie,
Byleby moję zbrodnię
Wieczysta noc powlekła!
Niewiasto, rzecze stary,
Więc ci nie żal rozboju;

Ale tylko strach kary?
 Idźże sobie w pokoju;
 Rzuć bojaźń, rozjaśń lica,
 Wieczna twa tajemnica,
 Bo takie sądy Boże,
 Iż, co ty zrobisz skrycie,
 Mąż tylko wydać może;
 A mąż twój stracił życie.
 Pani z wyroku rada,
 Jak wpadła, tak wypada;
 Bieży nocą do domu,
 Nic nie mówiąc nikomu.
 Stoją dzieci przed bramą:
 „Mamo, wołają, mamo!
 A gdzie został nasz tato?“
 „Nieboszczyk? co? wasz tato!“
 Nie wie, co mówić na to.
 „Został w lesie za dworem,
 Powróci dziś wieczorem.“
 Czeka ją wieczór dzieci;
 Czeka ją, drugi, trzeci,
 Czeka ją tydzień cały;
 Nareszcie zapomniały.
 Pani zapomnieć trudno
 Ni wygnać z myśli grzechu.
 Zawsze na sercu nudno,
 Nigdy na ustach śmiechu,
 Nigdy snu ua żrenicy!
 Bo często w nocnej porze,
 Coś tam stuka na dworze,
 Coś chodzi po świetlicy.
 „Dzieci, woła, to ja to,
 To ja, dzieci, wasz tato!“
 Noc przeszła, zasnąć trudno,
 Ni wygnać z myśli grzechu.
 Zawsze na sercu nudno,
 Nigdy na ustach śmiechu.
 Idź, Hanko, przez dziedziniec
 Słyszę tentent na moście,
 I kurzy się gościniec;
 Czy nie jada tu goście.
 Idź na gościniec i w las,
 Czy kto nie jedzie do nas?

Jadą, jadą w tę stronę,
 Tuman na drodze wielki,
 Rzą, rzą koniki wrone,
 Ostre błyszczą szabelki.
 Jadą, jadą panowie
 Nieboszczyka bratowie!

A witajże! czyś zdrowa?
 Witajże nam, bratowa!
 Gdzie brat? — „Nieboszczyk brat,
 Już pożegnał ten świat. —
 Kiedy? — Dawno, rok minął;
 Umarł . . . na wojnie zginął. —
 To kłamstwo, bądź spokojna,
 Już skończyła się wojna;
 Brat zdrowy i ochoczy
 Ujrysz go na twe oczy.

Pani ze strachu zbladła
 Zemdląła i upadła;
 Oczy przewraca w ślup
 Z trwogą do koła rzuca.
 Gdzie on? gdzie mąż? gdzie trup?
 Powoli się ocuca.
 Mdląła niby z radości
 I pytała u gości:
 Gdzie mąż, gdzie me kochanie,
 Kiedy przedemną stanie? —

Powracał razem z nami,
 Lecz przodem chciał pospieszyć;
 Nas przyjął z rycerzami,
 I twoje łzy pocieszyć.
 Dziś, jutro pewnie będzie,
 Pewnie kędyś w oblężdzie
 Ubite minął szlaki.
 Zaczekajmy dzień jaki;
 Poszlemy szukać wszędzie,
 Dziś, jutro pewnie będzie.

Posłali wszędzie sługi,
 Czekali dzień i drugi,
 Gdy nic nie doczekali,
 Z płaczem chcą jechać dalej.
 Zachodzi drogę pani;
 Bracia moi kochani,
 Jesień zła do podróży;

Wiatry słoty i deszcze,
 Wszak czekaliście dłużej,
 Czekajcie trochę jeszcze.
 Czekają. Przeszła zima,
 Brata nie ma i nie ma.
 Czekają; myślą sobie:
 Może powróci z wiosną?
 A on już leży w grobie;
 A nad nim kwiatki rosną,
 A rosną tak wysoko,
 Jak on leży głęboko!
 I wiosnę przeczekali
 I już nie jada dalej.
 Do smaku im gospoda
 Po gospodyni młoda;
 Ze chcą jechać udają,
 A tym czasem czekają;
 Czekają aż do lata,
 Zapominają brata.
 Do smaku im gospoda,
 I gospodyni młoda.
 Jak dwaj u niej gościli,
 Tak ją dwaj polubili.
 Obu nadzieja łechce,
 Obadwaj zjęci trwogą,
 Żyć bez niej żaden nie chce,
 Żyć z nią obaj nie mogą;
 Wreszcie na jedno zdani,
 Idą razem do pani.
 Słuchaj pani bratowo,
 Przyjm dobrze nasze słowo,
 My tu próżno siedzimy,
 Brata nie zobaczymy.
 Ty jeszcze jesteś młoda,
 Młodości twojej szkoda.
 Nie wiąż dla siebie świata,
 Wybierz brata za brata.
 To rzekli i stanęli,
 Gniew ich i zazdrość piecze.
 Ten, to ów słówko rzecze;
 Usta sine przycięli,
 W rękę ściskają miecze.
 Pani ich widzi w gniewie,

Co mówić sama nie wie.
 Prosi o chwilkę czasu,
 Bieży zaraz do lasu.
 Bieży w dół do strumyka,
 Gdzie stary rośnie buk,
 Do chatki pustelnika,
 Stuk stuk, stuk stuk;
 Całą mu rzecz wyklada,
 Pyta się co za rada?
 Chcą mojej ręki oba;
 Ten i ten się podoba.
 Ja mam małeńkie dziatki,
 I wioski i dostatki,
 Dostatek się zmitrzeza,
 Gdy zostałam bez męża.
 Lecz ach! nie dla mnie szczęście!
 Nie dla mnie już zamężcie!
 Boża nademną kara,
 Ściga mię nocna mara;
 Zaledwie przymknę oczy,
 Traf, traf, klamka odskoczy;
 Budzę się, widzę, słyszę,
 Jak idzie i jak dysze,
 I dysze i jak tupa,
 Ach widzę, słyszę trupa!
 Skrzyp, skrzyp, i już nad łożem,
 Skrwawionym sięga nożem:
 I iskry z gęby sypie.
 I ciągnie mnie i szczypie.
 Ach dosyć, dosyć strachu,
 Nie siedzieć mnie w tym gmachu,
 Nie dla mnie świat i szczęście
 Nie dla mnie już zamężcie! —
 Córko, rzecze jej stary,
 Nie masz zbrodni bez kary.
 Lecz jeśli szczerą skrucha,
 Zbrodniarzów Pan Bóg słucha.
 Znam ja tajnie wyroku,
 Miła ci rzecz obwieszczyć;
 Choć mąż zginął od roku,
 Ja go wskrzeszę dziś jeszcze.
 — Co, co? jak? moj ojczy!
 Nie czas już, ach nie czas!

To żelazo zabojcze,
 Na wieki dzieli nas!
 Ach znam, zem warta kary,
 I zniosę wszelkie kary,
 Byle się pozbyć mary.
 Zrzekę się mego zbioru,
 I pojdę do klasztoru,
 I pojdę w ciemny las,
 Nie, nie wskrzeszaj, mój ojczek!
 Nie czas już, ach nie czas!
 To żelazo zabojcze
 Na wieki dzieli nas!
 Starzec westchnął głęboko,
 I łzami zalał oko,
 Oblicze skrył w zasłonie,
 Drżące załamał dłonie:
 Idź za mąż, poki pora,
 Nie lękaj się upiora.
 Martwy się nie ocuci,
 Twarda wieczności brama;
 I mąż twój nie powróci,
 Chyba zawołasz sama. —
 Lecz jak pogodzić braci
 Kto weźmie, a kto straci? —
 — Najlepsza będzie droga
 Zdać się na los i Boga.
 Niechajże z ranną rosą
 Pojdą i kwiecica zniosą.
 Niech każdy weźmie kwiecie,
 I wianek tobie splecie,
 I niechaj doda znaki,
 Zeby poznać czyj jaki?
 I pójdzie w kościół boży,
 I na ołtarzu złoży.
 Czyj pierwszy weźmiesz wianek,
 Ten mąż twój, ten kochanek.
 Pani z przestrogi rada,
 Już do małżeństwa skora,
 Nie boi się upiora;
 Bo w myśli swój układa,
 Nigdy w żadnej potrzebie
 Nie wołać go do siebie.
 I z tych układów rada,

Jak wpadła, tak wypada,
 Bieży prosto do domu,
 Nic nie mówiąc nikomu;
 Bieży przez łąki, przez gaje,
 I bieży i staje;
 I staje i myśli i słucha;
 Zda się, że ją ktoś goni,
 I że coś szepce do niej.
 W około ciemność głucha:
 „To ja, twój mąż, twój mąż,
 I staje, i myśli i słucha:
 Słucha, zrywa się, bieży,
 Włos się na głowie jeży,
 W tył obejrzyć się lęka,
 Coś wciąż po krzakach stęka,
 Echo powtarza wciąż:
 To ja, twój mąż, twój mąż! —

Lecz zbliża się niedziela,
 Zbliża się czas wesela.
 Zaledwie słońce wschodzi,
 Wybiegają dwaj młodzi,
 Pani wśród dziewic grona
 Do ślubu prowadzona,
 Wystąpi wśród kościoła,
 I bierze pierwszy wianek,
 Obnosi go do koła:
 Oto w wieńcu lilie,
 Ach czyjeż to są czyje?
 Kto mój mąż? kto kochanek?

Wybiega starszy brat,
 Radość na licach płonie,
 Skacze i klaszcze w dłonie:
 Tyś moja, mój to kwiat!
 Między lilii kręgi,
 Uplótnem wstążek zwój,
 To znak, to moje wstęgi!
 To mój, to mój, to mój!
 — Kłamstwo! drugi zawoła,
 Wyjdźcie tylko z kościoła,
 Miejsce widzieć możecie,
 Kędy rwałem to kwiecie.
 Rwałem na łączce w gaju,
 Na grobie przy ruczaju,

Okazę, grób i zdrój,
 To mój, to mój, to mój!
 Klóca się zli młodzieńce,
 Ten mówi, ten zaprzecza;
 Dobyli z pochwę miecza,
 Wszczyna się srogi bój;
 Szarpia do siebie wieniec,
 To mój, to mój!

Wtém drzwi kościoła trzaśły,
 Wiatr zawiął, świece zagasły.
 Wchodzi osoba w bieli,
 Znany chód, znana zbroja.
 Staje; wszyscy zadrzeli;
 Staje, patrzy ukosem,
 Podziemnym wola głosem:
 Mój wieniec, i ty moja!
 Kwiat na mym rwany grobie,
 Mnie księżę stułą wiąz;
 Zła żono, biada tobie.
 To ja, twój mąż, twój mąż!
 Zli bracia, biada obu!
 Z mego rwaliście grobu;
 Zawieście krwawy bój!
 To ja, twój mąż, wasz brat,
 Wy moi, wieniec mój;
 Dalej na tamten świat!
 Wstrzęsła się cerkwi posada
 Z zrębu wysuwa się zrąb;
 Sklep trzeszczy, głąb zapada,
 Cerkiew zapada w głąb.
 Ziemia ją z wierzchu kryje,
 Na niej rosna lilie,
 A rosna tak wysoko,
 Jak pan leżał głęboko.

7. Łódź rybacka.

U brzegu odnogi o cichym wieczórce,
 Siadł rybak do łodzi i siatkę naprawiał,
 I z żoną stojącą na brzegu rozmawiał,
 I kiedy, niekiedy poglądał na morze.
 Wtém pęka powróż urwany od fali,
 I płynię i płynię łódź dalej i dalej.
 Więc prędzej do rudła, więc prędzej do wiosła,

Lecz żagiel i wiosło zostały na brzegu,
 Zkąd żona z obliczem podobnem do śniegu,
 Wołała i ręce ku niebu podniosła.

Nieczuli bogowie pomocy nie dali,
 I płynie i płynie łódź dalej a dalej.

Jak straszno nocować na falach zburzonych,
 Na łodzi ułomnej o trwodze, o deszczu;
 Jak często on myślał śród gromów i deszczu
 A żonie i dzieciach na zawsze straconych,

I płakał — lecz ktoż się leż jego uzali?
 I płynie i płynie łódź dalej a dalej.

Gdy ranek zabłysnął po gromach zawiei,
 Przed siebie, za siebie, wiódł oczy zdumione;
 Dokoła miał wody, bez brzegów, zielone,
 Ni kropla pociechy, ni promyk nadziei,

Prośbami chciał skruszyć niebiosą ze stali,
 I płynie i płynie łódź dalej i dalej.

Trzy nocy i trzy dni na głębiach bezedna
 Wyczekał nadzieje, wypatrzył już oczy;
 Na przekor modlitwie, co mu nic nie zjedna,
 Na przekor głodowi, co serce mu toczy,
 Na przekor pragnieniu, co usta mu pali,
 I płynie i płynie łódź dalej a dalej.

Czwartego poranku, czy mu się zdawało,
 Czy w stronę zkąd płynął, szła nawa daleka!
 Już serce wstrząśnione radością zadrzało,
 Już lezkę radości uczuła powieka.

Zawołał — bez echa, głos przylgnął do fali,
 I płynie i płynie łódź dalej a dalej.

Piątego poranku jeszcze się spodziewa.
 Do wyspy odludnej chciał jeszcze zawinąć:

„O jakby mi słodko żyć na niej i zginąć,
 „Choć na niej ni człeka, ni zwierza, ni drzewa.“

Podpływa, lecz próżno sili się i żali,
 I płynie i płynie łódź dalej a dalej.

Nareszcie jak strzała, co prosto w cel bieży,
 Do kraju ciemności, mgły, lodu i śniegu,
 Gdzie niedźwiedz, wieloryb przy jednym śpią brzegu,
 Gdzie długo na szronów pościeli noc leży.

I gdzieby go ludzie napróżno szukali
 I płynie i płynie łódź dalej a dalej.

V. POEZYJE LYRYCZNE.

1. *Syn.*

Jedzie jedzie rycerz zbrojny,
Wraca do dom z długiej wojny.
Suknia jego pokrwawiona,
Szabla jego wyszczerbiona.

Przywitał go ojciec stary,
Siostry mu wyniosły dary,
Cieszyli się bracia mili,
I sąsiedzi się cieszyli.

„Gdzieżeś matko? Wracam z boju!
Matko miła, wyjdź z pokoju!
Niech uściskam twoje nogi,
Wyjdź przywitać syna z drogi!“ —

Jakże może wyjść do ciebie,
Gdy od roku po pogrzebie!
Pokój w ziemi ma zrobiony,
I kamieniem przyłożony. —

„Jam ten pokój dla niej sprawił,
Długom się na wojnie bawił!
Zyćcie już tu sami sobie,

Gdy przezemnie matka w grobie!“
Mszy i modlitw nie zaniechał,
Jak przyjechał, tak odjechał...
Znikł za górą rycerz zbrojny
Już nie wróci nigdy z wojny.

2. *Piosnka Gajowego.*

Sobie żyjem, sami,
Puszcza nas osłania:
Nam tu las z wiatrami
Jak państwu się kłania.
W białych pańskich dworach
Muzykantów granie;
Milsze w czarnych borach
Kukułek kukanie.

W białych pańskich dworach
Słudzy z pochodniami;
Nam tu w czarnych borach
Wszedł miesiąc z gwiazdami.

Miesiączku, nie gaśnij!
 Rosa połyskuje,
 Świecą myśli jaśniej,
 Żywiej serce czuje.

Idź kto chcesz do dworów,
 Dworskim ciesz się stanem;
 Ja sobie śród borów

Jestem strzelcem, panem!
 Hukam, biegam, śpiewam,
 Ja wolny, Gajowy!
 Z echem się odzywam,
 Na bory, dąbrowy!

3. *Podróż.*

O w świat, prędjéj! muszę, muszę!
 Już wytrzymać tak nie mogę,
 Teskność ściska serce, duszę,
 Puście! muszę! w drogę, w drogę!
 Gdzie na śniegach śniegów łoża,
 I gdzie słońce żarem pali,
 Z kraju w kraj, na morze z morze,
 Gdzie wzrok sięgnie, w świat, a dalej!

Na najwyższe w świecie góry,
 Coraz wyżej, jeszcze wyżej.
 Aż z wierzchołka gór na chmury!

Jakby orzeł, śmiały, chyży!

Ach tam, ach tam choćby chwilę!

Błyskawicą będę błyskał,

Łapał gwiazdy jak motyle,

A nogami deszcz wyciskał.

Będę mył się w źródłach rosy,

Obłokami twarz obcierał,

Promieniami cesał włosy,

W słońce w księżyc się ubierał.

Aby świeżéj nabrać mocy,

Zrobię sobie z chmur posłanie.

Tam przez trzy dni, przez trzy nocy

Przewracać się, jak na sianie

Gdy się znudzę, w tęż godzinę,

W pierwszy lepszy wiatr się wsunę,

Nim jak płaszczem się obwinę,

I na ziemię jak ptak runę.

4. *Wiosna.*

Błyszcza krople rosy,	Czegoś serce wzdycha
Mruczy zdroj po błoni,	W oku łza się kręci.
Ukryta we wrzosa	Łza wybiegła z oka,
Gdzieś jałówka dzwoni.	Za mną strumyk śpiewa,
Piękną, miłą błonią	Do mnie się z wysoka
Leci wzrok wesoło;	Skowronek odzywa.
W koło kwiaty wonią,	Jakże ładny, chyży,
Kwitną gaje w koło.	Ledwo widny oku,
Paś się, błakaj, trzodko;	Coraz wyżej, wyżej,
Ja pod skałą siedę,	Już zginął w obłoku.
Piosnkę lubą, słodką	Uleciał szczęśliwy!
Śpiewać sobie będę.	Tam swą piosnkę głosi,
Ustron miła, cicha!	I ziemi śpiew tkliwy
Jakiś żal w pamięci,	Do niebios zanosi.

5. *Barkarola. *)*

Po dolinie
 Brenta płynie,
 Po niej pływ. a cień gondoli;
 Z szmerem wiosła
 Fala niosła
 Smutną notę barkaroli.
 Moja luba,
 Dziewic chluba,
 Gdzieś mnie czeka na krużganku,
 Łamie dłonie,
 We łzach tonie,
 Myśl, marzy o kochanku.
 Troska dzienna,
 Noc bezsenna
 Z nas jak upior krew wysysa;
 Aż nim skroni
 Nie osłoni
 Grobowego cień cyprysa.
 Rosy leją,
 Lecz nie mdleją,
 Jak płaczący w smutku człowiek.
 Nie kochają,
 Lecz nie znają,
 Nie wypłaczą złotych powiek.

*) Tak nazywają pieśni śpiewane w Wenecyi przez gondolierów.

Płyn, płyn łodzi,
 Księżyc wschodzi,
 Ot, i luba na kruzganku!
 Łamie dłonie,
 We łzach tonie,
 Myśli, marzy o kochanku.
 Każdą nocą
 Z chmur migocą,
 Wciąż na ziemię patrzą gwiazdy;
 Jak świat światem,
 Zimą latem,
 Nieskończone kończą jazdy.
 Serce chore
 W nocną porę,
 Jak kwiat nocny się otwiera;
 Bo rozpacza,
 Bez słuchacza
 Miłość czuła, przyjaźń szczerą.
 Blask księżycy
 Pięknej lica
 Kołem światła opromienia;
 Gdy ją zoczył,
 Na brzeg skoczył,
 I zmieszali łzy westchnienia.
 Po dolinie
 Brenta płynie,
 Po niej pływa cień gondoli;
 Lecz omdlała,
 I skonała
 Tęskna nota barkaroli.

6. *Koń Grabarz.*

Już cię więcej nie utrudzę,
 Pojdiesz sobie sam po błoniu:
 Ku ostatniej dziś posłudze,
 Wygrzeb jeszcze dół mi koniu!
 Spiesz się, póki z rany mojej,
 Krew do reszty nie ubieży:
 Póki nie odejmę zbroi,
 I nie skończę mych pacierzy.
 Spiesz się, pracuj całą siłą,
 Głębiej koniu, głębiej jeszcze,
 By mnie słońce nie paliło,

By nie doszły do mnie deszcze.

Gasną oczy, dech się ziębi. . .

Ach żal braci, żal mi chatki!

Głębięj, proszę, jeszcze głębięj;

By nie zbudził mnie płacz Matki.

Dość, dość koniu, jak zawoła

Wszystkich zmarłych Bóg do siebie;

Bym mógł słyszeć głos anioła

I co prędzej stanął w niebie.

7. Dwaj śpiewacy

(powieść z powodu sporów Klas-
syków i Romant.)

Na zamku Tarnowskim hetman wyprawił ucztę.

Przy stole gościnnym zasiedli starce i młodzież.

A kiedy smutek wszystkich ogarnął, wtenczas:

Folga tesknocie — rzecze pan Tarnowa —

Gdzież się wieszczowie od uczy podzieli.

Niech się w ich pieśniach cześć zmarłych przechowa;

Lecz niech głos pociech żywych rozweseli!

Czyj śpiew do rzeskiej wróci nas ochoty,

Dam beczkę wina i ten puhar złoty.

Powstał mąż letni z biesiadników koła:

Siwa na piersi spadała mu broda;

Ale twarz świadczy rzeska i wesoła,

Ze czystej cnoty mieszka w nim swoboda.

Strój miał rycerski, z szyi łańcuch złoty

Unosił klejnot precudnej roboty.

Powstał — i wszyscy oczy nań zwrócili:

Na beczkę wina, rzekł, szlachcica stanie,

I złota nieco przodki zostawili.

Droższy od kruszców rozkaz wasz, hetmanie!

Jeśli wesołość mym śpiewem odnowię,

Spełnię ten puhar za słuchaczów zdrowie.

Rzekł, i zanócił, a głos dobrze znany

Rubaszność z czuciem łączy w rzadkim darze;

Klasną mu starce, klasną i młodziany,

Wraca wesołość na posępne twarze;

Wstaje gospodarz z zapleśniałym dzbanem,

Za zdrowie wieszczą pije roztruchanem.

Nie dość, ten rzecze, dać uciech powody,

Trzeba i życie przelać w towarzysze,

Jest między nami wieszcz nowy i młody,

Jeśli co umie, niech się dziś popiszę.
 Mówią, że Frankom w rzymskiej śpiewał mowie;
 Niech śpiew rodzinny usłyszą ziomkowie.
 Do was wypilem. Rzekł, i w końcu stołu,
 Wskazał młodzieńca zapłonionej twarzy:
 Postać w nim bardziej skromna niż wesola,
 Słuchał on bacznie, co prawili starzy;
 Wierzył ich słowom, chciał wyrównać w chwale,
 Lecz do ich rozmów nie mieszał się wcale.
 Ledwie powrócił z podróży odbytych,
 Trudni go szkoła pod kanclerzem nowa,
 Ztąd na zbiór mężów w kraju znakomitych
 Zbliżkiej stolicy przybiegł do Tarnowa,
 Chce, ale nie śmie: bo zdolność prawdziwa,
 Nie dufa w sobie, lecz kazano — śpiewa.

Śpiew o winie.

Piękna kastylska kraina

Uległa poganom:

Jest w niej obfitość wybornego wina,
 Lecz wina prorok wzbronił bisurmanom.
 Widząc zmienioną w świetny płyn jagodę,
 Łykają slinkę — lecz pić muszą wodę.

Potężny w boju niezachwiany w cnoście,
 Hassan w Grenadzie dzielny włada styrem,
 On w bisurmańskim bełkocie,
 Zwany był Bejem, a w końcu Emirem.
 Lecz gdy wojenne przygasły płomienie,
 Hassan w Grenadzie nudzi się szalenie.

Przywołał mędrców, ci prawią, on drzymie:
 W tem się duch wieszczów rozpałił;
 Lecz Hassan chrapał przy najczulszym rymie,
 Nawet sam siedząc tytoniu nie palił.
 Czemuż nie palił? może kto zapyta:
 Bo sto lat po nim tabaka odkryta.

Kiedy tak chodzi i siada i wzdycha,
 Aż ujrzy w kącie straszdyłło dziwaczne:
 Stoi coś nakszałt dzbana i kielicha.
 Powąchał, pachnie; pokosztował — smaczne.
 Czy to nie wino? o proroku! zdrada!
 Rzekł — i pot zimny po licach mu spada.

Jam nie pił wprawdzie, tylko pokosztował,
 To nie jest grzechem, tak w koranie leży;

Lecz by kto pamięć do wstrętu zachował,
Lepiej się z grzechem obeznać należy.
Przechylił dzbana, aż mu zmokła broda,
Allah! zawoła, to lepsze niż woda.

Spróbujmy jeszcze, mozem się omylił!
Nie — coś wyższego osiadło w tym płynie.
A skoro z dzbana połowę wychylił,
Ten prorok, rzecze, pisał źle o winie.
Niech mię dziaur znęka, niech oczy wylupi,
Jeśli nasz prorok nie był wtedy głupi.

Gdy tak o swoich rozprawia uczuciach,
I głębszej dzbana dosięga połowy,
Zcierpły mu nogi w bławatnych papucziach,
Stoczył się turban z pochylonej głowy;
Strętwiąły język odmówił usługi,
A Hassan święty upadł, jak był długi.

W tem Cyd do szturm Granady pospiesza,
Roznosząc popłoch mieczem i oczyma:
Scina się mężnie bisurmanów rzesza;
Lecz brak porządku, bo dowódcy niema.
Gdzież Hassan? pyta Maur z przestachu błady;
Już Cyd przez mury drze się do Granady.

Próżno załoga do obrony bieży:
Walka okropna wśród miasta się wszczyna,
Hassan tym czasem jak trup martwy leży;
Bo zgwałcił prawo i opił się wina.
Gdzież jesteś dzielny w potyczkach Hassanie!
Wtem gmach Emira zdobyli Hiszpanie.
Wpadł jeden żołdak i leb uciał nagi:
Na ten cios ręka do miecza się ruszy,
Zawrzało serce resztą czczej odwagi.
Hassan już nie żył, a do jego duszy
Zabrzmiął głos straszny z wysoka:
„Gdyś muzułmanem, nie szydźże z proroka.“

Skończył — i całe mężów zgromadzenie
W jedno ognisko czucia swe zestrzela:
Ryje się w letnich twarzach podziwienie,
Jasnieją w oczach dowody wesela;
Radziby klasnąć, ale ta oznaka
Zgryzłaby może starego śpiewaka.

Bo uważano, że gdy nucił młody,
Tamten się często podnosił i mjenił,
Choć miał od uczyt rozgrzane jagody,

To blednął nagle, to znow się czerwinił;
 A gdy przytłumił głos swój spiewak drugi —
 „Dajcie mi puhar — zawołał na sługi:
 Póki dźwięk pieśni brzmieć nam nie przestanie,
 I póki wina nie braknie w Tarnowie,
 Każ najlepszego podać tu hetmanie,
 Bym spełnił kielich na zwycięzcy zdrowie.
 Chodź w me objęcia, szlachetny młodzieńcze,
 Niech starym laurem skroń twoję uwieńczyę.

Gdybym miał nawet twój wiek i twe siły,
 I nie schylał się pod ciałem do grobu,
 Byłbyś mi równie jak brat bratu miły:
 Bo dość przestrzeni zostanie dla obu.

W świat byśmy poszli drogą nie tą samą,
 Łącząc dźwięk godny przed wieczności bramą.

Któż oni byli? ... muzu, ty odpowiedz,
 I zawstydz wieszczów dzisiejszego czasu:
 Starszy z śpiewaków zwał się Rej z Nagłowic,
 Młodszy się pisał: Jan z Czarnego lasu.
 Tak niegdyś w blasku swoim znakomita,
 Gasnąca gwiazda wschód słoneczny wita.

8. *Modlitwa dzieci do Boga.*

Boże w Twoje imię święte,
 Zaczynamy praceienne;
 Bo w ten sposób rozpoczęte,
 Plony dadzą nam zbawienne.

Czy zabawa, czy nauka,
 Niech zaczyna się od ciebie,
 A kto Twego wsparcia szuka,
 W każdej dozna go potrzebie.

Gdy się modlą dobre dziatki,
 Ty ich prośbom czynisz zadość,
 I dla ojca i dla matki
 Zesłać raczysz zdrowie, radość.

Wszakże Chrystus, co świat zbawił
 Przez najświętszą krwi ofiarę,
 Gdy prawdziwą głosił wiarę,
 Drobnym dziatkom błogosławił.

Pobłogosław i nam Panie,
 Dozwol w cnotach się ustalić,
 Byśmy mogli w każdym stanie
 Bliźnich wspierać, ciebie chwalić.

9. *Dumanie o Bogu.*

Któż to jest taki, co te światy stworzył?
 Co tyle cudów udzielać był w stanie?
 I kto grunt jego potęgi założył?
 Nieraz ja sobie czynię to pytanie.
 Nieraz myśl moja pędem błyskawicy,
 Dążąc do Nieba loty nieścigłemi,
 Rozumów ludzkich dotknęła granicy,
 I znów musiała powracać do ziemi.
 Boże moj! Boże niepojęty wiecznie!
 Przebacz mi, przebacz uniesienie moje,
 Ze tego Pana chcę poznać koniecznie,
 Który mi codzien zlewa łask swych zdroje.
 Gdy na te gwiazdy świecące w noc ciemną,
 Gdy na to słońce oczy moje zwrócę,
 Które już tylu widziało przedemną,
 I tylu ujrzy, gdy się w proch obróczę;
 Pytam was, pytam, o wy ziemni ludzie!
 Czyliż przypadek mógł to wszystko zrządzić,
 Miliony światów, niepojęty cudzie!
 Krażą, i nigdy nie wolno im zbłądzić.
 Mogłóż się wszystko w powietrzu i w wodzie,
 Samo utworzyć? ta ziemia, te nieba?
 By to utrzymać w takiej dziwnej zgodzie,
 Do tego nawet Boga już potrzeba.
 Próżno szyderstwem pokonać mnie chcecie.
 Kładźcie mnie w słabych, nabożniów rzędzie,
 Odmówcie miejsca mi na całym świecie;
 Zawsze Bóg mieszkać w mojej duszy będzie.
 Przyjdzie ta chwila, nie minie nikogo,
 Kiedy śmierć władzę swą rozciągnie sroga;
 Gdy wsparcia ludzi wymagać daremnie,
 Westchnie przyjaciół i wyjdzie odemnie.
 Od grobu mego i żona się wróci,
 Działwa zapłacze, potem się przesmuci;
 Któż wstąpi za mną w to ciemne mieszkanie,
 Twoja opieka, mój wieczysty Panie!
 Na próżno mędrce, wy! z twarzą surową,
 Straszyć mnie chcecie, że nie mogę ożyć.
 Czemuż mnie wskrzesić nie może na nowo
 Ten, który zdołał z niczego mnie stworzyć?

Lecz jaki powód, jaki cel? mówicie.
 Ja wiem, że mu jemu niepotrzebny na nic. —
 Lecz że on dobry, potężny, widzicie, —
 A moja wdzięczność i ufność bez granic.
 Ach! tak jest, śmierci gdy bramę otworzą,
 Ufam że ujrzę Ciebie bez wątpienia;
 Lecz nim przed Tobą stanę, wielki Boże!
 Wysłuchaj modłów twojego stworzenia.

Daj mi być dobrym, daj być sprawiedliwym,
 Niechaj me chwile użytecznie płyną;
 Niech płochem mową, czynem niegodziwym,
 Nie będę nigdy zgorszenia przyczyną.
 Choć największego oddal blask znaczenia,
 Gdy mam być przez nie narzędziem ucisku,
 Ani takiego dopuść poniżenia,
 Bym kiedy prawdy wyrzekł się dla zysku.

10. *Życie człowieka.*

Z przedwiecznego wyroku
 Jak są cztery pory roku,
 Tak w człowieku
 Cztery życia jego wieku.

1.

W wiosnie
 Smiało i radośnie
 Błyszczącą młodością świecimy,
 Ptaszeczków bierzem naturę,
 Spiewamy, bujamy, lecimy,
 Coraz wyżej, wyżej w górę.
 Wśród tych rozkosznych zapędów,
 Rozpuszczając wartkie skrzydła,
 Gdy się śmiejem z ojców błędów,
 W teź same wpadamy sidła;
 Bo na młodość pełno siatek,
 Pełno ponęt, pełno klatek.

2.

Jeszcze wesoło i w lecie
 Bo przecudnie
 W pełnym rozwinięte kwiecie
 Świeci nam nasze południe.
 Więc bujamy,
 Więc latamy.
 Lecz już pomału

W czasie upału,
Zaczynamy szukać cienia;
Pod którym wiek doświadczenia.

3.

W jesieni.

Coraz się mniej nam zieleni,
Liść żółknie, pada, więdnije,
Więdną i nasze nadzieje.
Już mniej bujamy i skaczem,
Niekiedy nawet zapłaczem.
Później, chociaż słońce błyska,
I czasem przez swe promienie
Wypuści łagodne tchnienie,
Przypominając wiosnę;
Nie są to już dni radosne;
Bo ta pamięć nas uciska,
Ze do niej nigdy nie wrócim:
Więc nie latamy nie skaczem,
Tylko się dręczem lub smucim,
I coraz częściej zapłaczem.

Ale nawet i ta pora
Częstokroć przyjemna bywa:
Jest to pogadanka tkliwa
W pośród szarego wieczora,
Z doświadczonym przyjacielem,
O tem, co serc naszych celem.

4.

Nakoniec nadchodzi zima,
Co naturę w więzach trzyma,
Co przeszłości kwiaty niszczy,
Kiedy po białej murawie,
Jakby dzieciom ku zabawie,
Dyamentami zablyszczczy.
Wtedy już nas nic nie mami,
Bo z wiosny, z lata, jesieni,
Nic się nam już nie zieleni . . .

A śmierć przed nami.

Już się na obecność żalem,
Zbiegłe tylko czasy chwalem,
Tylko gwarzem,
Tylko marzem;
Zaledwie wiemy, że czujem,
Chwile liczem na godziny,

I jak pająk z pajęczyny,
 Z tego wiotkiego przedziwa,
 Ktore lada wietrzyk zrywa,
 Pociechy snujem.
 Istniem tylko przez tę trwozę,
 Ze nie wiemy, że nie znamy,
 W jaką się drogę
 Puszczamy;
 Gdzie żyć będziem! co nas czeka!
 Tak z przedwiecznego wyroku,
 Kończy się pobyt człowieka,
 W czwartej części jego roku.
 Ach biada, biada, komu w podróży
 W kraje szczęścia wiekuiste,
 Za przewodnika nie służy
 Sumienie czyste.

11. *Spiew Zaporozców.*

Szumią grady, wichry bije,
 Lis z wilkiem się w norach kryje —
 Zaporozec jeden stoi,
 Gradu, wichrów się nie boi.
 Bo matka rodząc molojca,
 Zaraz lodem go obmywa,
 Kołysze we zbroi ojca,
 A kołysząc tak mu spiewa:
 Jak żelazo, jak te lody,
 Przenoś prace, niewygody;
 Bo do wiosła, do oręża!
 Wytrwałego trzeba męża.
 Niech pod złoconemi dachy,
 Usypiają dzieci swoje
 Niecierpliwe, dumne Lachy:
 Ty nie Lachem, dziecię moje.
 Za nich idą rejestrowi,
 Za nich idą szeregowi;
 W ostrzu piki i pałasza,
 Nasza całość, chwala nasza!
 Jeszcze Lachy z Litwinami
 Na drewnianych jeżdżą koniach;
 My już znamy się z stepami
 I w rozbojach i pogoniach.
 My już z Tatary przy Krymie
 W wojennym się kąpiem dymie;

A w czajkach po słonej wodzie
 Tańcujem przy Carogrodzie.
 Jeśli chętką bierze ciebie,
 Zliczyć broni naszej czyny;
 Zlicz mogiły Ukrainy;
 Lepiej gwiazdy zlicz na niebie!
 Zlicz kurhany Zaporozza,
 Lepiej policz piasek morza!
 A i kurhan i mogiła
 Cały tyśiąc wrogow skryła.
 Nieodrodne ojców dzieci!
 Lećmy żwawo, lećmy śmiało:
 Bo przed nami sokół leci,
 Leci sokół z sławą, chwałą.
 Nuż sokole, dalej, dalej.
 Nad greckich przepiórek stadem:
 Za twą radą i przykładem,
 Będziem żwawo polowali.
 A jak wrocim w domy nasze,
 Ojce w górę wzniosą czasze,
 I Bojan dla twej pamięci
 Wiekuistą pieśń poświęci.

12. Upadek dumnego.

Pierwsi w śmiertelników rzędzie,
 Których pycha niebios sięga;
 Czem jest, spostrzeżcie się w błędzie,
 Wasza wielkość i potęga;
 Jeżeli zwierzon waszej pieczy,
 Naród ludzki jej zlorzeczy!
 Mdła dla niej podpora w broni;
 Bo jest, jest wyższy nad wami,
 Co się wzrusza nędznych łzami,
 A pioruny trzyma w dłoni.
 Trzyma gromy, a przed niemi
 Drzą ludzkości gnębiciele,
 Pomsty jego na tej ziemi
 Dziś narzędzia, jutro cele.
 Póki z nimi jego ręka,
 Świat im służy, gmin przykłęka;
 Niech ją cofnie, a w tej chwili,
 Czem są te ziemskie półbogi!
 Padają jak proch pod nogi.

Tym, którzy im czołem bili.
 Widziałem — jak groźny światu
 W postrachu, pomście i zgrozie
 W całej pysze majestatu,
 Na zwyciężkim jechał wozie,
 Słyszałem krzyk zbrojnych szyków,
 Brzęk kajdan, jęk niewolników.
 Padło na twarz ludzkie plemie,
 Króle w więzach, ludy w trwodze,
 Wołały przed nim po drodze:
 Bóg to, Bóg zstąpił na ziemię! —
 Bóg to, Bóg, moj głos powtarzał,
 Bóg z swą potęgą i chwałą!
 Ach kto mi ojczyznę stwarzał,
 Jakież mu imię przystało!
 O największy z śmiertelników,
 Jakich holdów i pomników
 Szczędziłby ci wiek za wiekiem,
 Gdybyś baczny na przestrogi,
 Widząc świat pod swemi nogi,
 Choć raz wspomniał, żeś człowiekiem!
 Gdys ołtarze wziósł z popiołów,
 Rzekł Przedwieczny do niewiernych:
 Straż mu przeznacze z aniołów,
 Z królów wybiorę odźwiernych;
 Sam wrogom stanę na drodze,
 Rozproszę hufce i wodze.
 Twierdze zdmuchnę, góry spłaszczę,
 Podam mu miecz z mém znamieniem,
 By go wraził swem ramieniem,
 W potworu morskiego paszczę. —
 On cię niósł na skrzydłach wiatrów,
 Przez ryczących mórz bałwany,
 Od Pirenów na szczyt Tatrów,
 I od Nilu do Sekwany.
 Od licznych masztów pogoni
 Łódź twą piastował na dłoni.
 Uspił morza, stracił skały,
 Stłumił spiski i rozruchy;
 Przez piekielne paszcz wybuchy,
 Przerzucił cię lotem strzały.
 Za zwrotem twojej źrenicy,
 Drzały tój kuli bieguny,

Bo z nieśmiertelnej prawicy,
 Przeniósł w twe ręce pioruny.
 Sobie rząd zachował w niebie,
 Los śmiertelnych zdał na ciebie.
 Księga twych praw zajaśniała,
 A ludzkość w weselnej szacie
 Nucila przy majestacie:
 Zbawcy świata, chwała! chwała!
 Ziemia cię objąć nie może,
 Pragniesz chwały twój dziedzica:
 Już na obozowe łoża,
 Idzie cesarska dziewica. —
 On pielęgnował jój brzemię,
 Niemowlęciu poddał ziemię.
 Zabrzmiały pieniem ołtarze,
 Rykła spiz z grzotnymi błyski,
 A na służbę do kołyski,
 Zbiegli się świata mocarze.
 Takich cudów ci dozwalał,
 Jakich nie zna ludzka księga;
 A tyś dumny się przechwalał
 Ze to sprawia twa potęga.
 Przecyzsz tronu niebios Panu,
 Precz kapłanie z Watykanu,
 Tu staną moje ołtarze!
 Rzekłeś! — Spójrzuj w téj godzinie
 Kreśli palec na Kremlinie
 Koniec twych państw Baltazarze!
 Porzucaj godowe stoły,
 Uchódź zguby w cofnych krokach;
 Słyszysz ryczące żywioły,
 Poznaj mściwą dłoń w obłokach.
 Lecz cię trwoga nie zwycięża,
 Jeszcze się rwiesz do oręża.
 A tu z twych groźnych zastępów,
 Marzących boje i łupy,
 Wmarzłe w ziemię stoją trupy,
 Pastwa dla kruków i sępów.

VI. ELEGIE.

1. *Brat i siostra.*

Słońce zachodzi za góry,
 Ciemny mrok ziemię okrywa,
 Xiężyc przyświeca ponury,
 I noc do spoczynku wzywa.

Ustała rólnika praca,
 I pasterz zagania trzodę,
 Wesoły do domu wraca,
 Nucąc wieśniaczą swobodę.

Ptak leśny przerwał swe pienie,
 Wszędzie spokojność grobowa,
 Przerzywa tylko milczenie,
 Nieszczęście wróżąca sowa.

Gdy Koryn z Amilą młodą,
 Stratą swej matki strapieni,
 Oboje tam kroki wiodą,
 Kędy się grób jój zieleni.

Spoili rączęta małe,
 Ale Amila drzy cała,
 Usta jój były zsiniałe,
 Nad zgonem matki płakała.

„Ach nie płacz siostrzyczko miła.
 Twój żal serce moje kraje,
 Śmierć nas z matką rozdzieliła;
 Lecz brat ci jeszcze zostaje.

Gdy nam matka umierała,
 Będzie już temu dzień trzeci,
 Słabym głosem powiedziała:
 W niebie was ujrzę me dzieci!

Pospieszmy, Amilo droga,
 Kędy się ten kamień bieli,
 A klęcząc błagajmy Boga,
 Byśmy ją prędziej ujrzeli.

Poszli na cmentarz ponury,
 Ręce oboje złożyli,
 A wzniosłszy oczy do góry,
 W ten sposób Boga prosili:

„O Boże, co mieszkasz w niebie,
 Spójrz na sieroty same,
 Prosimy jak ojca ciebie,
 Daj nam ujrzeć naszą mamę.“

Zagrzmiało — dzieci struchlały. —
 Grom rozpędził cienie mgliste,
 Już sieroty życ przestały —
 Wznoszą się ich duchy czyste.
 Przechodzień drogą zblakany,
 Widzi, jak klęczą ci mali,
 Odchodzi łzami zalany,
 I czystą ich cnotę chwali.

2. *W zgórek pożegnania.*

Oto chaty dymią w dole,
 Górą, kalinowe gaje;
 Przy gościńcu dalej w pole,
 Kilka krzaków bzu wystaje.
 Za krzakami bzu wonniami,
 Mija wzgórek śród gałęzi,
 Wolny wietrzyk buja niemi,
 To rozszerza; to je wężi.
 Tam gdzie zapadł krąg miesiąca,
 Przy świtanu dnia rumianém,
 Wyszła matka bolejąca
 Z swą Zoryną i Ruślanem.
 Mąż i krewni jej nieczuli,
 Każą życie wieść tułacze;
 Swą Zorynę małą tuli,
 I na los Ruślana płacze.
 Płacze siostra siedmio-letnia,
 Jak jutrzienka złotowłosa;
 Łza rumieniec jej uświetnia,
 Jak poranny kwiatek rosa.
 Ciche modły trwały chwilę;
 Potém matka zbroid syna,
 I żegnając na mogile,
 Tak wyrzeka, upomina:
 „Kto chce życie spędzić w biędzie,
 „I lzy gorzkie wnieść do chatki;
 „Niech powtórnie za mąż idzie,
 „Niech obcemu zwierzy dziatki.
 „On bez serca nad nie swémi,
 „Strwoni ojców chléb sierocie;
 „Co po morzu, co na ziemi,
 „Kupił ciężko w krwi i pocie.
 „Długoż miałam znosić, długo!

„Przeplakałam lat nie mało,
 „W domu własnym byłam sługą,
 „W końcu i łez mi nie stało.
 „Za cóż nas doświadczasz Boże?
 „W grobie ojciec już spoczywa;
 „Cóż im dzisiaj pomodz może,
 „Biedna matka — nieszczęśliwa!
 „Łatwiej dla mnie z córką jeszcze,
 „Przyjmą ludzie ją poczciwi;
 „Prędzej z nią się gdzie pomieszczę,
 „Bóg i praca nas pożywi.
 „Lecz cóż z tobą synu będzie?
 „Gdzie przytułek dla twój głowy?
 „Twój cię ojczym znajdzie wszędzie,
 „Lżyć przykręmi pocznie słowy.
 „Jedź odemnie, jedź kochany,
 „Szukaj zdala szczęścia w świecie;
 „Wszak gdzieś cichsze znajdziesz ściany,
 „Znajdziesz lepszych ludzi przecie.
 „Ciężko serce matki boli,
 „Gdy oddała dziecko z domu;
 „Ciężej jeszcze, gdy w niedoli
 „Da przewodzić nad niem komu!
 „Gdy za tobą Bóg obстанie,
 „I złowrogie dni przeminą,
 „Nie zapomnij nas, kochanie,
 „Wzdychaj za mną, za Zoryną.
 „Teraz dziej się wola boska,
 „Oto konia masz i zbroję;
 „Niech cię mija każda troska,
 „Błogosławię podróż twoję.
 „Bądź zdrów! wszystko się przemieni,
 „Co Bóg stworzył, nie zaginie;
 „Wszakże ludzie nie z kamieni,
 „Wszakże kraje nie pustynie!“
 Rżę i tętni konik wrony;
 We łzach pyta siostra mała:
 „Kiedy? z której ciebie strony,
 „Będę bracie wyglądała?“
 Łzy się w oku lśni Ruślana,
 Po zielonej spójrzył niwie;
 Padł przed matką na kolana,
 Ucałował siostrę tkliwie.

Dosiadł konia, z miejsca rusza,
 Fale bujnych traw przegania;
 Wiatr powieki mu osusza,
 Wiatr zapiéra w piersi łkania.
 Długo matka, siostra stały,
 Prowadziły go oczyma;
 Co raz dalej, mniejszy, mały,
 Jeszcze mgli się, — już go nie ma.
 I już wzgórek opuszczony,
 Tylko woła siostra mała:
 „Kiedy? z której ciebie strony,
 „Będę bracie wyglądała!“ —
 Prędzej w źródle wyschnie woda,
 Góra się w mogiły wzbije;
 Niż go ujrzy siostra młoda,
 Niż go oczy ujrzą czyje.

3. *Pogrzeb Janusza Bieniawskiego.*

Tu, tu grób stanie — w trąbki zagrali,
 I każdy w miejscu stanął jak wryty —
 Zajęknął zagnała las chrzęstem stali,
 Blask jak błysk gromów przemknął drzew szczyty.

I wnet szablami ziemię zaryli,
 Miękką murawę w darniach złożono;
 Kopia i kopia, po krótkiej chwili,
 Zimne już matki gotowe łono.

Przy cichych modłach zwłoki spuszczaają,
 Z zwłokami zbroja rycerza szklniąca,
 Kruszą się włócznie; szable pękają;
 Z brzękiem się ziemia o stal roztrąca.

Potem się spiesźnie rozpierzchli razem,
 Z nad wody skały i drzewa wloką,
 Ziemia nad ziemią i głaz nad głazem
 Wznoszą się wyżej, wyżej, wysoko.

Grob już usuty — z rycerskiej zbroi
 Krzyż urobiony lśni się żałobny;
 Każdy na szabli oparty stoi,
 Czekać tylko na śpiew pogrobny.

Wraz kołat kotłów, twardych surm grzmoty,
 Siedmiopiędziowych piszczałek świsty,
 Rozniosły wszędy pienie tęsknoty,
 I tak brzmiał głośno śpiew uroczysty.
 „Już nie wstaniesz, wodzu młody,

Ni na łowy, ni na gody,
Szabla w polu nie zaświeci,
Wolny sokoł niech odleci.
Twa mogiła dla nauki
Przetrwa wnukow naszych wnuki;
I zlatami w każdej wiosnie
Coraz wyżej, wyżej wzrośnie.

Będą śpiewać twoje czyny,
W naszej ziemi nasze syny,
I po bojach w błogą chwilę,
Wieszać zbroję na mogile.

W dzień Kupała nasze córki,
Gdy pobiegną na pogórki,
Zniosą tobie w upominku
Wianki z ruty i barwinku.

My polecim w step daleki:
Żegnaj, żegnaj już na wieki;
Pokoj, pokoj, pokoj tobie
Nasz rycerzu, pokoj w grobie.“

Grzmią na wszystkie echa strony,
Lasem, wodą, przez zagony:
Pokoj, pokoj, pokoj tobie
Nasz rycerzu, pokoj w grobie.

I już zniknęli: cisza w około,
Świeżej mogiły cień zaległ pola,
Wzniósł bieżąc jeleni promienne czoło,
Dumny, lecz trwożny w doł ją okola.

Za siostry, matkę, tkliwe, w pobliżu
Z gruszy kukulka kwili ponura:
Ważąc się sokoł usiadł na krzyżu,
I zasępiony nastrzępia pióra.

4. Żal Matki.

Wszystko burza niszczy w sadzie,
Kwiaty owoc razem kładzie,
O roznieście, głośnie dzwony!
Smutek matki nieskończony,
Razem z nadziejami memi
Muszę dziecię oddać ziemi,
Pójdiesz niknąć w ciemnym grobie,
W łzach mych tylko ślad po tobie.
Nieużyłos jeszcze świata,
Niewidziałos jeszcze lata,

Ani tobie kolebeczki
 Umailam w me kwiateczki;
 A już z tobą śmierć ubiega,
 Jak od drzewa z po nad brzegu,
 Niesie strumień niezblagany
 Wiatrem pączek oderwany.

Rachowałam ja na ciebie,
 Teraz wszystko z tobą grzebię,
 Nie dożyłam téj pociechy,
 Widzieć przecię tve uśmiechy;
 Ani mi to przyszło biednej,
 Téj radości dożyć jednej,
 Byś się do mnie śmiejąc miło,
 Słowem Matko przemówiło.

Kiedy przy mnie szczęsne matki
 Piastowały swoje dziatki,
 Z ust ich wdzięczny uśmiech sały,
 Lub z nich słówka wywabiły;
 Ból był twoich dni osnową,
 Płacz jedynie twoją mową;
 Ból twój dzieląc każdą dobą,
 Płaczem rozmawiałam z tobą.

Uzbrojoną sregą kosą
 Śmierć na skrzydłach wiatry niosą;
 Wchodzi i w zamki i w chatki,
 Bo nie słyszy płaczu matki,
 Przeto do mnie przyszła śmiało,
 Gdyś na moich ręku spało,
 Milcząc zwolna na mem łonie
 Ubroczyła w tobie dłonie.

Nadzieja mnie już niestała
 Pieśń ostatnią odśpiewała;
 Już cię więcej nie zobaczę,
 Łzami ja cię niech oplaczę;
 Nim ubrane będziesz w bieli
 Wiecznej matce do pościeli,
 Łzami ja cię niech oplaczę,
 Już ja ciebie nie zobaczę!

Blady piołun na twym grobie,
 Będzie w rychle strojem tobie,
 A nadzieje me pospołu
 Już zebrane w garść popiołu.
 Na toż tylko wzięłoś życie

By przepłakać krótkie bycie?

Zabrać matce lube chwile,

I usnąć je w swej mogile.

Głucho będzie w moim domu,

Płakać muszę pokryjomu,

Służki, co się zemną smucą,

Już ci do snu nie zanuca.

„Niech dziecina zdrowa rośnie,

„Jak lilia w rannéj wiosnie,

„Jak wyrosnie, obok matki,

„Pojdzie w łąki zbierać kwiatki.“

Już nie rośniesz! — obok matki

Niepójdiesz ty już na kwiatki;

Już ci teraz w nocnej dobie

Spiwać będzie duch na grobie.

„Za przybyłą na świat wiosną

„Nad twym dołkiem kwiaty rosna,

„Ale twoje synku mały!

„W proch się rączki rozsypały.“

VII. OPISOWA POEZYZA.

1. Chłopek.

Rycerz to nie wielki

Ojczyźnie ubliża,

Który nad stan wszelki

Rólnika poniża.

Dobry jest nasz chłopek,

Dłoń jego obroni,

Zywi hojny snopek,

W potrzebie zasłoni.

Zbożem jego kosy

Posuta jest ziemia,

Tak on na niej kłosa,

Jak laury rozplemia.

Z wołkiem on w pokoju

Uprawia nam błonie,

Na koniku w boju,

Pospiesz w obronie.

Te warowne grody,

Te pańskie palace,

Jego to zachody,

I jego to prace.

Jego to ciężarem

Pan skarby dziedziczy,

Na to on pod skwarem,

Ziarkami dań lieczy.

Z dziećmi on głodnemi

Te ziareczka zgania,

Które Pan po ziemi

Za cacko roztrwania.

W pomoc kraju bieżał

Za pańskimi syny,

Wszędzie on należał,

Prócz zysków i winy.

2. *Do młodzieży.*

Czas w rączym biegu upływa:
 Wszystko wraz z sobą porywa,
 I lubej młodości chwile
 Jego się nie oprą sile.

Jak róża gdy się rozwinie,
 W krótcie wędnieje i ginie;
 Tak z wdzięków do niej podobna,
 Przemija młodość nadobna.

Korzystaj więc, luba młodzi,
 Z czasu, co rychło uchodzi;
 Dni wieku twojego złote,
 Zbogać w naukę i cnotę.

Co zdołasz zasiać szczęśliwie,
 Na serca, rozumu niwie,
 Póki się wiosna nie zmieni,
 To w późnej zbierzesz jesieni.

Gdy styrasz młodość twą marnie,
 Żal cię niewczesny ogarnie,
 Przykry smutek przyjdzie z laty,
 Lecz już nie nagrodzisz straty.

Korzystaj więc, luba młodzi,
 Z czasu, co rychło uchodzi,
 Dni wieku twojego złote,
 Zbogać w naukę i cnotę.

3. *Do młodego chłopczyka.*

Póki majem kwitnie czoło,
 Póki nie ómi żadna chmurka,
 Rącze chwile, złożcie piórka,
 Luby malcze, skacz wesolo!
 Tu kwiat róży, tu bławatku,
 Oba w całej wdzięków chlubie,
 Wiatr zawieje i oskubie
 Liść po listku, kwiat po kwiatku.
 Urok życia przejdzie z wiekiem,
 Czują matka nie popieści,
 W ciągłych troskach i boleści,
 Ach uczujesz, żeś człowiekiem.
 Gdy cię trwoga ze snu zbudzi,
 Chciwość draśnie, pycha trąci,
 Złość najczulsze cele zmaći,
 Ach uczujesz, żeś wśród ludzi.

Teraz klaskaj w rączki obie,
 Teraz wesół wśród pustoty,
 Póki świeci promień złoty,
 Igraj, igraj, igraj sobie!

4. *Młody żebrak.*

W nędznej odzieży chłopak zapłakany,
 Słepego ojca podpora jedyna,
 Długą wędrówką i głodem znękany,
 Siadł na kamieniu i spiewać zaczyna:

„O wy, na których niebo dary złało,
 Słepego starca chciejcie wesprzeć nędzę.
 Wszystko już stracił, tylko mu zostało,
 Przykre kalectwo i dziecko w siermiędze.

Wiek swój w usługach krajowych przepędził,
 Ciągłe nieszczęścia zebrać go znagliły,
 Póki mógł pracy i trudów nie szczenił,
 A ja pracować nie mam dosyć siły.

Przewrotny sąsiad naszedł jego niwy,
 Zboże stratował, ogniem domy strawił,
 W zbytku dzikości okrutny i mściwy,
 Katował starca i wzroku pozbawił.“

Tak spiewał chłopiec, ufając marzeniu,
 Ze litość w którym z przechodniów obudzi;
 Przejechał bogacz w dzikim zaślepieniu,
 Złajał patrzeć nieszczęśliwych ludzi.

Szedł stary żołnierz, co w lichéj odzieży,
 Znalazł nagrodę za trudy marsowe,
 Spozostrega starca, że łzami doń bieży,
 Dobył chleb z torby, i dał mu połowę.

5. *Podchlebiaj.*

Prawda jest gorzką potrawą,
 Nieznana na wielkim świecie;
 Idzie kto w lewą, czy prawą,
 Chce, by go chwalono przecie,
 Głupca nazywaj rozumnym,
 Pokorę przyznawaj dumnym,
 Zdrajca, mów że jest poczciwym,
 Podchlebiaj, a będziesz szczęśliwym.

Rzetelność z głodu umiera,
 Więc nigdy nie gadaj szczerze,
 Kupiec mów, że cię nie zdziera,

Lichwiarz procentów nie bierze,
 Patron, ze sprawy nie sprzedał,
 Sędzia że uwieść się nie dał,
 Xiądz, że zawsze jest cnotliwy,
 Podchlebiaj, a będziesz szczęśliwy.

6. Teraz a dawniej,

Kiedy człowiek żył w prostocie,
 Kochali się ludzie wzajem;
 Mowiono mało o cności,
 Bo cnota była zwyczajem.

Teraz piszą foliały,
 Wszystkie usta brzmią morałem,
 Lecz z tych ramot zysk jest mały,
 Sam Pan Autor sowizdrzałem.

W ustach pięknie, lecz nie szczerze,
 Dowcip sili się na cuda,
 Piękna cnota na papierze,
 Lecz w sercach sama obfuda.

Dziś egoizm rządzi światem,
 Zysk i chytrość jego rajce,
 Duma ojcem złość mu bratem
 Posługacze sami zdrajce.

Nie dba świat na czasy stare;
 By mógł zyskać dopiąć raźnie,
 Depce oltarz, depce wiare
 Zdradza krewnych i przyjaźnie.

Aby zaś był niepoznany,
 Wdziewa na twarz maskę cnoty,
 Płaszczem moralu przybrany;
 Przedzój dojdzie swój roboty.

Śczęśliwy był ów wiek stary,
 Co ni pisał, ani czytał,
 Z łona matek brał grant wiary,
 Z śladów ojców cnoty chwycił.

U prostaków prawda przecie,
 Za naturę cnotę miano,
 Łotrów było mniej na świecie
 Choć moralów nie pisano.

ZAGADKI.

- Zwierzchu łoj, wewnątrz nici, gdy zapalisz, to się świeci.
1. Pierwsze płynie, drugie ściska,
Wszystko pewne, gdy wieś blizka.
 2. W pierwsze bogata Polska, drugie w alfabecie,
Wszystko stary ma w rękę, a młody na grzbiecie.
 3. Co to za zwierz na świecie, czworonożny zrana,
W południe dwie ma nogi, w wieczór trzecia dana.
 4. Kasam, i nie połykam, w pracy zawsze zęby,
Inszym czynię pożytek, — a sobie otręby.
 5. Dwie litery — noszą książki i papiery.
 6. Gęś po mnie często chodzi, czarne ślady czyni,
Leżę po stołach, w tekach, a czasem i wskrzyni.
 7. Nie żyję, a mam głowę, i język pod szyją,
Ludzie nieraz z mej łaski i giną i żyją:
Nie gadam, póki mnie kto za język nie ciągnie,
Rak nie mam, a z daleka mój pocisk dosiągnie.
 8. Wewnątrz cierpię gorączkę, tył mi w zimie dają,
W lecie stoję, jak wryty, nic o mnie nie dbają.
 9. Zwierz nie jestem, jednak mi dano cztery nogi,
Nie koziół, wół, ni sarna, a przecież mam rogi;
Każdego dnia u panów barwę biorę białą,
Zabawia się dwór przy mnie z kompanią całą.
 10. Jestem z mięsa i ze krwi, a nie mięsem przecie,
Mam takich, co odziewam i w zimie i w lecie;
Głowę mi uciał mądry, wziął serce z wnętrzości,
Pić kazał czarny napój i gadać skrytości.
 11. Sam z siebie nic nie czynię, jednak z mojej ręki,
Wszystko bierze początek, wzrost, postać i wdzięki.
Tór mój życia jednaki w każdej świata stronie,
Oddalam się, powracam, uciekam i gonię.
Chociaż się w ustawicznej pracy doskonalę,
Jednak, co dziś zbuduję, to jutro obalę.
Kiedy idę, nikomu w kroku nie dogodzę,
Ten krzyczy, że pomału, ten że prędko chodzę.
Choć się codzień poprawiam, tyle mam nagrody:

Słyszę, żem gorszy teraz, niżelim był wprzody.
Tyle mi tylko jeszcze zostaje do sławy,
Że mnie każdy być sędzi zdolnym do poprawy.
Choć zmysłom niedostępny, lecz nie jestem du-
chem,

Człek o mnie sędzi okiem, dotknięciem i słuchem.
Jego to dowcip zmysłów przechodząc granice,
Wziął mnie w kluby i kazał gadać tajemnice;
Czym jednak początku trudno badać, człeku!
Noszę cechę starości i młodego wieku.

Nie wiem, za co mnie starym niektórzy być
mienia,

W mieście lepiej mnie znają, na wsi lepiej cenią.

12. Każdemu konieczna, nikomu pochlebna,
Kupującemu nie jestem potrzebna;
Ten który mnie kupił, pewnie mnie nie żądał,
Ten który mnie użył, ani mnie oglądał.
13. Dobrze mi się wszystko darzy,
Kiedy jestem pełen twarzy;
Każdy lubi, każdy ceni,
Miło mnie chowa w kieszeni.
Jak zapadnę na suchoty,
Znikną te wszystkie pieścizoty.
14. Zawsze jestem pustelnikiem
Nie rozmawiam nigdy z nikim,
W czarnej się noszę żalobie,
Za pokutę mieszkam w grobie,
Moje codzienne potrawy,
Są korzonki z lichęj trawy.





